



RENATA KOSIN

*Bluszcz
prowincjonalny*

RENATA KOSIN

*Bluszcz
prowincjonalny*

FILIA

– Szlag! – Anna się skrzywiła i wsunęła pod poduszkę pustą fiolkę po lekach.

Ułożyła się na wznak i odgarnęła z twarzy pasmo przetłuszczonych włosów. Splotła dłonie na piersiach tak mocno, że blade kostki palców wyglądały, jakby miały zaraz przebić pergaminową skórę.

– Chcę zasnąć... – wyszeptała, z trudem rozklejając wysuszone usta, bez większej nadziei na rozbudzenie sztywnych strun głosowych, zastałych w wielodniowej beczynności. – To lepsze niż jawa. Bo gdy traci się kontrolę na myślami, można przestać się obwiniać, że nie biegną tam, dokąd powinny... – Przymknęła oczy, usiłując skupić się na czymś innym niż to, co od tyłu dni jak drzazga tkwiło w jej głowie. – Dlaczego nie można ich wyłączyć? Wyjałować mózg... Dlaczego nie można poczuć prawdziwej, umysłowej pustki? – rzuciła w przestrzeń przepelnione goryczą pytanie. – Uciec gdziekolwiek...

Odwróciła głowę i spojrzała na drugą stronę łóżka. Przesunęła ramieniem po idealnie gładkiej pościeli, bardzo ostrożnie, ledwie muskając ją tylko opuszkami palców, a potem mocno wbiła paznokcie we wnętrze dłoni i znów zamknęła oczy z nadzieją na sen.

Jak co rano.

Każdego ranka zbierała z poduszki zwymiotowane we śnie myśli i krztusząc się z powodu płaczu i obrzydzenia, połykała wszystkie, by trawić je na nowo.

Wstrzymując oddech, tłumiała nadchodzące torsje. Skuliła się jeszcze mocniej na swojej połowie łóżka, uważając, by nie zmierzić sąsiedniej. Owinęła się szczelnie kokonem ze zmiętolonej pościeli, czując, jak przepocona koszulka nieprzyjemnie przywiera do jej piersi. Zagryzła wargi, gdy powróciły dreszcze.

Delikatne pukanie spowodowało, że drgnęła nieznacznie i wsunęła pod brodę jeszcze głębiej obie pięści zaciśnięte na rogu kołdry.

– Zejdiesz do nas? Czekamy ze śniadaniem.

Anna odsłoniła tylko część opuchniętej z powodu płaczu twarzy i spojrzała na Magdalенę. Stała w progu, w zawiązanym ciasno, nie swoim szlafroku i turbanie z ręcznika na głowie.

– No? – Magda wpatrywała się w nią z irytującym wyczekiwaniem.

– Nie jestem głodna.

– Nie pytam cię o to, czy jesteś głodna, ale kiedy do nas przyjdiesz.

– Przecież wiesz, że...

– Właśnie nie wiem. Nie oczekujemy wiele, chcemy tylko, żebyś zjadła z nami śniadanie.

– Ale... – Nie dokończyła. To, co być może chciała powiedzieć, zostało przerwane nagłym trzaskiem zamykanych drzwi.

Anna patrzyła na nie zaskoczona, z rosnącym poczuciem niesprawiedliwości. W końcu podniosła się z wysiłkiem i dygocząc z zimna, w mokrej od potu piżamie powlokła się do łazienki.

Gorący prysznic zamiast splukać z niej przytłaczające otępienie, nasilił senność, spowodował nieodpartą chęć powrotu do łóżka. Potykając się o porzucony na podłodze wilgotny ręcznik, rozejrzała się w poszukiwaniu okrycia. Jej wzrok padł na bury męski szlafrok, wiszący samotnie na haczyku przy drzwiach. Z pewnym wahaniem zdjęła go. Powoli wsunęła ręce w rękawy, owinęła teraz jeszcze bardziej drżące ciało zbyt obszernymi połami i starannie zawiązała pasek. Przechyliła głowę, dotykając ustami kołnierza.

„Zupełnie stracił zapach...” – pomyślała ze zdziwieniem. „Tak szybko? Choć właściwie... przecież od dawna nikt go nie używał...”

Wróciła do sypialni i otworzyła szafę. Wsparła się na rozchylonych skrzydłach drzwi, wpatrując się w półki, z których połowa była pusta. Po krótkim namyśle zgarnęła kilka bluzek i ułożyła je na jednej z nich, potem zapełniła przypadkowymi ubraniami jeszcze dwie kolejne. Popatrzyła znów i... zrzuciła wszystko na podłogę. Odwróciła się i rozejrzała po pokoju.

Podeszła do jednej z szafek nocnych. Wysunęła szufladę. Również okazała się pusta.

– Kiedy to wszystko zabrała? – wyszeptała zdumiona.

Przysiadła ostrożnie na brzegu łóżka, na nienależącej do niej gładko zaścielonej połowie i otuliła

się szczerzej szlafrokiem, czując, jak jej ciało zaczyna jeszcze bardziej dygotać.

– Tak będzie lepiej – usłyszała nagle, zanim zorientowała się, że już nie jest sama. – Musisz pozbyć się reszty jego rzeczy, wtedy łatwiej będzie ci wrócić.

Poczuła na ramieniu ciepły dotyk. Magdalena kucnęła przed nią, opierając łokcie o jej kolana.

– Wrócić? – Anna szarpnęła się nerwowo. – Dokąd?

– Do żywych. Do nas. Mówiłam ci, dzieci wciąż na ciebie czekają. Chciałyby zjeść z tobą śniadanie.

– Sugerujesz, że je zaniedbuję?

– Nie, nie sugeruję. Mówię ci to wprost. Zaniedbujesz swoje dzieci.

– Jesteś... jesteś niesprawiedliwa!

– To raczej ty taka jesteś. Wobec nich. Nie rozumiesz, że to, co się stało, dotknęło je tak samo mocno jak ciebie? Ze powinniście być w tym wszystkim razem? Przez cały czas?

– Przecież i tak już nigdy nie będzie tego „razem”. Ja i dzieci to... to nie wystarczy.

– Wystarczy, i wkrótce sama się o tym przekonasz. Musisz tylko trochę bardziej się postarać. I poukładać sobie wszystko na nowo.

– Ale jak? Ciągłe próbuję, ale nic tu do niczego nie pasuje! Popatrz tylko na te puste miejsca... W szafach, wszędzie! Co się robi z szafką nocną nie do pary? Albo z drugą połową małżeńskiego łóżka? Powiedz, jeśli wiesz, bo ja nie mam pojęcia. Nie można przecież się jej pozbyć! I nie da się na niej spać! Nie jest przecież moja.

Anna wydobyła ze zbyt długich rękawów szlafroka zaciśnięte pięści i wbiła je z impetem w gładką wcześniej poduszkę. Zamarła na kilka sekund, jakby przestraszona tym, co zrobiła, by po chwili otrząsnąć się i okładać ją z jeszcze większą siłą. Poderwała się i zrzuciła na podłogę kołdrę. A potem zaczęła histerycznie kopać ją bosymi stopami. Kiedy wreszcie dysząc i trzęsąc się, opadła bezwładnie na odsłonięte w połowie łóżko, dotarło do niej, że dygot całego ciała, którego nie była w stanie opanować, nie jest spowodowany zimnem, ale spazmatycznym szlochem. Mimo że z suchych nagle oczu nie popłynęła nawet jedna łza.

– Pieprzyć to wszystko! Pieprzyć! Pie... pierdolić!

– I to jest, moja kochana, właściwa reakcja. Powinnaś to zrobić już na początku, zamiast rozczulać się nad sobą w zamkniętym pokoju. – Magdalena przysiadła obok i objęła siostrę ramieniem, głaszcząc ją po drżących plecach. – Cisza bywa kojąca, ale tylko przez chwilę, bo nie jest w stanie zagłuszyć bólu i wściekłości.

– Wściekłości? – Anna uniosła głowę, patrząc na nią na wpół przytomnie.

– Oczywiście. Masz prawo być zła. Ja też bym była, gdyby nieoczekiwanie mąż zostawił mnie samą... nie, nie samą, bo z dwójką dzieci. A takich emocji nie da się długo dusić w sobie, należy się ich pozbyć, wyrzucić z siebie, każdy psychoterapeuta ci to powie.

– Chcesz mnie posłać do psychiatry? Nie jestem wariatką!

– No pewnie, że nie jesteś. Ale w końcu zwariujesz, jeżeli nie weźmiesz się w garść. A wtedy już na pewno będziesz potrzebowała pomocy specjalisty.

– Tłumaczyłam ci przecież. Ciągłe próbuję, ale nie umiem!

– Umiesz, tylko jeszcze tego nie wiesz, albo za mało się starasz. Właściwie... prawie całkiem się poddałaś.

– Więc co powinnam zrobić?

Anna wydawała się bezradna. Jakby nagle uleciały z niej wszystkie inne emocje. Albo raczej ukryły się głębiej, zażenowane tym, że je zdemaskowano.

– Na początek ubierz się i wyjdź z sypialni.

– A co potem? – spytała tonem sugerującym, że wcale nie chce usłyszeć odpowiedzi.

Zacisnęła palce na mankietach szlafroka i skrzyżowała ramiona w obronnym geście.

– Potem mogłabyś wyjechać stąd z dziećmi, na jakiś czas. To najlepsze rozwiązanie w twojej sytuacji. – Magda kiwała z przekonaniem głową. – Bo widok pustych półek po rzeczach Piotra nie wpływa na ciebie najlepiej, a zmiana otoczenia na pewno dobrze ci zrobi.

– Prześmia, nie mam teraz siły na jakies głupie wycieczki.
– Nie mówię o wycieczce. Powinnaś przeprowadzić się na jakiś czas do rodziców, na trzy, może cztery tygodnie. Rozmawiałam o tym z mamą. Ona też uważa, że tak byłoby najlepiej.
– Widzę, że już zdecydowałyście. – Anna parsknęła ironicznie i odwróciła głowę. Również po to, by ukradkiem przełknąć łzy, tym razem spowodowane poczuciem bezsilności. Traciła kontrolę już nie tylko nad sobą, ale nad całym swoim życiem. Pozwoliła, by przejęli ją inni.
– Zgadza się. – Magdalena zmarszczyła brwi i zacisnęła na chwilę usta. – Zdecydowałyśmy za ciebie, ponieważ obie wiemy, że teraz nie jesteś w stanie zrobić tego sama.
– Tak, to prawda – odparła nieoczekiwanie, wydmuchując nos w podaną sobie chusteczkę. – Nie tylko nie mogę, ale i nie chcę decydować o czymkolwiek. Jeszcze nie teraz.
– Nie musisz się z niczym śpieszyć... może z wyjątkiem jednego, ale to możesz załatwić jutro. – Magda się zawahała.
– Co takiego? – Anna patrzyła na nią podejrzliwie.
– Wczoraj dzwonił prawnik Piotra. Nalegał na spotkanie. Twierdził, że to pilne.
– Nie chcę!
– Prędzej czy później będziesz musiała to zrobić, więc chyba lepiej mieć to już za sobą.
– Ale ja nie mam na to siły! – załkała.
– Masz, sama nawet nie wiesz jak dużo. Myślę, że wiele kobiet na twoim miejscu całkiem by się rozsypało. A ty...
– Co ja? Myślałam, że według ciebie właśnie to zrobiłam. Rozsypałam się na milion kawałków – rzuciła drwiąco, usiłując jednocześnie zapanować nad drżeniem brody.
– Ale nie tak drobnych, by nie udało się ich jeszcze posklejać. – Magda dotknęła lekko jej policzka. – Dlatego teraz ubierz się i uczesz włosy. Jeśli nie chcesz jeść, nie musisz, ale może chociaż wypijesz z nami herbatę.
Anna zerknęła w stronę drzwi.
– Poproś dzieci, żeby zaczekały na mnie z tym śniadaniem, dobrze? – wyszeptwała. – Za chwilę do nich zejdę.
– Nie muszę tego robić, one cały czas czekają.
Magdalena przytuliła kruche i wciąż rozdygotane ciało swojej młodszej siostry, usiłując jednocześnie stłumić świst ostrożnie wypuszczanego z płuc powietrza, będącego tak naprawdę głębokim westchnieniem ulgi.

1

– A może byłoby lepiej, gdybym z tobą jednak pojechała, co? – Magdalena stała w przedpokoju, z założonymi rękami. Niespokojnie wodziła wzrokiem za biegającą w tę i z powrotem Anną.

Jej opór przed podniesieniem się z łóżka zaledwie dzień wcześniej nieoczekiwanie zmienił się w coś całkiem przeciwnego. Od wczesnego rana miotała się po mieszkaniu w poszukiwaniu kolejno: czarnego stanika i rajstop (to niemożliwe, żeby wszystkie były brudne!), welurowego żakietu (dobrze pamiętam, właśnie tu go powiesiłam...), zielonej herbaty z opuncją (była tutaj, w papierowej torebce, i nie, nie chcę innej!), kluczyków od samochodu (nie brałaś na pewno?) i w końcu torebki (może tam są te cholerne kluczyki!).

– Przecież zaledwie wczoraj przekonywałaś mnie, że powinnam zrobić to sama, nieprawdaż?

– Bo powinnaś. Chodzi mi tylko o to, że nie jestem pewna, czy jesteś w stanie prowadzić. Może lepiej zamów sobie taksówkę...

– To nie będzie konieczne. Widziałaś, dziś piłam tylko herbatę... Wiem, gdzie są! – krzyknęła nagle w olśnieniu i zrzucając buty u podnóża schodów, pobiegła na górę. Po chwili zeszła, triumfalnie potrząsając kluczami.

– Gdzie były?

– W apteczce.

– Kto trzyma w takim miejscu kluczyki?

– Ostatni raz korzystałam z samochodu, kiedy byłam u lekarza. Potem od razu pojechałam po receptę, leki włożyłam do apteczki, a z nimi kluczyki.

Magda na te słowa uniosła brwi.

– Brałaś dzisiaj swoje proszki?

– Już ci mówiłam. Piłam tylko herbatę. Nie jestem kretynką, żeby pod wpływem takich leków siadać za kółko.

– No tak, w żadnym wypadku nie wyglądasz dziś na kogoś, kto zażył coś na uspokojenie.

Anna wydawała się nie słyszeć ostatniej uwagi. Lub, co było bardziej prawdopodobne, po prostu ją zignorowała, nie chcąc przedłużać dyskusji.

– Postaram się wrócić szybko, może zdążę odebrać Franka ze szkoły.

– Gdyby ci się nie udało, Amelka obiecała na niego poczekać. Wrócą razem.

– Tak? Zadzwoń więc do niej. Potem. I może po szkole zabiorę ich gdzieś, na jakąś pizzę albo coś.

– Świetnie! To bardzo dobry pomysł.

– Taak... – Anna zawahała się chwilę. – Madzik, wiesz.... Dziękuję ci. Bardzo. Za to, że jesteś tutaj z nami, i w ogóle, że rzuciłaś wszystko inne, choć przecież wcale nie musiałaś tego robić. Na pewno tam w Stanach masz własne sprawy i...

– A gdzie niby miałabym być w takiej sytuacji? Przecież jestem twoją siostrą. I to ja powinnam cię przeprosić. Za mocno wczoraj na ciebie naskoczyłam. Chyba trochę przesadziłam.

– Wcale nie. Należało mi się. I dało do myślenia. Już dawno temu powinnaś mną potrząsnąć, żebym się wreszcie ocknęła. Bo przez takie ciągłe głaskanie po głowie człowiek jeszcze bardziej nad sobą się rozczuła i zapada w siebie, nawet jak tego nie chce. W kółko rozmyśla o swoim nieszczęściu i zapomina, że świat wokół niego wciąż istnieje, nawet jeśli już niekompletny. – Nabrała gwałtownie powietrza. – A życie nadal się toczy, czy się tego chce, czy nie. – Przystanęła przed lustrem, i ledwie w nie zerkając, poprawiła włosy. Z wahaniem obracała w dłoniach wyjęty z torebki błyszczący do ust. – Nie pozostaje więc nic innego, jak iść dalej, nawet gdy brakuje sił.

Odłożyła pomadkę, której nawet nie otworzyła i sięgnęła po leżącą na stoliku plastikową klamerkę. Spięła nią włosy, zwiijając je w węzeł. Tym razem popatrzyła w lustro z większą uwagą i kiwnęła głową z satysfakcją.

– Teraz będzie dobrze – orzekła stanowczo.
– Cieszę się, bardzo. – Magda objęła ją i mocno przytuliła. – Nie masz pojęcia, jak się o ciebie bałam.

– Wiem. Przepraszam.

Delikatnie wyswobodziła się z objęć siostry i cmoknęła ją lekko w policzek.

– Muszę jechać.

– Już? Nie za wcześnie? – Ukradkiem otarła wilgotne rzęsy i podniosła na Annę zdziwiony wzrok. – Przecież spotkanie masz dopiero za trzy godziny.

– Zanim pojedę do kancelarii, muszę jeszcze coś załatwić.

Magdalena otworzyła usta, jakby chciała o coś spytać, jednak w ostatniej chwili zrezygnowała. Podniosła z podłogi torebkę i podała siostrze.

– Zadzwoń, gdyby działo się coś złego, dobrze?

– Jasne, pa! – krzyknęła już z klatki schodowej.

Magdalena zamknęła za nią drzwi i od razu poszła do kuchni. Jej okna wychodziły na parking.

Ukryła się za zasłonką i z uwagą obserwowała teren przed blokiem. W końcu dostrzegła siostrę zmierzającą pewnym krokiem w stronę jednego z samochodów. Wstrzymała oddech, gdy stukot jej obcasów odbijający się echem od okolicznych budynków nagle ucichł. Anna zatrzymała się i zamarła z dłonią wspartą na szybie srebrnoszarego passata, jakby zastanawiając się nad czymś. W końcu siadła za kierownicę, oparła na niej łokcie i ukryła twarz w dłoniach. Magda teraz już wychylona z okna obserwowała ją z rosnącym niepokojem, wahając się, czy nie powinna mimo wszystko za nią pobiec, zatrzymać ją. Zanim jednak zdążyła podjąć jakąś decyzję, kobieta uruchomiła silnik i nieśpiesznie odjechała.

Magdalena stała jeszcze długo w otwartym oknie, w zamyśleniu skubiąc bezwiednie listek zerwany ze stojącej na parapecie azalii. Usiłowała zebrać rozbiegane myśli i nazwać kłębiące się w niej przeróżne uczucia, jednak bezskutecznie. Mimo dokładnej analizy zachowania siostry w każdej spędzonej z nią minucie, od kiedy Piotr odszedł, nie potrafiła jej przejrzeć, i dzięki temu odpowiednio pomóc.

Przez kilka ostatnich tygodni bezsilnie patrzyła, jak jedna z najbliższych jej istot całkowicie zapada się w sobie, nie pozwalając nikomu zbliżyć się do swojego bólu, nie chcąc też z nikim się nim podzielić, strzegąc go wręcz zazdrośnie. Nie godziła się, by cierpienie zaczęło powoli odchodzić. Zupełnie jakby to ono pomagało jej przetrwać. Sprawiała wrażenie, jakby napawała się nim, nieskończenie tłamsząc je i dusząc w sobie, nadając mu coraz to nowe formy – od napadów płaczu i niepohamowanej złości, przez dziwną nadpobudliwość, po jeszcze większe niż na początku otępienie.

Tym razem jednak Anna po raz pierwszy nadała swojemu cierpieniu imię. Opisała je i podzieliła się tym z siostrą. Zaczynała też myśleć i mówić logicznie. Zbyt logicznie. Mimo że wyglądało to na coś w rodzaju przełomu, Magda wcale nie była pewna, czy w jej siostrze rzeczywiście dokonała się wreszcie długo wyczekiwana przemiana, czy tylko starała się sprawić wrażenie, że tak jest, by inni dali jej spokój. Bo chociaż Anna wyglądała, jakby zaczynała godzić się z nową rzeczywistością, coś było nie tak. I mimo że Magdalena powinna wreszcie poczuć się uspokojona, było wprost przeciwnie. Wszystko działo się za szybko, stan Anny zmienił się zbyt radykalnie w ciągu zaledwie jednej nocy.

Zdecydowanie coś było nie tak.

Magda rozmyślała o tym, ścieląc łóżko siostry, gdy nagle pod poduszką znalazła puste opakowanie po lekach. Opróżnione zdecydowanie zbyt szybko, bo powinna tam być ich jeszcze połowa. To zrodziło w niej podejrzenie, że Anna chciała zdobyć nową receptę. Dlatego wyszła wcześniej

– Oby lekarz tym razem jej odmówił. – Magda poprosiła go o to w duchu, jednak bez większej wiary w spełnienie pobożnego życzenia.

Wiedziała, jak przekonująca potrafi być jej siostra, gdy ktoś próbuje pokrzyżować jej plany, jakiegokolwiek by były. A Magdalena oddałaby wiele, żeby je poznać, ponieważ nie wierzyła, by pokrywały się z jej własnymi. Nawet jeśli wszystko na to wskazywało.

Dom przy ulicy Jaśminowej był szczelnie otoczony berberysowym żywopłotem, chroniącym jego mieszkańców przed ulicznym kurzem i wrokiem przechodniów. Jedyne przez pręty metalowej furtki można było dojrzeć fragment zadbanego ogrodu i kilka pierwszych stopni schodów prowadzących na odkrytą werandę. U ich podnóża stały wielkie, ceramiczne donice, z których wylewały się kwitnące jaskrawo godecje, werbeny i lobelie.

Przy bocznej części budynku, za grubą ścianą zieleni, poza zasięgiem wzroku obserwatorów, znajdował się taras. Osłonięty pasiastą markizą przed czerwcowymi promieniami słońca, był dla domowników idealnym miejscem wypoczynku. Stał tam okrągły stół. Na nim różowiły się trzy miniaturowe filiżanki w białe kropki. W rattanowym fotelu, naprzeciwko dwóch jasnowłosych lalek, siedział mężczyzna. Ostrożnie unosił do ust jedno z maleńkich naczyń i patrzył z uśmiechem na kilkuletnią dziewczynkę, która z plastikowego imbryka nalewała do pozostałych filiżanek wymaginowaną herbatę.

– Mmm, jaka aromatyczna, cytrynoowa! – wymruczał.

Odstawił naczynie na różowy spodek, wytarł usta i demonstracyjnie poklepał się po brzuchu.

– Dolać ci, tatusiu? – Dziecko zaszczębiotało przymilnie.

– Dziękuję, kochanie. Zostawmy trochę dla mamy, niech i ona spróbuje twojej pysznej herbatki. Póki jeszcze lalki nie wypityły wszystkiego. – Zaśmiał się znacząco.

– Zostawię. Dla mamy i dla cioci. – Dziewczynka kiwnęła głową.

Mężczyzna uniosł brwi w zdziwieniu, jednak nim wyraził je głośno, usłyszał trzask zamykanej furtki. Odwrócił się i pochylił lekko, zaglądając pod zielone konary rozłożystego tulipanowca, tam, gdzie patrzyła jego córka.

– Ania? – Podniósł się gwałtownie z fotela.

– Dzień dobry, Wiktorze. Przepraszam, że niepokoję cię w domu, ale byłam w firmie i powiedzieli mi, że wzięłaś sobie wolne, więc...

– Coś się stało? – Wiktor Brunik przyglądał się jej z wyraźnym niepokojem. – Potrzebujesz czegoś?

– Właściwie... sama nie wiem. – Anna uśmiechnęła się blado. Wspięła się po schodach i kucnęła obok dziewczynki, która od razu objęła ją za szyję. – Wikunia, jaka już jesteś duża! Kiedy zdążyłaś tak urosnąć? – zwróciła się do niej, tuląc ją czule do siebie.

– Mam tyle latek! – Dziewczynka odchyliła się lekko i uniosła pulchną łapkę, starając się wyprostować trzy palce, drugą ręką przytrzymując pozostałe. – A niedługo pójdę do przedszkola. Mama tak mówi. Prawda, mamusiu? – Odwróciła się w stronę kobiety, która stanęła w progu domu. Trzymała w rękach tacę z dwiema białymi filiżankami i szklanym dzbankiem z herbatą. Zachwiała się nieznacznie, przez krótką chwilę wydawało się, że upuści wszystko, ale odzyskała równowagę i zmieniła zaskoczony wyraz twarzy na niepewny uśmiech.

– Tak się cieszę, że cię widzę, Aniu. – Z pewnym roztargnieniem odstawiła naczynia na stół i powoli podniosła wzrok. – Napijesz się z nami herbaty? Przyniosę jeszcze jedną filiżankę. Słodzisz? Bo nie zabrałam cukru...

– Dziękuję, nie rób sobie kłopotu, wpadłam jedynie na chwilę. Chciałam tylko o czymś porozmawiać z twoim mężem. Nie będę wam długo przeszkadzać.

– Ależ wcale nie przeszkadzasz! – zapewniła ją prawie żarliwie i zawahała się, spoglądając niepewnie na męża, a potem na córkę. – To może pójdę jednak po tę filiżankę. Wikuniu, pomożesz mi, dobrze? – Wzięła dziecko na ręce i odeszła. W progu zatrzymała się na chwilę, zupełnie jakby chciała jeszcze coś dodać, jednak po namyśle zniknęła za drzwiami.

Wiktor podniósł z fotela jedną z lalek i bez słowa wskazał go Annie, z napięciem obserwując jej twarz. Usiadła w milczeniu, kładąc na stole torebkę.

– Piękny macie ogród – odezwała się po chwili, wbijając nieruchomy wzrok w stojącą przed nią różową filiżankę. – Mieszkanie w bloku ma swoje zalety, jednak to nie to samo, co dom i własny kawałek zieleni... Wiesz, kiedyś żałowałam, że nie zbudowaliśmy sobie podobnego domu, ale Piotr uważał... – Urwała i wzdrygnęła się. Podniosła głowę i popatrzyła na Wiktora wzrokiem, z którego niewiele można było wyczytać. Westchnęła płytko i objęła się ramionami. Wciąż rozglądała się niepewnie, jakby zbierała się na odwagę, żeby coś powiedzieć.

– Od jak dawna wiedziałeś, że Piotr ma kochankę? Bo wiedziałeś o tym, prawda?

Wypowiedziane głośno pytanie nieprzyjemnie smagnęło oboje. Nastąpiła krótka chwila ciszy, przerwana metalicznym uderzeniem o terakotę kluczyków od samochodu, które obracane nerwowo w palcach wystrzeliły nagle w powietrze. Wiktor schylił się po nie, podniósł i położył na stole, obok różowej filiżanki.

– Tak. Od jakiegoś czasu. – Głos mężczyzny lekko zadrżał. Między jednym a drugim cichym słowem dało się słyszeć o wiele za głośne przetykanie śliny. – Nie pamiętam od jak dawna, ale chyba od... dość dawna.

– Dlaczego więc... Dlaczego nie zmusiłeś go, żeby opamiętał się, zanim... było na to za późno? Przecież nie był tylko twoim współnikiem, ale chyba też przyjacielem, prawda? Dlaczego nic nie zrobiłeś?

– Próbowałem, naprawdę. Ale nie jest... nie było łatwo mieć wpływ na takie rzeczy. One zwykle dzieją się same, a jeśli człowiek chce coś zrobić, wtedy jest tylko gorzej.

Anna podniosła ze stołu klucze i przez chwilę szarpała breloczek z niebieskich koralików. W końcu zamknęła je w dłoni i przycisnęła pięść do drżącej brody. Zakłopotana skuliła się na krześle.

– Teraz już nic nie może być gorzej... – szepnęła ledwie słyszalnie.

Wiktor patrzył na nią ze współczuciem. Wykonał gest, jakby chciał dotknąć jej ramienia, jednak w ostatniej chwili rozmyślił się, cofając gwałtownie rękę.

– Był taki moment... Wydawało mi się, że chce to skończyć – odezwał się wreszcie. – Wtedy, kiedy powiedziałeś mi, że chcesz wrócić do pracy. Myślałem, że się przestraszył albo że może coś zrozumiał...

– Tak! Wiem, kiedy to było, pamiętam! – Anna ożywiła się na chwilę, przerywając mu gwałtownie. – Nie chciałem, żebym z wami pracowała. Podejrzywałam nawet, że po prostu nie wierzy, że po tak długiej przerwie umiałabym jeszcze cokolwiek zaprojektować. Teraz już wiem, dlaczego nie zgadzał się na mój powrót do firmy. Bał się, że spotkam tam ją, tę... Że coś zauważę.

– Nie wiem. Może...

Wiktor zawahał się, pocierając brodę. Bez przerwy zerkał w stronę drzwi, za którymi chwilę wcześniej zniknęła jego żona, i kręcił się niespokojnie. Widać było, że najchętniej zakończyłby tę rozmowę albo przynajmniej zmienił temat na mniej dla niego trudny. Pochylił głowę, jakby chroniąc się przed jej spojrzeniem, podczas gdy ona usiłowała za wszelką cenę przyciągnąć i pochwycić jego wzrok. W końcu zrezygnowała i skupiła całą swoją uwagę na filiżance w kropki, gładząc lekko jej plastikową krawędź.

– Chcę wiedzieć, jak było naprawdę – powiedziała z naciskiem. – Inaczej nigdy nie będę mogła pójść dalej. Dlatego musisz mi pomóc.

– Aniu, uwierz mi, bardzo bym chciał, ale naprawdę nie wiem jak. Gdybym tylko mógł...

– Ależ oczywiście, że możesz – przerwała mu. – Chcę się dowiedzieć, dlaczego mi to zrobił? Dlaczego zdradził? Nie mogę zapytać o to Piotra, dlatego tylko ona może mi to wyjaśnić...

– Co ty, do diabła, chcesz zrobić? – Spojrzał na nią z lękiem.

Westchnęła głośno.

– Po co pytasz, skoro wiesz? Powiedz mi po prostu, gdzie mogę ją znaleźć. Bo wiem, że w firmie jej nie ma.

– Zamierzasz się z nią spotkać? – upewnił się, choć nie mógł już mieć co do tego złudzeń.

Skinęła twierdząco.

– Nie możesz!

– Dlaczego? – Wiktor obejrzał się, słysząc za sobą głos żony. – Uważasz, że Anna nie zasługuje na to, żeby poznać prawdę?

– Wcale nie powiedziałem, że nie zasługuje. Ale spotkanie się z kochanką męża to nie jest dobry pomysł. – Bronił się.

– Nawet jeśli tego właśnie potrzebuje? I tylko to może jej pomóc się uspokoić? – Zwróciła się tym razem do Anny. – Jesteś absolutnie pewna, że nie ma innego sposobu?

Kobieta potrząsnęła zdecydowanie głową. Chwyciła torebkę i wstała, gotowa do wyjścia.

– Chcę się z nią spotkać i to jak najszybciej. Będę dotąd przychodzić do firmy, aż ją tam zastanę. Bo kiedyś musi wrócić, skoro nikt nie rozwiązał z nią umowy. – Zerknęła znacząco na Wiktora.

– To nic nie da, naprawdę – odparł spokojnie. – Jest na zwolnieniu lekarskim i z tego, co wiem, to jeszcze potrwa.

– Nie wierzę ci.

– Wiktor mówi prawdę, ta kobieta jest w szpitalu.

– Michalina! – Wiktor rzucił żonie ostrzegawcze spojrzenie, jednak ta je zlekceważyła. Podeszła do Anny i delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu.

– Chciałam tylko przez to powiedzieć, że to nie jest najlepsze miejsce na taką rozmowę. Ani dobry moment.

– Nigdy nie będzie na to wystarczająco dobrego momentu, dlatego chcę mieć to jak najszybciej za sobą. – Powiedz mi, który to szpital?

– Niestety tego nie wiem – odparła. – Mogę ci tylko podać nazwisko jej lekarza. Zresztą znasz je, bo to też twój lekarz, sama mi go kiedyś polecałaś.

– A ty z kolei poleciłaś go jej?

– Nie ja, on. – Wskazała brodą męża. – On dał jej kontakt do doktora Olszańskiego.

– Ale przecież doktor Olszański jest... – Anna zakryła dłonią usta.

Michalina tym razem mocniej ścisnęła jej ramię, kiwając twierdząco głową.

Chrobot klucza w zamku przerwał nagle panującą w mieszkaniu ciszę. Magdalena oderwała się od składania ubrań wyjętych z suszarki i wyjrzała z łazienki.

Anna bez słowa odwiesiła zakiet i zsunęła buty. Porzuciła je niedbale na środku przedpokoju. Oparła się plecami o ścianę i masowała palce stóp. Magda czekała, przyglądając się uważnie siostrze, która wydawała się nie zauważać jej obecności, pogrążona w myślach.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła ją w końcu.

Skinęła twierdząco, ale wciąż nie podniosła na nią wzroku.

– Co powiedział prawnik?

– Jaki prawnik? – Anna uniosła wreszcie głowę, ale wzrok miała nadal nieprzytomny.

– Prawnika Piotra, spotkałaś się z nim, prawda?

– Zapomniałam.

– Jak to, zapomniałaś? Przecież właśnie po to wyszłaś z domu. Miałaś się z nim zobaczyć.

– Ale zapomniałam. Po prostu! Co w tym nadzwyczajnego?

– Co zatem robiłaś przez tyle czasu?

– Nic! I proszę, przestań mnie wreszcie przepytywać. Nie jestem dzieckiem, nie potrzebuję ciągłego kontrolowania.

Wyminęła siostrę, trącając ją ramieniem, i pobiegła na górę.

– Anka! – krzyknęła Magda z desperacją.

Odpowiedziało jej głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Tkwiała chwilę w miejscu, z zadartą głową, zbyt skołowana, by rozsądnie zareagować. W końcu opuściła wzrok wprost na porzuconą obok butów torebkę. Podniosła ją odruchowo, odłożyła na komodę i zamarła ze zmarszczonym czołem.

Torebka była do połowy rozpięta.

Rozchyliła ją ostrożnie, dwoma tylko palcami, starając się zajrzeć do środka. Potem zerknęła w stronę schodów, nasłuchując z uwagą. Cisza sugerowała, że Anna pozostawała w swojej sypialni i wiele wskazywało na to, że nieprędko stamtąd wyjdzie.

Z ciągłym wahaniem rozsunęła zamek torebki i wysypała całą jej zawartość na podłogę. We wszystkie strony potoczyły się niebieskie kuleczki. Jednocześnie z bocznej kieszeni wysunęły się kluczyki od samochodu ze strzępką rozerwanego breloczka.

Przestraszona nagłym hałasem zamarła na chwilę i rzuciła kolejne niespokojne spojrzenie w stronę schodów, zastanawiając się gorączkowo nad wiarygodnym wytłumaczeniem swojego zachowania. Na szczęście nie musiała tego robić. Zanim jednak zebrała wszystko i odłożyła na miejsce, zajrzała do małej podręcznej kosmetyczki, w której mogło znajdować się to, czego szukała.

– Nie kupiła nowych leków – westchnęła z ulgą, gdy tylko upewniła się co do tego.

Pozbierała wszystkie koraliki. Włożyła je do torebki razem z kluczykami, pustym opakowaniem po chusteczkach higienicznych, portfelem i kosmetyczką.

Częściowo tylko uspokojona postanowiła jednak pójść na górę.

Zapukała do drzwi sypialni. Nie słysząc odpowiedzi, powoli nacisnęła klamkę i wsunęła głowę do środka.

Anna stała przy otwartej szafie i wrzucała ubrania do największej walizki.

– Co robisz? – Magda zatrzymała się w progu, zaskoczona niespodziewanym dla siebie widokiem.

– Zaraz po zakończeniu roku szkolnego jadę z dziećmi do Bujan.

– Świetnie, ale przecież to jeszcze prawie dwa tygodnie, nie musisz się pakować już teraz.

– Wiem, ale oszaleję, jeśli natychmiast czymś się nie zajmę.

– W porządku. Pomogę ci, chcesz? – Magda podeszła bliżej i położyła dłonie na ramionach

siostry, masując lekko jej kark. – A potem razem pojedziemy po dzieciaki.

– Miałam je zabrać na pizzę. – Zrezygnowana, oparła czoło o jedną z półek. – O tym też zapomniałam.

– Powiesz mi, co się stało?

– Dlaczego uważasz, że coś się stało?

Magda bez słowa klękała przy walizce i zaczęła powoli układać wrzucone do niej bezładnie ubrania. Pochyliła głowę, udając skupienie. Kątem oka jednak zerknęła na siostrę. Anna stała nad nią z rękami założonymi za głowę. Po chwili kucnęła obok, podniosła pierwszą z brzegu rzecz i zaczęła gnieść ją w dłoniach.

– Byłam u Wiktora – odezwała się wreszcie. Przestała miąć ubranie i oparła się o drzwi szafy, obejmując ramionami kolana.

– U współnika Piotra? – Magdalena upewniła się, wyjmując z jej rąk zwiniętą w kłębek bluzkę. Rozprasowała ją dłońmi.

Anna skinęła głową. Milczała, jakby oczekując dalszych pytań, które jednak nie padły. Magda skończyła układać w walizce ubrania. Zasunęła zamek. Podniosła się z klęczek i usiadła na podłodze obok siostry.

– Im bardziej staram się to wszystko zrozumieć, tym bardziej mi się gmatwa. – Anna mówiąc to, patrzyła na zamkniętą walizkę. – Myślałam, że jeśli przestanę brać leki, wreszcie coś mi się rozjaśni, ale tak się nie stało. Wciąż mam w głowie wielki mętlik. Mam też wrażenie, że utkwiałam w jakimś dziwnym zawieszaniu, jakby coś nie zostało dokończony i póki to się nie zmieni, nie zdołam pójść dalej... żyć normalnie, na ile to możliwe. Dlatego właśnie pojechałam do Wiktora. Chciałam, żeby dał mi adres tej kobiety, z którą Piotr... mnie zdradził.

– Pojechałaś do niej? – Magdalena patrzyła na siostrę z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Nie. Chciałam... ale nie potrafiłam się do tego zmusić.

– I całe szczęście, bo to był naprawdę głupi pomysł. Co ci strzeliło do głowy?

– Nie wiem, nie mówmy już o tym, proszę. – Anna strzepnęła niewidoczne paprochy ze spódnicy i podniosła się wreszcie. – Powinnam chyba zadzwonić do tego prawnika i przeprosić go, że się nie pojawiłam. Umówię się z nim na jutro.

– Zrób to koniecznie. I od razu załatw wszystko, co trzeba. Według mnie to jest właśnie ta rzecz, którą należy zamknąć, by zacząć nowy etap. Potem pojedziesz do rodziców i tam się już spokojnie zastanowisz, co dalej. Kiedy wrócisz, zobaczysz wszystko w zupełnie innym świetle.

– Ale ja nie zamierzam już tu wracać. Myślę, że powinnam zostać w Bujanach na stałe. Na razie u rodziców, a potem... Potem pomyślę, co dalej.

– Jak to, na stałe? A co z dziećmi? Ze szkołą?

– Przecież w Bujanach też mogą się uczyć.

– Amelia jest w ostatniej klasie gimnazjum, mówiła, że już dawno wybrała sobie szkołę średnią w Warszawie. Franek idzie do czwartej klasy, dla niego to też jest jakiś nowy, ważny etap. Chcesz im w takim momencie wyrzucić wszystko do góry nogami? Pytałaś ich w ogóle o zdanie?

– Zapytam. Dziś.

– A co, jeśli nie będą chciały się przeprowadzić?

– Porozmawiam z nimi, na pewno zrozumieją.

– A rodzice? Powiedziałaś im o swoich planach?

– Oczywiście. Dzwoniłam właśnie do mamy. Zapewniła mnie, że w domu zawsze znajdzie się dla nas miejsce. I że we wszystkim mi pomoże.

– To znaczy, w czym?

– Nie wiem, we wszystkim. – Anna wzruszyła ramionami. – Przecież sama nie dam sobie rady.

– A co zrobisz z mieszkaniem? Chcesz je sprzedać?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Może ten prawnik coś mi doradzi. Nie mam teraz zupełnie do tego głowy.

– Nie wydaje ci się, że postępujesz trochę pochopnie? Twoje miejsce jest tutaj, nie w Bujanach.

– Dlaczego? Przecież nic mnie tu już nie trzyma. Wiktor pokieruje firmą. Poza tym nie mogę tu sama dalej mieszkać... Nie potrafię. Nie znam się na płaceniu rachunków, podatków i całej reszcie, która z tym się wiąże. Zawsze Piotr się tym zajmował, i wszystkim innym. Ja przecież prowadziłam dom i zajmowałam się dziećmi.

– Ale płacenie rachunków nie jest niczym skomplikowanym, zresztą sprawdziłam, są na nie stałe zlecenia, nie musisz się tym zajmować, przynajmniej na razie. A w razie czego możesz poprosić o pomoc księgową z firmy. Finansowo też jesteś zabezpieczona, a bankomat umiesz chyba obsługiwać, prawda? Mogłabyś też z czasem wrócić do pracy, a nawet moim zdaniem powinnaś.

– Za dużo tego, jestem pewna, że sobie nie poradzę. Zresztą nigdy nie miałam głowy do takich spraw. A mama obiecała, że mi pomoże. I tata. Mam też przecież ciebie, prawda?

– Oczywiście, ja też pomogę ci we wszystkim, na ile potrafię, i dopóki tutaj będę.

Anna spojrzała na nią z lekkim strachem.

– Ale jeszcze nie wyjeżdżasz, prawda? Zostaniesz aż wszystko się poukłada?

– Oczywiście, zostanę jak długo się da. Bo chyba wiesz, że w końcu będę musiała wrócić do Kalifornii.

– Ale jeszcze nie teraz?

– Nie, nie teraz. – Magda przełknęła głośno ślinę, jakby zbierając się w sobie. – Kupiłam bilet dopiero na przyszły piątek.

Zerknęła na siostrę z niepewną miną. Przewidywała jej reakcję i niestety się nie pomyliła. Anna wbiła w nią pełen niedowierzania wzrok.

– Nie możesz wyjechać! – wykrzyknęła, nie starając się nawet hamować złości. – Przecież w przyszły piątek jedziemy do rodziców!

– Musisz jechać sama. Karolina ostatnio nie najlepiej się czuje, a termin porodu jest już za miesiąc. Dlatego powinnam wracać do domu.

– Na pewno wszystko będzie dobrze, a twoja córka ma jeszcze dużo czasu. Mogłabyś zostać, gdybyś tylko chciała.

– Nie mogę ryzykować. To jej pierwsze dziecko i nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby mnie przy niej nie było w tak ważnym momencie.

– Przesadzasz! Karolina nie jest przecież sama, ma męża, a ja... Jak możesz mnie w takiej chwili zostawiać? Jesteś egoistką!

– Ja? Jesteś pewna, że to ja jestem egoistką...? – Magda urwała i zakryła usta.

W oczach Anny odmalowało się niedowierzanie. Wyglądała jak wyjęta z wody ryba, na przemian zamykając i otwierając pobielale wargi. Nie mogła wykrztusić z siebie nawet słowa.

– Jak... jak możesz! – wyjąkała wreszcie. – Po tym, co mnie spotkało...

Magda ukryła na chwilę twarz w dłoniach, a potem opuściła bezwładnie ręce, całkiem zrezygnowana.

– Przepraszam. Nie jesteś egoistką – odezwała się cicho, z pewnym wahaniem. – Ty... ty jesteś jak bluszcz. Taki, który wspina się po podporach. Owija się wokół nich i przybiera ich kształt, tracąc własny. Bez oparcia wręcz nie mógłby istnieć, prawie jak...

– Pasożyt? – Anna wpadła jej w słowo, mrużąc oczy.

– Nie to chciałam powiedzieć.

– Ale właśnie tak to zabrzmiało. Według ciebie umiem tylko żyć kosztem innych. Jak pasożyt.

– Nie. Wcale tego nie powiedziałam. Chodziło mi tylko o to, że utraciłaś swoją niezależność, indywidualny kształt. Nie potrafisz żyć własnym życiem, tylko cudzym. Przez wiele lat wisiłaś na ramieniu męża, więc kiedy zniknął, tobie zaczęło się wydawać, że ciebie też już nie ma. Rozsypałaś się jak bluszcz, spod którego usunięto podporę. Dlatego wydaje ci się, że jedynym ratunkiem jest znalezienie nowej.

– Chcesz powiedzieć, że teraz uwiesiłam się na tobie? Tak? O to ci chodzi? Masz mnie po prostu dość?

– Nadal nie rozumiesz. To nie tak, że mamy cię dość, ja albo rodzice. Zawsze będziemy przy

tobie i pomożemy ci, jeśli będziesz tego potrzebowała, jednak musisz też spróbować pomóc sobie sama. Bo tu nie chodzi o nas, ale wyłącznie o ciebie. Dla własnego dobra powinnaś nauczyć się żyć samodzielnie, zamiast szukać dla siebie kolejnego rusztowania. Musisz wreszcie stanąć na własnych, nie cudzych nogach. Stworzyć swój własny kształt, taki, który będzie tylko twój.

– Ale przecież ja właśnie staram się odzyskać dawną siebie!

– Być może niepotrzebnie. Powinnaś stworzyć siebie na nowo, zamiast wracać do tego, co było, bo to jest już niemożliwe. Tymczasem wciąż desperacko usiłujesz się podeprzeć. Mną, rodzicami, kimkolwiek. I jesteś coraz bardziej przerażona i zdesperowana, bo żadne z nas nie potrafi zastąpić ci Piotra. Myślę, że właśnie w tym tkwi problem.

– Ale to przecież prawda. Nikt nie jest w stanie go zastąpić.

– Wiem, dlatego musisz wreszcie zrozumieć, że bez niego też da się żyć. Jesteś młoda, jeszcze wiele przed tobą. Sama się o tym przekonasz, tylko daj sobie szansę!

– Nie chcę tego słuchać! – Anna gwałtownie zasłoniła sobie uszy. – Przestań opowiadać te wszystkie bzdury!

– Dobrze, uspokój się. Nie miałam nic złego na myśli. Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś. Wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

– Więc udowodnij mi to. Przebukuj bilet i zostań, chociaż tydzień dłużej.

– Nie mogę i mam nadzieję, że w końcu to zrozumiesz. Ale obiecuję, że przylecę do Polski, jak tylko Karolina urodzi i dojdzie do siebie. Dobrze?

– Nie potrzebuję twojej łaski!

Anna poderwała się i tłumiąc szloch, wybiegła z pokoju.

– Jeżeli naprawdę traktujesz to jak łaskę, rzeczywiście nie ma potrzeby, żebym ci się narzucała.

– Magda rzuciła za nią ostro, zanim zdołała się powstrzymać, jednak niezbyt głośno ze względu na nagłą suchość w ustach, więc i bez nadziei, że siostra ją usłyszy.

Usłyszała. Wróciła i zatrzymała się w drzwiach niezdecydowana.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Nie zgadzam się z tym, co próbujesz mi wmówić, ale bardzo nie chcę się z tobą kłócić.

– Ja też nie chcę. Obiecuję już nigdy do tego nie wracać. Chyba, że ty sama tego zechcesz...

– Nie zechcę! – Anna zerknęła na nią spode łba i zacisnęła usta.

– W porządku. Tylko już się nie wściekaj. – Magda podeszła do niej, zmierzwiła jej lekko włosy i przyciągnęła do siebie. – Już zapomniałam, jaka harda potrafi być moja mała siostrzyczka.

– Przyjedziesz za parę miesięcy do Bujan?

– Jasne, że tak. Do Bujan.

Anna obserwowała swoje dzieci, jak machają w stronę samolotu unoszącego się z pasa startowego, i czuła, jak z każdą mijającą chwilą coraz intensywniej narasta w niej poczucie winy.

Magdalena wracała do Kalifornii, nie wiedząc o omówionych z prawnikiem szczegółach dotyczących sprzedaży mieszkania. Nie zostały też o tym poinformowane dzieci.

Franek od kilku dni w euforii pakował swoje rzeczy, uszczęśliwiony perspektywą spędzenia wakacji w Bujanach, a nadąsana Amelia narzekała, że u babci będzie zapewne nudno. Pocieszeniem był dla niej obóz językowy w Anglii, martwiła się jedynie, że dopiero w sierpniu. Nie kryła jednak ekscytacji, ponieważ jechała tam też jej najbliższa przyjaciółka.

Anna z kolei, patrząc na to wszystko, nie miała odwagi powiedzieć im prawdy. Zarówno o przeprowadzce na Podlasie, jak i o tym, że Amelia według niej powinna zrezygnować z obozu. To nie był dobry moment na tego typu wycieczkę i dziwiła się, że córka od razu nie odwołała zaplanowanego wiele miesięcy wcześniej wyjazdu. Mimo że sama była pewna słuszności podjętych decyzji, wciąż nie miała pojęcia, jak przekonać do nich dzieci. Przewidywała ich reakcję, jak również to, że nie znajdzie w sobie dość siły, by się z nią zmierzyć. Dlatego postanowiła zaczekać. Nie była pewna, na co dokładnie, miała jedynie nadzieję, że czas zadziała na jej korzyść i pobyt w Bujanach coś zmieni, pomoże jej się podźwignąć i zgodnie z sugestią Magdy zacząć coś od nowa. A dzieci w końcu ją w tym wesprą.

Anna w rzeczywistości bardzo liczyła się ze zdaniem starszej siostry. Nawet jeśli nie zawsze się ze sobą zgadzały, jej rady były ważne i cenne, ponieważ wynikały wyłącznie z troski.

Magdalena chciała dla Anny jak najlepiej. Była nie tylko jej siostrą, ale też przyjaciółką. Od zawsze. Właściwie jedyną, więc bezkonkurencyjnie najlepszą, mimo dzielącą ich dużej różnicy wieku. Dziewięć lat starsza Magda niedługo po skończeniu studiów wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Nikt wówczas nie przypuszczał, że roczny w zamierzeniu pobyt zmieni się w stały z powodu Davida – jej obecnego męża. Przedstawiła go jednak rodzinie dopiero, gdy przyjechali do Polski z niemal roczną już córeczką – Karoliną, która teraz spodziewała się dziecka.

Magda miała właśnie zostać babcią. Anna ze zdumieniem odkryła, że z tym właśnie niezwykłym faktem wiąże się to, że jej siostrzenica zostanie matką. Myśl, która w pierwszej chwili ją rozbawiła, z czasem wywołała niepokój. Właściwie nieuzasadniony, ale mimo to realny. Anna czuła się zagubiona. Jej pozycja w życiu Magdaleny znów była zagrożona, tak jak wtedy, gdy pojawił się David, a potem dziecko. O nich też początkowo była zazdrosna.

Dawniej, gdy jeszcze mieszkały razem, siostra prawie nieustannie była gdzieś obok, zawsze blisko. Nawet po jej wyjeździe do Stanów dzięki listom, telefonom, potem częstym rozmowom przez komunikator internetowy Anna ani na chwilę nie zatraciła tego poczucia. Może właśnie dlatego przestała traktować nową rodzinę Magdy jako swoich rywali. Nie stanowili dla niej zagrożenia, ponieważ nadal czuła się dla swojej siostry ważna, może nawet najważniejsza. Niestety, już niebawem mogło to się zmienić, wraz z przyjściem na świat dziecka Karoliny, na które Magdalena tak bardzo czekała. A to napawało Annę jeszcze większym przygnębieniem.

Niespodziewany rumor gwałtownie oderwał ją od wspomnień.

Do sypialni, gdzie położyła się po powrocie z lotniska, żeby trochę odpocząć, wpadła nagle Amelia. Objęła matkę mocno, ogłuszając ją przenikliwym piskiem. Anna przyjrzała się córce z niepokojem. Takie zachowanie zwykle niczego dobrego nie wróżyło, ponieważ jej córka z reguły była książkowym wręcz przykładem zbuntowanej i wiecznie nadąsanej nastolatki. Rzadko czymś ekscytowała się w sposób widoczny dla otoczenia, i nawet najsilniejsze uczucia, zarówno smutku, jak i radości wyrażała dość powściągliwie.

– Nie masz pojęcia, co się stało! – zapiszczała znów, śmiejąc się jednocześnie.

– No nie mam – odparła, nadal przyglądając się córce z dużą podejrzliwością.

Amelia jednak zamiast wyjaśnienia wydała z siebie kolejny, jeszcze bardziej świdrujący w mózg

dźwięk, poderwała się na równe nogi, zakręciła kilka szaleńczych piruetów i z rozmachem ponownie opadła na łóżko, wznosząc jednak w dziękczynnym geście ramiona.

– Powiesz mi wreszcie, co cię tak ucieszyło? – Anna żartobliwie zmierzwiła córce włosy.

Bardzo lubiła Amelię w tak rzadkim u niej nastroju, a od bardzo dawna jej takiej nie widziała. Na co dzień dziewczyna była inna. Niewiele mówiła, pytana zerknęła tylko lekceważąco zza rudobrązowej grzywki i wydymała usta pomalowane prawie czarną pomadką.

– Poskarżyłam się dziś na moim blogu, że niebawem wyjeżdżam na koniec świata, gdzie pewnie nic ciekawego nie będzie się działo. Napisałam też dokąd, a wtedy wiesz, co niespodziewanie wyszło na jaw? – Z jej twarzy wciąż nie schodził uśmiech. – Że jedna z najpopularniejszych blogerek modowych mieszka w Bujanach! W Bujanach! Wyobrażasz to sobie? To jest tak nieprawdopodobne, że wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ona specjalizuje się w stylu pin-up. Jest w tym naprawdę dobra, najlepsza. Pokażę ci jej bloga. I zdjęcia. Są niesamowite!

– Chętnie obejrzę. Potem. Teraz powiedz mi lepiej, czy już się spakowałaś?

– Jasne... To znaczy prawie. Niedługo skończę.

– Pamiętaj, że wyjeżdżamy z samego rana.

Amelia przypomniawszy jej o czymś niechcący, opowiadając o blogach. Magda przed wyjazdem podała Annie adres swojego ulubionego, określając go lajfstajlowym. Anna właściwie nie była pewna, co dokładnie to miało oznaczać. Temat blogów i wszystkiego, co z nimi związane, był jej zupełnie obcy, a celowość takiego ekshibicjonizmu emocjonalnego, nawet anonimowego, wręcz niepojęta. Nie rozumiała przede wszystkim, czemu miałyby to służyć. Kogo mogłyby obchodzić czyjeś wynurzenia na jakiegokolwiek tematy?

Dlatego też zdziwiło ją zaangażowanie Magdy, z jakim zachęcała Annę do przejrzenia wpisów na polecany przez nią blogu. Nie widziała powodu, dla którego miałaby tam zaglądać, z wyjątkiem sprawienia przyjemności siostrze. I tylko dlatego przyrzekła sobie przy najbliższej okazji rzucić na niego okiem, żeby nie sprawić jej zawodu.

Do urokliwego wiejskiego domu z przepiękną werandą wiodła kamienna ścieżka, którą ktoś wysypał ciemnoróżowymi płatkami kwiatów. Nie były podeptane i wręcz wyglądały na całkiem świeże, ponieważ trącane wiatrem pozostawały prawie nieruchome, jędrne i soczyste.

Anna przyglądała się im, zastanawiając się przez bardzo krótki moment, skąd się tam wzięły, ponieważ bujne kępy kwiatów w ogrodzie jej rodziców nie wydawały się ogołocone. Jednak już po chwili uśmiechnęła się, gdy tylko sobie uświadomiła, na co tak naprawdę patrzy.

– Dlaczego nie idziesz...? – sapnęła Amelia, zsuwając z ramienia ciężki plecak. Wyminęła matkę, a wówczas jej zarumieniona z wysiłku twarz pojaśniała zachwytem. – Łaa!

– Babcia chyba trochę przesadziła z powitaniem! – zawtórował jej Franek i wyrwał się, chcąc wbiec na kwiatową ścieżkę. – Ała! No co? – zawył, wyszarpując się siostrze, która mocno uszczypnęła go w ramię.

– Zadepcesz wszystko, pacanie! To takie piękne i romantyczne, a ty jak zwykle zachowujesz się jak jakiś troglodyta – warknęła, usiłując jednocześnie trzepnąć brata po głowie.

– Mela! – Anna uniosła brwi i rzuciła córce wymowne spojrzenie.

– Przepraszam – mruknęła dziewczyna, zawstydzona swoim zachowaniem, które raczej przeczyło temu, do czego usiłowała przekonać nie tylko matkę.

Jako szesnastolatka czuła się zbyt dorosła, by pozwolić się porównywać z nadal bardzo dziecinny, dziewięcioletnim bratem. Jemu z kolei nie przeszkadzało nazywanie go niedojrzałym. Status najmłodszego w rodzinie przynosił mu więcej korzyści niż strat, z czego dobrze zdawał sobie sprawę. Dlatego teraz też na jego twarzy pokazał się uśmiech triumfu połączonego ze złośliwą satysfakcją, że wygrał. Amelia, by zachować resztki godności, miała właśnie zamiar odciąć się bratu, gdy ten nagle przeniósł swoje zainteresowanie gdzie indziej, ignorując oburzenie siostry.

W ich stronę pędził ogromny pies. W dość nieskoordynowanych podrygach, stękał, sapał i powarkiwiał niemrawo, co pozwoliło sądzić, iż większość energii włożył w szaleńczy pęd. Długa, rudobrazowa sierść skrecona w efektowne dredy rytmicznie falowała na wietrze, przez co pies przybrał kształt skłębionej burzowej chmury.

– Koper! – Franek i Amelia teraz już w zgodzie rzucili się do niego, obejmując za szyję i całując wyluskany z kudłów czarny nos. Wraz z nosem odsłonił się też wyszczerzony w najprawdziwszym uśmiechu psi pysk.

– A niech to! Szatan wcielony! Uciekł mi! – krzyczała z daleka kobieta przepasana fartuszkiem oprószonym mąką. Truchtiała od strony domu, szurając głośno kapciami, i wygrażała zwierzakowi palcem. – Zwietrzył łobuz, że przyjechaliście, i jak tylko uchyliłam drzwi, wyrwał się przodem. O mały włos mnie nie przewrócił. Zaraza, nie pies! Anulka, furtka! – zawołała ostrzegawczo, ponieważ psisko zaczęło się właśnie wyswobadzać z uścisków dzieci i łypać ukradkiem na ulicę, wietrząc pewnie możliwość przygody. Anna złapała go mocno za potężny kark i jednocześnie usłyszała za sobą trzask zamykanej furtki.

– Cześć, tatku! – Uśmiechnęła się, widząc, kto ją wyręczył.

Puściła zwierzę i objęła czule uradowanego mężczyznę. W ślad za nią ruszyły dzieci.

– Ejże! – Kobieta w fartuszku chwyciła się pod boki, symulując obrażoną minę. – Najpierw witają się z psem, potem z dziadkiem. A co ze mną?

Franek pierwszy do niej pomknął. Z impetem wpadł w rozłożone szeroko w ramiona.

– Babciu – wymamrotał, obejmując ją mocno w pasie. – Jak ja się za tobą stęskniłem!

– Uważajcie, pobrudzicie się. Mam mąkę na fartuchu! – Śmiała się, zagarniając do siebie również Amelię, która już się do niej tuliła. – Ten wasz ancymon zżarł mi prawie cały jabłecznik. Wystawiłam blachę z ciastem na werandę tylko na moment, żeby przestygło. Dziwię się, że sobie czort pyska nie poparzył, a nawet trochę żałuję, bo może miałby nauczkę. Ledwie zdążyłam upiec drugi. Nie dałam rady

tylko się przebrać i teraz cali jesteście umęczeni. – Frasowała się, strzepując biały pył z ciemnej sukienki Amelii.

– Oj, mamo, po cóż tyle zachodu. Nie trzeba było. – Anna przywarła do jej policzka.

– I jeszcze to! – Amelia wskazała ukwiecony chodnik.

– Ależ to nie ja! – Kobieta znów wzięła się pod boki i zwróciła się z udawanym wyrzutem tym razem do córki. – Czyżbyś zapomniała, że dziś ostatnia sobota czerwca? Sądziłam, że właśnie dlatego przyjechaliście akurat dzisiaj, żeby was nie ominęło.

– W pierwszej chwili rzeczywiście wypadło mi to z głowy i trochę się zdziwiłam... – przyznała Anna speszona. Odstawiła na bok bagaż, podniosła garść płatków i zbliżyła je do twarzy. – Ale tylko na kilka sekund.

– Co takiego? – Amelia klepała matkę niecierpliwie po ramieniu. – Co znaczą te kwiaty?

– Dziś jest Święto Bujan. – Anna uśmiechnęła się z tkliwością i pewnym rozrzewnieniem.

– I jutro – poprawiła ją matka. – Jak w każdą ostatnią sobotę i niedzielę czerwca.

– To dlatego chodnik przed domem jest cały w kwiatach? Bo miasto obchodzi święto? – zdziwiła się dziewczyna. – Sądziłam, że w takie dni organizuje się festyny, koncerty czy coś w tym stylu.

– Bo tak jest i u nas. Dziś wieczorem mamy koncert lokalnego zespołu muzycznego, jutro planowany jest festyn z loterią fantową i konkursami, a na koniec odbędzie się parada starych samochodów i motocykli – wyjaśnił rzeczowo milczący dotąd dziadek. – Ale i tak najważniejsze ze wszystkiego jest obsypywanie ludzi kwiatami. Bujanami.

– Jak to, bujanami? – Amelia uniosła brwi w zdziwieniu.

– Nie pamiętasz, kochanie? – Anna zdmuchnęła z dłoni płatki, z których kilka spadło na rozpuszczone włosy córki. – Opowiadałam ci kiedyś. Na Podlasiu tak mówi się na piwonie. Tutaj to są bujany i od nich pochodzi też prawdopodobnie nazwa miejscowości.

– Teraz sobie przypominam! Opowiadałaś mi, że z koleżankami przez prawie cały sezon zbierałyście ich płatki, kombinując, jak je przechować, żeby w święto wyglądały na świeże.

– Tak było – przytaknęła babcia. – Zapychały mi nimi całą lodówkę, ogałającą za to ogród. Dopóki nie wpadłam na pomysł, by zaznaczyć, które krzaczki są na święto, a które mają zostać. Ale i tak zawsze pod koniec czerwca nie było w moim ogrodzie ani jednego kwitnącego bujana!

– I potem sypałyście te kwiatki gdzie popadnie? Nikt się za to na was nie wkurzał? – Dziewczyna spojrzała na matkę z niedowierzaniem. – Przecież ktoś to potem musiał posprzątać.

– Nikt nie miał nam tego za złe, a wręcz martwił się, gdy jego obejście zostało pominięte. Bo obsypanie kwiatami gwarantuje szczęście przez cały kolejny rok. Oczywiście należało się za coś takiego odwdziżyć, najlepiej brzęczącą monetą.

– Naprawdę płacili wam za to? – zdumiał się Franek, a w jego oczach zapaliły się iskierki. – Dużo można było z tego wyciągnąć?

– Ach, ty mały cwaniaczku! – sarknęła Amelia. – Już lepiej nic nie kombinuj.

– Ale ja tylko chciałem powiedzieć, że babcia musiała dziś rozdać całe mnóstwo monet! – Franek ekscytował się, nie zważając na przytyki siostry. – Skoro ktoś wysypał tu tak dużo kwiatków.

– A pewnie, że tak! – Roześmiała się kobieta, pobrzękując znacząco kieszenią fartuszka. – Już od tygodnia specjalnie odkładałam drobniaki. Za szczęście warto dobrze zapłacić.

– Ja jednak wolę, jak przychodzi samo, bez kuszenia mamoną – mruknęła Anna mimochodem.

– Pewnie masz rację, ale tradycja to tradycja. – Kobieta pogłaskała córkę po ramieniu. – Chodźcie, kochani, do środka. Niepotrzebnie was tu z ojcem zagadujemy, na pewno jesteście zmęczeni podróżą. I głodni, mam nadzieję. – Uśmiechnęła się znacząco.

Dom wypełniały same smakowite zapachy: woń jabłek i cynamonu z zapowiedzianego jabłecznika mieszała się z aromatem smażonej cebulki i boczku. Anna pociągnęła nosem i zerknęła w stronę otwartej na oścież kuchni.

– Chyba już się domyślam, co będziemy jedli. – Poklepała się znacząco po brzuchu.

– A jakże! Kałduny – oznajmiła gospodyni ze śmiechem.

Mimo że w Bujanach mieszkała od ponad czterdziestu lat, wciąż bawiło ją popularne w tych

okolicach określenie kartaczy, odnoszące się być może do kształtu napełnionego nimi brzucha. Wskazała kuchenny stół, gdzie czekał okazały półmisek wielkich owalnych pyz, przyprószonych różowymi kawałeczkami smażonego boczku i lśniących od roztopionego domowego smalcu, którym je polano. Wszystko to pachniało smakowicie, podrażniając nie tylko zmysł węchu i wzroku, ale atakując jeszcze przed skosztowaniem wszystkie ślinianki. Jediną osobą, która okazała się odporna na tak silne bodźce, była Amelia, o czym świadczyła jej skrzywiona lekko mina.

– Wiecie, ile w tym musi być kalorii? – burknęła bez entuzjazmu.

– Dużo! – odparła Anna, nie patrząc na córkę. – I uwierz mi, jedna smaczniejsza od drugiej.

– Naprawdę zamierzasz to jeść?! – Dziewczyna wpatrywała się w matkę wyraźnie zgorziona.

– Oczywiście. I tobie też radzę. Kałduny w tym domu robi się tylko od święta. Szkoda, mamó, że nie zaczekałaś z robotą do naszego przyjazdu. Może twoja wnuczka bardziej by doceniła twoje starania, gdyby zobaczyła, ile pracy trzeba włożyć w przyrządzenie takich rarytasów.

– Ale ja przecież doceniam! – zaoponowała Amelia, teraz bardzo speszona. – Tylko że to takie tłuste. – Westchnęła ciężko. – No dobrze. Spróbuję. – Zdecydowała w końcu z miną sugerującą, że robi to tylko po to, by sprawić przyjemność babce, i usiadła z wszystkimi do stołu. Najwyraźniej jednak szybko tego pożałowała, bo widać było, że ma ochotę na dokładkę.

– A może spróbowałabyś, jak smakuje z masłem? – Gospodyni na szczęście od razu to zauważyła.

– Dobrze, ale poproszę o najmniejszego – odparła Amelia ze źle skrywaną ulgą.

– Jedz, jedz, kochana. Taka szczuplutka jesteś, a jak człowiek zyska trochę ciała, to i siły mu przybywa, i humor ma lepszy. Bo przez to odchudzanie ludzie są zazwyczaj okropnie nieszczęśliwi.

– Ale ja się przecież nie odchudzam, babciu!

– I bardzo dobrze. Na deser dostaniesz solidną porcję jabłeczniaka. Z lodami. Kupiłeś je w końcu?

– zwróciła się do męża. – Bo przez tego psa całkiem o nich zapomniałam.

– Włożyłem do zamrażarki. Przyniosę.

– Ja pomogę, babciu, dobrze? – zaofiarowała się Amelia, przełykając ostatni kęs kartacza. – Gdzie są talerzyki?

– W dolnej szafce, za tobą – odpowiedziała Anna, wyręczając matkę, i również wstała od stołu.

Zebrała brudne naczynia, włożyła wszystkie do zmywarki. Postawiła na gazie czajnik i zdjęła z półki fajansowe kubki. Białe w niebieskie wzorki – te same, z których trzydzieści lat wcześniej piły z siostrą poranne kakao. Sięgnęła po starą puszkę zamykaną na podrdzewiałą klamerkę i uchyliła powoli wieczko.

– Kawa – oświadczyła z zadowoleniem.

– A kawa, pewnie, że kawa – roześmiała się jej matka. – A cóż innego miałyby tam być? Przecież zawsze była tam tylko kawa.

– Właśnie. Wszystko tutaj jest na swoim miejscu. Tak, jak powinno być. – Anna przeniosła wzrok na Franka baraszkującego na podłodze z psem, a potem na Amelię, która układała na talerzykach kawałki ciepłego ciasta. – Tyle czasu mnie tu nie było, a wszystko jest takie samo jak kiedyś. Nic się nie zmieniło.

– Naprawdę? W ubiegłym roku zrobiliśmy tu z ojcem mały remont. Pomalowaliśmy ściany, kupiliśmy nową lampę do dużego pokoju...

– Przecież wiesz, że nie o tym mówię.

– Wiem, kochanie, wiem... – Maria pogładziła córkę po włosach. – I cieszę się, że wciąż czujesz się tutaj jak w domu.

– Dlatego teraz już nie mam wątpliwości, że przyjazd tutaj był najlepszą rzeczą, jaką mogłam zrobić. Dla nas wszystkich.

Anna umościła się wygodnie w bujanym fotelu, wsłuchując się w przyjemne skrzypienie wikliny. Spokojna i odprężona, napawała się dawno już nieodczuwanym i dlatego tak wytęsknionym błogostanem.

Z półprzymkniętymi powiekami delectowała się obowiązkowym o tej porze koncertem świerszczy, starając się jednocześnie ignorować pochrapywanie rozciągniętego na podłodze Kopra, który spał smacznie z głową wspartą na jej stopie.

Przed nią stała zimna już herbata i talerzyk z nietkniętym kawałkiem ciasta. Mimo ochoty, nie miała odwagi po nie sięgnąć z obawy, że wówczas zbudzi żądne nieustannych pieszczoł psisko. Podejrzewała też, że rozkoszny kudłacz znów położy na jej kolanie łapę, prosząc o kawałek aromatycznego jabłecznika i ziejąc jej przy tym w twarz dużo mniej przyjemnym oddechem.

Anna pochyliła się i delikatnie pogładziła psa po karku. Wydawał się spać głęboko, jednak nadal nie wysunęła spod niego nieco zdrętwiałej już stopy. Wyprostowała się ostrożnie, by zminimalizować skrzypienie fotela. Chciała jeszcze przez chwilę pobyc sama, bez aktywnego towarzystwa. Nawet tylko psiego.

Samotność, która do niedawna była dla niej czymś najgorszym, zyskała nagle całkiem nowe oblicze. Może dlatego, że Anna nie czuła się do niej zmuszana, ale nagle jej zwyczajnie zapragnęła. Z tego właśnie powodu nie poszła z rodzicami i dziećmi na wieczorny koncert. Cieszyło ją, że podczas ich nieobecności będzie mogła spokojnie zastanowić się, pomyśleć, co dalej, zaplanować najbliższą przyszłość.

Tymczasem jej niesforne myśli zamiast wybiegać w przód, wciąż zawracały i zapuszczały się w dość odległą przeszłość. Anna nie broniła się przed tym, uznawszy, że lepiej jest się cofnąć, jeżeli nie da się iść pewnym krokiem przed siebie, i obrać inną, lepszą drogę. Lub nawet pójść tą samą, ale już rozważniej. Każde rozwiązanie było lepsze od pozostawania w miejscu. I zamierzała trzymać się tej zasady, ponieważ dotąd sprawdzała się znakomicie.

Oto wróciła na start, by pobiec od początku. I choć nie znała jeszcze trasy swojego nowego biegu, była zdeterminowana tym razem dotrzeć szczęśliwie do mety. Miała przecież wsparcie – nie była już sama. Rozejrzała się z zadowoleniem po drewnianej werandzie, gęsto porośniętej bluszczem. Tak samo chroniącej ją przed światem, jak niemal trzydzieści lat wcześniej, gdy w jej cieniu czytała ulubione książki albo odrabiała lekcje. Wychodziło się na nią wprost z pokoju, który Anna dzieliła z siostrą. Obecnie towarzyszył jej Franek, bo Amelia wolała zająć gościnną sypialnię na poddaszu.

Pokój z werandą w pewnym momencie został podzielony na dwa mniejsze prowizoryczną ścianką z płyty pilśniowej, gdy starsza z sióstr zażądała prawa do prywatności przysługującej nastolatce. Anna nie zrozumiała wówczas powodu, dla którego Magda postanowiła się od niej odizolować. Nie potrafiła i nie chciała się z tym pogodzić, co okazała zdecydowanym buntem. Dopiero weranda, będąca nadal wspólną przestrzenią – jej i ukochanej siostry, oraz obietnica długich wieczornych rozmów prowadzonych również przez cienką ścianę dzielącą pokój załagodziły spór.

Z czasem weranda stała się też ulubionym miejscem spotkań przyjaciółek Anny. Razem odrabiały tu lekcje, a mama częstowała je chłodną domową lemoniadą z wyciśniętych pomarańczy, kilku cytryn i marchewki wymieszanych z wodą i cukrem. Anna nadal świetnie pamiętała jej smak, tak jak wciąż czuła na podniebieniu słodycz wafli przekładanych śliwkową konfiturą, kremem maślanym albo masą czekoladową z mleka w proszku, masła i kakao. Bywało też, że dziewczęta kupowały sobie jedną tylko kostkę lodów Bambino i wyjadały je prosto z papierka czterema drewnianymi patykami. Albo zimne, pokryte rosą napoje w plastikowych woreczkach, w które wkłuwało się słomkę, by powolutku sączyć brązowawy płyn, nie wiedząc właściwie, z czego został zrobiony, ponieważ nikomu wówczas nie przyszło do głowy, by studiować etykiety ze składem. Zresztą Anna nie przypominała sobie, by napoje z torebek takie posiadały.

Wspomnienia sprzed niemal trzydziestu lat wyświeiliły się w głowie Anny tak wyraźnie, że niemal słyszała zaraźliwy śmiech swojej przyjaciółki Anity, której czasem trochę lodów wpadało za dekolt bluzki, pretensje Agnieszki, gdy któraś z koleżanek potłuściła waflem jej zeszyt do biologii, albo opowieści o podbojach miłosnych czarnoookiej Lilki.

Były niemal nierozłączne. Anita, Aga, Lilka i ona – Anka. Przez całą szkołę podstawową i potem średnią. Piły na werandzie mamina lemoniadę, a potem kupowane w saszetkach na sztuki cappuccino, od którego drętwiał język, i wreszcie przemycone ukradkiem przez Lilkę piwo, przelewane dla niepoznaki do butelki po mrożonej herbacie. Przesiadywały długie godziny przy stoliku na werandzie, omawiając najważniejsze dziewczęce sekrety. Wymieniały się egzemplarzami „Płomyka”, „Świata Młodych” i wreszcie kuszącą kolorową okładką i ekscytującą zachodnią nowością miesięcznikiem „Dziewczyna”.

Po maturze, gdy każda z nich poszła własną drogą i wyjechała do innego miasta, spotkania stawały się coraz rzadsze, w dodatku na ogół w niepełnym już gronie. Stęsknione za sobą, piszcząc i przekrzykując się wzajemnie, opowiadały sobie nowinki z warszawskiego i krakowskiego akademika, prezentowały nowe ciuchowe nabytki – zgodne już nie z prowincjonalnymi, ale z wielkomiejskimi trendami, zakupione za pieniądze uciulane kosztem żywieniowych wyrzeczeń. Opowiadały sobie o świeżo rozpoczętym studenckim życiu, o nowych fascynacjach uczuciowych i z niedowierzaniem oraz lekką zazdrością podziwiała pierwszy w ich gronie pierścionek zaręczynowy na palcu pokraśniałej z przejęcia Lilki.

Z biegiem czasu i pojawiających się w życiu każdej z nich nowych spraw i ról, ich relacje stawały się coraz luźniejsze. Coraz trudniej było też im znaleźć czas, by usiąść razem przy stoliku na werandzie. Za to łatwiej było znaleźć pretekst, by nie pojawić się na spotkaniu. Coraz częściej też brakowało tematów do rozmów, a każda z nich dziwiła się, jak mocno zmieniały się pozostałe i jak bardzo stawały się odległe. Niemal obce.

Kilka lat po pojawieniu się na świecie Franka Anna dowiedziała się od swojej mamy, że jedna z jej szkolnych przyjaciółek mieszka w Warszawie. Bez zastanowienia zadzwoniła do niej. Umówiły się w Azalii – kawiarni przy Narutowicza, w której spotykały się jeszcze za czasów studenckich i która, o dziwo, jako jedna z nielicznych przetrwała.

– Cześć. – Anna usłyszała znajomy głos, jednak kiedy uniosła głowę, stwierdziła, że wydobywa się z zupełnie obcych ust.

Ujrzała drobną i wymizerowaną kobietę, wyglądającą na dobre kilka lat starszą od niej, o zapadniętych policzkach i bruzdach wyoranych w szarej, zmęczonej cerze. Jedną ręką rozpinając zmechacony płaszcz z przykrótkimi rękawami, w drugiej ścisnęła wytartą, beżową torebkę. Spod wełnianej czapki wystawały włosy pokryte robionymi prawdopodobnie domowym sposobem pasemkami, usiłującymi bezskutecznie zatuszować siwiznę.

– Lilka? – Anna dopiero po czasie zreflektowała się, że w takiej sytuacji lepiej było użyć wykrzyknika zamiast pytajnika, który niepotrzebnie zdradził jej zaskoczenie widokiem dawnej przyjaciółki.

– Trochę czasu minęło, prawda? – Lilka się uśmiechnęła, omiatając jednocześnie wzrokiem elegancką garsonkę Anki, jaskrawo kontrastującą z tym, co sama miała na sobie.

– O wiele za dużo. – Anna wstała i przytuliła ją mocno. – Usiądź, proszę.

Mimo niefortunnego początku, spotkanie wydawało się udane. Anna stwierdziła z radością, że jej koleżanka pomimo zmian fizycznych pozostała tą samą Lilką, z którą tak dobrze jej się rozmawiało na werandzie w Bujanach. Kiedy jednak przywoływała kelnera, by uregulować rachunek, Lilka dziwnie spochmurniała i przytrzymała ją za nadgarstek.

– Każdy płaci za siebie, nie pamiętasz? – Uśmiechnęła się blado.

– Ale to przecież ja cię zaprosiłam.

– Pozwól, że sama zapłacę za moją kawę.

– Dobrze, to może zrobmy tak: dziś ja stawiam, a następnym razem ty. Może być?

– Myślisz, że będzie jakiś następny raz?

- Jasne, że tak! Chyba, że nie chcesz? – Anna mrugnęła do niej żartobliwie.
- Przestań, wariatko, pewnie, że chcę.
- To może wybierzemy się gdzieś razem z naszymi dziećmi? Byłoby fajnie, gdyby się poznały.
- Jeśli ci to nie przeszkadza, wołałabym spotkać się tutaj. Mam blisko, a moje dzieci... –

Westchnęła. – Bywają dość absorbujące.

- Jak to dzieci, zresztą wiadomo, po kim to mają. Z ciebie też był niezły gagatek!

Lilka uśmiechnęła się dziwnie.

- Stare dzieje. – Machnęła nieznacznie ręką

„Stare, ale dziś jakże bliskie. Przyjemnie bliskie. Szkoda tylko, że bez Lilki” – Annie zrobiło się smutno na myśl o koleżance, która, jak się okazało przy kolejnym spotkaniu, już wcale nie była tą samą Lilką, co kiedyś. Wrażenie z ich pierwszego kontaktu okazało się złudne, a może nawet było celową grą pozorów w trudnym do określenia celu.

Anna ze zdumieniem odkryła, że jej przyjaciółka tak naprawdę już nie pamięta, kim dla siebie były. Bądź też nie chce pamiętać. Być może sprawił to czas, jaki minął od chwili, gdy po raz ostatni piły lemoniadę na werandzie. Lub to, że spotkały się z dala od miejsca, w którym dorastały i gdzie narodziła się ich przyjaźń. A może była to też wina wielkiego miasta, które prawie zawsze dzieliło ludzi, odgradzało od siebie fizycznie i emocjonalnie. Często też zmieniało.

Żyjący w mieście byli prowincjusze niekiedy zapominali, jak to jest być ze sobą blisko, lub też udawali, że nie rozumieją, gdy ktoś tę bliskość próbował im przypomnieć i ofiarować. Przesławiali też wierzyć w ludzką bezinteresowność, dlatego nieufnie odmawiali przyjęcia ręki oferującej pomoc, przewidując podstęp. Widzieli to, czego nie było, nie dostrzegając prawdy. Tak jak Lilka, która wierzyła tylko w to, w co wołała wierzyć, i nie chciała słuchać Anki. Widziała też jedynie to, co chciała widzieć.

Tymczasem na prowincji wszystko wyglądało inaczej. Zarówno kiedyś, jak i obecnie. Lepiej. Spokojniej. Ale już bez Lilki, Anity i Agnieszki. I bez marchewkowej lemoniady, okruchów z maślanych wafli i śmietankowych lodów Bambino.

Dziewczęcy chichot rozbrzmiewający na werandzie wdzierał się niemal do każdego zakamarka domu, burząc spokojną poranną atmosferę sprzyjającą rozmyśleniom.

Anna od czasu do czasu zerkała ukradkiem w stronę otwartych szeroko drzwi, obserwując cztery głowy pochylone z zainteresowaniem nad stertą kolorowych czasopism. Nadstawiała uszu, by wychwycić strzępki szeptów przerywanych głośnymi wybuchami śmiechu. Z uczuciem, którego nie potrafiła określić, przyglądała się zarumienionej od podekscytowania twarzy swojej córki. Kwitła na niej nieograniczona, swobodna, wyzwolona z powściągliwości radość. Amelia odczuwała to, na co do niedawna nie pozwalała sobie żadna z nich. Zarówno matka, jak i córka.

Coś sprawiło, że niewidzialna blokada opadła i uwolniła uczucia, które musiały się w niej gromadzić od dłuższego czasu, ponieważ niemożliwe było, by pojawiły się tak nagle. Być może Amelia była już gotowa na to, do czego Anna nie miała nadziei kiedykolwiek dojrzeć. Powoli zapominała o tym, co się wydarzyło, lub też godziła się z tym, zamykając ból w tak odległych zakamarkach swojej duszy, że przestawał zagłuszać pozostałe uczucia.

Anna obserwowała córkę, zastanawiając się, czy jej zazdrości tego, że uporała się wreszcie z tym, z czym nie poradziła sobie jej matka, czy też czuje żal, że tak szybko zapomniała. Czy to mogło oznaczać, że strata ojca jest mniej bolesna niż strata męża?

– Dobrze jej zrobił kontakt z rówieśniczkami, prawda?

Anna nie zauważyła momentu, w którym matka pojawiła się obok. Z taką samą jak ona uwagą przypatrywała się dziewczętom. Pytanie, które padło z jej ust, było jednocześnie częściową odpowiedzią na wątpliwości Anny.

– Czy ja wiem...? One, te dziewczyny, są jakieś takie...

– Nietypowe?

– Też, ale to nie tylko to. Jest w nich coś niepokojącego.

– Zapewniam cię, że nie masz się czego obawiać. Znam je dobrze od dziecka, może jedynie z wyjątkiem Kseni, bo ona mieszka z ojcem w Białymstoku i przyjeżdża tu od czasu do czasu do swojej matki. Wiem, że nie wyglądają jak typowe nastolatki, ale jestem przekonana, że to dobre dzieciaki. Spróbuj dać im szansę. To właśnie przez tę swoją odmienność tu, w Bujanach, nie mają lekkiego życia wśród rówieśników i dlatego może czasem się od nich izolują, uciekają do internetowego świata. Jednak naszą Amelię przyjęły z otwartymi ramionami. To chyba coś znaczy, prawda?

– Z pewnością, ale czy na pewno należy się z tego cieszyć? W końcu ona też dotąd należała tylko do ich wirtualnej rzeczywistości.

– Myślisz, że w realnej może je rozczarować?

– To też, taka rzeczywistość bywa niekiedy zupełnie inna, niż ta wykreowana na potrzeby internetu. Poza tym popatrz tylko na nie. Wyglądają całkiem jak wywieszone obok siebie plakaty wyborcze. – Anna wskazała brodą trzy dziewczęce głowy z identycznym, idealnie skrzyżowanym grubym łokiem nad czołem, krwistoczerwonymi ustami zakreślonymi konturówką w kształt równych serduszek, grubym, powłóczystym śladem eyelinera na górnej powiece i doklejonymi rzęsami. – Im jest ich więcej, tym większa szansa, że zostaną wreszcie zauważone, wysłuchane i zaakceptowane, wirtualnie i pewnie realnie też. Podejrzewam, że właśnie po to jest im potrzebna nasza Amelia. Szukają rzeczywistej akceptacji i podziwu, namacalnych dowodów na to, że są wyjątkowe. Ten ich dzisiejszy image to nie jest przecież tylko zwykły zbieg okoliczności. Starannie przygotowały się na to spotkanie.

Maria przyjrzała się jeszcze raz nastolatkom z uwagą i pokręciła głową.

– Nawet jeśli masz rację, to cóż w tym złego? Dzięki nim Melcia nie czuje się tu osamotniona. Przecież każda nastolatka potrzebuje kontaktu z rówieśniczkami, i wbrew pozorom prawdziwego, nie tylko przez komputer. Popatrz tylko na nią. Gołym okiem widać, że jest szczęśliwa. I wreszcie pozbyła się tych przygnębiających czerni. To nie jest odpowiedni kolor dla takiej ślicznej, młodej dziewczyny.

– Ale czy ta zmiana wizerunku nie jest jednak zbyt radykalna? – Anna ściągnęła brwi w zastanowieniu. – Nawet dziadek oniemiał z wrażenia.

– Przyznam, że ja też w pierwszej chwili osłupiałam. – Maria zasłoniła dłonią usta. – Chciała dobrze wypaść i jak widać, chyba jej się to udało.

Amelia długo przygotowywała się do spotkania z blogerkami znanymi dotąd tylko z internetu, nie wpuszczając nikogo do pokoju. A kiedy wreszcie zeszła na dół, nawet Franek oderwał się od swoich zajęć i wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Amelia wyglądała tak, jak nigdy wcześniej.

Jej biodra opinały granatowe szorty z wysokim stanem, podkreślonym dwoma pionowymi rzędami metalowych guzików. Na tylnej kieszeni czerwieniła się aplikacja w kształcie serca przebitego strzałą. To właśnie ono wprawiło brata Amelii w największą euforię, ponieważ przez długą chwilę wskazywał je palcem, nie mogąc wykszusić słowa, wyraźnie też zażenowany tym, że patrzy na siostrzaną pupę, z czego zdał sobie sprawę dopiero po chwili i speszony odwrócił wzrok.

Widok górnej części kreacji – jasnej bluzki z bufiastymi rękawkami, okrągłym kołnierzykiem i nadrukiem w kształcie małych, słodkich wisienek wywołał z kolei zdumienie matki i babki. Obie wiedziały, jak Amelia jej nie lubiła, mimo że nigdy się do tego głośno nie przyznała, nie chcąc sprawiać przykrości babce, od której dostała bluzeczkę w prezencie. Wcześniej zakładała ją bardzo niechętnie i tylko podczas rodzinnych uroczystości, więc było zadziwiające, że tym razem zrobiła to dobrowolnie, choć na swój indywidualny sposób, zawiązując jej końce w fantazyjny węzeł i odsłaniając w ten sposób spory fragment niezbyt opalonego brzucha. Całości wizerunku dopełniała upięta wysoko gmatwanina świeżo zakreconych loków, podtrzymywana przez trawiaстоzieloną opaskę z gigantyczną kokardą. Mniejsze nieco kokardki znajdowały się na jaskrawoczerwonych, lakierowanych balerinkach.

– No co?! – Dziewczyna burknęła zarumieniona, udając, że nie rozumie o co chodzi i nie domyśla się powodu zdziwionych spojrzeń rodziny.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, ponieważ pod serduszkciem na jej pupie rozbrzmiał dźwięk przychodzącego SMS-a. Amelia spojrzała na wyświetlacz i zapiszczała podekscytowana, chwytając się za policzki.

– To one! Są przed domem! Chcą, żebyśmy po nie wyszła.

– Zaproś je może na werandę. Po co macie siedzieć w dusznym pokoju – zagadnęła babcia. – Nie będziemy wam przeszkadzać. Przyniosę wam tylko coś chłodnego do picia i bułeczki drożdżowe z jagodami. Już się dopiekają.

– Dzięki, tak zrobię. – Amelia wystrzeżiła do drzwi, wyhamowując jednak gwałtownie w połowie drogi. Spojrzała błagalnie na matkę. – Mamuś, błagam cię, zrób coś z tym – wyciągnęła oskarżycielsko palec w stronę rozchichotanego wciąż Franka. – Żeby nie musiała przez niego umrzeć ze wstydu.

– A powinnaś! – wykrzyknął Franek zadziornie. – Popatrz tylko w lustro. Wyglądasz, jakbyś wyskoczyła z jakiejś głupiej kreskówki!

Chciał jeszcze coś dodać, ale ostatecznie zamarł z rozdziawiona buzią, gdy ujrzał internetowe koleżanki Amelii, przy których wygląd siostry prawdopodobnie wydał mu się całkiem pospolity.

– Mamo, to są właśnie dziewczyny, o których ci opowiadałam. – Amelia dokonała szybkiej prezentacji. – To Ksenia. – Dziewczę w marynarskim mundurku, z burzą ciemnych loków podtrzymywanych opaską z chustki – czerwonej w białe kotwice, dygnęło. Amelia wskazała kolejną z koleżanek, blondynkę w wysokich szortach, podobnych do tych, które sama miała na sobie, i bluzce w groszki z hiszpańskim dekoltem odsłaniającym bardzo szczupłe ramiona. Tak jak koleżanki na głowie miała zamotaną opaskę z materiału identycznego jak bluzka. – A to Karolina.

– Karo – sprostowała ta natychmiast. – Jak Caro Emerald.

– Tak, jasne, że Karo... – Amelia posłała koleżance przepaszający uśmiech i obróciła się do ostatniej z dziewcząt. Wysokiej, z włosami w kolorze mlecznej czekolady, oczywiście przewiązanymi chustką, w jasnej rozkloszowanej sukience ściągniętej paskiem podkreślającym niewiarygodnie wąską talię. – A to jest właśnie Flo, blogerka, o której wam opowiadałam.

– Flo? – Anna mimowolnie ujawniła zdziwienie z powodu niezwykłego imienia dziewczyny. Chciała nawet zapytać, czy nie jest to przypadkiem blogowy pseudonim, ale uprzedziła ją jego

właścicielka, wyjaśniając wątpliwości.

– Florentyna. I niestety nie od Florence and the Machine, choć bardzo bym chciała, ale od Florencji – uśmiechnęła się. – Taką nietypową pamiątkę przywieźli sobie moi rodzice z podróży poślubnej do Toskanii.

– Super, prawda? – zawtórowała jej Karo. – W dodatku oni nazywają się Sieniccy, jak Siena. A czy pani wie, jak nazywa się Florki brat bliźniak?

– Luka. – Flo postanowiła wyręczyć gadatliwą koleżankę.

– A ja jestem bratem Melki, ale nie bliźniakiem. – Ocknął się nieoczekiwanie Franek, przypominając siostrze o swoim istnieniu i tym samym konieczności odizolowania go od nowych koleżanek. Dlatego od razu poprowadziła je prosto na werandę, zakazując tam wstępu bratu.

Niedługo po obiedzie, na który dziewczęta również dały się zaprosić, skuszone zapachem babki ziemniaczanej i czosnkowego sosu, Amelia zajrzała do pokoju matki. Przez ramię miała przewieszoną torebkę.

– Nie mam pojęcia, o której wrócę, ale mam przy sobie telefon – zakomunikowała.

– Ale powiesz mi, dokąd się wybierasz?

– Na sesję fotograficzną. Mówiłam ci przecież wczoraj. Będziemy robić zdjęcia najnowszych stylizacji Flo, a potem wrzucimy je na bloga.

– Pamiętam. A może chciałbyście zrobić to tutaj? Na werandzie albo w ogrodzie?

Propozycja wynikała przede wszystkim z tego, że Anna wolała mieć córkę na oku, i pewnie też dlatego Amelia jej nie podchwyciła.

– Niece... mamy lepsze miejsce – odparła z lekkim ociąganiem. – Tata Karo ma warsztat samochodowy. To będzie świetne tło do naszych fotek.

– Warsztat? – Anna się zdziwiła.

Wobec tej informacji sesja w ogrodzie wydała jej się jeszcze lepszym pomysłem.

– Super sprawa, prawda? A wiesz, że ten pokaz starych samochodów, o którym wspominał dziadek, zorganizował tata Karo? Obiecał jej, że pozwoli nam zrobić sobie fotki na ich tle!

– Będziecie pozować przy starych samochodach? – Anna mimowolnie przypomniała sobie stare amerykańskie plakaty, które gdzieś kiedyś oglądała. Przedstawiały mocno rozneglizowane kobiety na tle pojazdów w stylu retro.

– Też nie mogę w to uwierzyć! – Amelia nie dostrzegła wątpliwości malujących się na twarzy matki. – Pokażę ci wieczorem, jak nam to wyszło.

– Super... – odparła, zaniechawszy dalszych pytań.

Pozostała z nadzieją, że jeśli córka planuje pokazać jej zdjęcia z sesji, swoim klimatem okażą się dalekie od tego, co przed chwilą Anna zobaczyła w wyobraźni.

Babcia Marysia od rana niemal bez chwili wytchnienia kręciła się po domu.

Posprzątała po śniadaniu, nastawiła zmywarkę i pranie. Potem wróciła do kuchni, wyjęła z zamrażarki mięso na obiad i włożyła je do zimnej wody. Obejrzała też zawartość lodówki i pokręciła głową z dezaprobatą. Rozsupłała troczki fartuszka, wzięła torebkę i przystanąła przed lustrem. Poprawiła lekko popielaty koczek i wygładziła niewidoczne zagniecenia bluzki i spódnicy.

– Wybierasz się gdzieś? – spytała Anna, obserwując matkę znad rozłożonego przed sobą czasopisma.

– Muszę skoczyć do sklepu. Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dziękuję.

Wróciła do przeglądania prasy, jednak po namyśle odłożyła gazetę.

– A może ja pójde? Nie mogę przecież siedzieć tak beczynnie, mogłabym czymś się zająć, skoro już tu jestem, pomóc w czymś tobie albo ojcu.

– Powinnaś jeszcze trochę odpocząć.

– Ostatnio tylko odpoczywam, mimo że nie mam za bardzo powodu, skoro od kilku tygodni w zasadzie nic nie robię. Poza tym mówiłaś niedawno, że to jest też mój dom, więc powinnam mieć tu jakieś obowiązki, prawda? Zwłaszcza jeżeli mamy zostać tu dłużej. Dlatego dopóki sama się nie zorientuję w funkcjonowaniu domu, mów mi, proszę, na bieżąco, w czym mogę ci pomóc.

– Dobrze, w takim razie idź do tego sklepu. Tu masz spis. – Maria podała jej żółtą karteczkę. – I nie spiesz się, nie potrzebuję tych rzeczy już teraz. Pozwiedzaj sobie przy okazji stare kąty. Może dzięki temu trochę lepiej się poczujesz?

Spojrzała na córkę z troską w oczach.

– Od kiedy tu jestem, czuje się znakomicie – odparła Anna bez wahania. – I zdążę sobie jeszcze wszystko obejrzeć i przypomnieć. Teraz idę do sklepu. A kiedy wrócę, rozwieszę pranie. I nawet nie próbuj robić tego sama!

Pogroziła żartobliwie palcem matce, która już opasywała się ponownie fartuchem, więc raczej nie zamierzała odpoczywać.

Anna wyszła przed dom i zatrzymała się niezdecydowana, nie wiedząc, w którą stronę iść. Rozejrzała się niepewnie. „Nawet nie wiem, gdzie tu jest teraz jakiś porządny sklep?” – pomyślała, ale nie miała odwagi wrócić i o to spytać. Bo przecież powinna wiedzieć takie rzeczy, to było jej rodzinne miasto.

Westchnęła i ruszyła powoli w stronę centrum, z nadzieją, że się natknie na jakiś sklep po drodze albo że czynny okaże się któryś z dawnych. Rozglądała się z uwagą w poszukiwaniu znajomych szyldów. Niestety, po wielu nie zostało nawet śladu, niektóre zastąpiły też inne. „Tak jak wiele innych rzeczy, nie przetrwały próby czasu” – pomyślała z goryczą, choć jej samej wciąż trudno było uwierzyć, że tego czasu upłynęło aż tak wiele.

Bujany opuściła na dobre przed ponad dwudziestoma laty, gdy po maturze wyjechała studiować wymarzony kierunek na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, architekturę wnętrz. Właśnie w stolicy, nie w Białymstoku, do czego namawiali ją rodzice, by mieć ukochaną córkę bliżej. Zwłaszcza że starsza na stałe osiadła w USA. Bali się też, że będzie jej trudno przyzwyczaić się do wielkiego miasta, gdzie wszystko toczyło się zupełnie innym rytmem, niż w miejscu, gdzie się urodziła i dorastała.

Anna jednak nie chciała już mieszkać na prowincji. Ciągnęło ją do stolicy. Nęciły piękne galerie, wystawy, muzea i teatry. Nie było takich w pobliskiej Łomży, ani nawet w Białymstoku. Opuszczając rodzinne miasteczko, obiecała często wracać. Niestety, z czasem przestała się z tego wywiązywać.

W trakcie studiów pochłaniała ją nauka, a wolne chwile wolała spędzać ze znajomymi w modnych klubach i kawiarniach. A kiedy założyła rodzinę i przyszły na świat dzieci, miała jeszcze mniej czasu na wizyty u rodziców. Absorbująca była też praca w firmie założonej przez jej męża

architekta do spółki z kolegą ze studiów – Wiktorem Brunikiem. Początki były trudne, dlatego oboje z Piotrem nie mogli sobie pozwolić na zbyt częste urlopy, więc gdy się to udawało, starali się je efektywnie wykorzystać, wyjeżdżając w egzotyczne ciepłe miejsca. Do Bujan wpadali nie częściej niż trzy razy do roku, w weekendy, czasem w święta. Częściej się nie dało.

Anna bezskutecznie usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz oglądała Bujany inaczej niż przez okno samochodu na odcinku drogi od granic miasta do bramy domu rodziców. Miała całkiem dobrze zachowany w pamięci obraz rodzinnego miasteczka, ale tylko ten sprzed dwudziestu lat. Teraz niemal wszystko wyglądało inaczej.

Rozmyślała o tym, zmierzając w stronę miejskiego parku, tam, gdzie kiedyś często spacerowała z przyjaciółkami. Gdy dotarła na miejsce, aż przysiadła z wrażenia na jednej z nowiutkich drewnianych ławek. W miejscu różanego klombu ujrzała ogromny plac wyłożony kostką brukową, z nieczynną fontanną pośrodku.

Park wydawał się jej też znacznie mniejszy niż kiedyś. Dopiero gdy rozejrzała się uważnie, dotarło do niej, skąd to dziwne wrażenie. Potężny fragment zielenca stracił dawny urok, ponieważ wycięto z niego część ogromnych starych świerków. Tu i ówdzie widać było nasadzenia młodych drzew i krzewów, ale te najstarsze w większości zniknęły, a zieleń została znacznie przerzedzona. „Dlaczego?” – zastanawiała się z goryczą. „Komu przeszkadzały stare drzewa?”

Wreszcie ruszyła wolno alejką, na końcu której wypatrzyła charakterystyczny budynek jednej z sieci supermarketów. „Tam chyba wcześniej był parking” – odświeżała zakamarki pamięci. Uśmiechnęła się niepewnie, gdy jakiś mężczyzna pozdrowił ją jak kogoś znajomego. Odpowiedziała mu uprzejmym skinieniem głowy, mimo że nie miała pojęcia, kim jest. Jednocześnie zdała sobie sprawę z kolejnej zmiany. Dawniej знаła niemalże każdego mieszkańca miasteczka, przynajmniej z widzenia. Teraz mijały ją sami nieznajomi ludzie.

– Ania?

Obejrzała się, słysząc niespodziewanie swoje imię. Przed nią stała kobieta w zaawansowanej ciąży. Uśmiechała się zdecydowanie uradowana, mimo że wyglądała na zmęczoną. Dźwigała sporą torbę z zakupami, była spocona i oddychała ciężko. Spod rzadkiej i trochę za długiej mysiej grzywki patrzyły na Annę wyblakłe szare oczy, które wydawały się dziwnie znajome. Anna uśmiechnęła się do niej, by zyskać czas na odszukanie w pamięci widzianej przed sobą twarzy i powiązanie jej z elementami swojej bujaneckiej przeszłości.

Nagle doznała olśnienia. Jak mogła nie poznać dziewczyny, która wyglądała niemal identycznie jak w dniu matury, ponieważ wtedy również była... w ciąży. Bożena Wilczek, chociaż teraz chyba już inaczej, bo zaraz po skończeniu liceum wyszła za tego swojego Mirka, co Anna uświadomiła sobie w następnej kolejności.

– Bożka! – Anna patrzyła z niedowierzaniem na swoją szkolną koleżankę. – W ogóle się nie zmieniłaś.

Powiedziała to najzupełniej szczerze, ponieważ nie licząc kilku zmarszczek wokół oczu i ust, lata, które minęły od ich ostatniego spotkania, nie pozostawiły zbyt wielu śladów w wyglądzie Bożeny. Była tak samo skromna i bez wyrazu, jak w czasach licealnych. Nawet fryzury nie zmieniła, bo wtedy też wiązała włosy w cienką kitkę.

Anna nadal pamiętała też szok, jakim dla wszystkich była ciąża tej cichej, niewyróżniającej się niczym szczególnym dziewczyny. Zdumieniem też napawał fakt, że ojcem jej dziecka okazał się Mirek, znany w Bujanach miłośnik wesołej zabawy i absolwent zawodówki, bez ambicji i zamiaru dalszego kształcenia. Bożena z kolei, chociaż nie była uczennicą wybitną, miała realne szanse dostać się na studia. Chyba nawet to planowała, niestety przez dziecko i brak pomocy ze strony rodziców okazało się to niemożliwe. Anna, mimo że nigdy nie były blisko zaprzyjaźnione, bardzo jej wtedy współczuła. Jak większość znajomych domyślała się, że przy tak lekkomyślnym i nieodpowiedzialnym chłopaku, jakim był Mirek, dziewczyna zmarnuje sobie życie.

Jej obecny wygląd utwierdził Annę w smutnym przekonaniu, że jej przypuszczenia mogą okazać się słuszne. Bożena zdecydowanie nie wyglądała kwitnąco, a wręcz przeciwnie, swoim wyglądem

budziła raczej współczucie.

– Wydaje mi się, jakbyśmy widziały się zaledwie wczoraj. – Anna dotknęła lekko ramienia koleżanki. – Jakby nic się nie zmieniło.

– No tak. – Kobieta wymownie spojrzała na swój brzuch.

Anna w odpowiedzi odebrała jej ciężką torbę z zakupami.

– Nie powinnaś chyba dźwigać w tym stanie?

– Wiem. To wyłącznie przez moją głupotę. – Westchnęła, jednak z widoczną ulgą pozbyła się ciężaru.

Anna uśmiechnęła się ze współczuciem. „Ciekawe, ile jeszcze dzieci zmajstrował jej ten leser, skoro nawet po czterdziestce nie udało jej się uniknąć kolejnej ciąży? Przecież w tym wieku to spore ryzyko” – zastanawiała się w duchu, obserwując kątem oka dawną koleżankę, która postępując cicho, wsparła się chętnie na jej ramieniu, drugą ręką podtrzymując spory już brzuch. „I ciekawe, czy wziął się wreszcie do jakiegokolwiek roboty, czy też nadal ugania się za rozrywkami?”

Anna poczuła w piersi nieznaczące ukłucie, ponieważ widok Bożeny przypomniał jej ostatnie, raczej niezbyt przyjemne spotkanie z Lilką, o którym starała się zapomnieć. Bo gdy umówiły się kolejny raz, w ostatniej chwili zmieniła plany i zamiast do kawiarni, zaprosiła przyjaciółkę do siebie. Wydawało jej się, że w ten sposób, w dużo spokojniejszej i bardziej intymnej atmosferze łatwiej nakłoni ją do zwierzeń. Bo mimo że jej przyjaciółka starała się zachowywać pozory, śmiejąc się i beztrząsco żartując, nie zdołała ukryć czającego się w jej oczach smutku. Pozornie udane spotkanie nie pozostawiło złudzeń. Lilka potrzebowała pomocy.

Niestety, Anna nie zdążyła z nią o tym porozmawiać, ponieważ Lilka ją uprzedziła. Gdy tylko pojawiła się w mieszkaniu Anny, z przerażającą szczerością wyznała, co sądzi o popisaniu się przed ubogą znajomą, która od piętnastu lat nie może spłacić kredytu za niewielkie mieszkanie w zagrzybionej ruderze, pięknym dwupoziomowym apartamentem. Anna, nie mogąc wykrztusić z siebie nawet słowa, wysłuchiwała pełnych gorczy i żalu słów o niesprawiedliwości społecznej i o powodach, dla których jedni mają mniej, a inni więcej, i o tym, że choć niektórzy ciężko pracują, licząc każdy grosz, by nakarmić każde z czworga dzieci, nie mogą odbić się od dna przez pazernych bogaczy, którzy zagarniają wszystko do siebie, budując coraz większe wille i jeżdżąc coraz droższymi samochodami.

Potem Anna patrzyła z przerażeniem i niedowierzaniem, jak jej najlepsza przyjaciółka, piękna i pełna życia Lilka, zanosząc się płaczem, zbiega po schodach. Nie znalazła w sobie dość siły, żeby za nią pobiec. Nigdy też nie zebrała jej w sobie tyle, by jeszcze kiedykolwiek do niej zadzwonić.

Teraz Anna szła obok Bożeny i czuła na plecach podobny dreszcz niepokoju. Nie była pewna, w którym miejscu popełniła błąd w sprawie Lilki, dlatego bała się, że teraz też go nie uniknie, gdy okaże się, że życie kolejnej koleżanki potoczyło się w innym kierunku niż jej własne. Bo nawet jeśli teraz wszystko się zmieniło, przez długi czas było przecież szczęśliwe. A być może Bożenie obciążonej licznym potomstwem i obowiązkami obok męża nieudacznika nigdy nie było to dane.

Anna zerknęła na nią z ukosa. Kobieta wydawała się jeszcze bardziej blada niż na początku.

– Dobrze się czujesz? – Podtrzymała ją mocniej za łokieć. – Dasz radę iść? Może wezwę taksówkę?

Bożena roześmiała się szczerze.

– Taksówkę w Bujanach? Niby skąd? Poza tym mieszkam o tu, niedaleko. – Kiwnęła brodą. – Dojdę bez problemu i wtedy sobie odsapnę. Oczywiście dasz się zaprosić na herbatkę?

– Dziękuję, ale może innym razem. Obiecałam mamie zrobić zakupy.

– Na chwilkę chociaż. – Bożena spojrzała na nią błagalnie. – Zadzwoń i powiedz, że się trochę spóźnisz. Na pewno zrozumie.

– Dobrze – westchnęła Anna z poczuciem, że popełnia błąd. Tak naprawdę wcale nie miała ochoty na wizytę w domu pełnym rozbrykanych dzieci – ani teraz, ani później. Bała się też rozmowy z Bożeną. Nie wiedziała, w jaki sposób odnieść się do jej zapewne trudnej sytuacji życiowej, co powiedzieć. Nie czuła się na siłach słuchać o cudzych problemach, miała teraz dość własnych. Nie była też pewna, czy jej dawna koleżanka wie o Piotrze... A to była ostatnia rzecz, o której Anna chciałaby

rozmawiać.

Zanim zdążyła się zastanowić, jak odeprzeć ewentualne zbyt trudne dla siebie pytania, Bożena zatrzymała się przy białym, drewnianym ogrodzeniu otaczającym ładny dom i ogród, przytrzymując się drewnianych sztachet.

– Gorzej się czujesz? – spytała Anna, patrząc na nią z troską.

– Właściwie tak, ale na szczęście jesteśmy już na miejscu – sapnęła i pchnęła białą furtkę. – To dlatego, że tak mi gorąco. W domu na szczęście jest chłodniej, więc zaraz pewnie mi przejdzie.

Wewnątrz rzeczywiście panował przyjemny chłód i cisza, maćona jedynie cichym szumem klimatyzacji. Anna rozglądała się niepewnie. Odstawiła ostrożnie zakupy na gruby marmurowy blat konsoli przytwierdzonej do ściany pod lustrem, uważając przy tym, by nie stracić stamtąd szklanego wazonu ze świeżymi kwiatami. Zerknęła w głąb mieszkania.

– Gdzie są twoje dzieci?

– Adrian ma jeszcze sesję i siedzi w Warszawie, no a drugie wciąż mam tu – zaśmiała się Bożena, klepiąc się delikatnie po wystającym brzuchu. Tak się jakoś nam poukładało, że nie znaleźliśmy dobrego momentu, by postarać się o nie wcześniej...

Urwała, a właściwie to jej przerwał głośny tupot stóp na schodach. Zza ich zakrętu wyłoniła się przysadzista kobieta w nylonowym fartuchu w kwiaty i chwyciła się groźnie pod boki.

– No i gdzie chodziła sama?! Co?!

Anna, nieudolnie kryjąc zakłopotanie, zerkała niepewnie na Bożenę. Ta jednak przewróciła tylko demonstracyjnie oczami i westchnęła zrezygnowana.

– Oj tam, na spacerze tylko byłam.

– Na spacerze? A to?

Kobieta oskarżycielsko wskazała torbę leżącą na stoliku. Anna zasłoniła odruchowo pakunek. Podejrzewała, że właśnie ma do czynienia z teściową Bożeny i jej humorami. Zerknęła ze współczuciem na koleżankę, zastanawiając się, jak ją wesprzeć. Ta na szczęście jednak nie wyglądała na kogoś, kto tego potrzebuje. Nadal przewracając oczami i wzdychając demonstracyjnie, odciągnęła Annę od stolika i odsłoniła zawartość torby.

– Miałam straszną ochotę na brzoskwinie, więc pomyślałam, że przespaceruję się kawałek i kupię kilka. A potem zobaczyłam świeże melony i już nie byłam pewna, czy wolę melona, brzoskwinie, a może arbuza? Więc na wszelki wypadek wzięłam wszystko.

– Matko Przenajświętsza! Litości! Toż lekarz zabronił chodzić, a co dopiero tachać tyle! Trzeba było zadzwonić, to bym po drodze zaszła i wzięła, a nie samej się trudzić! A ja tu zachodzę jak gdyby nigdy nic do domu i patrzę, nikogo nie ma. Już myślałam, że się co stało!

– Wszystko już dobrze, pani Jasiu. – Bożena postanowiła przerwać jej głośny słowotok. – Nie dźwigałam sama. A pani zaraz mi tu tym swoim lamentowaniem gościa wystraszy i tyle będzie z mojej wdzięczności, że za moment spalę się ze wstydu. – Odwróciła się do Anny i puściła do niej oko.

– Oj, bo ja wcale nawet nie zauważyłam, że pani ma gościa...

Pani Jasia wyraźnie się zmieszała i pochyliła się, by zajrzeć w głąb korytarza. Anna z kolei postąpiła kilka kroków w przód, z ciągłym poczuciem dezorientacji i zakłopotania.

– Dzień dobry – wyjąkała.

Pani Jasia złożyła ręce w nabożnym geście i wzniosła oczy do nieba.

– A toż to Andzia Głazikówna, córka Marysi Głazikowej! – Smągnęła Annę po uszach zniechęconą w dzieciństwie formą imienia i nazwiska.

– Pani Jasia... – wyszeptała kompletnie zaskoczona, ale i ucieszona.

Ulżyło jej, że nie ma do czynienia z teściową Bożeny, i jednocześnie ucieszyła się na widok dawnej woźnej, uwielbianej niegdyś przez wszystkie dzieciaki z podstawówki. Przypomniała sobie też, że pani Jasia odwiedza czasem jej matkę, pomaga w cięższych pracach domowych, jednak dotąd nie miały okazji się spotkać.

– Mój mąż uparł się, żeby zatrudnić panią Jasię do pomocy, jak tylko zaszłam w ciążę. – Bożena ostatecznie rozwiała jej wątpliwości.

– I dobrze zrobił. Dlatego w każdą niedzielę powinna Bożenka nóżki Najświętszej Paniency wycalać za takiego męża, jaki jej się trafił.

Urwała nagle, przenosząc zatroskane spojrzenie na Annę. Ponownie złożyła ręce i spochmurniała.

– Oj, a tobie, Anuś, to się dopiero narobiło. Takie nieszczęście na młodą jeszcze kobietę. Dobrześ zrobiła, dziecko, żeś przyjechała do Bujan. Jak się podobne rzeczy dzieją, to nikt tak nie utuli, jak matka.

– Pani Jasiu, a nie zrobiłaby nam pani herbatki? – Bożena przerwała jej trochę zbyt gwałtownie i posłała Annie przepaszające spojrzenie.

– A pewnie, że bym zrobiła, co mam nie zrobić? I drożdżaków trochę przyniosłam, bo napięłam z samego rana, to też poczęstuję. Zaraz podam.

W salonie Bożena znów jęknęła cicho, zapadając się w zbyt miękkie dla niej siedzisko fotela. Spróbowała się z niego wygramolić i sięgnąć po stojący nieopodal podnóżek, lecz Anna ją uprzedziła, podkładając go pod jej opuchnięte nogi.

– Dziękuję. I przepraszam za panią Jasię, sama wiem najlepiej, jak potrafi dać się we znaki tym swoim gadaniem – sapnęła. – Ale choć rzeczywiście na początku nie chciałam pomocy, teraz jestem jej wdzięczna, bo nie wiem, jak bym sobie poradziła. – Z pewnym roztargnieniem wygładziła fałdy tuniki opinającej się na brzuchu i piersiach, i rozpięła kilka guzików pod szyją. – Nie najlepiej znoszę tę ciążę. Czuję się dokładnie tak, jak wyglądam – wyznała nagle, dotykając swoich włosów. – Dla dobra dziecka ich nie farbuję, a z moim naturalnym kolorem wyglądam jak siedem nieszczęść.

– Nie jest wcale źle. – Anna przełknęła ślinę świadoma nieudolności swojego kłamstwa.

Bożena, widząc to, roześmiała się serdecznie.

– Wiem, że starasz się być miłą, ale lepiej przestań, bo zacznę wątpić w twoje poczucie dobrego smaku. Wyglądam okropnie, ale nie zamierzam się tym za bardzo przejmować. Mogłabym nawet wyglądać jeszcze gorzej, gdybym tylko w zamian lepiej się poczuła, chociaż ociupinę. Kto to słyszał, żeby rzygać przez całą ciążę? We wszystkich poradnikach piszą, że to mija po pierwszym trymestrze, a ja haftuję niemal każdego ranka. Poprzednio tak nie miałam, ale byłam też sporo młodsza, więc pewnie dużo cierpliwiej znosiłam te wszystkie niedogodności.

– Pociesz się, że to już długo nie potrwa, bo to chyba końcówka, co?

– Jeszcze miesiąc. Czasami zastanawiam się, co też mnie podkuśiło, by w tym wieku decydować się na dziecko. To znaczy absolutnie nie żałuję, bo pewnie to tak zabrzmiało, ale żałuję, że nie zdecydowaliśmy się wcześniej. Niestety, zawsze coś stało na przeszkodzie.

– Bo na ciążę tak naprawdę nigdy nie ma wystarczająco dobrego momentu. Zwykle odbywa się to kosztem czegoś.

– Tak. Chociaż muszę ci przyznać, że ta moja pierwsza, jak wiesz, dość nieoczekiwana ciąża – zrobiła w powietrzu cudzysłów – przyniosła mi wyłącznie korzyści, chociaż wtedy byłam pewna, że przez to już nic więcej mnie nie czeka. Tylko dom i pieluchy. I kiedy urodził się Adrian, było nam naprawdę ciężko, ale na szczęście trafił mi się odpowiedzialny facet, który umiał się zachować. Gdyby nie on, nigdy nie skończyłabym studiów. Kiedy mały miał rok, zmusił mnie, żebym zdawała. Nie chciałam jednak zostawiać dziecka pod opieką dziadków, więc przeprowadziliśmy się do Białegostoku wszyscy. Adrianek poszedł do żłobka, Mirek do pracy na budowę, a ja na uczelnię.

– Jestem pełna podziwu dla ciebie i twojego męża...

Anna zaczerwieniła się lekko, przypomniawszy sobie, o czym rozmyślała, gdy tu szła. Cieszyła się, że nie zdradziła się tym przed Bożeną, ale i tak odczuwała wielki wstyd, choć tylko sama przed sobą, że wydała tak pochopną opinię małżeństwu Bożeny, posługując się stereotypami.

– Przyznam, że to było najcięższe pięć lat w naszym życiu. Dziwię się, że w którymś momencie nie zwariowałam. Dałam radę tylko dzięki wierze, że gdy wreszcie się obronię i pójdę do pracy, będzie lepiej. Niestety, okazało się to o wiele trudniejsze, niż przypuszczałam. Niechętnie zatrudnia się młode mężatki z małymi dziećmi, nawet z dyplomem obronionym na piątkę. Wtedy właśnie Mirek wymyślił, że spróbujemy czegoś innego. Mieliśmy trochę pieniędzy z prezentów weselnych odłożone na czarną godzinę, resztę pożyczaliśmy od rodziców i otworzyliśmy firmę budowlaną tu, w Bujanach. Ja

oczywiście zajęłam się sprawami księgowymi. Przynajmniej na coś mi się wreszcie przydały moje studia – westchnęła. – Potem jakoś zaczęło się to wszystko kręcić w lepszą stronę. Pracy było dużo, niestety czasu coraz mniej. Teraz sama rozumiesz. Nie mogłam sobie pozwolić nawet na marzenie o drugim dziecku, chociaż w głębi duszy nie wyobrażałam sobie, żeby nasz syn został jedynakiem. Dopiero teraz, kiedy odciążyli nas trochę nasi pracownicy, pomyśleliśmy, co nam szkodzi spróbować? Choć przyznam szczerze, nie bardzo wierzyłam w powodzenie tego przedsięwzięcia. – Skrzywiła się lekko. – W końcu jakiś czas temu przekroczyłam tę magiczną czterdziestkę.

– Mam przyjaciółkę, która jest w naszym wieku i niedawno urodziła córeczkę, choć lekarze nie dawali jej żadnych szans na ponowną ciążę.

– Może ja też urodzę córeczkę – zamyśliła się Bożena. – Chciałabym, bardzo.

– Co ma być, to będzie, byle zdrowe było. – Do salonu wkroczyła pani Jasia z herbatą i pączkami. – Herbatka i drożdżaki – powtórzyła ich miejscową nazwę. – Z wiśniami ze swojego ogrodu, z ubiegłego roku, bo na nowe jeszcze za wcześnie.

Musiała w kuchni przemyśleć swoje wcześniejsze zachowanie, ponieważ nie wracała już do poprzedniego tematu. Zarumieniła się też nieznacznie, gdy Anna pochwaliła jej wypieki.

– Zapakuję parę – zaproponowała. – Dla dzieci.

Jej słowa spowodowały, że Anna spojrzała na zegarek. Włożyła szybko resztę ciastka do ust i upiła kilka łyków herbaty,

– Dziękuję. I przepraszam, ale powinnam już iść. Mama czeka na zakupy, zapomniałam do niej zadzwonić. – Otrzeptała lekko ręce. – Cieszę, że mogłyśmy się spotkać. – Odwróciła się do Bożeny. – Chyba niewielu znajomych zostało w Bujanach, prawda? Większość wyjechała.

– Tak. Jest jeszcze Wojtek. Mirek często kupuje materiały w jego hurtowni, a i on czasem do nas zagląda.

– Z Tereską?

Anna spytała o to mimochodem, ale czuła, że przed Bożeną nie musi niczego udawać. Wszyscy znajomi ze szkoły wiedzieli, co wydarzyło się między Anną a Wojtkiem wiele lat temu, można też było się domyślać, jaki stosunek do tego miała jego żona, która również pochodziła z Bujan. Trudno też było się dziwić i temu, że była w to wtajemniczona również pani Jasia, skoro dawniej pracowała w szkole.

– A Tereski to już dawno nie ma – mruknęła od niechcienia, wyglądając z przesadnym pietyzmem zmarszczki na serwetkach.

Wyraźnie nie miała ochoty wychodzić, wołała przysłuchiwać się rozmowie, a nawet w niej uczestniczyć. Dlatego ucieszyła się, gdy Anna podniosła na nią zaciekawione spojrzenie.

– Ale jak to? – spytała, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie powinna tego robić.

– Wojtek rozwiódł się parę lat temu – wyjaśniła Bożena, zanim Jasia zdążyła się odezwać.

– Nie wiedziałam. Przykro mi.

– A niepotrzebnie! – odparowała gospodyni.

– Pani Jasiu, lepiej nie komentować cudzych spraw. – Bożena patrzyła na nią z wyrzutem.

– A czy ja co komentuję? – Kobieta chwyciła się pod boki i spiorunowała je obie wzrokiem. – Mówię tylko, jak jest. Bo przecież do plotek to ja tu ostatnia jestem, ale i każdy wie, że z tej całej Tereski to kawał cholery był. Pan Wojtek był dla niej taki dobry, a ona z tamtym doktorem w tango poszła. Dla pieniędzy chyba, bo nie dla urody, skoro stary był i łysy w dodatku.

– Szkoda, że tak to się potoczyło, przecież mają dziecko – przypomniała sobie Anna.

– Ona ma, nie on. Bo jak pan Wojtek chciał, żeby Monisia przy nim została, to mu ta lafirynda wykrzyczała w twarz, że to nie jego. Zrobili badania i okazało się, że w tym przynajmniej nie łgała. Bo to nie był dzieciak ani pana Wojtka, ani tego łysego doktora. Czort wie czyj, a ta cała Tereska pewno sama tego nie wie.

– Pani Jasiu! – Bożena przerwała jej gwałtownie. – O której będzie obiad? Bo Mirek pewnie niedługo...

– O Matko Boska, kartofle! – Jasia złapała się za głowę i pognęła do kuchni.

Po jej wyjściu milczały przez chwilę.

– Pójdę już. – Anna podniosła się wreszcie z kanapy. – Ty też powinnaś chyba trochę odpocząć.
– Ale zajrzysz jeszcze do mnie kiedyś? Strasznie się tu nudzę sama. To znaczy prawie sama. –
Zerknęła znacząco w stronę kuchni.

– Na pewno jeszcze cię odwiedzę. Dobrze też byłoby spotkać się kiedyś w większej grupie. Co ty na to? Z twoim mężem, może z Wojtkiem... Nie wiem, kto jeszcze mieszka tu nadal.

– No przecież Agnieszka!

– Jaka Agnieszka? – Anna obejrzała się zdziwiona.

– Czarnecka. Nic nie wiedziałaś? Już jakiś czas temu wróciła. Pracuje w lecznicy.

– Aga jest w Bujanach? – Anna była pełna niedowierzania. – Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

Dlaczego sama tego nie zrobiła? Zastanawiała się już w drodze do domu, szukając wytłumaczenia, po chwili namysłu, również w sobie.

Ledwie łapiąc oddech, wpadła do domu. Wszystko przez to, że zbyt zaabsorbowana nowiną o Agnieszce, w połowie drogi uświadomiła sobie, że zapomniała o zakupach. Pędem wróciła do sklepu, przeklinając własną sklerozę, okupioną zadyszka.

– Co się stało? – Matka przyglądała się jej ze strachem. – Ktoś cię gonił?

– Owszem – sapnęła, opadając na krzesło. Nalała sobie kompotu z dzbanka i wypila duszkiem. – Goniła mnie wielka ciekawość. Zastanawiałam się, dlaczego nikt mi nie powiedział, że Aga Czarnecka znów mieszka w Bujanach?

– O masz ci los! – Kobieta załamała ręce. – A ty skąd o tym wiesz?

– Od Bożeny. Spotkałam ją i zaprosiła mnie na herbatę.

– Jasia mi wspominała, że nie najlepiej znosi ciążę. Dobrze, że ją odwiedziłaś.

– Tylko szkoda, że wyszłam przy tym ... sama nie wiem na kogo. Przecież Agnieszka to moja najlepsza przyjaciółka, powinnam wiedzieć, że tu jest. Nie rozumiem, dlaczego trzymaliście to w tajemnicy?

Maria spojrzała na córkę z dziwnym wyrazem twarzy. Chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Pochyliła się nad blatem i zaczęła z wielkim zaangażowaniem kroić w kostkę marchewkę, unikając wzroku córki.

– Sama nas prosiła, byśmy ci na razie nie mówili.

– Dlaczego? Nie chce mnie widzieć? Coś złego jej zrobiłam?

– No co ty, dziecko, za bzdury opowiadasz! – zachnęła się matka. – Oczywiście, że chce, myślę, że zamierzała po prostu zrobić ci niespodziankę.

– No to jej się udało. Czy wiesz coś więcej? Dlaczego wróciła? Jej mąż nie miał nic przeciwko przeprowadzce na wieś? To znaczy prawie na wieś – poprawiła się szybko. – Miałam na myśli to, że on chyba pochodzi z większego miasta.

– Z tego, co wiem, wróciła sama.

– Jak to sama?

– Nie mam pojęcia. Ale myślę, że...

– Tak?

– Nie zrozum mnie źle, jednak wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś na razie jej o to nie pytała.

– Dlaczego?

– Wydaje mi się, że ona nie chce jeszcze o tym rozmawiać. Zresztą, jeśli nadal łączy was przyjaźń, pytania nie będą potrzebne. Sama w końcu ci powie.

Anna podparła brodę i się zamyśliła. Intuicja podpowiadała jej, że w życiu Agnieszki wydarzyło się coś niedobrego. Miała jednak nadzieję, że te przecucia są jedynie konsekwencją jej własnych doświadczeń. Nie wiedziała, dlaczego Agnieszka nie jest już ze swoim mężem, jednak doskonale rozumiała, że cokolwiek za tym stało, rozmowa o tym może być dla niej trudna. Z kimkolwiek. Zresztą sama również miała nadzieję, że nie będzie o to samo wypytywana przez nią.

Zamyślona wyrzała przez kuchenne okno i zobaczyła falującą na wietrze świeżo wypraną pościel.

– No nie! Miałam rozwiesić to pranie. Powinnaś z tym na mnie zaczekać, niepotrzebnie dźwigałaś!

– Wcale nie dźwigałam. Mela je rozwiesiła.

– Naprawdę? Tak sama z siebie?

– Może nie do końca, ale nawet dość chętnie.

– A gdzie ona właściwie teraz jest?

– W sypialni. Przytargała ze strychu pudła z moimi starymi ubraniami i od dwóch godzin je przegląda. A z tym praniem to właściwie było tak, że opowiedziałam jej o tych rzeczach i obiecałam, że

jej wszystkie pokażę, jak tylko rozwieszę pranie i wstawię obiad. Domyślasz się pewnie, jak bardzo zależało jej, by to przyśpieszyć. Obrąła mi nawet włoszczyznę do zupy.

– Musisz mnie koniecznie nauczyć tych swoich sztuczek... – Anna spojrzała błagalnie na matkę. Ta uśmiechnęła się jednak niewinnie.

– Powinnaś je znać, trenowałam również na tobie.

– Gdybym się zorientowała, wtedy nie byłyby to sztuczki, ale zwykła, w dodatku nieudolna próba manipulacji – zripostowała, gdy zdała sobie sprawę, do czego właśnie przyznała się jej matka. – Gdzie jest Franek? – zmieniła na nagle temat.

– Z dziadkiem.

– A właśnie. Bo taty w ogóle dziś nie widziałam.

– Rano zamknął się w swoim warsztaciku. I chyba lepiej, żebyś tam nie zaglądała.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Bo razem z Franiem szykują dla ciebie jakąś niespodziankę.

– Nie jestem pewna, czy mam dziś ochotę na kolejne.

– Dziś raczej jej nie skończą, więc nic się nie martw. A przynajmniej na razie – dodała już ciszej, bo tylko do siebie.

Przez cały poranek Anna snuła się z kąta w kąt, czując się zupełnie jak mucha uwięziona w odwróconej do góry dnem szklance. Chęć wydostania się z pułapki przegrywała z poczuciem gnuśności i w konsekwencji rozleniwienia.

Z jednej strony chciała zrobić coś pożytecznego, przydać się na coś, z drugiej pragnęła usiąść przy pustym stole tylko po to, by zanurzyć się na chwilę w słonecznej smudze wpadającej o tej porze przez okno. Zrobiła to, ale wówczas rozproszył ją stukot jej własnych paznokci, którymi uderzała rytmicznie w blat. Jakby w ten właśnie sposób uchodziły z niej bezwiednie nagromadzone ostatnio emocje.

Rozmyślała o tym, co powiedziała jej matka o Agnieszce. Wciąż zastanawiała się, jak to się stało, że straciły ze sobą kontakt. Nie telefonowały do siebie od wielu miesięcy, nie spotykały od lat. Anna nie umiała wręcz przypomnieć sobie, kiedy rozmawiały ze sobą po raz ostatni, ani tym bardziej, o czym. Jak to się stało, że przeoczyła utratę wszystkich przyjaciółek, nie odczuwając nawet ich braku? A może po prostu dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej ich brakuje?

Znów pomyślała o Lilce. Już wiedziała, co może być powodem lęku, który nagle się w niej zagnieżdżył. Bała się, że Agnieszka również okaże się kimś zupełnie innym. Kimś obcym. Tak jak Lilka.

Wstała od stołu i od razu poszła do sypialni rodziców, gdzie jej matka się położyła, by nieco odpocząć od upału. Zajrzała ostrożnie przez uchylone drzwi.

– Nie śpię! – Usłyszała jej głos.

Siedziała oparta o wezgielowie zaścienionego łóżka, z książką na kolanach. Zerkała zza zsuniętych na czubek nosa okularów, marszcząc czoło.

– Potrzebujesz czegoś, kochanie?

– Nie, mam, chciałam ci tylko powiedzieć, że wychodzę. Franek jest na podwórku z dziadkiem, a Mela z koleżankami.

– Wiem, wspominała, że się z nimi umówiła. Idziesz do Agnieszki?

– Tak. Wrócę niedługo.

Wychodząc z domu, rzuciła okiem na garaż, gdzie ojciec miał swój mały warsztat, w którym naprawiał drobne domowe sprzęty. To było jego ulubione hobby na emeryturze, dlatego obie z Magdą od dawna podejrzewały, że ich matka celowo psuje różne rzeczy po to tylko, by ojciec mógł je naprawiać, bo dzięki temu miał zajęcie. Co prawda wypierała się tego oburzona podejrzeniami, lecz jej mina zdradzała nie do końca czyste sumienie. Miała jednak wyłącznie dobre intencje. Starła się, by jej mąż mógł być z siebie dumny, gdy uda mu się coś naprawić. Wiedziała, jak wielką mu to sprawia radość.

Ojciec Anny był emerytowanym weterynarzem. Przez wiele lat razem z tatą Agnieszki prowadził klinikę dla zwierząt. Wspólnik miał nadzieję, że kiedyś zastąpi go córka, jednak tak się nie stało. Gdy obaj starsi weterynarze przeszli na emeryturę, klinikę przejął ktoś inny. Dlatego ojciec Agnieszki niedługo po nagłej śmierci żony wyprowadził się z Bujan, by osiąść bliżej córki, która ze względu na karierę zawodową swojego męża nie mogła zostać w rodzinnym miasteczku. Jej małżeństwo musiało więc być udane i pewnie szczęśliwe, skoro tak zdecydowała. Co zatem się mogło stać?

Tego Anna miała nadzieję dowiedzieć się niebawem.

Kiedy zaparkowała przed kliniką weterynaryjną, uśmiechnęła się do siebie. Wreszcie znalazła miejsce, które prawie się nie zmieniło od czasów jej dzieciństwa, przynajmniej z zewnątrz. Rozejrzała się po wybetonowanym podjeździe, gdzie niegdyś z Agnieszką godzinami grały w klasy lub w gumę, albo po prostu siedziały na krawężniku, szepcząc sobie do ucha najskrytsze sekrety, obserwując ludzi i zwierzęta przyprowadzane do lecznicy.

Pochłonięta wspomnieniami, wysiadając z samochodu, Anna wpadła niechcący na mężczyznę, który dźwigał wielki worek z psią karmą. Zachwiał się i omal go nie upuścił.

– Przepraszam, zagapiłam się. – Odskoczyła zawstydzona, sama również łapiąc równowagę

w ostatniej chwili.

– Nie szkodzi, pani Anno, to ja przepraszam. Powinienem bardziej uważać. – Mężczyzna skinął uprzejmie głową i odszedł.

Anna patrzyła za nim chwilę zdezorientowana. Usiłowała sobie przypomnieć, gdzie go już widziała. Raptem ją olśniło. Przecież mijała go w pobliżu sklepu, zanim spotkała Bożenę. Zastanawiała się, kim jest, skoro ją zna. Rozważała, czy go nie dogonić, żeby spytać o to wprost, zasłaniając się niepamięcią, ale nie zdążyła, ponieważ nagle usłyszała za sobą znajomy głos.

– Panie Fabianie, gdzie pan się podziewa? Trzeba szybko nakarmić towarzystwo, bo mi rozniosą lecznicę!

– Już do nich idę, pani Agnieszko, idę. A pani to, zdaje się, ma gościa. – Mężczyzna wychylił się zza budynku i kiwnął w stronę Anny.

Twarz kobiety rozjaśnił szeroki uśmiech. Rozłożyła ramiona i podbiegła do Anny. Kiedy jednak przekrzykując się wzajemnie, skończyły wymieniać uściski, Anna nagle spoważniała.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w Bujanach?

– Chciałam cię zaskoczyć. Umówiłam się nawet z twoją mamą, że dziś wieczorem do was wpadnę. Niestety, ktoś zepsuł mi niespodziankę. Czyżby twoja córka?

– Amelia? – zdumiała się Anna. – Skąd ten pomysł? Przecież ona cię nawet nie zna.

– I tu się mylisz, kochana. Poznałyśmy się już wczoraj. Była tu z moimi wolontariuszkami. Nawet nie musiały mi jej przedstawiać, taka jest do ciebie podobna.

– Nic mi nie mówiła. A co do wolontariuszek, czyżby chodziło o Flo, Ksenię i Karo – jak Caro Emerald?

– Widzę, że na tobie też wywarły odpowiednie wrażenie – roześmiała się. – Fabian mówi na nie „pinapki”. To są zresztą jego ulubienice. Bo dziewczyny są naprawdę w porządku, bardzo nam się tu przydają. Amelia też zgłosiła się do pomocy.

– Niby w czym? – Anna zerknęła na przyjaciółkę podejrzliwie.

– Chodź. Sama zobaczysz.

Agnieszka wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą. Weszły do lecznicy i długim korytarzem pokierowały się do tylnego wyjścia, które, jak Anna pamiętała, wychodziło na wewnętrzne podwórko, gdzie przyjmowano duże zwierzęta gospodarskie. Dlatego lekko zdezorientowana wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Dziedziniec, w przeciwieństwie do frontu, wyglądał zupełnie inaczej niż kiedyś. Wszędzie stały ogromne kojce, a w nich znajdowało się po kilka lub nawet kilkanaście psów. Duże, małe, jedne przeraźliwie ujadające, inne wbite w najdalszy kąt zagrody, z podkulonymi ogonami i położonymi płasko uszami, tkwiły w bezruchu, z pełnymi nadziei spojrzeniami utkwionymi w zbliżających się kobietach. Pomiędzy klatkami uwijał się widziany wcześniej mężczyzna i z brzękiem wsypywał do metalowych misek porcje suchej karmy.

– Sporo ich tu – zdziwiła się Anna. – To jest coś w rodzaju psiego szpitala, tak?

– Chciałabym, żeby tak było, bo to by oznaczało, że przynajmniej większość z nich ma właścicieli – westchnęła Agnieszka. – Niestety, to jest coś w rodzaju przechowalni dla zwierząt. Nazywamy je Przystankiem. Nie dostaliśmy pozwolenia na utworzenie schroniska, więc zwierzaki mogą przebywać tu tylko przez jakiś czas.

– A potem?

– Niektórym udaje się znaleźć dom, jednak niestety większość odwozimy do schroniska w Białymstoku.

– To okropne, że jest tu ich tak dużo.

Agnieszka popatrzyła na nią i pokręciła głową z dziwnym uśmiechem. Podeszła do jednego z budynków gospodarczych i otworzyła drzwi.

Wewnątrz znajdowały się kolejne kojce, a w nich głównie suki ze szczeniętami.

– A tam są koty. – Agnieszka wskazała sąsiednie drzwi.

– Nieprawdopodobne! Jak ty sobie z tym wszystkim radzisz?

– Nie jestem sama. Pan Fabian mi pomaga i parę innych osób. No i niekiedy Witek, drugi

weterynarz, ale on zwykle jeździ do pacjentów w teren, więc czasu ma raczej niewiele. Największą robotę jednak odwalają dziewczyny. Nasze pinapki. Sprzątają kojce, wyprowadzają psy na spacer, szczotkują, no i dokarmiają szczenięta, bo z tym jest najwięcej zachodu. Gdyby nie one, niektórym maluchom pewnie nie udało się przeżyć.

Agnieszka pochylała się i podniosła dwie puchate, czarno-białe kulki. Od razu zareagowała na to matka szceniąt. Wspięła się krótkimi łapkami do krawędzi kojca, wodząc niespokojnym wzrokiem za swoimi dziećmi. Kiedy weterynarka oddała jej szczenięta, suczka polizała ją po nadgarstku i pomachała przyjaźnie ogonem na znak, że wszystko jest w porządku. Agnieszka pochwyciła w dłonie jej mordkę i przytuliła policzek do czarnego nosa.

– To jest Nusia. Ktoś znalazł ją w lesie przywiązana do drzewa, straszliwie wychudzoną. Obok niej leżały kilkudniowe szczenięta. Trzy były już martwe. Zostały tylko te dwa brzdące. Nusia przez cały ten czas dzielnie je karmiła, chociaż sama była bliska śmierci i prawie nie miała pokarmu. Flo i jej koleżanki spędzały tu niemal każdą wolną chwilę, żeby ocalić tę psią rodzinę, a pan Fabian dyżurował nawet w nocy.

– Co z nimi będzie potem?

– Dzieci pójdą do adopcji. A Nusia, nie wiem. Na razie cieszę się po prostu, że w ogóle przeżyła, bo szanse miała naprawdę nikłe.

– Cholera jasna! Gdybym dopadła tego, kto jej to zrobił, to bym mu...!

– Ja też by mu zrobiła dokładnie to samo. Niestety, mimo że pytałam wszędzie, nie udało mi się ustalić właściciela. Może nie być stąd.

Anna, poruszona historią szceniąt, wciąż przyglądała się im z uwagą. Śladem Agnieszki podniosła nawet jedno i zajrzała w lekko wyłupiaste czarne oczka.

– Słuchaj, czy nie uważasz, że one wyglądają prawie jak rasowe shih tzu? Moi sąsiedzi mieli takiego psa.

– Nie tylko ty to zauważyłaś. Właśnie dlatego jest na nie całkiem sporo chętnych, nie zawsze z właściwych pobudek. Musiałam dobrze się zastanowić, komu je powierzyć, gdy już będą na to gotowe. Wbrew pozorom, wcale niełatwo jest wybrać dobrych i odpowiedzialnych opiekunów. A musiałam znaleźć tylko jednego, bo mniejszego szczeniaka obiecałam Flo.

– W ogóle nie są podobne do matki. – Anka nadal przypatrywała się szczeniętom.

– Pewnie urodę odziedziczyły po tacie – skwitowała Agnieszka.

– A dużo znasz psów tej rasy w okolicy?

– Dużo, jest dość popularna... – Agnieszka popatrzyła na przyjaciółkę badawczo. – Ale biało-czarne są tylko dwa... – zamilkła, ponieważ nagle się zorientowała, do czego zmierza przyjaciółka. – Jesteś genialna! Jutro rano skontaktuję się z właścicielami tych shih tzu i prześlę im zdjęcie Nusi. Może ktoś ją rozpozna? Jeżeli uda mi się znaleźć tego sukinsyna, pożałuj Boże właściciela, to...

– To co? Co właściwie możesz mu za to zrobić? Jest na to jakiś paragraf?

– Oczywiście, że jest. I przysięgam, nie zawaham się go użyć, jak tylko otrzymam taką możliwość.

Anna skinęła jedynie głową, wciąż klęcząc przy kojcu i głaszcząc Nusię po grzbiecie.

– A jeśli chodzi o wolontariat... Czy są jakieś limity wiekowe? – spytała nagle, siląc się nieudolnie na żartobliwy ton. – Może też mogłabym pomóc?

– Jasne, każda para rąk jest tutaj na wagę złota. Bardzo przydasz się tym psim i kocim rozbitkom.

Anna, zanim podniosła wzrok na przyjaciółkę, ukradkiem otarła z policzka łzę.

– Nie bardziej niż one mnie – powiedziała.

Z sypialni rodziców Anny dobiegał stłumiony śmiech i dyskretne szepty. Początkowo je ignorowała, uznawszy, że babcia i wnuczka mają prawo do swoich tajemnic, ale gdy ich rozmowy stały się nieco głośniejsze, mimowolnie nadstawiła uszu.

„Co też one tam tak długo robią?” – zastanawiała się.

Tkwiły tam już, gdy Anna wróciła od Agnieszki. Zamknęły jej jednak drzwi niemal przed nosem, gdy usiłowała sprawdzić, co robią. Podobnie jak Franek z dziadkiem, którzy nie pozwolili jej zajrzeć do warsztatu. Nawet Koper gdzieś się zaszył. Nie przybiegł, gdy Anna krzątała się po kuchni, a zwykle nie przegapiał momentów, w których miał sposobność wybrać jakiś smakołyk.

Narzucona Annie samotność zaczęła ją w końcu irytować. Dlatego postanowiła jeszcze raz zapukać do sypialni, ale wtedy drzwi wreszcie się otworzyły i ukazała się w nich jej córka, a zaraz za nią babcia. Obie w wyśmienitych nastrojach.

– Co ty masz na sobie? – Anna patrzyła zdziwiona na Amelię, która wirowała wdzięcznie, powodując szelest czegoś, co prawdopodobnie miała pod spodem. W białej bluzce z żabotem, bładoniebieskiej spódnicy kloszowej z włosami związanymi satynową wstążką wyglądała, jak wycięta ze starego żurnala.

– Super, nie? – Dziewczyna zerknęła na matkę, szukając w jej oczach aprobaty. – Babcia to nosiła, gdy była tylko parę lat starsza ode mnie. I wyobraź sobie, wszystko idealnie pasuje!

– Mnie też trudno uwierzyć, że miałam kiedyś taką figurę. – Maria pomacała się w okolicach talii i bioder. – Bardziej już w to, że te szmatki od leżenia w pudłach po prostu się skurczyły. Albo mole je ponadgryzały.

– Są w idealnym stanie. – Oczy Amelii lśniły podekscytowaniem. – Nie masz pojęcia, mamuś, ile tam tego jeszcze jest! Całe mnóstwo prawdziwych skarbów w stylu retro. Babcia miała świetny gust! To znaczy nadal ma. – Zmieszała się, zerkając na Marię, która teraz udawała obrażoną. – Opowiedziałam o wszystkim dziewczynom i pokazałam fotki niektórych rzeczy. Oszalały z zachwytu. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliła mi to wszystko wziąć. Bo pozwoliłaś, prawda? – Złożyła błagalnie ręce.

– Pewnie, że tak, tylko nie bardzo rozumiem, do czego ci one. Przecież to tylko stare łachy. Nawet nie wiem, po co je tyle czasu trzymałam. – Maria machnęła lekceważąco ręką.

– Właśnie. Byłam przekonana, że dawno się tego pozbyłaś. – Anna obejrzała raz jeszcze stylizację córki. – Jakie to szczęście, że tego nie zrobiłaś. Mela wygląda fantastycznie.

– No! – Amelia znów zrobiła piruet. – A najlepsze ze wszystkiego jest to!

Dziewczyna uniosła rąbek spódnicy. Tak jak Anna podejrzewała, pod spodem były dwie suto marszczone tiulowe halki, a pod nimi coś, co wprawiło ją w kompletne osłupienie. Amelia miała na sobie cielistoróżowy, szeroki pas do pończoch z siermiężnymi, metalowymi żabkami, podtrzymującymi beżowe pończochy z nylonu.

– Mamo! – Anna spojrzała z przerażeniem na matkę i zasłoniła usta.

Ta jednak ją zignorowała.

– Melu, przynieś mi, skarbie, okulary, zostawiłam je gdzieś na dole – oświadczyła spokojnie, a gdy tylko wnuczka się oddaliła, nachyliła się do ucha córki i wyszeptała konspiracyjnie: – Radzę ci, przyjrzyj się jeszcze raz tej bieliźnie. Czy uważasz, że nawet jeśli jakiś nastoletni amator jej wdzięków zdoła zajrzeć pod tę spódniczkę, będzie nadal zainteresowany? Bo według mnie, raczej ucieknie z krzykiem. Albo pęknie ze śmiechu, z dwojga złego.

Filuternie puściła do Anny oko, wprawiając ją tym w jeszcze większe osłupienie i jak gdyby nigdy nic poszła do kuchni. Jednak nim Anna zdążyła zastanowić się nad tym, co właśnie zobaczyła i usłyszała, do domu wpadł Franek, umorusany jak nieboskie stworzenie. Widząc matkę, zamarł i zrobił dziwną minę.

– Chcesz mi o czymś powiedzieć? – Anna przyglądała mu się badawczo.

– Tak. Idę umyć ręce – odparł z miną szelmy. Dobrze wiedział, że nie o to pytała.

Mimo to poczuła pewnego rodzaju ulgę, bo wiele wskazywało na to, że na razie nie będzie kolejnych niespodzianek. Świadczyła o tym również nieprzenikniona mina jej ojca, który wkrótce poszedł za wnukiem do łazienki. Anna pokręciła tylko głową i wciąż nieco oszołomiona sięgnęła do koszyka z gazetami, by już w spokoju dokończyć poranną prasówkę. Nie lubiła przeglądać wiadomości w telefonie, a nie mogła inaczej, bo jej laptop nie miał dostępu do sieci. Obiecała sobie w duchu zająć się tym w najbliższym czasie.

– Masz tam gdzieś gazetę z programem telewizyjnym?

Franek usiadł obok, z pilotem do telewizora w ręku.

– Przykro mi, ale nie – odparła.

Jej syn wyjął z kieszeni telefon i zaczął coś w nim przeglądać, mruczając pod nosem.

– Babciu! – Podniósł głowę i spojrzał w stronę kuchni. – Możesz mi podać swoje hasło do wi-fi?

Bo pakiet mi się skończył.

– Przecież babcia nie ma internetu, ty głupolu – parsknęła Amelia, która ubrana już we własną, całkiem współczesną odzież zeszła na dół.

– A kto ci tak powiedział? – odkrzyknęła Maria z kuchni i ściągnęła jedną z wielu karteczek przyklejonych magnesami do lodówki.

– Proszę, kochanie, tu jest wszystko zapisane. Przepisz sobie, a potem odwieś na miejsce – przykazała.

– Po co ci, mamo, internet, skoro nie masz komputera?

Anna ze zdziwieniem przyglądała się scenie.

– Ano nie mam – przytaknęła. – Ale mam za to netbooka. Jest w szafce nocnej na górze.

– Masz netbooka? W szafce nocnej? – Anna powtórzyła bezwiednie, otwierając szeroko oczy. – I potrafisz z niego korzystać? – upewniła się jeszcze, choć w obecnej sytuacji wydawało się to logiczne.

– Oczywiście, bo po cóż innego bym go sobie sprawiała? Madzia mnie do tego namówiła. Kiedy była tu ostatnio, podpowiedziała, że jeśli założę sobie internet, będziemy mogły nawet codziennie rozmawiać całkiem za darmo i oglądać się przez kamerkę. Na początku co prawda obawiałam się trochę, że sobie nie poradzę, ale potem dowiedziałam się o kursie komputerowym w domu kultury, to się zapisałam. Zięć Jasi pomógł mi kupić netbooka, a potem pokazał co i jak. I tu właśnie zapisał mi hasło, żeby się nie zgubiło. Ot i wszystko.

– Zorientowałem się prawie od razu, jak mi się wyświetliła sieć. Tylko zapomniałem spytać, bo jeszcze działał mi wtedy mój pakiet internetowy – wyjaśnił Franek.

– Przepisałeś? – Amelia wyciągnęła do niego rękę. – Bo ja też chcę.

Nie czekając na odpowiedź, wyszarpnęła mu kartkę i pobiegła z nią na poddasze, gdzie zostawiła swojego laptopa.

Franek wyrwał się za nią, ale zatrzymał go nagły dzwonek do drzwi. Rzucił się pierwszy, by otworzyć. Szybko jednak umknął zakłopotany, bąknąwszy niewyraźne „dzień dobry”, gdy okazało się, że tym razem nie są to nowe koleżanki jego siostry, na co zapewne liczył, zważywszy na podekscytowaną wcześniej minę.

W progu stała, przestępując z nogi na nogę, sąsiadka zza płotu, pani Więckowa. Pod pachą trzymała wiklinowy kosz na pranie.

– Przepraszam, ja tylko chciałam spytać, czy mogłabym zebrać to, co tam u was na sznurku...

Anna nie odpowiedziała od razu, zbyt zaskoczona tym, co usłyszała. Utkwiła w niej jedynie pytający wzrok. Kobieta, widząc to, wygarnęła nagle zza siebie kilkuletniego na oko chłopca, który zapewne skrywał się od początku za jej plecami. Nadal starała się go przesunąć bardziej do przodu, ale się opierał. Anna domyślała się, kim jest malec. Widziała go na podwórku sąsiadów, a od matki wiedziała, że to ich wnuczek, którym opiekują się pod nieobecność rodziców.

– Bo Arturek dostał od mamy i taty, z Anglii, taką zabawkę – zaczęła kobieta. – Karabin, co strzela farbą. A ja nie zauważyłam, że on celuje prosto do prania, co wisi u was na podwórku. I jak dojrzałam, to już było po ptakach... Ale nie ma się co martwić, bo to się wszystko ładnie spierze, takim

specjalnym płynem. Wiem, bo w domu wszystkie firany musiałam uprać. I to, co wisi, też wezmę i jutro przyniosę czyste.

– Mowy nie ma. – Anna usłyszała za sobą głos matki. – To zadanie dla kogoś innego. No bo kto strzelał? Ty czy babcia? – zwróciła się do malca, który teraz wystawił tylko jedno oko zza bioder opiekunki, gdzie w międzyczasie się schował. Nadal też milczał. – To taki z ciebie żołnierz? Strzelasz z ukrycia, a teraz nie masz nawet odwagi się przyznać? – Maria wycelowała w niego oskarżycielsko palec.

Wychylił się nieco bardziej, jednak trzymając się mocno babcinej spódnicy. Zmarszczył groźnie czoło i wyduł lekceważąco usta, wolną ręką chwycił się bojowo pod bok. Wciąż jednak nic nie mówił.

– Pytam po raz ostatni. Kto strzelał? Ty? Czy babcia? – Maria nieco głośniejszym głosem powtórzyła pytanie.

– Ja! – odparł butnie, cofając się jednocześnie o pół kroku.

– W takim razie zbierzesz pobrudzone pranie i pomożesz mi je włożyć do pralki. A potem razem je rozwiesimy. Dobrze?

Nie odpowiedział.

– Czy wolisz może zapłacić za szkodę z własnych oszczędności? Myślę, że masz skarbonkę, każdy przecież ma.

Arturek bez słowa wyszarpnął z rąk babci kosz na bieliznę, i ciągnąc go za sobą, pomaszzerował w stronę sznurów z praniem. W oczach pani Więckowej odmalowało się niedowierzanie.

– To ja może przyniosę chociaż ten płyn – wybąkała.

– Nie trzeba, mam coś do odplamiania, na pewno też zadziała – zaproponowała Maria. – Nastawię pralkę, a Arturek może w tym czasie pobawi się z moim wnukiem, co?

– Pomogę mu – zaofiarował się Franek. Jak się okazało, zaciekawiony czaił się niedaleko.

Gdy chwilę potem pani Więckowa, ciągle wzdychając i spoglądając na niesfornego wnuka, szła do siebie, Anna odprowadzała ją niespokojnym wzrokiem.

– Niezły ancymonek z tego malca. To synek Sylwii, ich najmłodszej córki, prawda? Gdzie ona się właściwie podziewa?

– Jest tam, gdzie większość młodych stąd. Wyjechała za granicę do pracy, razem z mężem. Syna zostawili pod opieką rodziców. Miało być na parę miesięcy, ale zrobiło się z tego dwa lata. A babka, jak widzisz, niezbyt sobie radzi z wychowaniem wnuczka. Nie ma już na to siły ani zdrowia.

– Biedny dzieciak – szepnęła Anna.

Na schodach pojawił się Franek z koszem pościeli w różnokolorowe ciapki.

– Pozbieraliśmy wszystko – zameldował. – Ale ja to bym tego nie prał. Tak dużo fajniej wygląda.

Anna zmierzwiła czuprynę syna i wzięła od niego kosz. W drodze do łazienki natknęła się na Amelię. Dziewczyna stała w pobliżu kominka i wpatrywała się w ustawione na nim fotografie w ozdobnych ramkach. Anna dopiero teraz zauważyła, że wśród nich nadal jest zdjęcie Piotra. Odstawiła na bok kosz i zeszytniała, nie wiedząc, co powiedzieć ani jak się zachować. Natomiast córka podeszła do niej, objęła ją mocno i przytuliła.

– Kocham cię, mamo, wiesz?

– Wiem, kotku. – Odwzajemniła uścisk, oddychając z nagłą ulgą. – Wiem. Ja ciebie też, nawet nie wiesz, jak bardzo.

Warsztat ojca od kilku dni był niemal stale zamknięty na klucz.

Franek zamiast spędzać tam czas, tym razem krążył po ogrodzie z naręczem bambusowych tyczek, wtykając je w ziemię tuż przy łodygach dorodnych krzaczków pomidorów, natomiast dziadek przewiązywał całość sznurkiem.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie dojrzeją. – Westchnął chłopiec, wkładając nos między zielone, aromatyczne liście. – Tak pachną już teraz, że mam ochotę spróbować liści!

– A kto powiedział, że musisz czekać? – Roześmiał się dziadek. – Bierz te kije i chodź ze mną. Tylko uważaj, nie podepcz ogórków, bo będą gorzkie!

Obaj ostrożnie omijali grządki z ogórkami, szczypiorem, pietruszką i inną zieleniną, której chłopiec nie rozpoznawał. W końcu dotarli do niedużej szklarni usytuowanej w kącie ogrodu. Dziadek uchylił drzwi i uwolnił stamtąd bardzo wilgotne ciepło, które buchnęło im w twarz.

Wewnątrz znajdowały się doniczki i podłużne skrzynki ustawione piętrowo na półkach z metalowych prętów. Rosły tam głównie aromatyczne zioła, natomiast na betonowej podłodze stały pojemniki z ponadmetrowymi krzaczkami pomidorów. Zwieszały się z nich obfite grona, ale każdy owoc był wielkości zaledwie włoskiego orzecha. Wśród wielu niedojrzałych czerwieniły się również takie, które nadawały się z pewnością do jedzenia. Dziadek wskazał je chłopcu i uśmiechnął się zachęcająco.

– Spróbuj. Nazywają się czereśniowe i trochę też tak smakuja.

Franek ostrożnie zerwał małą czerwoną kulkę i położył ją sobie na dłoni. Dziadek Stefan potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem.

– No zjedz!

– Taki nieumyty?

– Wytrzyj w spodnie, wtedy będzie umyty. – Westchnął mężczyzna i wzniosł oczy do nieba. Wnuczek zerknął na niego raz jeszcze, z niedowierzaniem, by się upewnić, czy nie żartuje, a potem posłusznie wytarł dokładnie pomidora w spodenki i jeszcze na wszelki wypadek połą koszulki. W końcu włożył pomidorka do ust.

– Aki bobły. – Mlasnął z błogim wyrazem twarzy. – Nigdy wcześniej takiego nie jadłem – dodał już z pustą buzią, od razu sięgając po kolejny. – Całkiem jakby ktoś cały smak z normalnego dużego pomidora zamknął w miniaturce. Mogę jeszcze? – spytał, już wycierając o siebie następny.

– Nie musisz pytać. Zjedz, ile chcesz. Takiego smaku nigdy nie znajdziesz w żadnym hipermarkecie. A potem pomożesz mi narwać sałaty do obiadu. Dobra?

Anna dostrzegła ich przez otwarte okno w momencie, gdy wychodzili ze szklarni. Wbrew jej przypuszczeniom, nie poszli jednak do warsztatu. Podejrzewała, że niespodzianka się udała, skoro dotąd nic się nie wydarzyło. Nawet jej matka nie skomentowała w żaden sposób braku efektów wielogodzinnego przesiadywania męża i wnuka w pracowni. Anna, mimo że wcześniej niespecjalnie się tym interesowała, nagle poczuła się zaciekawiona. Próbowwała nawet niepostrzeżenie zajrzeć do środka przez zakurzone okienko, jednak nie dostrzegła niczego szczególnie interesującego.

Nieco zawstydzona własnym wścibstwem obiecała sobie przestać się tym zajmować. I pewnie tak by się stało, gdyby nagle nie przyłapała swojego syna, jak chyłkiem przemyka przez salon, chowając coś za plecami. Na jej widok zrobił przerażoną minę i czmychnął na podwórko, gdzie oddał coś dziadkowi. Ten z kolei od razu ukrył zawiniątko za pazuchą i zaniósł je do warsztatu.

Pół godziny później Anna wychyliła się z kuchni, by poprosić Franka o kilka gałązek koperku z ogródka. Niestety, zarówno Franek, jak i jego dziadek nieoczekiwanie zniknęli z jej pola widzenia. Dlatego sama wyszła na podwórko. Wtedy dostrzegła uchylone drzwi warsztatu. Zatrzymała się, walcząc z pokusą zajrzenia do środka. Bała się jednak, że ojciec i syn będą niezadowoleni, gdy ich tam przyłapie, skoro obaj prosili, by tego nie robiła. Podeszła tylko nieco bliżej i zatrzymała się, zachowując odpowiedni jej zdaniem dystans.

– Jesteście tam? – zawołała. – Za chwilę nakrywamy do stołu.

– Chętnie pomogę, umiem układać sztuce po właściwych stronach.

Z warsztatu wyłonił się wysoki przystojny mężczyzna i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Anna cofnęła się zaskoczona, ale jej twarz również rozjaśnił uśmiech.

– Wojtek! Skąd ty tutaj?

– Miałem małą sprawę do twojego taty.

– Nieprawda – zaprzeczył ten, wychylając się z pracowni. – Było całkiem na odwrót. To ja miałem sprawę do Wojtka. I nie sądziłem, że tak szybko się uwinie, ale dzięki temu będziesz miała niespodziankę szybciej niż przypuszczałem.

– Niespodziankę? – wybąkała Anna, symulując zaskoczenie.

– Nie udawaj. Domyślałaś się przecież, że coś dla ciebie z Frankiem szykujemy. Widziałem, jak nas co rusz podpatrujesz. Na szczęście zadbałem, żeby nie dało się podejrzeć przez okienko. – Mrugnął do Wojtka porozumiewawczo.

– Tato! – Anna zarumieniła się zawstydzona. Skradając się do warsztatu, była przekonana, że nikt jej nie widzi.

– To jak, dziadku, można już? – Niecierpliwł się tymczasem Franek.

– Nie mamy już chyba na co czekać.

– Zasłonię jej oczy. – Zaofiarował się Wojtek, i zrobił to, zanim Anna zdołała zaprotestować. Usłyszała szuranie, jakby ktoś przesuwiał coś ciężkiego, i na końcu głuchy trzask.

– Już! – wykrzyknął Franek podekscytowany, a Wojtek odsłonił jej oczy.

Wszyscy patrzyli na nią z triumfem, ale i niepokojem.

– Przecież to... moje sztalugi – wyjąkała. – Skąd się tu wzięły? Myślałam, że dawno ich już nie ma.

– Stały przez te wszystkie lata na strychu – wyjaśnił ojciec. – Miałem nadzieję, że kiedyś zechcesz je zabrać. Odnowiliśmy je z Frankiem. Niestety, wszystkie pędzle i farby są już do niczego.

– No tak, leżały nieużywane prawie dwadzieścia lat.

– Właśnie. Nie wiedziałem, gdzie się takie kupuje. W naszym sklepie papierniczym nie było. Na szczęście spotkałem w hurtowni Wojtka i okazało się, że on może rozwiązać mój problem. Sam zaproponował, że kupi wszyściutko, co trzeba w specjalnym sklepie dla plastyków w Białymstoku. I dziś był w dodatku tak uprzejmy, żeby nam to dostarczyć osobiście. – Wskazał stojące na chodniku kartonowe pudło. – Masz tu farby, płótna, grunty, i te... fiksacje.

– Fiksatywy. – Roześmiał się Wojtek. – Wziąłem też suche pastele. Pamiętam, że lubiłaś nimi malować.

Anna poczuła nagły szum w głowie. Rozglądała się bezradnie, przytłoczona wrażeniami.

– Nie wiem, co powiedzieć – wydukała wreszcie.

– Powiedz po prostu, że znów zaczniesz malować – odparł ojciec z powagą.

W milczeniu pochyliła się i zajrzała do pudła. Po chwili wahania wyjęła stamtąd najpierw dużą drewnianą kasetkę. Otworzyła ją wolno. Przesunęła palcami po kolorowych tubkach, a potem odkręciła jedną. Wycisnęła ostrożnie odrobinę gęstej oleistej farby i roztarła ją w palcach.

– Nie wiem, czy jeszcze potrafię – wyszeptwała.

– Dowiesz się tego, jak tylko spróbujesz. – Ojciec pogłaskał ją zachęcająco po ramieniu.

Nie zareagowała, ponieważ od strony domu usłyszeli wołanie.

– Obiaaad!

Maria stała na progu i machała do nich drewnianą łyżką. – Wojtek, zapraszam! – dodała tonem, któremu raczej nie można było się sprzeciwić.

Anna jednak coś sobie jeszcze przypominała. Jej syn od kilku dni dziwnie się zachowywał i nie wszystko, co robił, pasowało do ujawnionej właśnie niespodzianki.

– Możesz mi teraz powiedzieć, co przemyślałaś parę dni temu do pracowni? – zagadnęła go.

Franek, zamiast odpowiedzieć zachichotał tylko i pobiegł do warsztatu, z którego po chwili dał się słyszeć dźwięk przypominający klakson. Annie wydał się dziwnie znajomy. Nie zdążyła jednak

zastanowić się nad tym, ponieważ ujrzała, jak jej dziecko wyprowadza z garażu błyszczący czerwony rower. Franek z bardzo zadowoloną miną naciskał przymocowaną do kierownicy trąbkę.

– Jest od twojego roweru! – zawołała. Dziwiła się, że od razu jej nie rozpoznała. Wcześniej co najmniej milion razy słyszała ten irytujący dźwięk. – Po co ją zabrałeś?

– Dziadek powiedział, że może mi się przydać. I miał rację!

– Ale skąd wziął dla ciebie...? – Urwała i przeniosła wzrok na rower. – Przecież to jest mój stary składak! – wykrzyknęła. – Jak to możliwe? Byłam przekonana, że dawno pozbyliście się tego rupiecia.

– Przecież to jest całkiem porządny sprzęt. Teraz już takich nie robią. – Jej ojciec był innego zdania, o czym świadczyła też jego oburzona lekko mina. – Przejrzałem go dokładnie, wymieniłem co trzeba, nawet pomalowaliśmy go z Frankiem na nowo.

– Ale nadal jest taki... czerwony – wyszeptwała oszołomiona.

– Super, nie? – podchwycił jej syn, wskakując na siodełko. – Popatrz, jak świetnie jeździ! – krzyknął, robiąc wokół nich małe kółka. – Miałem ci go pokazać dopiero jutro, jak dodam jeszcze parę bajerów na szprychy, ale już teraz to jest chyba najlepszy rower, na jakim kiedykolwiek jeździłem!

– Zupełnie, jakbym cofnęła się w czasie. – Anna zerknęła na Wojtka, jednak szybko spuściła wzrok.

– Ale to chyba dobrze, prawda? – spytał, mrużąc lekko oczy.

Wzruszyła ramionami, nic nie mówiąc. Sama wciąż nie była tego pewna. Przyjazd do Bujan nie tylko przywołał wspomnienia, ale też je zmaterializował. Zupełnie jakby Anna Radecka przestała istnieć, natomiast z bardzo dalekiej podróży w czasie wróciła dawna Ania Głazik, jedynie starsza i odmieniona, bogatsza o nowe doświadczenia, nie tylko te dobre.

Znów spotykała ludzi, o których zdążyła zapomnieć, oglądała miejsca, które, mimo że wyglądały inaczej, były tymi, które mimowolnie i chyba nieświadomie przechowywała w zakamarkach pamięci. Wciąż dostarczano jej też okazji do porównywania zapamiętanych obrazów z teraźniejszością.

Przyjeżdżając do Bujan, miała nadzieję zacząć wszystko od nowa, jednak teraz już nie była pewna, od którego właściwie momentu. Jak daleko powinna się cofnąć, i czy w ogóle należało to robić? Czy mieszając przeszłość z teraźniejszością, postępuje właściwie? Nie miała pojęcia, co z tego kolażu może powstać, i zaczynała rodzić się w niej pewna obawa o to, co będzie dalej. Z nią i jej dziećmi. Przejechała do rodzinnego domu z głęboką wiarą, że tylko w Bujanach uporządkuje mętlik panujący w jej głowie, tymczasem działa się wręcz odwrotnie. Wszystko gmatwało się coraz bardziej.

Nadal nie umiała określić uczuć, jakie wywołał w niej widok jej starych sztalug. Chciała powiedzieć o tym Wojtkowi, gdy już tylko we dwoje usiedli z kawą i deserem na werandzie, ale nie była pewna, czy ją zrozumie. Wtedy nagle przypomniała sobie, że w jej przeszłym życiu był taki czas, gdy nikt nie rozumiał jej tak dobrze jak on, i mimowolnie się zarumieniła.

– Niesłodzona i z mlekiem? – spytała, stawiając przed nim filiżankę.

– Pamiętałaś? – Wydawał się zaskoczony.

– Nie ja, mama – odparła odrobinę zakłopotana, jakby to, że nie pamięta, było powodem do wstydu. – Niekiedy mi się wydaje, że zapomniałam o zbyt wielu rzeczach. Ważniejszych niż mleko do kawy – dodała, by się usprawiedliwić.

– Przypomnisz sobie z czasem. Twój ojciec miał świetny pomysł z tymi sztalugami. Pamiętam, że uwielbiałaś malować. Ciągłe miałaś coś upačkane farbą. Ręce, ciuchy, włosy, a niekiedy też moje ręce, ciuchy i włosy wyglądały podobnie tylko dlatego, że byłem akurat obok... – Zaśmiał się trochę nerwowo. – Dlaczego właściwie przestałaś to robić?

– Nie wiem. Może po prostu z niektórych rzeczy się wyrasta albo o nich zapomina, bo wypierają je inne sprawy, ważniejsze.

– Co może być ważniejsze od pasji?

– Nie przesadzaj! – Roześmiała się. – To było tylko zwykłe bazgrolenie, żadna pasja.

– Uwielbiałaś to, więc to musiała być pasja.

– Byłam w tym kiepska.

– Nie wydaje mi się. Ale nawet gdyby tak było, pamiętasz, co mówiłaś? – Popatrzył na nią

wyczekująco. – No? Przypomnij sobie! Wciąż powtarzałaś, że obraz to jest tylko efekt uboczny niezwykłego procesu, jakim jest akt twórczy. Że nieważne jest, czy dzieło się komuś podoba, czy nie, bo najważniejsza jest radość, z jaką powstaje. A ciebie malowanie uszczęśliwiało, jestem tego pewien. Musisz pamiętać to uczucie.

– Ale nie pamiętam.

– Jest bardzo prosty sposób, żeby to zmienić. – Wskazał karton z przyborami do malowania.

– Bo wam zawsze wszystko wydaje się takie proste...

– Nam? – zdziwił się.

– No wam. Ludziom stąd.

– Ale przecież ty też jesteś stąd. Z Bujan.

– Wystarczająco długo byłam w innym miejscu, żeby mnie zmieniło – odparła po długim namyśle.

Potem długo jeszcze się nad tym zastanawiała, siedząc już na werandzie sama, bez Wojtka. Początkowo nawet nie spojrzała w stronę pudełka z niespodzianką od ojca, jakby bała się tego, co może się wówczas stać. Dopiero wieczorem, gdy była pewna, że nikt jej na tym nie przyłapie, ustawiła na drewnianych sztalugach niewielkie podobrazie. Dotknęła płótna na blejtramic, ostrożnie badając palcami grubość jego wątku i osnowy.

Zamknęła na chwilę oczy. Gdy je otworzyła, popatrzyła na wyjęte z pudełka przybory. Sięgnęła po jeden z największych pojemników. Odkręciła, zanurzyła palec w gęstej białej mazi i naniosła ją na płótno. Odgarnęła włosy z czoła, nie zauważając, że zostawia na nich długi lepki ślad. Uśmiechnęła się i odszukała odpowiedni pędzel, zanurzyła go w słoiku z gruntem.

Już wiedziała, co powinna namalować.

Nie mogła się powstrzymać przed nieustannym zerkaniem w stronę sztalug, gdzie nadal schło na razie zagruntowane jedynie płótno. Nie miała już wątpliwości, że ten skrawek przeszłości, stare sztalugi i przybory do malowania, zdecydowanie znalazły swoje miejsce w jej teraźniejszości. Wpasowały się w nią, jak brakujący element puzzli. Wręcz pokazały jej, jak niedoskonała i niepełna była dotąd układanka, którą było jej własne życie. I jak bardzo przez te wszystkie lata brakowało mu tego zagubionego gdzieś po drodze fragmentu.

Przypomniała sobie, czym niegdyś był dla niej czas poświęcany rozrabianiu farb, gruntowaniu płócien i wycieraniu pędzli w coraz bardziej poplamione szmatki. Znowu poczuła radosny niepokój, ciekawość i podniecenie towarzyszące wyciskaniu zawartości kolejnych tubek na drewnianą paletę, w oczekiwaniu na narodziny nowych, czasem trudnych do przewidzenia barw. Uwielbiała moment, kiedy wreszcie przenosiła je na płótno. Z lekkim niepokojem obserwowała ich reakcje na nowe, nieznanne im wcześniej sąsiedztwo odcieni, jak pod ich wpływem same się zmieniają, wpadając w coraz to inne tony, przenikając się wzajemnie, dominując i tłamsząc, lub poddając się bezwolnie tym silniejszym. Z fascynacją obserwowała grę kolorów, której ona była dyrygentem, a pędzel batutą.

Już świadomie przywoływała wspomnienia, na nowo odczuwała zapomniane dawno temu emocje. Cieszyła się z ich powrotu i jednocześnie odkładała niektóre na później. Zupełnie jak dziecko, które nie rozpakowuje prezentu, by przedłużyć cudowny moment niepewności i wyczekiwania, zanim rozwiąże kokardę, rozerwie papier i otworzy pudełko. Czekala też na odpowiedni czas. Pragnęła jak najlepiej przygotować się na moment, gdy wreszcie zacznie malować to, co na razie rodziło się dopiero w jej głowie.

Niechętnie oderwała wzrok od zagruntowanej płachty, a uwagę od własnych myśli. Z książką znalezionej w domowej biblioteczce, kiedyś jedną z ulubionych, wyszła na werandę. Nie była pewna, czy chce ją czytać, ale to nie miało znaczenia. Porośnięta bluszczem przestrzeń była ulubionym miejscem. Tak, jak kiedyś. Spędzała tu niemal każdą wolną chwilę, wymigując się od spacerów, namawiana przez matkę lub Amelię. Wolala zostać w domu. Wciąż nie czuła się gotowa na spotkania z innymi ludźmi. Krępowaly ją zaciekawione spojrzenia osób, których nie znała lub nie potrafiła rozpoznać.

Zeby ukrócić nalegania córki, obiecała jej, że razem odwiedzą Agnieszkę w lecznicy. Zgodziła się na to również po to, by wreszcie wywiązać się ze złożonej spontanicznie obietnicy i pomóc w opiece nad zwierzętami. Odłożyła to jednak na kolejny dzień, wymawiając się bólem głowy. Dzięki temu zyskała trochę spokoju i mogła zostać sam na sam ze swoimi myślami.

Gdy tylko to sobie uprzytomniła, usłyszała skrzyknięcie furtki. Wyjrzała, rozchylając pędy winobluszczu. Ze zdumieniem rozpoznała mężczyznę, który opiekował się zwierzętami w lecznicy. Cofnęła się szybko, ponieważ mimo zachowania ostrożności, wydało jej się, że ją dostrzegł. Na szczęście to było tylko złudzenie. „Czego on tu szuka?” – zastanawiała się. Weszła do domu, by to sprawdzić. Wyjrzała na wewnętrzną część podwórka przez okno w kuchni. Mężczyzna rozmawiał z jej ojcem.

– Och! Jak to dobrze, że już jest! – Usłyszała za sobą głos matki. – Bałam się, że nie znajdzie czasu. Od kiedy pracuje u Agnieszki, ma prawdziwe urwanie głowy z tym zwierzyńcem. Pewnie dziewczyny dziś go zastąpiły.

– Znasz go?

– No coś ty? Przecież to Fabian.

Marię wyraźnie zdziwiło jej pytanie.

– Fabian?

– Nie poznajesz? Od dawna przychodzi pomagać nam w cięższych pracach. Widziałas go wiele razy. Dziś mają przywieźć drewno na zimę. Fabian pomoże ojcu to rozładować i porąbać.

– Żartujesz! Naprawdę? Jasne, że go pamiętam, ale trudno mi uwierzyć, że to ten sam człowiek. Spotkałam go parę dni temu przed sklepem, a potem jeszcze raz u Agnieszki. Wydawało mi się tylko, że

go znam, ale to dlatego, że wcześniej był trochę taki, jakby to powiedzieć...

– Zapuszczony?

– Mniej więcej. – Skrzywiła się, bo słowo wydało jej się zbyt delikatne, czego nie wypadało jej przyznać.

– Trochę mu się ostatnio w życiu pozmieniało, może to dlatego.

– Ale domyślałam się, że na lepsze?

– Niestety, nie za bardzo. A przynajmniej nie w takim sensie, jak pewnie myślisz.

– Nie rozumiem.

– Nie jest tajemnicą, że Fabian pił. Dużo. Przychodził do nas robić różne rzeczy, a ja dawałam pieniądze jego żonie. Tak się umówiliśmy i nigdy nie próbował tego zmieniać. Chyba nie miał odwagi, bo było wiadome, na co by je wydał. Niestety, jak się z czasem okazało, miał już odwagę zabierać te pieniądze żonie, a ona z kolei wstydziła się mi o tym powiedzieć. I pewnie też bała.

– Bała? Czego? – Anna zadrżała, przeczuwając, jaka będzie odpowiedź.

– Tego, że kiedy się o tym dowiem, że on te pieniądze przepija, nie dam mu zarobić więcej ani grosza. Bała się też tego, co jej zrobi, gdy się zorientuje, że mi powiedziała.

– Bił ją?

– Nie. Na pewno nie. Ale dręczył. Psychicznie, a to bywa gorsze niż bicie. Dlatego w końcu nie wytrzymała. Zabrała dzieci i uciekła do siostry, aż pod Opole. Fabian najpierw wściekł się strasznie. Szalał, potem pił na umór, znów szalał, i tak w kółko, aż się chyba tym zmęczył. I wreszcie rozejrzał się wokół siebie, jak nigdy wcześniej. Chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył, bo przestał pić. Nagle, z dnia na dzień. Od tamtej pory nie wziął do ust nawet kropli alkoholu. Zamiast tego ogarnął się jakoś, zapisał do grupy wsparcia, poszedł do normalnej pracy.

– Zatrudnił się w lecznicy, tak?

– No coś ty? Tam pomaga całkiem za darmo. A pracuje u Wojtka w hurtowni budowlanej, jako nocny stróż. Szczerze mówiąc, tata się za nim wstawił. Bałam się nawet trochę, że jeśli Fabian wróci do picia, to ojciec będzie musiał świecić za niego oczami. Jednak na szczęście się myliłam. Wojtek jest bardzo zadowolony z Fabiana jako pracownika, a Fabian naprawdę się stara. Pewnie też chce w ten sposób podziękować ojcu za okazany mu kredyt zaufania.

– A żona? Bo chyba wróciła do niego, skoro tak bardzo się zmienił?

– Nie wróciła. I już raczej tego nie zrobi. Za długo Fabian wracał do ludzi. Hela czekała, przyjechała nawet raz z dziećmi, ale on wtedy tak zapił, że nawet nie wiedział, że była. Czekala, aż straciła nadzieję. Wtedy pewnie ktoś odpowiedni się przy niej pojawił i dał to, czego nigdy nie dostała od męża.

– Ułożyła sobie życie na nowo?

– Tak. Wygląda na to, że jest szczęśliwa.

– A Fabian?

– Żyje dalej, a raczej wegetuje, starając się wypełnić całkowicie swój czas pracą, żeby minął mu jak najszybciej do kolejnego spotkania z dziećmi. Bo tylko przy nich odżywa. A w tym roku przyjadą dopiero w sierpniu, bo pojechały na kolonie.

Anna wyjrzała jeszcze raz przez kuchenne okno. Ojca i Fabiana już tam nie było, ale gdy się rozejrzała, niedaleko miejsca, gdzie znów suszyło się pranie, za płotem sąsiadów mignęła jej jasna dziecięca głowa.

– Arturek – jęknęła. – Kręci się znów przy naszym praniu. Pójdę lepiej, sprawdzę, czy wyschło, i zbiorę, zanim znowu coś mu strzeli do głowy. A przy okazji przywitam się z panem Fabianem.

Wyszła na podwórko, zgarniając po drodze stojący na schodach wiklinowy kosz. Okazało się, że Fabian z ojcem odeszli w przeciwległy róg posesji i stanęli pomiędzy garażem a niskim płotkiem oddzielającym ogród warzywny od trawnika. Ojciec pokazywał coś mężczyźnie. Pewnie tam właśnie zaplanował miejsce na drewno. Fabian nie mówił nic, jedynie przytakiwał raz po raz, trzymając się pod boki. Kiedy odwrócił się na chwilę, Anna uśmiechnęła się i skinęła głową, na co ten odpowiedział równie uprzejmym niemym pozdrowieniem. Chciała podejść i zamienić z nim kilka słów, wyjaśnić i przeprosić

za to, że go nie rozpoznała, jednak po chwili namysłu zrezygnowała. To nie był odpowiedni moment, postanowiła poczekać na lepszą okazję.

Podeszła do sznurów z praniem. Postawiła kosz, zerkając ukradkiem na podwórko sąsiadów. Arturek w międzyczasie oddalił się nieco i stał obok garażu przylegającego do ogrodu. Anna zaczęła powoli składać ubrania. Kątem oka wciąż obserwowała chłopca. Przesuwając się stopniowo wzdłuż sznura, zbliżyła się do niego, co pozwoliło jej lepiej mu się przyjrzeć.

Chłopczyk stał przy drzwiach garażu i pisał coś na nich kredą. Kiedy jednak wyteżyła mocniej wzrok, zorientowała się, że były to tylko szlaczki udające pismo. Arturek, zapewne nie znając jeszcze liter, tworzył kolejne rzędy niby-wyrazów, mamrocząc coś pod nosem. Anna z zaciekawieniem nadstawiła uszu, po czym zamarła zdumiona

– Kur-wa mać kur-wa mać – sylabizował w rytm ruchu ręki, w której trzymał kredę.

Nagle Anna zorientowała się, że Arturek zerka na nią co pewien czas, więc pewnie od początku doskonale zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany, i być może usiłował ją sprowokować. Zaintrygowana natychmiast odwróciła wzrok i schyliła się do kosza, udając, że jest całkowicie pochłonięta składaniem prania. Spod półprzymkniętych powiek widziała, jak chłopiec coraz odważniej jej się przygląda.

– A widziałaś, co napisałem na garażu? – Nie wytrzymał i wreszcie ją zagadnął.

Podniosła na niego wzrok. Stał teraz całkiem blisko, lekko zasmarkany, z kredowym pyłem przyklejonym do mokrego śladu pod nosem.

– No właśnie widziałam – odparła, uznawszy, że jest jeszcze za wcześnie na komentarz.

Arturek zachichotał z wyraźnym zadowoleniem. Wziął się pod boki i patrzył na nią wyzywająco i zadziornie.

– I co? – spytał znów.

– I nic. Zastanawiam się, co powie babcia, kiedy zobaczy, jakie okropne słowa tu napisałeś.

– Wcale się jej nie boję – zaperzył się, ale mina lekko mu zrzęda.

– To dobrze, nie powinieneś się jej bać, w końcu to twoja babcia. Ale mam nadzieję, że nie opowie o tym, co zrobiłeś, twojej mamie, bo pewnie jej też byłoby przykro.

Arturek przestał się uśmiechać i zaczął przestępować z nogi na nogę, zerkając na nią spode łba. Wytarł rękawem nos, rozmazując to, co pod nim było, w o wiele dłuższą smugę, bo sięgającą aż do samego ucha.

– Mama jest fajna i przysyła mi zabawki.

– Pewnie, że jest fajna. Na pewno myśli, że jesteś grzecznym chłopcem i nie sprawiasz kłopotów babci. Tym bardziej mam nadzieję, że babcia nie opowie jej o tym, co tu napisałeś. Pewnie bardzo by się rozczarowała i byłoby jej smutno.

– Nie powie. Ja jej na to nie pozwolę!

Anna popatrzyła na chłopca i wzruszyła ramionami, udając, że jej to nie obchodzi. Pochyliła się nad koszem również po to, by chłopczyk nie dostrzegł, jak przygryza usta, już znacznie mniej rozbawiona. Stał jeszcze chwilę, obserwując każdy jej ruch, ale nie odezwała się już do niego. Zabrała kosz i ruszyła w stronę domu. Odchodząc, obejrzała się dyskretnie. Arturek znów był przed garażem. Rękawem bluzy ścierał z zaangażowaniem wszystkie kredowe szlaczki.

– Dobrze i to – westchnęła z niewielką ulgą.

– Nie może pani zabrać Korka razem z Kapsłem – oświadczyła kategorycznie Flo, przypinając psom smycze. – I jeśli bierze pani Lalę, to dobrze byłoby też wziąć Bibinkę.

– Dlaczego?

– Kiedy wyprowadza się kilka psów jednocześnie, nie można ich dobierać przypadkowo – poinstruowała ją dziewczyna. – Nie wszystkie się tolerują. Na przykład Korek nienawidzi Kapsła i zawsze go atakuje. A jeśli Lala pójdzie bez Bibinki, czuje się nieszczęśliwa, bo one są ze sobą okropnie zżyte i nie lubią się rozstawać.

– Zupełnie jak ludzie.

Flo zerknęła na nią spode łba i pokręciła głową, zagryzając nieznacznie wargi.

– Wcale nie – odparła po chwili. – One nie są jak ludzie. One są od nas lepsze.

– Niestety, prawdopodobnie masz rację.

Anna obserwowała pozostałe dziewczęta, które wyprowadzały kolejne psy z kojców. Uśmiechnęła się pod nosem, widząc, jak jej córka stara się okiełznać niepoohamowane objawy miłości wielkiego bernardyna i strząsa z łokcia półmetrowy glut ze śliny.

– Gotowe? Idziemy? – zawołała, gdy wszystkie smycze zostały przypięte.

Wyszły tylną furtką, wprost na polną drogę wiodącą do niewielkiego, brzozowego lasku. Lecznica znajdowała się na skraju Bujan, więc bezpośrednio za nią nie było już innych zabudowań, natomiast zaczynały się pola uprawne i pastwiska, należące prawdopodobnie do okolicznych gospodarstw.

Anna często przyglądała się też rysującym się w oddali domostwom, jednak ze względu na psy nie zapuszczała się na tyle daleko, by przyjrzeć się już z bliska tej niewielkiej osadzie, będącej w zasadzie kolonią miasteczka. Teraz też z Bibinką i Lalą, które spuszczone ze smyczy na swoich krótkich łapkach plątały się wokół jej nóg, podeszła tylko do rozległej łąki, gdzie pasły się łaciate krowy. Teren nie był ogrodzony, co w pierwszym momencie nieco ją zdziwiło, a nawet przestraszyło, jednak kiedy przyjrzała się dokładniej zwierzętom, dostrzegła przyczepione do kantarów łańcuchy, których końce przytwierdzono do podłoża palami.

Początkowo była tym oburzona, jednak szybko doszła do wniosku, że krowy z pewnością nie wyglądają na nieszczęśliwe. Przechadzały się spokojnie, leniwie żując trawę. Na nieśmiałe nawoływania Anny zareagowała tylko jedna, odwracając łeb i obdarzając ją beznamiętnym spojrzeniem ogromnych czarnych oczu, otoczonych niewiarygodnie długimi rzęsami. Anna wpatrywała się w nie jak urzeczone, żałując, że jej telefon robi tak mało wyraźne zdjęcia. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak piękne są te pozornie pospolite zwierzęta i jak wiele mają w sobie uroku. Z ochotą poprzyglądałaby się im o wiele dłużej, gdyby nie to, że w oddali zobaczyła dziewczęta wracające z lasu w towarzystwie największych schroniskowych psów. Cmoknęła niecierpliwie na leżące u jej stóp dwie maleńkie suczki, przypięła im smycze i pobiegła w przeciwną stronę.

Po wielu długich spacerach z kolejnymi szalejącymi z radości psami, Anna mimo fizycznego wycieńczenia czuła się zadziwiająco dobrze. Po plecach spływał jej pot, ale w środku czuła się tak, jakby właśnie zażyła relaksującej kąpieli. Z bólem serca zamykała kolejne kojce, starając się nie patrzeć w smutne psie oczy, które odprowadzały ją do samych drzwi przychodni. „Wrócę tu jutro” – obiecywała w duchu. Im i sobie.

Weszła do lecznicy i zajrzała do poczekalni. Nie było w niej pacjentów, więc od razu zapukała do gabinetu. Agnieszka pisała coś w skupieniu.

– Nie przeszkadzam?

– Ależ skąd! Wchodź. Zresztą, już kończę.

Zamknęła pokrywę laptopa. Anna usiadła naprzeciwko.

– Powiedz mi, co z Nusią? Kontaktowałaś się z właścicielami shih tzu, o których wspominałaś?

– Tak. Trochę to trwało, bo jeden z nich akurat wyjechał, więc musiałam czekać aż wróci, ale opłaciło się. Rozpoznał naszą Niusię. Okazało się, że to suczka jego sąsiada.

– Stąd? Z Bujan?

– Nie. Ze wsi, jakieś dziesięć kilometrów stąd. Pewnie dlatego nikt z miejscowych jej nie rozpoznał.

– I co teraz? Pojedziesz do tego drania? Jeśli chcesz, mogę ci towarzyszyć, razem więcej wskóramy!

– Dzięki, ale nie ma już takiej potrzeby.

– Nie rozumiem! Opuuszczasz mu?

– W pewnym sensie tak.

– Zwariowałaś? Nie możesz! Koniecznie trzeba się z nim rozprawić, i bez ceregieli! Musimy jechać!

– Już nie. Wyobraź sobie, że wczoraj sam się do mnie zgłosił.

– Żartujesz! I co? Przyznał się?

Anna nie posiadała się ze zdumienia, natomiast Agnieszka popukała się znacząco w czoło.

– Nie tylko się nie przyznał, ale z miejsca zaczął mi grozić.

– On? Tobie? Co ty opowiadasz?

– Mówiłam ci. Na szczeniaki Niusi było wielu chętnych, bo wyglądają jak rasowe. Niektórzy chcieli je nawet kupić, ale ja ogłosiłam, że nie są na sprzedaż i że sama znajdę im dobrych i odpowiedzialnych opiekunów. Tymczasem ten typek wpadł tu z wrzaskiem, że ukradłam mu jego cenne rasowe psy i po cichu sobie nimi handluję.

– Nie wierzę. – Anna prychnęła z oburzeniem. – Co za tupet! A poza tym skąd on w ogóle wiedział, gdzie ich szukać?

– Nie jestem pewna, ale prawdopodobnie ktoś, komu nie chciałam sprzedać szceniąt, dotarł do właściciela Niusi i zaproponował mu za nie kasę, informując przy okazji, gdzie są szczeniaki. No a facet zwęszył interes. Dlatego postanowił je odzyskać.

– Co za pazerny gnojek! A spytałaś go chociaż, dlaczego przywiązał ciężarną suczkę do drzewa?

– Oczywiście. Poinformowałam też o odpowiedzialności karnej, ale ten buc wszystkiego się wyparł. Stwierdził, że ktoś mu ukradł sukę, żeby się wzbogacić na rasowych szczeniakach.

– Chyba mu nie uwierzyłaś?

– Oczywiście, że nie. Jestem przekonana, że to on porzucił ją w lesie i niestety zdaję sobie sprawę, że nic mu nie mogę zrobić, bo nie złapałam go na gorącym uczynku. On też to wie i dlatego odważył się przyjść. W dodatku ma świadków na to, że Nusia jest jego własnością.

– Czyli co? Może ją teraz sobie zabrać? Ot tak? I szczeniata?

– Teoretycznie.

– Teoretycznie?

– Tak. Teoretycznie.

– A ty zamierzasz mu na to pozwolić?

– Już pozwoliłam. Teoretycznie.

– Aga!

Agnieszka zrobiła zagadkową minę i otworzyła pokrywę laptopa. Obróciła ekran w stronę Anny.

– Pokazałam mu rachunek. O ten.

– O kurczę. – Anna pokręciła głową z uznaniem. – Całkiem przyzwoita sumka.

– Uczciwie i rzetelnie obliczona. Zgodnie z naszymi cennikami, bez żadnych kręctw. Wydrukowałam mu to i podstawiłam pod nos. Powiedziałam, że może zabrać psy zaraz po tym, jak zapłaci za ich leczenie i pięciodobny pobyt w lecznicy. Skoro są jego własnością, koszty też należą do niego.

– Zagrałaś va banque.

Anna wciąż była pełna podziwu dla przyjaciółki.

– Nie miałam wyjścia.

– I co on na to?

– Najpierw zrobił się zielony, a potem spytał, czy może zobaczyć psy. Zaprowadziłam go do nich i jeśli dotąd mogłam mieć jakieś wątpliwości co do swojej decyzji, to Nusia mnie ich całkowicie pozbawiła. Jak tylko zobaczyła tego drania, schowała się w najdalszy kąt kojca, a potem zaczęła na przemian warczeć i przeraźliwie skomleć. Facet tak się wystraszył, że ledwie na nią spojrział, a potem wycofał się rakiem, twierdząc, że to jakaś pomyłka, bo to nie jest jego suka. Widać kwota na moim rachunku musiała być wyższa niż ta, którą oferowano mu za szczenięta.

– Z pewnością – zaśmiała się Anna, jednak zaraz spowaźniała. – Ale nie wszystko dobrze się skończyło. Ten potwór powinien jednak zostać ukarany.

– Wiem. Niestety, nic nie możemy zrobić. Jedyne cieszyć z tego, że przynajmniej psy dało się uratować.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Anna poderwała się do wyjścia, sądząc, że to pacjent, ale w progu zderzyła się ze swoją córką. Amelia położyła jej ręce na ramionach.

– Szukałam cię. Idziemy?

– Myślałam, że chcesz jeszcze побыć ze swoimi koleżankami.

– Nie. Teraz chciałabym побыć z tobą.

– Więc może skoczmy na jakieś lody, co?

Dziewczyna skinęła głową z aprobatą.

Pożegnały się z Agnieszką i razem poszły do samochodu. Kilkanaście minut później usiadły na betonowym murku przed sklepem w pobliżu parku, liżąc cytrynowe sorbety na patyku. Obróciły twarze ku grzejącemu wyjątkowo mocno o tej porze dnia lipcowemu słońcu, by dodać bladym cerom trochę złotego koloru. Amelia wsparła głowę na ramieniu matki. Trwały tak przez całkiem długi moment. I chociaż nie odzywały się do siebie ani słowem, obie wiedziały, że to jedna z najlepiej spędzonych razem chwil, od momentu, kiedy w życiu obu zabrakło najważniejszego dla każdej z nich mężczyzny. Dla jednej ojca, dla drugiej męża.

– Jak to dobrze, że tu przyjechałyśmy. – Dziewczyna objęła matkę w pasie i pocałowała ją w policzek, zostawiając na nim lepki słodki ślad i wywołując tym jej śmiech. – Dziękuję, mamó – dodała, patrząc jej prosto w oczy.

Anna nie musiała odpowiadać, słowa były w tym momencie zbędne.

Z przyjemnością powróciła do wspomnienia tej właśnie chwili wieczorem, gdy wyszła na werandę z kubkiem kakao. Zastała tam swoją matkę z laptopem na kolanach. Usiadła naprzeciwko niej.

– Wiesz, mamus? Dziś był naprawdę dobry dzień.

– Po dobrym dniu ma się na ogół dobre i spokojne sny. A to z kolei sprawia, że następny może być jeszcze lepszy.

– Tutaj, w Bujanach, wszystko jest lepsze, mamó.

– Ale świat się nie kończy w Bujanach. Może należeć do ciebie wszędzie tam, gdzie tylko się ruszysz, ale trzeba nauczyć się to „dobre” zabierać ze sobą. I mieć zawsze przy sobie, gdziekolwiek się jest.

– Gdyby to było takie proste...

– Nic w życiu nie jest proste, kochanie. Dlatego jest ono takie ciekawe.

W domu panowała idealna cisza. Mimo że słońce od dawna panoszyło się w niemal wszystkich kątach od strony wschodniej, dla jego mieszkańców pora była jeszcze zbyt wczesna na rozpoczęcie kolejnego dnia.

Anna nie spała jednak od co najmniej godziny. Leżała z otwartymi oczami i obserwowała poruszające się za oknem liście winobluszczu. Dopiero gdy nasyciła się tym widokiem, podniosła się z łóżka i boso, stąpając delikatnie prawie na palcach, podeszła do stojącej w kącie sztalugi. Przesunęła dłonią po suchym płótnie, a potem podniosła je i ustawiła na podłodze pod ścianą. Chwyciła drewnianą konstrukcję i ostrożnie, tak by nie narobić hałasu, wyniosła na werandę. Ustawiła w wąskiej smudze światła, w pobliżu schodów wiodących do ogrodu. Cofnęła się kilka kroków i przechyliła głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Uśmiechnęła się.

– Zrobię to wreszcie – wyszeptwała. – Dziś cię namaluję.

Po południu przyszła pani Jasia. Przyniosła wiaderko pełne wiśni i razem z Marią zasiadły do drylowania. Anna przyglądała im się z werandy. Pani Jasia dyskutowała o czymś zawzięcie, gestykulując czerwonymi od soku dłońmi, a Maria potakiwała, tylko od czasu do czasu przegryzając milczenie włożoną do ust wiśnią.

W końcu Anna zdjęła poplamiony farbami fartuch i zeszła do ogrodu. Roześmiała się mimowolnie, dopiero z bliska widząc twarze kobiet – całe usiane czerwonymi piegami. Matka rzuciła w nią jędrną, ciemnobordową kulka.

– Śmieję się, śmieję, a będziesz tak samo wyglądać, jeśli jeszcze chwilę tu postoisz.

– Może wam pomogę? Szybciej skończycie. Wyglądają na bardzo świeże. Lepiej, żeby za długo nie leżały w słońcu.

– Świeżusieńkie, a jakże – przytaknęła żarliwie pani Jasia. – I to z mojego ogrodu. Dziś rano rwane. W całych Bujanach nie ma lepszych.

Pani Jasia podsunęła jej kilka owoców. Anna spróbowała i od razu wyciągnęła rękę po kolejną garść.

– Są słodkie niemal jak czereśnie!

– Bo nasze podlaskie tak właśnie smakują – odparła Jasia. – Najlepsze pod słońcem!

– I dlatego chciałabym ich trochę przechować na zimę. W postaci kompotów i nalewek – oświadczyła Maria i żartobliwie trzepnęła córkę po dłoni, gdy po raz kolejny zanurzyła ją w owocach. – A pomoc nie możesz, bo nie mamy trzeciej drylownicy – dodała.

– Wobec tego zajmę się obiadem – odparła Anna i obróciła się na pięcie. Zanim jednak odeszła, zabrała z wiadra garść owoców i ze śmiechem pobiegła do domu.

Maria przerwała pracę i odprowadziła córkę wzrokiem, nie kryjąc zadowolenia. Jasia, widząc to, pogłaskała ją po ramieniu, zostawiając na nim wiśniowy ślad.

– Mówiłam ci przecież. U nas odżyje i w końcu zapomni.

Niemal wszystko, co działo się tego dnia, w przedziwny sposób poprawiało samopoczucie Anny. Pomyślała, że powinna dobrze wykorzystać ten nagły przyływ dobrej energii i nastroju. „Zanim zniknie” – pomyślała bezwiednie. Dlatego jak tylko obrała ziemniaki i marchewkę na surówkę, wytarła ręce w fartuch i sięgnęła po telefon. Wybrała numer do Bożeny. Pomyślała, że koleżanka prawdopodobnie jest w domu sama, a drylowanie wiśni z pewnością zajmie Jasi jeszcze sporo czasu. Był to więc idealny moment na nadrobienie zaległej wizyty i tym razem swobodnej rozmowy, bez ciekawskich uszu gospodyni. Bożena odebrała telefon już po pierwszym sygnale, jednak brzmiała dziwnie. Anna zaniepokoiła się i przez moment nawet samolubnie pożałowała, że do niej zadzwoniła. Przestraszyła się, że to, co usłyszy, zepsuje jej dobry humor.

– Coś się stało? – spytała ostrożnie.

– Chyba nic... mam nadzieję, że nic. – W głosie kobiety pobrzmiwało wahanie. – Jedziemy właśnie do szpitala, żeby się upewnić.

– To znaczy, że jednak coś dzieje?

– Poczułam delikatne skurcze. Pewnie to nic takiego, jednak wolę mieć pewność, że z maleństwem jest wszystko w porządku.

– Słusznie. Zadzwonisz, jak już będziesz coś wiedziała? Tak?

– Jasne.

– Ach, jeszcze jedno. Jest u nas pani Jasia. Czy mam jej...?

– Oj nie! Absolutnie jej nie mów. Będzie się niepotrzebnie denerwować.

– Dobrze. Nie powiem.

Odłożyła telefon z nagłym poczuciem winy, że dotąd nie znalazła czasu, by jeszcze raz odwiedzić

Bożenę. Miała jednak nadzieję, że niedługo będą mogły się spotkać. Może gdy już urodzi się dziecko.

Ponieważ jednak nadal miała ochotę gdzieś wyjść, postanowiła wcześniej niż zwykle pojechać do lecznicy. Liczyła, że będzie mogła zabrać ze sobą Amelię, ale nie zastała jej w pokoju na górze. „Pewnie już wyszła z dziewczętami” – pomyślała, czując jednocześnie delikatne ukłucie żalu. Niekiedy z pewnym wstydem przyłapywała się na tym, że bywa zazdrosna o czas, jaki jej córka spędza z nowymi koleżankami. Mimo że jednocześnie cieszyła się, że ma towarzystwo w swoim wieku, i że znów się uśmiecha jak dawniej.

Przypomniała sobie o pozostawionym na werandzie, skończonym wreszcie obrazie. Pomyślała, że lepiej będzie zabrać go stamtąd przed wyjściem. Nieco zaskoczona zatrzymała się jednak u progu. W wiklinowym fotelu siedziała Amelia i wpatrywała się nieruchomo w płótno na sztalugach.

– Właśnie tak się czuję – powiedziała, nie odrywając od niego wzroku. – Dokładnie tak, jak to tutaj namalowałeś. Jakbyś zeskanowała moje wnętrze.

– Amelko, kochanie, ale ja tak naprawdę... właściwie...

– Wiem, mamó – przerwała jej szybko. – Wiem. To jest twoje wnętrze. Dzięki temu właśnie rozumiałam, że czujemy się bardzo podobnie. I że brak taty doskwiera nam tak samo mocno. Jednak ja nie umiałabym tego tak prawdziwie wyrazić nawet słowami, a co dopiero pędzlem.

– Bo pędzlem jest o wiele łatwiej opowiedzieć, co się czuje. Emocje uwalniają się powoli i same, bez nacisku i popędzania. Zewsząd. Z duszy, z serca, z każdego milimetra tętnic i żył, z najmniejszego neuronu. Możesz uspić rozum i pozwolić im swobodnie płynąć, bez udziału świadomości. Wyłączyć odbiór jakichkolwiek bodźców z zewnątrz i skupić się tylko na tym, co masz w środku. W ten sposób wykorzystujesz każdą cząstkę siebie, nawet te, o których istnieniu dotąd nie miałaś pojęcia.

– Zazdroszczę ci tego. Bardzo chciałabym tak umieć...

Dziewczyna westchnęła ciężko i podparła pięścią policzek. Znów patrzyła na płótno. Anna pochyliła się, pociągnęła córkę za brodę, kierując jej twarz ku sobie, i zajrzała jej w oczy.

– Skąd wiesz, że nie umiesz? Próbowałaś? – zapytała.

– Przestań! – Amelia parsknęła śmiechem. – Przecież wiesz, że nie potrafię malować.

– Ale tu wcale nie chodzi o to, czy potrafisz, tylko czy umiesz dać się ponieść emocjom. A właśnie pokazałaś, że umiesz je odczytywać, więc moim zdaniem jesteś blisko tego, by móc pójść o krok dalej.

– Naprawdę tak uważasz?

– Jestem o tym przekonana. Myślę, że powinnaś spróbować, jak tylko nadejdzie odpowiedni moment.

– Czyli kiedy?

– Rozpoznasz go, gdy się pojawi. A farby będą tu na ciebie czekały.

Amelia zamyśliła się chwilę.

– Dziękuję, że mi o tym mówisz – odezwała się wreszcie.

– Nie, kotku, to ja ci dziękuję.

Anna objęła córkę i przytuliła policzek do czubka jej głowy. „Jak dobrze się czasem mylić” – pomyślała z ulgą.

Gdy późnym wieczorem, zmęczona bieganiem z psami po łące i lesie, wyszła na chłodną werandę, znalazła tam swój laptop pozostawiony pewnie przez Franka. Początkowo zamierzała go złajać i kazać odnieść sprzęt na miejsce, ale po namyśle zrezygnowała.

Uruchomiła urządzenie, a potem odszukała w zakładce „ulubione” link, który dostała od Magdy. *Maniobajanie – blog.*

Skrzywiła się lekko, kiedy ujrzała trochę infantylną i nieporadną grafikę strony. Przesunęła kursor na ostatnie wpisy, ale po namyśle odszukała te najstarsze, uznawszy, że każde czytanie lepiej jest zacząć początku. Nawet jeśli jest to tylko internetowy pamiętnik.

– Maniobajanie – powtórzyła, marszcząc brwi, a potem zaczęła czytać.

Człowiek podobno bywa słaby. Tak mówią, choć ja w to nie wierzę. Bo nie „bywa”, ale po prostu

jest. I właśnie przez tę słabość niekiedy traci wolę walki, i przede wszystkim siłę.

A najtrudniejsza do zniesienia jest właśnie ta bezsilność. Szczególnie wtedy, gdy człowiek zorientuje się, że powinien w końcu coś zrobić. Coś zmienić. Wtedy zderza się z własną rzeczywistością. Odkrywa, jak niewielki ma wpływ na otaczający go świat, i jak wiele rzeczy, które go dotyczą, zależy od innych, niekiedy obcych ludzi, czasem od dziwnego splotu wypadków, drwiny losu. I nie można zrobić nic, żeby to odwrócić albo udaremnić. Jest świadomość i wola działania, lecz brakuje siły i motywacji. Zupełny paradoks.

Byłoby dobrze, gdyby raz na jakiś czas świat stawał się całkiem malutki. Zmieniał się na chwilę w makietę z kartonu i plastiku. Żeby ktoś mógł przywrócić mu ład, naprawić błędy i ustawić wszystko na właściwym miejscu, a to, co niepotrzebne, usunąć. Świat byłby wówczas idealny. Uporządkowany, bez niepotrzebnego chaosu.

Niestety to tylko marzenie, czy też raczej tylko głupia mrzonka.

Co zatem można zrobić naprawdę, żeby było lepiej? Myślę, że czasem lepiej nie robić nic, by nie powstał jeszcze większy bałagan. Bezpieczniej jest się przystosować, wpisać w istniejącą rzeczywistość, dopasować się do tego, czego nie da się przesunąć lub wyrzucić. Znaleźć dla siebie idealne miejsce, i przeczekać najgorsze.

– Idealne miejsce – powtórzyła głośno, odrywając wzrok od monitora. – Tak. Właśnie tak. Trzeba znaleźć idealne miejsce, i przeczekać, wtedy wszystko inne samo się ułoży.

Anna wyjmowała z bagażnika samochodu torby z zakupami. W jednej z nich był nawóz do kwiatów, o który prosił ojciec. Rozejrzała się. Kiedy wyjeżdżała, kosił trawnik, a potem miał się zająć pieleniem grządek z warzywami. Teraz nie było go nigdzie widać, natomiast nieopodal szklarni zobaczyła taczkę z trawą i grabie oparte o otwarte szklane drzwi. Domyślając się, że poszukiwany może być w środku, wzięła butelkę z nawozem i ruszyła w tamtą stronę.

Wtedy dostrzegła na podwórku sąsiadów jasną głowę Arturka. Siedział na brzegu piaskownicy skleconej ze starych desek i dłużył łopatką w szarawym piasku, kiwając się niemrawo w przód i w tył. Anna zbliżyła się prawie na palcach do ogrodzenia, ukryła się za rozłożystym jałowcem i zamarła, nie chcąc, by chłopiec ją zobaczył. Ze zmarszczonym czołem przyglądała mu się przez chwilę, a zaraz potem pobiegła do domu. W przedpokoju natknęła się na matkę.

– Nie wiesz, mam, gdzie jest Franek?

– No przecież wiadomo. Z dziadkiem. W warsztacie.

Anna uniosła brwi w zdziwieniu i zerknęła przez okno na kanciapę ojca.

– Znów? Najpierw niespodzianka, potem rower, a teraz co? Bo od kiedy tu jesteśmy, właściwie nie odstępuję dziadka na krok, zwłaszcza podczas majsterkowania. Muszę coś z tym zrobić.

– Dlaczego?

– Bo w końcu go zamęczy. A poza tym jest wiele innych rzeczy, którymi mógłby się zająć sam. Choćby rower. Napracował się nad nim, wyczyścił, a tylko kilka razy jeździł.

– Może rzeczywiście mogłabyś z nim o tym porozmawiać. I nie tylko o tym.

– Co masz na myśli?

Maria zagryzła usta, zastanawiając się chwilę. Poglądziła córkę po ramieniu.

– Przepraszam, wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale jest coś, co znacznie bardziej mnie niepokoi w zachowaniu Franciszka.

– Tak?

Anna czekała z rosnącym niepokojem na to, co spodziewała się za chwilę usłyszeć.

– Zauważyłaś, że od kiedy tu jesteście, ani razu nie wspomniał o swoim tacie? Zupełnie jakby nagle przestał dla niego istnieć.

Anna zamyśliła się chwilę, odwracając głowę.

– Zauważyłam – odparła niechętnie.

– Próbowалаś z nim porozmawiać o tym, co się stało?

– Nie. Wydaje mi się, że jest na to jeszcze za wcześnie. Chcę dać mu czas... Jemu i sobie. Zaczekam, aż oboje będziemy gotowi na tę rozmowę.

– Myślę, że musi bardzo tęsknić za Piotrem. To dlatego tak garnie się do dziadka.

– Uważasz, że w ten sposób próbuje sobie zrekomensować brak ojca? Szuka kogoś, kto mu go zastąpi?

– Albo uzupełni pustkę po nim. Chociaż moim zdaniem, on całkiem dobrze zdaje sobie sprawę, że dziadek nie jest w stanie zastąpić mu taty.

– Pewnie masz rację. Każde dziecko potrzebuje obojga rodziców. Mamy i taty. Tak jak nasz mały sąsiad. Widziałam go przed chwilą, wiesz? – Anna zgrabnie zmieniła temat rozmowy, która nie była dla niej przyjemna. – Chciałabym się mylić, ale ten dzieciak wydaje mi się straszliwie samotny i smutny. Według mnie właśnie dlatego tak psoci. Próbuje w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. A gdy to osiągnie, odpycha ludzi, takie mam wrażenie. Robi się niespokojny, nawet gdy ktoś tylko na niego patrzy.

– Zgadza się z tobą. To wcale nie jest złe dziecko, tylko, jak sama zauważyłaś, bardzo samotne i trochę przez to zagubione. A dziadkowie choćby nie wiem jak się starali, nie są w stanie zastąpić mu rodziców. Naprawdę żal mi tego brzdąca.

Maria najwyraźniej odczuła niechęć córki do kontynuacji rozmowy o ojcu Franka, ponieważ już do niej nie wracała. Poza tym widać było, że jej również leży na sercu los Arturka.

– Bardzo mi go żal – podchwyciła Anna. – I właśnie dlatego szukam Franka. Chciałam go namówić, żeby zaprosił go do nas i pobawił się z nim trochę. Może powinnam gdzieś ich obu zabrać? Myślisz, że jego babcia nie miałaby nic przeciwko temu, żeby mały pojechał z nami do Łomży na jakieś lody?

– Świetny pomysł. Porozmawiam z Zosią, na pewno się zgodzi. Arturek nie ma tu, w Bujanach, zbyt wielu rozrywek, dlatego czasem wpadają mu do głowy głupie pomysły. Nie masz pojęcia, ile napędził nam strachu, jakiś miesiąc temu.

– Co takiego zrobił?

– Zaginął!

– Jak to?

– Normalnie. Przepadł jak kamień w wodę. Nagle. Pół miasta go szukało. Babka rwała sobie włosy z głowy z rozpaczy, a dziadek był o krok od zawału. Dopiero przed północą ktoś znalazł go śpiącego pod szopą na narzędzia. Obok roweru. Był brudny i ledwie żywy ze zmęczenia.

– Gdzie był przez cały ten czas?

– Początkowo nie chciał powiedzieć. Dopiero na drugi dzień udało nam się z niego wydobyć prawdę. Okazało się, że na tym swoim maleńkim rowerku wybrał się do Łomży.

– Żartujesz!

– Niestety nie. Dojechał jednak tylko do Piątnicy, bo dalej nie dał rady. Siedział w rowie i płakał. Podobno jakiś kierowca zabrał go stamtąd i podwiózł do Bujan. Arturek wrócił resztkami sił do domu, chciał schować swój rowerek do szopy, a potem po cichu, z obawy przed karą wślizgnąć się do swojego pokoju. Nie dotarł tam jednak, bo wcześniej ze zmęczenia zasnął.

– Powiedział, dlaczego tam pojechał?

– Tak. Chciał zobaczyć magika. W Bujanach ktoś rozwiesił plakaty z informacją o jego występach w Łomży. Arturek marzył, by tam być. Prosił o to babcię, ale Zośce przez to bolące biodro ciężko nawet do sklepu się ruszyć, a co dopiero do Łomży.

– Więc mały postanowił wybrać się sam?

– Dokładnie tak. Dlatego myślę, że dobrze by było, gdybyś zabrała go na tę wycieczkę. Magika co prawda już dawno nie ma, ale może moglibyście pójść na przykład do teatru lalek?

– Ale to chyba nie w Łomży? Raczej w Białymstoku?

– Eee, w Łomży też jest. Nie wiedziałaś?

Anna potrząsnęła głową.

– Ale skoro tak, nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się tam wybrali. Przy okazji odwiedzę Bożenę w szpitalu.

– Więc jednak musiała tam zostać?

– Tak. I to prawdopodobnie już do końca ciąży.

– Biedna. Dobrze, że do niej zajrzysz. Na pewno się ucieszy.

– Zaraz powiem Frankowi o teatrze. Mam nadzieję, że Amelia zgodzi się z nami pojechać, bo ktoś będzie musiał zająć się chłopcami, kiedy ja będę w szpitalu. Nie chcę ich tam ze sobą zabierać ze względu na Bożenę, ona teraz na pewno potrzebuje spokoju. – Anna zanim wyszła, obejrzała się na matkę, która zdjęła fartuszek i przyglądała przed lustrem włosy. – A ty? Gdzieś wychodzisz?

– Do biblioteki. Obiecałam pomóc dziewczynom. Mają teraz pełne ręce roboty. Niestety, nie wszystkie dzieci mogły wyjechać na wakacje, i dlatego próbują zorganizować im coś w rodzaju półkolonii. Nie sądziły jednak, że będzie aż tylu chętnych. Muszę im pomóc.

Anna uśmiechnęła się pod nosem. Była przekonana, że młode bibliotekarki znakomicie sobie radzą same, i jednocześnie wiedziała, że nigdy nie dadzą tego po sobie poznać przed jej matką – emerytowaną bibliotekarką i była kierowniczką biblioteki miejskiej. Podobnie jak Anna dobrze wiedziały, czym była dla Marii praca w bibliotece, i jak trudno było jej się z nią rozstać, kiedy przyszedł czas na emeryturę. Dlatego właśnie pewnego dnia wpadły na pomysł, by poprosić ją o wsparcie

w charakterze wolontariuszki czytającej dzieciom książki. Maria, udając ociąganie i wymawiając się obowiązkami domowymi, obiecała im od czasu do czasu pomóc, niby mimochodem zmieniając to „czasem” w „niemal codziennie”.

Później zaczęła pomagać dzieciom w odrabianiu lekcji, albo po prostu grała z nimi w chińczyka lub warcaby. Jej zaangażowanie sprawiło, że młode bibliotekarki w końcu ogarnęły wątpliwości, czy nie za bardzo wykorzystują jej uprzejmość, jednak szybko zrozumiały, jak bardzo jest jej ta praca potrzebna. I że Maria jeszcze długo nie będzie gotowa na to, by zostać wyłącznie emerytką.

Anna czekała na dzieci przed teatrem.

Amelia i Flo zabrały chłopców na spektakl, a ona, tak jak sobie zaplanowała, mogła w tym czasie odwiedzić w szpitalu Bożenę. Przy okazji wyszło na jaw, że Flo jest stałą bywalczynią i wielką entuzjastką łomżyńskiego teatru lalek, zaznajomioną z jedną z aktorek, która obiecała pokazać im teatr również od kulis.

Anna, widząc z daleka czerwone, rozemocjonowane twarze dzieci, nie miała wątpliwości, że obietnica została spełniona. Flo trzymała Arturka za rękę i idąc, tłumaczyła mu coś cierpliwie, gdy ten podskakiwał podekscytowany i próbował jej się wyrwać pewnie po to, by pokazać coś obiema rękami. Świadczyły o tym skomplikowane gesty wykonywane jedną tylko wolną ręką.

– Widziałem prawdziwe skarby i złoooto! – wykrzyknął na widok Anny. – I rycerzy, i prawdziwego króla!

– Myślałam, że oglądaliście Pinokia – zdziwiła się.

– Skarby były za kulisami – wyjaśniła Flo. – I lalki z „Baśni o Nieustraszonych Rycerzach”.

– I Koziołek Matołek tam był, i świnki, i strrraszna bestia...

Arturek nie przestawał wyliczać, przykładając do własnej głowy już obie zwinięte w pięści dłonie udające kozie rogi. Zaraz potem zrobił świński ryjek i wetknął sobie palce wskazujące do nosa, wywołując tym wyraz obrzydzenia na twarzy Franka, który szturchał go co chwilę w bok, by się uspokoił, mimo że sam był nie mniej podekscytowany. Anna patrzyła z uśmiechem w błyszczące z podniecenia oczy młodszego chłopca. Bezwiednie wyciągnęła rękę i zwichrzyła mu czuprynę. Zdziwiła się, że malec zupełnie nie zwrócił na to uwagi, prawdopodobnie wciąż zbyt zaaferowany tym, co zobaczył w teatrze. W innej sytuacji z pewnością zareagowałby w odpowiedni sobie sposób.

– To co? Może lody? – zagadnęła.

– W pucharkach czy w waflach? – dopytywał Franek.

– A jak wolicie?

– W waflach! W waflach! – Arturek dołączył do pokrzykiwań starszego kolegi.

W lodziarni na Starym Rynku podziękowała im w duchu, że nie chcieli pucharków, ponieważ przy nielicznych stolikach nie było już ani jednego wolnego miejsca. Uzbrojeni w potężne porcje lodów w waflowych kubkach udali się w stronę ulicy Farnej, wprost do ławeczki, na której od kilku lat przesiadywała odlana z brązu Hanka Bielicka. Jak zwykle, na kolanach słynnej łomżynianki leżał bukiet świeżych kwiatów, tym razem były to kolorowe goździki. Anna zanotowała w pamięci, by następnym razem zerwać i podarować aktorce kilka żółto-pomarańczowych liliowców, które właśnie kwitły w ogrodzie jej rodziców.

Arturek wspiął się na ławkę, zasiadł wygodnie i mrużąc z zadowoleniem oczy, zjadał lody. Anna zerknęła ze strachem na lepką strużkę płynącą mu po łokciu, zastanawiając się, czy chłopiec zgodzi się przyjąć od niej chusteczkę, i co mogło okazać się jeszcze trudniejsze, czy zechce jej użyć. Wyjęła kilka z torebki, trzymając w pogotowiu, i zagadnęła go niby od niechcienia.

– Myślę, że gdyby ktoś tu troszkę się przesunął, to może i ja zmieściłabym się na tej ławeczce.

Arturek, nie przerywając lizania lodów, zerknął najpierw na nią, a potem zadarł głowę i spojrział wprost w osłonięte rondem wielkiego kapelusza brązowe oczy Hanki.

– Nie słyszysz? Posuń się – warknął do zastygłej w brązie artystki, wprawiając tym Annę w osłupienie i jednocześnie wywołując u dziewcząt niepohamowany chichot. Nawet Franek zaśmiewał się pod nosem, mimo że głośno próbował bronić kolegi, powodowany męską solidarnością.

– Wiesz co, mamó? – wykrztusiła Amelia. – Wydaje mi się, że prędzej pani Hanka się przesunie niż Arturek.

Chłopiec tymczasem rzeczywiście, nie drgnąwszy nawet o milimetr, spokojnie dojadał lody, patrząc spode łba na pozostałe towarzystwo i piorunując wzrokiem śmiejące się wciąż dziewczyny. Nie

zaprotestował jednak, gdy Flo bez uprzedzenia zabrała się do wycierania mu rąk i umorusanej buzi. Odczekał spokojnie, po czym zeskoczył z ławki i zwrócił się do Anny z miną łaskawcy.

– Zjadłem. Możemy wracać.

W drodze na parking Anna ze zdumieniem odkryła, że przy ulicy Długiej nadal istnieje maleńki sklep papierniczy, w którym przez wiele lat, przed każdym kolejnym wrześnięm robiła z mamą szkolne zakupy. Wciąż pamiętała, jak z emfazą wybierała ołówki, flamastry i czterokolorowe długopisy, wahała wściekle różowe gumki chińskie, nie mogąc zdecydować się, która najpiękniej pachnie, albo negocjowała zakup nowego ceratowego piórnika z kolorowym obrazkiem, z klapką zapinaną na magnes. Odświeżone niespodziewanie wspomnienia sprawiły, że zatrzymała się przed wejściem i z nostalgią zapatrzyła się na wystawę tak niepodobną do tej, którą wciąż miała w pamięci, z zupełnie innymi przyborami szkolnymi niż kiedyś. Nagle jej wzrok spoczął na czymś, co podsunęło jej pewien pomysł.

– Poczekajcie tu na mnie chwilę, dobrze? – oświadczyła, wchodząc już do środka.

Dziewczęta usadziły chłopców na jednej z pobliskich ławek. Amelia rozglądała się za czymś, co mogłaby im pokazać i zająć ich uwagę, by nie rozrabiali. W końcu zatrzymała wzrok na wykwintnym gmachu biblioteki miejskiej, który zapewne niedawno odrestaurowany jaśniał pośród innych niezwykle pastelowymi kolorami – gołęzim i pudroworóżowym.

– Popatrzcie tylko. Wygląda tak, że ma się ochotę nałożyć go do pucharka, ozdobić bitą śmietaną i zjeść – podsumowała, zapewne czując jeszcze na podniebieniu smak pochłoniętych przed chwilą lodów.

– Kto? – zainteresował się Franek, rozglądając się niecierpliwie.

– Nie kto, tylko co. – Amelia wskazała bibliotekę. – Tamten budynek. Jest prześliczny i wygląda niesamowicie apetycznie, prawda, Flo?

Zanim przyjaciółka zdążyła zareagować, ze sklepu wytoczyła się Anna z kilkoma rulonami szarego papieru pod pachą i wypchaną plastikową torbą. Amelia, widząc to, porzuciła swoje refleksje na temat łomżyńskiej architektury i posłała matce zdziwione spojrzenie.

– Po co ci aż tyle rzeczy? – Wskazała zakupy. – Myślałam, że potrzebujesz czegoś do swojego malowania.

Anna uśmiechnęła się tajemniczo i schowała torbę za siebie, wywołując jeszcze większe zaciekawienie obecnych, zwłaszcza chłopców.

– Niespodzianka. Dowiedcie się w swoim czasie.

Przez całą drogę powrotną Franek i Arturek wierzili się niespokojnie, zapewne żałując, że zakupy są w bagażniku.

– Kiedy nam pokażesz, co kupiłaś? – dopytywał Franek.

– Po południu.

– Dlaczego dopiero wtedy?

– Bo najpierw musicie zjeść obiad, odpocząć, no i przygotować się do popołudniowej niespodzianki.

– Jak się przygotować?

– Będziecie musieli włożyć kąpielówki.

– Przestań! – Franek zerkał na matkę rozbawiony, pewien, że żartuje. A gdy z jej miny wynioskował, że jednak nie, zaciekawił się jeszcze bardziej. – Czy dziewczyny też będą musiały włożyć kąpielówki? – zagadnął chytrze.

– O nie, nie. Zapomnij! Mowy nie ma, żebyśmy się przy was rozbierały! – zaprotestowały dziewczęta. Jednak również na ich twarzach widać było zaciekawienie. Anna uśmiechnęła się z zadowoleniem, teraz już pewna, że jej pomysł zostanie dobrze przyjęty.

W domu czekały na nich pierogi z jagodami. Arturek zaglądał zachłannie do półmiska i zerkał ukradkiem na gospodynię. Wiedział, że za chwilę przyjdzie po niego babcia, a jego mina sugerowała, że nie było mu to na rękę. Splótł ramiona na klatce piersiowej, ściągnął brwi, wysunął dolną wargę i oparł się ramieniem o blat stołu, nadal popatrując z ukosa na Marię.

– A może zjesz z nami Arturku, co? – zagadnęła go jakby od niechcenia. – Miałbyś ochotę?

Policzki chłopca drgnęły, a kąciki ust uniosły się na bardzo krótki moment. Brwi jednak pozostawały zsunięte, a wzrok teraz wymierzony w babkę, która właśnie pojawiła się w progu.

– Zosia! – Ucieszyła się Maria. – Zjecie z nami, prawda? Będzie nam bardzo miło, a pierogów starczy dla wszystkich.

– Dziękuję, ale już jestem po obiedzie. Przyszłam tylko zabrać Arturka i spytać, jak się wyprawa udała. – Pani Więckowa zaprotestowała nieśmiało, a potem umilkła spiorunowana wzrokiem wnuka. – No chyba, że Artuś by zjadł – dodała lekko spłoszona.

Artuś tymczasem sadowił się już za stołem. Przeciągnął z półmiska na stojący przed nim talerz solidną porcję pierogów ociekających fioletowym sokiem. Kiedy Maria chlapnęła na nie potężny kleks pachnącej wanilią śmietany, zadarł głowę i uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję – sapnął, pakując sobie do ust całego pieroga i plamiąc koszulkę ciemnym nadzieniem.

– Smacznego, kochanie. – Maria pogłaskała chłopca po głowie.

Anna zerknęła na matkę zaskoczona. Arturek zwykle unikał podobnych gestów, reagując nerwowym odchyleniem głowy. Tym razem tego nie zrobił. Nie była jednak pewna, czy przyczyniły się do tego jagodowe pierogi, czy coś zupełnie innego, o wiele mniej oczywistego.

Po zjedzonym obiedzie wyjęła wreszcie z bagażnika papier i torbę z zakupami. Obaj chłopcy ubrani już tylko w spodenki kąpielowe krążyli wokół niej jak dwa satelity. Podekscytowani zasypywali ją pytaniami, gdy rozkładała na trawie szare arkusze. Amelia i Flo również przyglądały się temu z zaciekawieniem, choć z daleka.

Wreszcie Anna wysypała na trawnik zawartość torby. Malcy jak na komendę rzucili się ku niej z piskiem. Kątem oka dostrzegła, jak obie dziewczyny również zacierają w jej stronę, starając się jedynie sprawiać wrażenie kompletnie niezainteresowanych tym, co się dzieje w ogrodzie.

– Co to jest?

Franek wskazał kolorowe pudełko.

– Farby.

– Farby? – Chłopcu wyraźnie zrzedła mina. – Każesz nam na tych papierach namalować obrazki?

– Niczego wam nie każę – obruszyła się Anna. – Sami to zrobicie.

– Eee tam – burknął Arturek również rozczarowany. – W domu też mam farby. I pędzle.

– A widzisz! – Anna uniosła triumfalnie palec. – Bo różnica jest taka, że ja nie mam pędzli.

– To czym będziemy malowali? – Malec zaśmiał się ironicznie. – I co to za głupie farby bez pędzli?

– One ich nie potrzebują. Popatrzcie. – Pokazała pudełko. – Proszę, Franuś, przeczytaj mu.

Ten nieco zdziwiony obracał je chwilę w rękach.

– Farby do malowania palcami? – zdziwił się głośno. – Czy to znaczy, że będziemy malować palcami? – powtórzył.

– Będziecie malować palcami, stopami, nosami i czym tylko chcecie. Dlatego macie na sobie same kąpielówki. Potem poleję was wodą z węża i będziecie czyści.

– O jaaa! – Frankowi zaświeciły się oczy. – Suuuuper maaama!

– Możemy się wypaćkać? – Arturek wciąż nie dowierzał. – Cali? A jak babcia się dowie?

– Możecie się paćkać ile chcecie. To są specjalne farby, które łatwo się zmywają i na pewno wam nie zaszkodzą. A o babcię się nie martw. Już wszystko z nią ustaliłam. Ona też uważa, że to fajny pomysł.

– I możemy namalować co chcemy? Wszystko?

– Wszystko, co tylko przyjdzie wam do głowy. Kupiłam bardzo dużo papieru.

– Czy to znaczy, że znajdzie się trochę i dla nas? – odezwała się nagle Amelia.

Obie z Flo od dobrej chwili przysłuchiwały się rozmowie z chłopcami. Anna uśmiechnęła się zachęcająco i wskazała gestem papier i farby.

– Chcesz namalować to, o czym rozmawialiśmy? – spytała. – Jesteś gotowa?

– Tak – szepnęła Amelia lekko zmieszana, sięgając po arkusz. – Opowiedziałam Flo o malowaniu i... o emocjach. I ona też chciałaby spróbować.

- Mogę? – Flo patrzyła nieśmiało.
- Powinnaś, jeśli tylko tego chcesz – odparła Anna z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że nie zechcą powiesić tego na lodówce...

Maria przypatrywała się zamalowanym płachtom papieru, które schły w słabych promieniach chylącego się już ku zachodowi słońca. Nieopodal wciąż dokazywali chłopcy, którzy mimo że już czyści, nie mieli ochoty przestać chlapać się w wodzie, gdy Anna przymocowała wąż ogrodowy do gałęzi drzewa, by lała się na nich z góry.

– Ale było super, babciu!

Franek zastygł nad swoim dziełem i prężył się z dumą. Efekt jego nieokiełznanej twórczości składał się w dużej mierze z odbitych na nim śladów rąk, stóp i psich łap. Anna początkowo nie zgodziła się na udział Kopra w eksperymencie malarskim. Jednak kiedy zobaczyła obojętną i zblazowaną minę psa, który bez oporu pozwolił sobie pomalować czarne opuszki łap jaskrawozieloną farbą, machnęła na to ręką. Miała tylko nadzieję, że po skończonej zabawie nie będzie konieczna kąpiel całego zwierzaka, co jak miała już okazję się przekonać, nie było wcale prostą sprawą. I wcale nie dlatego, że Koper nie lubił kąpiei. Było wprost przeciwnie. On ją uwielbiał, dając temu wyraz nietypowym jak na niegożywieniem, dzięki czemu w krótkim czasie wszystko wokół było równie mokre jak on. Na szczęście jednak tym razem skończyło się na opłukaniu samych łap.

Arturek również ustawił obok swojego obrazka plastikowe krzeselko i usadowił się na nim z miną świadomego swojej roli ochroniarza. Anna nie była pewna, czy chłopiec chroni obrazek przed zdeptaniem, czy też nie życzy sobie, by ktoś go oglądał, dlatego postanowiła na razie powstrzymać się od komentarzy i zachwyków, by zbytnią śmiałością nie zrazić do siebie malca. Ukradkiem jednak przyglądała się detalom dzieła, którego centralnym punktem było niebieskie odbicie dziecka. Dookoła, podobnie jak u Franka, było mnóstwo kolorowych śladów rąk i stóp, z tą różnicą, że niektóre z nich chłopiec powiększył, domalowując dłuższe palce i pięty, by wyglądały jak ślady kogoś dorosłego. Anna przyglądała się temu z niejasnym przecuciem, że raczej wie, do kogo miałyby należeć. Miała ochotę o to spytać, jednak się nie ośmieliła. Widać było, że Arturek nadal nie ma ochoty na rozmowę. Z poważną miną wpatrywał się w swoje dzieło, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Miałaś genialny pomysł z tym malowaniem – odezwała się jej matka.

– Tak naprawdę ktoś inny mi go podsunął. – Anna rzuciła porozumiewawcze spojrzenie siedzącej nieopodal córce, która odpowiedziała jej jedynie uśmiechem.

– A kiedy będziemy mogli znów coś namalować? – odezwał się niespodziewanie Arturek.

– Jeśli macie ochotę, nawet dziś, o ile zdążycie przed kolacją – odparła Anna, przechwytując zdziwione spojrzenie matki. Schyliła się i sięgnęła po plastikową torbę, która dotąd leżała pod jej krzesłem. Wyjęła z niej dwa przezroczyste wiaderka z kolorową kredą.

– Proszę bardzo. Cały chodnik przed domem jest do waszej dyspozycji – powiedziała, wręczając je chłopcom.

Na twarzach obu odmalował się zachwyt. Anna zdążyła też zauważyć dziwny błysk w oku Arturka i przechwycić jego znaczące spojrzenie. Wyraźnie ją ostrzegął przed ujawnieniem historii z napisami na garażu. Popatrzyła na niego uspokajająco i ukradkiem pokazała przyłożony do ust palec. Chłopiec pojął informację i już uspokojony zajął się otwieraniem pudełka z kredą.

– Podsunęłaś mi pewną myśl – oświadczyła nagle Maria. – Opowiadałam ci kiedyś, że nasza biblioteka dostała pieniądze na zorganizowanie dzieciom różnych zajęć artystycznych? Pamiętasz?

– Tak. – Skinęła głową. – Dlaczego o tym wspominasz?

– Ponieważ okazało się, że plastyczka, która miała prowadzić zajęcia, niestety zrezygnowała, i teraz jest kłopot, bo materiały są kupione, zebrała się spora grupa chętnych dzieciaków, a nie ma komu z nimi pracować.

– O nie, nie – zaprotestowała Anna, domyślając się, co chce jej powiedzieć matka. – Nawet nie kończ.

- Ale dlaczego? Wiem, że świetnie byś sobie poradziła. Właśnie to udowodniłaś.
- Zorganizowanie warsztatów malarskich dla dwójki dzieci to nie to samo, co praca z całą gromadką. Nie dałabym rady.
- A gdybym ci pomogła?
- Ty?
- A dlaczego nie? Zabrałybyśmy też naszych chłopaków. Przecież widzisz, jak im się to spodobało. Mogłybyśmy tam pójść już jutro rano. Zaraz zadzwonię do dziewczyn i im o tym powiem.
- Ale ja się przecież jeszcze nie zdecydowałam!
- Nie musisz tego robić teraz. Po prostu jutro poprowadzisz próbne zajęcia i zdecydujesz, czy tego chcesz.
- A jeżeli nie?
- Nikt cię nie będzie zmuszał – odparła Maria, a Anna zdążyła dostrzec jej minę sugerującą to, że wszystko zostało już postanowione i raczej nic tego nie zmieni.
- No dobra – westchnęła z przesadą. – Jutro tam pójde.
- Świetnie! – Ucieszyła się jej matka. – I zobaczysz, tobie też to dobrze zrobi.

W bibliotece czekało już sześcioro dzieci. Z Frankiem i Arturkiem ósemka. Maluchy siedziały przy stolikach i wpatrywały się w Annę nieufnie. Uśmiechnęła się, by je nieco ośmielić, jednak nie wywołało to u nich większej reakcji. Zastanawiała się, od czego powinna zacząć, by zmienić ich nastawienie, a przede wszystkim jeszcze bardziej nie przestraszyć.

Gdy już zamierzała po prostu zapytać, co miałyby ochotę namalować, nieoczekiwanie na ich twarzach zobaczyła uśmiech. Odwróciła się. W drzwiach stała jej matka, a przed sobą trzymała wielkie kartonowe pudło.

– Myślę, że to będzie całkiem dobre na początek – stęknęła, odstawiając pakunek na jeden ze stolików. Anna zajrzała ciekawie do środka. Zobaczyła mnóstwo pudełeczek z kolorową kredą.

– Świetny pomysł. – Pokiwała głową z uznaniem. – Zbieramy się szybciotko i wychodzimy na zewnątrz. – Klasnęła w dłonie. – Będziemy dziś malować lato. Z natury!

Chwilę później z zadowoleniem obserwowała umorusane ręce i twarze, wywieszzone w skupieniu języki i od czasu do czasu otrzępywała kolana dzieci, gdy zbyt mocno wbił się w nie piasek. Przechadzała się ostrożnie pośród słoneczek, chmurek, drzewek i kwiatowych łąk. Przeskakując wijące się między nimi kamieniste ścieżki i błękitne strumyki, kucała od czasu do czasu, z zainteresowaniem oglądając z bliska efekty pracy małych artystów.

– I co? Zdecydowałaś już? Poprowadzisz to dalej? – zagadnęła ją Maria, nieudolnie kryjąc uśmiech łobuza. Zbyt dobrze знаła swoją córkę, by nie wiedzieć, jak to się skończy.

Anna odwróciła się i zasłaniając dłonią część twarzy, pokazała jej język, na co matka żartobliwie pogroziła jej palcem.

Godzinę później już sama omawiała z kierowniczką biblioteki szczegóły dotyczące pracy na stanowisku instruktora warsztatów plastycznych i planowała grafik. To z kolei przypomniało jej, że od dawna nie odwiedzała zwierzaków z lecznicy. Przepelniona wyrzutami sumienia, postanowiła jechać tam jeszcze tego samego dnia, zaraz po zajęciach w bibliotece. Odwiozła jedynie do domu matkę i chłopców, którzy umorusani kredą potrzebowali szybkiej kąpieli. Obaj też stwierdzili zgodnie, że znów skorzystają z węża ogrodowego.

Gdy tylko upewniła się, że są w stanie sami się sobą zająć, pojechała do lecznicy. Na miejscu zastała niektóre kojce puste i domyśliła się, że część psów jest już na spacerze. Przypomniała sobie, że Amelia miała podobne plany, o czym powiadomiła matkę jeszcze przy śniadaniu.

Anna, nie mogąc zdecydować się, co zrobić najpierw, postanowiła zajrzeć do kociarni. Otworzyła drzwi i zamarła. Pomieszczenie okazało się puste. Nie wierzyła, by koty również zabrano na przechadzkę, dlatego pełna najgorszych przeczuć pobiegła w stronę budynku przychodni. Na schodach niemal uderzyła głową w brzuch pana Fabiana, który przytrzymał ją za ramiona, chroniąc przed upadkiem.

– Gdzie są koty? – wysapała, wpatrując się z uwagą w twarz mężczyzny. – Zawieźliście je do schroniska w Białymstoku? Tak?

– Gdzie tam. – Fabian wzruszył lekko ramionami. – Zabrali je. Dzisiaj ostatnie dwa poszły.

– Jak to zabrali? Kto? Dokąd?

– Ludzie. Na wieś. Żniwa są, koty są potrzebne, żeby myszy łapać. Odkąd pani Agnieszka zabrała się za tę sterylizację, przestały się tak mnożyć. No i dlatego zrobiło się ich jakby za mało.

– Nie jestem jednak pewna, czy to w porządku, panie Fabianie. – Anna zawahała się. – Rozumiem, że żniwa, ale żeby tak od razu koty do pracy w polu zatrudniać?

– Nie w polu, tylko w stodole, gdzie się składowuje zboże – zaperzył się Fabian. – A koty dostaną za to miskę mleka i ciepły kąpiel.

– W polu czy w stodole, to bez różnicy. Nawet jeśli zostaną w nagrodę nakarmione, moim zdaniem lepiej by dla nich było, gdyby zabrano je bezinteresownie.

– Oczywiście, że lepiej. – Z gabinetu wyszła Agnieszka, taszcząc ze sobą torbę lekarską. – Ale to i tak jest dla nich dużo lepsze niż zatłoczona kociarnia.

– Niby tak, ale...

– Nie ma żadnego ale. Często bywam w różnych gospodarstwach i widzę, jak te wiejskie koty tam żyją. Są wolne, mogą sobie łązić gdzie chcą i lubią, a jednocześnie mają zapewniony regularny dostęp do pełnej miski i dachu nad głową w razie potrzeby.

– A zimą do ciepłego pieca – dodał Fabian. – No i od kiedy kotów zrobiło się tak mało, ludzie zaczęli o nie wreszcie dbać.

– Pan Fabian ma rację. A łapanie myszy, wbrew temu, co myślisz, dla tych półdzikich, wcześniej bezdomnych kocurów jest tylko dodatkową atrakcją.

– No dobra, powiedzmy, że mnie przekonałaś – mruknęła Anna i zerknęła na torbę Agnieszki. – Widzę, że masz wizytę domową? – podjęła nowy temat.

– Zamieniłam się z Witkiem. Dziś mamy sterylizację sześćdziesięciokilowej bernardynki i byłoby mi trochę ciężko, więc wybrałam szczepienie krów.

– No tak, to pewnie o wiele lżejsze zajęcie.

– Byłoby, gdyby nie fakt, że tych krów jest ponad setka. Dlatego przepraszam cię, ale muszę pędzić, w przeciwnym razie będę nocować w oborze, bo na pewno się z tym nie uporam do wieczora.

Podzwaniając kluczykami, biegła już do służbowej terenówki, ale zatrzymała się nagle, gdy tuż przed nią zaparkował srebrny minivan. Agnieszka pomachała kierowcy.

– Jest prowiant! – krzyknęła do pana Fabiana.

– Prowiant? – zdziwiła się Anna, ponieważ za kierownicą auta dostrzegła Wojtkę.

– Nasz najhojniejszy sponsor. Bez niego nie dalibyśmy rady utrzymać tej całej hałastry – odparł stojący obok niej mężczyzna.

– Nie dostajecie na nie jakiegoś dofinansowania?

Fabian pokręcił tylko głową i odwrócił się, zapewne po to, żeby nie dostrzegła w jego oczach politowania spowodowanego jej naiwnością. Niestety, zdążyła to zauważyć i zrobiło się jej głupio. Jak mogła być tak bezmyślna? Zarumieniła się nieznacznie i przyrzekła sobie w duchu jeszcze dziś sprawdzić numer konta Przystanku i zorientować się, co prócz karmy przydałoby się jeszcze jego podopiecznym.

Wojtek tymczasem wysiadł z samochodu. Okrążył go, otworzył klapę bagażnika i zaczął wydobywać z niego piętnastokilowe worki z karmą. Fabian ruszył mu z pomocą, zabierając po drodze stojący w pobliżu schodów dwukołowy wózek. Wojtek pomachał do Anny.

– Już wychodzisz? – spytał.

– Nie. W zasadzie to dopiero przyszłam. Mam jeszcze sporo do zrobienia. Muszę posprzątać kojce, zanim wrócą dziewczęta z psami.

– Pomogę ci. Razem szybciej skończymy.

– Jeśli nie masz innych planów...

– Nie mam – uciął i zarzucając na ramię jeden z worków, powędrował za Fabianem.

Chodnik przed domem powitał Annę radosną feerią barw i różnorodnością kształtów. Szła powoli jego brzegiem, uważając, by niechcący nie zdeptać uzbrojonych po zęby rycerzy walczących z kosmiczną armią robotów, wielogłowych smoków i skrzyń wypełnionych skarbami. Uśmiechnęła się z aprobatą, notując w pamięci konieczność uzupełnienia zapasu kolorowej kredy, która sądząc po ilości powstałych rysunków, prawdopodobnie była na wyczerpaniu.

Rozejrzała się po podwórku, zamierzając pochwalić głośno efekt pracy dzieci, jednak nigdzie ich nie dostrzegła. Postanowiła sprawdzić, czy są w domu. Weszła po schodach i zatrzymała się w progu przedpokoju.

– Franek! Jesteś tu? – krzyknęła.

– Jest w pracowni ojca! – Usłyszała z głębi domu głos matki.

– No tak. – Anna westchnęła ciężko, po czym skierowała się prosto tam. Zaczynało ją to trochę irytować. Nie chciała, żeby jej dziecko spędziło wakacje w zakurzonej kanciapie w towarzystwie dziadka, zamiast bawić się na świeżym powietrzu z kolegami. Postanowiła porozmawiać o tym z ojcem.

Ujrzała go niebawem w towarzystwie Franka i Arturka. Wszyscy trzej pochylali się nad czymś z zainteresowaniem.

– Co tam macie? – spytała.

Podskoczyli gwałtownie, zbyt zaabsorbowani tajemniczym przedmiotem, by usłyszeć całkiem głośny stukot damskich obcasów.

– To jest maszyna do szukania skarbów! – wykrzyknął Franek, podnosząc na nią rozgorączkowane spojrzenie. – Dziadek właśnie ją naprawił.

Anna pochyliła się z zaciekawieniem nad tajemniczym przedmiotem, który nagle zaczął wyglądać znajomo.

– Coś takiego! – zdziwiła się i spojrzała na ojca. – Przecież to twój stary wykrywacz metalu. Niemożliwe, żeby to jeszcze działało.

– Działa, działa. Właśnie sprawdziłem i wszystko pracuje jak należy.

– Dziadek powiedział, że jeśli się zgodzisz, jutro pojedziemy w takie specjalne miejsce, na stare forty, i będziemy szukać skarbów! Prawdziwych!

– A ja też bym chciał szukać skarbów – chlipnął żałośnie Arturek. – Ale babcia i tak mnie nie puści. Ona prawie nigdzie mnie nie puszcza.

– Chyba trochę przesadzasz, co? – stopowała go Anna. – Przecież do teatru cię puściła. Może po prostu ją zapytaj. A poza tym, kto powiedział, że nie możecie poszukać skarbów tutaj?

– Ale gdzie tutaj? Na podwórku? – Franek roześmiał się drwiąco.

– A dlaczegożby nie?

– Przecież tu nie ma żadnych skarbów.

– Założymy się? – Wyciągnęła do niego rękę.

Wahał się i zerkał niepewnie na dziadka, który tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się tajemniczo. Popatrzył jeszcze raz na matkę, chcąc się prawdopodobnie upewnić, czy nie stroi sobie z niego żartów. Widząc jednak jej poważną minę, zamiast uścisnąć jej dłoń, chwycił się pod boki.

– No dobra, to pokaż gdzie.

Anna wybuchnęła śmiechem.

– Skąd mam wiedzieć? A poza tym powiedz mi, mój drogi, cóż by to było za szukanie skarbów, gdybym wskazała ci je palcem.

– To poszukajmy ich maszyną.

– To się nazywa wykrywacz metali – sprostował dziadek. – Mówiłem wam przecież.

– Jeżeli tylko dziadek się zgodzi, poszukamy. Oczywiście nie teraz. Po obiedzie.

– Ale dlaczego?

– Bo muszę go przygotować, a poza tym chciałabym chwilę odpocząć. Mogę?

– Jaaasne – odparł markotnie.

Trzy godziny później, poganiana niecierpliwymi spojrzeniami przyszłych odkrywców, spróbowała uruchomić podrdzewiałe urządzenie. Bez większej wiary, że to się uda, bo wbrew zapewnieniom ojca wyglądało jak bezużyteczny rupieć. Przez moment nawet żałowała, że tak pochopnie zaproponowała chłopcom szukanie skarbów, nie sprawdzając tego wcześniej. W głowie jednak miała już awaryjny plan działania. Na wszelki wypadek, żeby chłopcy nie poczuli się rozczarowani. Żywiła tylko nadzieję, że pamięć jej nie zawiodła i wszystko się uda. Zachichotała pod nosem, czując, jak sama zaczyna poddawać się emocjom.

„Oby tylko to nadal tam było” – pomyślała z lekkim niepokojem, gdy Franek, poinstruowany przez dziadka, jak obsługuje się sprzęt, uparł się, że to on będzie go niósł. Anna niechętnie przystała na to nie ze względu na ciężar urządzenia, ale przez nieszczęśliwą minę Arturka, który zerkał zazdrośnie na kolegę. Po namyśle wzięła do ręki wielkie słuchawki i nałożyła je małemu na głowę. Arturek spojrział na nią zdziwiony i lekko przestraszony, jednak fakt, że natychmiast nie zerwał ich z głowy i nie rzucił na ziemię, świadczył o podarowanym jej sporym kredycie zaufania. Uśmiechnęła się uspokajająco.

– Masz bardzo ważne zadanie. W tych słuchawkach usłyszysz skarby.

– To one mówią?

– Nie. Nie mówią, ale piszczą. O tak: piii... piii... pi... – Anna zapiszczała cienko, wywołując tym chichot Franka.

Zgromiła syna wzrokiem i pogroziła mu żartobliwie.

– Jak tylko coś usłyszysz, natychmiast dasz nam znać, dobrze? To bardzo ważne.

– Dam. – Arturek pokiwał gorliwie głową, podtrzymując słuchawki, które natychmiast zsunęły mu się na nos. – Od razu powiem. Jak będzie robiło piii... piii...

Anna zasłoniła uszy.

– Dobrze już, wystarczy. Widzę, że zrozumiałeś. Franek, ruszaj!

– Ale dokąd?

– Przed siebie, po kolei. Kawalek po kawałku i bardzo powoli.

Franek przesuwiał się do przodu maleńkimi kroczkami, ostrożnie wodząc urządzeniem na boki, w tę i z powrotem. Arturek z wypiekami na twarzy dreptał tuż za nim, potykając się co chwila o zwisający kabel. Anna rozsiadła się na leżaku i obserwowała ich z daleka. Jak dotąd, przeszukiwali teren bardzo odległy od tego właściwego, jednak postanowiła dać im trochę czasu na zabawę i jednocześnie przetestować ich cierpliwość.

Po godzinie beczynnego przypatrywania się ich jednostajnym poczynaniom poczuła, jak jej własna cierpliwość zbliża się do krawędzi wytrzymałości i lada moment spadnie w ziejącą nudą przepaść. Zerknęła jeszcze raz na chłopców, którzy właśnie obierali nowy kierunek poszukiwań. Niestety, znów niewłaściwy.

– Tam nie! – krzyknęła, starając się opanować pobrzmiwającą w głosie desperację.

Franek wyhamował raptownie, wskutek czego Arturek grzmotnął go z impetem w tylną część ciała czołem, przez co znów spadły mu słuchawki. Sarknął niezadowolony, wciskając je nerwowo na głowę.

– Dlaczego? – zapytali niemal jednocześnie.

– Bo tam... bo tam jest ogródek i jeszcze zادهczecie ogórki. A poza tym, gdyby tam był jakiś skarb, dziadek dawno by go znalazł. Już tyle razy tam kopał.

– Fakt. Masz rację – odparł Franek z powagą. – Dzięki.

Tym razem skierował swoje kroki wprost pod ogromny orzech włoski, rosnący w kącie ogrodu. Anna odetchnęła z ulgą.

– No nareszcie – mruknęła pod nosem.

Wstała i zaczęła przechadzać się w pobliżu, udając znużenie. Nagle Arturek podskoczył jak oparzony.

– Piii... piii... piii... – wrzeszczał jak oszalały. Podekscytowany do granic możliwości

poskakiwał i biegał w tę i z powrotem, ciągnąc za sobą Franka, z którym był połączony kablem od słuchawek.

– Stóóój! No przestań wreszcie biegać! Stop!

Franek usiłował wyplątać się z kabla i jednocześnie nie wypuścić z rąk wykrywacza, by nie zgubić sygnału. Arturek na szczęście zatrzymał się wreszcie, ledwie łapiąc oddech. Wpatrywał się zachłannie w urządzenie i migającą na nim zieloną diodę.

– Znaleźliśmy? – Franek zerknął na matkę z niedowierzaniem.

– Nie wiem. Na pewno jest tu coś metalowego, skoro urządzenie zareagowało.

– Na przykład stary kapsel albo gwóźdź?

– Niestety, to możesz sprawdzić jedynie łopata.

Odwrócił się na pięcie i popędził do szopy z narzędziami. Już po chwili, ciężko dysząc, wbijał szpadel w pokrytą darnią ziemię.

– Może razem spróbujemy? – zaproponowała Anna, widząc, że jej syn nieprędko się z tym upora. Nie chciała wystawiać na kolejną próbę dziecięcej cierpliwości, i przede wszystkim własnej.

Po kilku minutach pod szpadłem coś zgrzytnęło. Chłopcy spojrzeli po sobie. Arturek znów podskoczył i chwycił się za purpurowe z emocji policzki. Franek odrzucił szpadel na bok, i zaczął grzebać w piachu rękami.

– To może być coś cennego – poinstruował kolegę tonem znawcy. – I szpadel mógłby to uszkodzić.

Arturek rzucił się do pomocy, wydłubując z dziury kolejne garści ziemi. Nagle mina Franka zrzedła. Podniósł się i wierzgnął ze złością nogą, chcąc prawdopodobnie kopnąć wykrywacz metali, jednak w ostatniej chwili wyhamował i przeniósł cios na leżący nieopodal szpadel.

– Co się stało?

Anna pochyliła się nad wykopanym dołkiem. Arturek podniósł z niego mocno zardzewiały, ale wciąż czerwony rondel.

– To wcale nie jest żaden skarb – rzucił płaczliwie i usiadł na usypanej obok stercie piasku.

– Przestańcie się mazać i kopcie dalej!

– Po co? – sarknął Franek.

– Kopcie i już!

Podąła łopatę Frankowi, który bez entuzjazmu wbił ją w ziemię. Anna tymczasem podniosła porzucony przez Arturka czerwony rondel i uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. „Ciekawe, co powiedziałyby mama, gdyby teraz zobaczyła swój ulubiony garnek do gotowania jajek, który zaginął jej przed niemal trzydziestoma laty” – pomyślała mimochodem. „Chyba będzie lepiej, jeśli nie będę tego sprawdzać”.

Odrzuciła niepostrzeżenie rondel w pobliże krzaki malin, obiecując sobie w najbliższym czasie ukryć go głębiej.

Od tej myśli oderwał ją krzyk Franka, który uniósł triumfalnie duży, brudny słoik owinięty strzępkami folii.

– Tam coś jest! – Ekscytował się, chroniąc jednocześnie znalezisko przed Arturkiem, który za wszelką cenę usiłował mu je odebrać. – Zobacz, mamo, znaleźliśmy skarb!

Anna wzięła od syna słoik, oczyściła i ustawiła na środku ogrodowego stołu. Na pytające spojrzenia odpowiedziała tylko tajemniczym uśmiechem. Powoli odkręciła i zdjęła pokrywkę. Obaj chłopcy rzucili się do niej jednocześnie, niemalże wkładając nosy do naczynia.

– Powoli! – Roześmiała się. – Zaraz wszystko sobie dokładnie obejrzycie. Po kolei.

Ostrożnie wysypała zawartość na stół.

– Pieniądze! – wrzasnął Franek. – Jak dużo!

Arturek próbował sięgnąć po zwitek banknotów, ale Franek go uprzedził, powodując na twarzy malca grymas niezadowolenia. Rozwinął ostrożnie rulon.

– Pięćdziesiąt, sto i pięćdziesiąt – zachwycił się. – Ile kasy!

Rozprostował na stole zielone pięćdziesiąt złotych z Karolem Sikorskim, czerwoną setkę

z Waryńskim i brązową pięćsetkę z Tadeuszem Kościuszką.

– Muszę was, kochani, zmartwić, ale to wcale nie jest dużo.

– Dlaczego? Bo są już nieważne?

– To też. Ale w czasach, kiedy wkładałam je do tego słoika, również nie była to wcale duża kwota. Można było za nią kupić co najwyżej kilka kajzerów albo lizaków.

– Wkładałaś? Ty? – podchwycił Franek. – A więc to ty zakopałaś tu ten skarb! Dlaczego wcześniej nam o tym nie powiedziałaś?

– Bo zupełnie o tym zapomniałam. Zakopałam to, jak byłam trochę młodsza od Amelii, wieki temu. Przypomniałam sobie o tym dopiero, gdy zobaczyłam ten wykrywacz metalu, a potem nie chciałam wam psuć zabawy.

– A garnek? – przypomniał sobie Arturek. – Jego też zakopałaś?

Anna zawahała się chwilę. Miała nadzieję, że Franek mimo wszystko przemilczy sprawę rondla, gdy będzie opowiadał o znalezisku babci.

– Właściwie... tak.

– Po co?

– Gdy już prawie zakopałam słoik, przyszło mi do głowy, że skoro nie jest zrobiony z metalu, to będę miała kłopot z odnalezieniem go, kiedyś. Dlatego dorzuciłam tam ten... – Zerknęła niepewnie na krzaki malin. – Ten stary, bezużyteczny rondel.

– A to? Co to jest? Też pieniążki?

Arturek pokazał kolejny zwitek. Anna zdjęła z niego skruszałą gumkę recepturkę. Rozprostowała małe, żółto-niebieskie karteczki.

– Kaczor Donald? – zdziwił się chłopiec. – To Kaczor Donald żył już w tamtych starodawnych czasach, kiedy byłaś mała?

– Tak. Kaczor Donald żył już w moich starodawnych czasach – powtórzyła ze śmiechem. – I Myszka Miki też. Nawet Miś Uszatek już wtedy był, Koziołek Matołek i Pszczółka Maja.

– Nie wiedziałem, że oni wszyscy są już tak strasznie starzy. – Arturek zamyślił się. – Czy to znaczy, że niedługo umrą?

– Ale ty głupi jesteś! – sarknął Franek i zwrócił się do matki. – Do czego służyły te papierki?

– Takie minikomiksy były w opakowaniach z gumami do żucia. Niemal każdy je wtedy kolekcjonował. Uważałam je za bardzo cenne i wydawało mi się, że kiedyś mogą być jeszcze więcej warte, dlatego wszystkie tutaj ukryłam.

– A nie mogliście zbierać lepiej pokemonów? – Arturek przyglądał się krytycznie papierkom.

– Nie, kochanie, ponieważ pokemonów nie było jeszcze w naszych starodawnych czasach – wyjaśniła, puszczając oko do Franka.

– A to? Też pochodzi z jakiejś kolekcji? – Franek podniósł gładki ceramiczny odłamek o pięknej lazurowej barwie.

Anna odebrała mu go i położyła sobie na dłoni.

– To był mój najcenniejszy skarb...

– To?

Obaj chłopcy wychylili się z zainteresowaniem, przyglądając się znalezisku.

– To było moje szczęśliwe szkiełko. Z nim zawsze wygrywałam.

– Co wygrywałaś?

– Grę. W kopertę. – Anna patrzyła w zdziwione twarze chłopców. – Graliśmy w to na każdej przerwie.

– Masz ją jeszcze?

Tym razem roześmiała się serdecznie.

– Głuptasku. Kopertę rysowało się kredą na chodniku albo zwyczajnie patykami na piasku.

A potem skakało się na jednej nodze po schodkach, aż do nieba.

– Pokażesz nam? – zapalił się Arturek. – Pokażesz nam schodki do nieba?

– Jeśli tylko macie jeszcze kredę i, co może być znacznie trudniejsze, kawałek wolnego chodnika,

mogę wam ją od razu narysować. Zobaczycie, jaka to świetna gra. Być może pożyczę wam nawet moje szczęśliwe szkiełko.

Podniosła się zza stołu.

– Popatrz, mamó! – Franek zatrzymał ją jednak. – Coś jeszcze zostało w słoiku. Przykleiło się, o tutaj.

Włożył rękę do naczynia i wydobyl to ostrożnie.

– Zdjęcie! – krzyknął.

Wszyscy troje pochylili się nad nieco poczerniałą fotografią. Przedstawiała dziewczynę i chłopca. A właściwie sfotografowana została tylko dziewczyna, ponieważ postać chłopaka została wycięta z innego zdjęcia i przyklejona obok dziewczyny tak, żeby ich ręce się stykały. Niestety, klej nie wytrzymał próby czasu, ponieważ ręka chłopca zwinęła się w mały rulonik i przestała dotykać dłoni dziewczyny. Anna przyglądała się temu w milczeniu, bezwiednie próbując wygładzić zrolowany fragment.

– To jesteś ty, mamó? – zapytał Franek.

– Tak – odparła.

– A to? – Wskazał doklejoną postać. – Taki starodawny Photoshop?

Anna odebrała mu zdjęcie i schowała do kieszeni.

– Jeśli nie przestaniesz nabijać się ze swojej starodawnej matki, nigdy nie pokażę wam, jak się gra w klasy – oświadczyła stanowczo.

Miała nadzieję, że to zniechęci go do dalszych pytań o zdjęcie, ponieważ podejrzewała, że nie umiałaby na nie odpowiedzieć. Ani jemu, ani tym bardziej sobie.

Ostrożnie wsunęła zdjęcie do książki i odłożyła ją na stolik przy łóżku. Dotknęła swoich rozpalonych policzków. Wydało jej się, że są jeszcze bardziej gorące niż wtedy, gdy zobaczyła po raz pierwszy tę starą fotografię, gdy Franek wydobyl ją ze słoika.

Poczuła się wówczas jak nastolatka, której ktoś zajrzał do pamiętnika. Miała nadzieję, że jej syn tego nie zauważył, bo i bez tego czuła się wystarczająco niezręcznie. Mimo ciągłych prób, za nic w świecie nie potrafiła sobie przypomnieć momentu, w którym włożyła zdjęcie Wojtka do słoika pamięci, jak go sobie wtedy nazwała. „A może to sprawka Magdy?” Anna usiadła w fotelu i zamyśliła się, próbując przypomnieć sobie wydarzenia i sprawy, które wymazała z pamięci wiele lat temu. Przeszłość znów do niej wracała. Rykoszetem. Zmuszała do niechcianych refleksji.

Wojtek był od niej starszy o dwa lata. W czasie, gdy ona z dreszczem emocji i strachu, że zostanie przyłapana, kradła ze szkolnej kroniki jego zdjęcie, on właśnie wybierał sobie liceum. Wcześniej, na korytarzu podstawówki, potrafiła przez wszystkie przerwy czatować na niego schowana za plecami koleżanek po to tylko, by go zobaczyć. Zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że on zapewne nie ma nawet pojęcia o jej istnieniu. Kiedy skończył wreszcie ósmą klasę, a ona zrozumiała, że nie będzie go już widywać codziennie, w bezsilnej rozpaczycie chciała umrzeć. Przez wiele nocy chlipała w poduszkę z ukradzionym zdjęciem przyklejonym do policzka. Często też wyobrażała sobie, jak Wojtek wchodzi przez werandę do jej pokoju, bierze ją delikatnie za rękę i... Nigdy nie miała śmiałości, by wymarzyć sobie dalszy ciąg. Co noc podejmowała kolejne próby i zawsze jej projekcja urywała się w tym samym momencie. Gdy Wojtek zaciskał czule palce na jej drżącej dłoni.

Wtedy właśnie powstało to nieszczęsne zdjęcie. Photoshop z ubiegłego wieku. Żałosna próba urzeczywistnienia marzeń. Anna schowała je potem możliwie głęboko, wstydzając się swojego zuchwalstwa.

Kiedy jej dziewczęce emocje zaczęły wreszcie przygasać, a zbliżające się egzaminy do wymarzonego liceum plastycznego zajęły jej głowę tak bardzo, że przestała ciągle rozmyślać o Wojtku, nagle wydarzył się cud. Spotkała go. Najzwyczajniejszym w świecie przypadkiem.

Wracała autobusem z warsztatów plastycznych w Łomży. Skuliła się na ostatnim siedzeniu autobusu, z otwartym szkicownikiem na kolanach, i starała się dokończyć rysunek. Okazało się to niełatwe w warunkach jazdy. W końcu oderwała od kartonu węgiel w ołówku i skupiła się na próbie dostrzeżenia, gdzie popełniła błąd, który tak bardzo burzył ogólną perspektywę szkicu, na co zwrócił uwagę jej instruktor. Nagle poczuła, jak ktoś siada obok z rozmachem, trącając ją przy tym w łokieć, przez co niedokończony rysunek przekreśliła gruba, czarna krecha. Wściekła, że jej praca poszła na marne, nabrała już powietrza, by powiedzieć temu komuś, co myśli o jego zachowaniu i przypomnieć o istnieniu pozostałej części niemalże pustego autobusu. Podniosła głowę i... zamarła. Obok siedział Wojtek i spoglądał na nią bardzo skruszony.

– Nie chciałem. Przepraszam. Miałem zamiar tylko się przywitać, bo chyba znamy się z podstawówki w Bujanach. – Rzucił okiem na przekreślony rysunek i zmarszczył czoło. – Ale ze mnie matoł. Zniszczyłem taką ładną pracę. Nie wiem, jak mógłbym ci to wynagrodzić. Gdybym umiał, narysowałbym drugą, ale niestety aż tak zdolny nie jestem. Może dałabyś się zaprosić chociaż na jakieś lody? Co?

Anna wciąż milczała, gapiąc się na niego bezmyślnie szeroko otwartymi oczami. Nie była w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Zresztą, nawet gdyby jej się to udało, nie miała pojęcia, jakie to mogłoby być słowo.

– Wiem, jesteś na mnie wściekła. Masz prawo. Ale może chociaż spróbujesz mi wybaczyć? I pójdziesz ze mną na te lody? – Wojtek patrzył na nią błagalnie. – Mrugnij chociaż, na znak, że się zgadzasz, dobrze?

Autobus podskoczył nagle na jakimś wyboju, a ona ocknęła się wreszcie i nieco wbrew swojej

woli zamruwała parokrotnie, jakby ocknęła się ze snu.

– Rozumiem. Zgodzisz się pod warunkiem, że to będą naprawdę duże lody. Tak? – Roześmiał się, będąc wyraźnie pod urokiem trzepotu jej długich rzęs, na szczęście starannie tego ranka wytuszowanych i podkreconych zalotką. – Nie ma sprawy, należą ci się. Największe.

Zgodziła się już wprost i bez wahania. Również na kolejne spotkanie, i kolejne. Pomiedzy nimi zrodziło się coś, o czym nigdy nie śmiała nawet marzyć, mimo że wcześniej sądziła, że w swoich nastoletnich mrzonkach posuwa się o wiele za daleko. Na ponad cztery lata stali się niemal nierozłączni. Potem Anna wyjechała na studia. To nie wpłynęło korzystnie na ich związek. Coraz trudniej było im się spotkać. Coraz więcej ich dzieliło i coraz mniej łączyło. I sami nie wiedząc kiedy, przestali istnieć razem, a zaczęli osobno.

Wtedy właśnie wszystko się skończyło.

Anna wzdrygnęła się, strząsając z siebie resztki ciągle bolesnych wspomnień. Siadła na łóżku i podniosła pokrywę laptopa. Kliknęła ulubioną zakładkę *Maniobajanie* – blog i przeczytała przypadkowo otwarty wpis.

Samotność bywa czasem czymś nieuniknionym. Dopada człowieka, niekiedy tylko na chwilę, innym razem zostaje na dłużej. Najgorsza jest taka, która zadomawia się w środku. Uczuć nie da się opisać zwykłymi słowami tak, by ktoś inny je zrozumiał. A nawet gdyby było to możliwe, to jaki byłby tego sens?

I czy ja właśnie tego chcę?

Gdyby ktoś inny mógł mnie tak dobrze zrozumieć, poznać moje myśli i dowiedzieć się, co czuję, wówczas stałby się prawie mną. Zabrałby mi to, co najbardziej moje, a tego bym na pewno nie chciała. Bo istnieją pewne kawałeczki mnie, które są tylko moje, i wolałabym, żeby tak zostało.

Myślę, że samotność nie zawsze jest zła. Niekiedy bywa czymś potrzebnym, a nawet przyjemnym...

– Kochanie, masz gościa.

Anna podniosła wzrok znad książki, starając się odgadnąć, co kryje się za tajemniczym uśmiechem jej matki. Nie spodziewała się nikogo. Z Agnieszką rozmawiała niedawno przez telefon i nic nie wskazywało na to, by przyjaciółka się do niej wybierała, natomiast Bożena nadal była w szpitalu. Nie miała w Bujanach więcej znajomych, oprócz... Poczuli nagle ukłucie pod żebrem. Czyżby to był Wojtek?

Błyskawicznie wyplątała się z koca, szukając gorączkowo lustro, w którym mogłaby się przejrzeć i poprawić fryzurę. Zerknęła w popłochu na swój stary welurowy dres i westchnęła zrezygnowana, ponieważ zdała sobie sprawę, że niewiele zdziała, skoro gość stał już prawdopodobnie za plecami jej matki. Można było jedynie robić dobrą minę do złej gry. Zdezorientowana stała na środku pokoju, zdając sobie mimowolnie sprawę z tego, jak głupią musi mieć minę.

Zanim zdążyła podjąć decyzję, co dalej, do pokoju wparowała korpulentna szatynka. Z radosnym uśmiechem na ustach rozłożyła szeroko ramiona i wprawiając Annę w kompletne osłupienie, wrzasnęła gromko:

– Tadaaam!

– Anita! – pisnęła Anna przenikliwie, rzucając się jej w objęcia. – Nie wierzę! Skąd się tu wzięłaś?

– Moja mama doniosła mi uprzejmie, że jakiś czas temu zjechałaś do Bujan. Więc oto i jestem!

– Ponownie wykonała gest mający oznaczać efektowną prezentację.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że przyjechałaś. Wiesz, że Agnieszka też tu jest?

– No jasne. Nie bywam w Bujanach tak często, jak bym chciała, ale jednak bywam. Do Agnieszki i jej zwierzyńca zajrzałam zresztą po drodze. Niestety, jutro muszę wracać i mam mało czasu, a chciałabym też wpaść do Bożeny. Ona chyba jeszcze nie urodziła, prawda?

– Nie. Choć jest w szpitalu. Ale nie ma powodu do obaw, bo to raczej tak na wszelki wypadek. Właśnie dziś miałam znów się do niej wybrać. Może mogłybyśmy razem tam pojechać? Szkoda, że przyjechałaś na tak krótko – westchnęła.

– Niedługo przyjadę na dłużej, muszę tylko jakoś to zorganizować. A do Bożeny oczywiście możemy pojechać.

– Kiedy?

– Zaraz. Wypiję z twoją mamą kawę, a ty się szykuj. Aha, fajny dresik. – Zachichotała i czmychnęła z pokoju, zostawiając po sobie mocny zapach perfum.

Anna uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Anita nie zmieniła się ani trochę. Była taka sama jak dwadzieścia lat wcześniej. Zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Szalona i pełna życia. „Jakby czas o niej zapomniał, a ona zapomniała o czasie” – pomyślała Anna, czesząc się przed lustrem przymocowanym do wewnętrznej strony drzwi szafy, o którym dopiero teraz sobie przypomniała.

Prawdopodobnie charakter i niezwykła osobowość Anity sprawiły, że to z nią Anna najdłużej utrzymała kontakt. Ich relacje rozluźniły się dopiero, kiedy przyjaciółka wyszła za mąż i przeprowadziła się na stałe do Krakowa. Anna wiedziała jednak, co się u niej dzieje na bieżąco, znała jej rodzinę. Mąż Anity był znanym i cenionym lekarzem, miała z nim dwóch synów, a sama prowadziła firmę zajmującą się pośrednictwem w handlu nieruchomościami i żyła na maksymalnych obrotach. Jak zawsze. Pełna radosnej werwy i optymizmu.

Przez całą drogę do Łomży śmiały się jak szalone, wspominając dawne czasy. Dlatego dopiero gdy dojechały na miejsce, Anna zdecydowała się opowiedzieć Anicie o złym samopoczuciu Bożeny. Kobieta nie tryskała radością, kiedy widziały się ostatnim razem, wydawało się, że już nic jej nie cieszy. W skrytości ducha Anna liczyła, że obecność przyjaciółki i otaczająca ją pozytywna aura wpłynie na poprawę nastroju ciężarnej, która podczas każdych kolejnych odwiedzin wydawała się coraz bardziej

przygnębiona swoją sytuacją. Już w domu nie czuła się najlepiej, a pobyt w szpitalu jeszcze pogorszył jej stan psychiczny. Do tego dochodziła obawa o dziecko i zbyt dużo czasu na niepotrzebne rozmyślanie o tym, co może się stać i co by było „gdyby”.

Kiedy weszły do szpitalnej sali, Bożena leżała na boku i patrzyła w okno. Anna zdążyła zauważyć wyraz jej oczu. Zdała sobie sprawę, że skądś go zna. Że jeszcze niedawno identyczne spojrzenie widziała w zaparowanym łazienkowym lustrze w swoim warszawskim mieszkaniu. Poczowała znajomy ucisk w gardle. Spojrzała na Anitę. Ona również przyglądała się Bożenie ze zmarszczonym czołem, bez śladu uśmiechu na twarzy.

– Cześć, Bożka – odezwała się wreszcie cicho i przysiadła na krawędzi łóżka.

Ta obróciła się przestraszona, zupełnie jakby została wyrwana z głębokiego snu. Kiedy zobaczyła koleżanki, jej twarz złagodniała i pojawił się na niej cień uśmiechu.

– Jak to dobrze, że jesteście – wyszeptwała.

Anita pogładziła ją po bladym policzku i uśmiechnęła się promiennie.

– No, wstawaj, kochana, skoro już masz gości. Widzę, że nuda cię zżera i lenistwo. Zajmiemy się tobą – zadysponowała. – Zaczniemy od włosów.

– O czym ty mówisz? – Bożena zamrugwała zdziwiona.

– Zrobimy ci śliczną fryzurę, delikatny makijaż, a potem zajmiemy się pazurkami. – Anita wyjęła z przepastnej torby pękata kosmetyczkę. – Opowiemy ci też wszystkie bujaneckie ploteczki, a ty będziesz się w tym czasie relaksować. To dużo lepsze od gapienia się w okno. A potem będziesz sobie już tylko leżeć, pachnieć i uwodzić wrodzonym osobistym urokiem wszystkich tutejszych doktorów.

– Zwariowałaś? – Bożena zakryła dłonią usta, parskając śmiechem. – Kompletnie zwariowałaś!

Anna w pierwszej chwili przerażona obcesowością przyjaciółki, ze zdumieniem odkryła, że do prawie martwych jeszcze przed chwilą oczu Bożeny jakby powróciło życie. Z podziwem patrzyła na Anitę, która stała ze szczotką do włosów za plecami ciężarnej, delikatnie rozczesując skołtunione mysie pasma. Z jej twarzy jednak zniknął uśmiech. Spojrzała na Annę i pokręciła nieznacznie głową.

– Nie jest dobrze. – Dało się odczytać z ruchu jej warg.

– Musimy coś z tym zrobić – odpowiedziała Anna, bezgłośnie poruszając ustami i posyłając jej nad głową Bożeny wymowne spojrzenie.

– Trzeba pogadać z jej mężem – zawyrokowała Anita już w drodze powrotnej. – Przecież ta dziewczyna jest o krok od pogrążenia się w depresji.

– Jest w ciąży. Może to sprawka hormonów?

– Może, jednak nie powinno się tego tak zostawiać. Mam nadzieję, że kiedy urodzi, poczuje się lepiej, ale na razie trzeba jej pomóc.

– Masz rację.

Anita zerknęła na nią i otworzyła usta, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Jechały przez chwilę w milczeniu.

– Wiesz już, prawda? O Piotrze – odezwała się w końcu Anna.

– Tak. Złe wieści najszybciej się rozchodzą. – Zamilkła na chwilę. – Przepraszam cię.

– Za co? – zdziwiła się.

– Za to, że mnie przy tobie nie było... – urwała, przełykając głośno ślinę. – Wiesz, ja... stchórzyłam. Moja mama powiedziała mi, co się stało. Chciałam od razu przyjechać, ale nie miałam odwagi. Zastanawiałam się, co mogłabym ci powiedzieć, i nie znalazłam odpowiednich słów. Właściwie wciąż ich szukam.

– I dobrze, że ich nie masz. – Anna poklepała ją po ramieniu. – W takich wypadkach najlepiej nie mówić nic.

Przez resztę drogi zastanawiały się już tylko nad tym, jak pomóc Bożenie. Anita obiecała przyjechać do Bujan na dłużej, jak tylko pozamyka najważniejsze sprawy w firmie i wyprawi swoich piętnastoletnich synów bliźniaków na wakacyjny obóz.

W Bujanach jednak zamiast skręcić w ulicę, przy której stał dom rodziców Anny, kobieta pojechała prosto.

– Prawie wypadło mi z głowy, że muszę jeszcze coś załatwić. Pojedziesz ze mną?

– Teraz już chyba nie mam wyjścia – odparła Anna z przekąsem. – A dokąd, jeśli można wiedzieć?

– Do Wojtka. Obiecał mi coś i chcę sprawdzić, czy się z tego wywiązał.

Chwilę później zaparkowały przy ogrodzeniu z metalowych prętów. Anita wysiadła pierwsza, jednak zamiast do domu, skierowała swoje kroki do znajdującego się za nim pomieszczenia gospodarczego. Anna szła za nią niepewna i zaskoczona.

– A ty co się tak dziwisz? Nie byłeś tu nigdy?

– Nie. A po co miałabym tu być?

– Nie wiem, ja tam ciągle coś u Wojtka zamawiam.

– Nie macie tam w Krakowie sklepów budowlanych czy co?

– Sklepy mamy, ale takiej pracowni i tak uzdolnionego artysty już raczej nie.

Anna uniosła brwi w zdumieniu, jednak nie zdążyła o nic dopytać, ponieważ przyjaciółka otworzyła drzwi niskiego budynku. Poczwały ostry zapach farb i lakieru do drewna. Weszły do środka. Wojtek w zakurzonym ubraniu pochylał się nad niewielką komódką. W rękach trzymał pędzel i otwartą puszkę. Zdecydowanie ucieszył się na ich widok.

– Robisz meble? – zagadnęła Anna, nadal nie mogąc wyjść z podziwu.

– Żeby tylko! – Anita nie pozwoliła Wojtkowi dojść do słowa. – On je tworzy. Na nowo, dając im kolejne, całkiem nowe życie. Stare rupiecie zmienia w małe arcydzieła.

– Stare rupiecie? – zdziwiła się Anna. – Gdzie?

– Wszędzie. – Anita machnęła ręką i powiodła wzrokiem po pomieszczeniu.

– Odrestaurowałeś je?

– To trochę za dużo powiedziane – odparł skromnie. – Po prostu oszlifowałem i pomalowałem.

A ty, Nitka, przestań się wreszcie nabijać, dobrze?

– Wcale się nie nabijam! – Na jej twarzy odmalowało się święte oburzenie. – Naprawdę uważam, że robisz coś niesamowitego. Wiele z nich ocaliłeś przed śmietnikiem albo porąbaniem na opał. A propos, co z moim stolikiem?

– Schnie. – Wojtek pokazał kąć pracowni.

– Super! Czyli jutro będę mogła go zabrać?

– Jasne.

Anna tymczasem przyglądała się pomalowanym sprzętom. Zatrzymała się przy niedużym białym kredensie. Wyglądał na bardzo stary i był wyjątkowo urokliwy.

– Jaki piękny. Jest na sprzedaż? – spytała.

– I tak, i nie. Przywiozła go tu jakiś czas temu taka jedna klientka. To jest podobno kredens z domu jej babci. Poprosiła, żebym go odnowił. Kiedy prawie skończyłem, ona zmieniła nagle koncepcję i zażądała, żebym go postarzył i ozdobił motywem lawendy.

– Czym? – parsknęła Anita.

– Przecież mówię. Lawendą. To ponoć teraz modne. Kredens postarzyłem tak jak chciała, przetarłem i wywierciłem nawet dziurki imitujące ślady korników, niestety, utknąłem na amen przy tej lawendzie. Myślałem, że znajdę gdzieś jakiś szablon czy coś, jednak to nie takie proste. Niestety, klientka się uparła i powiedziała, że zabierze go albo z lawendą, albo wcale. I teraz nie wiem, co z nim począć.

– Wielkie mi co! – Anita wzruszyła ramionami. – Przecież Anka może ci tę lawendę machnąć.

Cóż to dla niej. Nie, Anka? – Trąciła koleżankę łokciem. – Namalowałabyś, co?

– W zasadzie mogłabym, jednak uważam, że ta lawenda tylko zszpeci ten piękny mebel. Może by jednak przekonać tę klientkę, że nie warto?

– Anka, litości. Nawet nie wiesz, jak długo próbowałem ją namówić, żeby zrezygnowała z tej cholernej lawendy i zabrała ten pier... przepraszam, utrapiony kredens, który zagraca mi tylko pracownię. Uparła się i już. To co, narysujesz? – Złożył błagalnie ręce.

– Jeśli to jedyne wyjście...

– Dzięki. Odwdzięczę ci się, obiecuję.

– W zasadzie to ja będę mogła w ten sposób odwdziżyć się tobie za przybory do malowania. To kiedy mam przyjść? – Od razu przeszła do rzeczy.

– Jak najszybciej, możesz zacząć nawet teraz. – Odłożył pędzel i zakrył puszkę z lakierem. – Ale najpierw zapraszam do siebie. Kawa czy herbata?

Najmilszym fragmentem dnia dla Anny był czas zaraz po śniadaniu. Wtedy zwykle siadała z matką przy kuchennym stole, by wspólnie celebrować picie porannej kawy przegryzanej jakimś łakociem. Tego dnia Maria położyła na talerzu świeżo usmażone drożdżowe pampuchy posypane obficie cukrem pudrem.

– Posłałam ojca do sklepu po kawałek sękacza, ale przepadł gdzieś i nie ma go od prawie godziny – poskarżyła się. – Pewnie się z kimś zagadał.

– Sękacz jest niepotrzebny. Twoje pampuchy są o niebo lepsze.

Anna zatopiła zęby w puszystym placuszku.

– Może dzieci miałyby ochotę, co? – Maria przyglądała się jej z nieskrywanym zadowoleniem.

– Nie ma ich. Franek poszedł do Arturka, a Mela znów ma jakąś sesję do tego swojego bloga modowego. Zabrały twoje ciuchy retro.

– Ciekawa jestem efektu, mam nadzieję, że mi pokaże.

– Na pewno – mruknęła Anna, choć wcale nie była tego pewna.

Jej córka rzadko się chwaliła tym, co zamieszczała na blogu, a ona nie potrafiła się przemóc, by tam po prostu zajrzeć. Czułaby się wówczas, jakby szpiegowała Amelię. To było dość dziwne i na pewno irracjonalne poczucie, ponieważ blog był publicznie dostępny, jednak nie potrafiła się temu przeciwstawić.

– Odłożę im kilka pampuszków, może zjedzą potem – zdecydowała jej matka. – Zrobiłam zresztą więcej ciasta i na deser będą parzaki z truskawkami.

– To te bladziutkie bułeczki gotowane na parze? – Upewniła się Anna. Nie jadłam ich chyba ze sto lat!

– Więc dziś nadrobisz cały ten stracony czas.

– I roztyję się jak świnka.

– Sama przecież mówiłaś, że chciałabyś nabrać trochę ciała.

– Ale już nie chcę. Stałam dziś rano na wadze i to, co zobaczyłam, zdecydowanie wykroczyło poza mój plan. – Anna uniosła bluzkę i zademonstrowała okolice talii. – Sama popatrz. Tego, co mi przybyło, nie da się w żaden sposób nazwać odrobiną. Zdrowy rozsądek nakazuje nie jeść kolejnego pampucha, a ty kusisz mnie następnymi łakociami. Lepiej będzie, jeśli zawiozę je Bożenie do szpitala.

– Jedziesz dziś do niej?

– Tak, po południu... – Anna zawahała się. – Wiesz, mamo, nie mówiłam ci wcześniej, ale ona nie wygląda zbyt dobrze.

– Co masz na myśli? Chodzi o to, że się trochę zaniedbała?

– Nie, no coś ty. – Anna zawstydziała się, bo to też przyszło jej swego czasu do głowy. – Miałam na myśli jej ogólne samopoczucie. Prawie wcale się nie uśmiecha, a jeśli już, to samymi ustami, bo oczy pozostają jakieś takie...

– Smutne?

– Nawet nie. Wydają się puste. Pozbawione emocji. To nie jest normalne u kogoś, kto czeka na narodziny dziecka.

– To nie jest normalne u nikogo – sprostowała Maria i zamyśliła się.

Na jej twarzy malowała się troska. Odstawiła kubek z kawą i potarła brodę w zamyśleniu.

– Może trzeba było z nią porozmawiać, dowiedzieć się, co ją trapi?

– Myślisz, że nie próbowałyśmy z Anitą? Niestety, bez skutku. Zacięła się i już. Na szczęście dało się co nieco wyczytać między jej słowami. Właściwie nawet całkiem sporo, jeśli weźmie się pod uwagę to, że ona w ogóle niewiele mówiła. Zresztą, nasze przypuszczenia potwierdziły się, kiedy rozmawialiśmy z jej mężem. – Anna podparła pięścią policzek i zamyśliła się chwilę. – Bo ona sprawia wrażenie, jakby nie czuła się już kobietą, ale inkubatorem, jedynie opakowaniem dla rozwijającego się w niej dziecka – odezwała się wreszcie, wolno ważąc słowa. – W dodatku wydaje jej się, że kiedy maluch

przyjdzie na świat, opakowanie nie będzie już do niczego niepotrzebne.

– Przecież to nedorzeczne!

– Oczywiście! Ale przecież wiesz, co czasem robią z psychiką kobiety ciążowe hormony. Jest w tym trudnym dla niej momencie emocjonalnie wrażliwa i delikatna, wymaga też wielkiej uwagi. Kobieta w tym stanie musi wiedzieć, że ktoś przy niej jest i interesuje się również nią, nie tylko dzieckiem, które nosi w brzuchu. Musi czuć, że nie jest z tym wszystkim sama.

– Czy to znaczy, że Mirek jej nie odwiedza w szpitalu?

– Ależ oczywiście, że odwiedza i to codziennie. Przychodzi, przynosi czystą bieliznę i coś do jedzenia. Pyta o dziecko, o wyniki badań, potem opowiada, jaki ciężki miał dzień, że jest zmęczony i w końcu oświadcza, że musi wrócić do domu odpocząć. I już.

– No tak. On widzi to w taki sposób, że Bożena leży sobie w tym szpitalu i tylko się relaksuje w oczekiwaniu na rozwiązanie, podczas gdy on biedaczek zasuwa od rana do nocy za nich oboje, ledwie łapiąc oddech.

– Właśnie. Dlatego musiałyśmy wyprowadzić go z błędu i uświadomić, że jego ciężarna żona może się czuć jeszcze bardziej zmęczona niż on, przede wszystkim psychicznie. I że istnieje coś, co jest jej znacznie bardziej potrzebne niż czysta bielizna czy nawet przysmaki od pani Jasi. Wyjaśniłyśmy mu, dlaczego kobieta w takiej sytuacji potrzebuje wsparcia i ciągłego przypominania o tym, jaka jest piękna, ważna, potrzebna.

– I co Mirek na to?

– Na początku strasznie się rzucał, że nie ma czasu na takie głupoty, bo pracuje. Myślę, że nawet miał nam za złe, że się wtrącamy w ich sprawy, co właściwie wydaje się w tej sytuacji zrozumiałe i trudno mieć do niego o to pretensje. Ale nie odpuściliśmy, dlatego w końcu przełknął dumę i chyba zrozumiał, o co nam chodzi. Obiecał spróbować coś zmienić. Mam nadzieję, że mu się to uda. My z Anitą też pomożemy, jak będzie trzeba.

– Oczywiście, każda kobieta potrzebuje czasem wsparcia innej kobiety. Najlepiej matki, ale z tego, co wiem, rodzice Bożenki przylecą ze Stanów dopiero na święta. Może chociaż któraś z jej sióstr pojawi się wcześniej?

– Raczej nie. Ale zapomniałaś, że ona ma jeszcze panią Jasię.

– No tak, Jasia bywa niezastąpiona w pewnych kwestiach.

Maria mrugnęła do córki porozumiewawczo i obie się roześmiały na wspomnienie utyskiwań Jasi dotyczących tego, jak mało jej zdaniem Bożena je, co zapewne odbije się na dziecku, które przez to już zawsze będzie zbyt chude i mizerne.

– A co wam tak wesoło?

W kuchni pojawił się wreszcie ojciec Anny. Pod pachą trzymał ogromnego sękacza opakowanego w szeleszczącą folię, drugą rękę chował za plecami.

– Co tam masz? – Żona zerknęła na niego nieufnie.

– Sękacza kupiłem. Piątnicki był, to wziąłem największy.

– Widzę – odparła niecierpliwie, biorąc od niego ciasto. – Chodziło mi o to, co masz tam z tyłu.

Próbowała podejrzeć, ale mężczyzna wykonał zręczny unik i przytrzymał żonę za rękę. Zrobił tajemniczą minę, odczekał chwilę, po czym zaprezentował piękny różany bukiet.

– Wszystkiego najlepszego, najukochańsza żono, z okazji naszej rocznicy ślubu! – wypalił i spojrzał na nią w uroczystym wyczekiwaniu.

Maria westchnęła ciężko i zwiesiła z rezygnacją ramiona, a jej mąż zamarł zdezorientowany, z bukietem przed sobą.

– To nie dziś – wycodziła Maria.

Złapała się za policzki i popatrzyła na męża z politowaniem w oczach.

Anna odstawiła kubek z kawą. Z otwartymi ustami przyglądała się scenie, zerkając raz na ojca, raz na matkę.

– Co? O co wam chodzi? – wyjąkał darczyńca.

– Tatku... – Anna popatrzyła na niego łagodnie. – Przecież braliście z mamą ślub w listopadzie.

Wtedy będzie wasza rocznica. W listopadzie – dodała z naciskiem.

Ojciec rozejrział się niezbyt przytomnie i klepnął się w czoło. Usiadł po drugiej stronie stołu, kładąc na nim bukiet.

– Bo... – zaczął i zerknął ukradkiem na żonę, która znacząco pukała się w głowę. – Bo mnie się ten listopad z lipcem pomylił przez to, że jedno i drugie na „l”.

– Co ty mówisz? Jak mógł ci się pomylić listopad z lipcem? Przecież to niemożliwe. – Zdumiała się Anna.

Bardzo trudno było jej uwierzyć w takie wytłumaczenie. Zdecydowała się nie przyjmować go do wiadomości, niestety inne, które przychodziło jej do głowy, napawało ją przerażeniem.

– Oj tam, pomyliło mi się i tyle. – Nie ustępował. – Wielkie mi co! Każdemu mogło się zdarzyć.

W końcu podniósł się i wybiegł z kuchni, machając za sobą ręką na odczepnego. Anna odprowadziła go zatroskanym wzrokiem, zastanawiając się, czy za nim pobiec. Usiadła jednak przy stole naprzeciwko matki.

– Mamo... Nie podoba mi się to, wiesz?

– Co?

– To, co tata dziś zrobił... Moim zdaniem to może nie być zwykła pomyłka. Nie wydaje ci się to trochę niepokojące?

– Skleroza i starość. Ot, co. Czym tu się niepokoić? Przecież taka jest normalna kolej rzeczy.

– Nie. To wcale nie jest normalne.

Matka milcząc patrzyła w okno.

– Mamo, tata powinien zrobić badania.

– Jakie znów badania? – Ocknęła się w końcu, obrzucając córkę zdziwionym spojrzeniem.

– Są choroby, które dotyczą niektórych ludzi w pewnym wieku. Wiesz, o co mi chodzi, prawda? Czasem lekceważy się ich pierwsze symptomy, tłumacząc je zwykłym roztargnieniem, a przecież wiesz, że w przypadku każdej choroby najlepiej jak najwcześniej postawić diagnozę i rozpocząć leczenie.

– Co ty sugerujesz? Że ojciec ma początki alzheimera?

– Tego nie powiedziałam, ale czułabym się spokojniejsza, gdyby poszedł do lekarza, który to wykluczy.

– W takim razie możesz już poczuć się uspokojona. Ojciec z pewnością nie ma alzheimera.

Przynajmniej na razie.

– Skąd to wiesz? Właśnie pomylił waszą datę ślubu! Nigdy dotąd coś takiego mu się nie zdarzyło.

– Nie pomylił – wymamrotała Maria, niemal nie otwierając ust, i znów odwróciła głowę.

– Co ty mówisz?

– Dokładnie to, co słyszysz.

– Jak to nie pomylił? Przecież braliście ślub w listopadzie, więc jak możecie obchodzić rocznicę ślubu w lipcu?

– Bo to nie jest ta rocznica ślubu.

– Jak to, nie ta?

Maria znów chwilę milczała.

– Ponieważ to jest rocznica naszego drugiego ślubu – wypaliła wreszcie i zagryzła wargi.

Anna patrzyła na nią teraz z rozbawieniem.

– Przestań! Wzięliście drugi raz ślub? Po co?

– Nie mieliśmy wyjścia, skoro poprzedni już nas nie obowiązywał.

Anna przestała się uśmiechać.

– Mamo! Możesz mówić jaśniej? Nic z tego nie rozumiem.

– Wzięliśmy z ojcem rozwód – wyrzuciła nagle i gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

Na jej twarzy odmalowało się coś w rodzaju ulgi.

– Ale to już teraz nieważne – dodała szybko, widząc, jak jej córka blednie, a zaraz potem robi się purpurowa. – Pobraliśmy się znów, a tamto poszło w niepamięć.

– Jak to, w niepamięć? Co w niepamięć? – Gorączkowała się Anna, usiłując zapanować nad

drzeniem głosu i rąk. – Nadal nic nie rozumiem! Wzięliście rozwód? To był jakiś eksperyment? Test czy co?

– No wiesz! Jak mogłaś pomyśleć, że rozwiedliśmy się dla zabawy. Były bardzo poważne powody, by zakończyć to małżeństwo.

– Czy chcesz powiedzieć, że... – Anna poczuła, jak coś dużego rośnie jej w gardle, a ona nie jest w stanie tego przełknąć. – Czy tata cię zdradził? – wydusiła.

– Zdradził? – Matka spiorunowała ją wzrokiem pełnym niebotycznego oburzenia, podrywając się gwałtownie z krzesła. – Moja panno! Twój ojciec jest... jest porządnym człowiekiem i nie sądziłam, że mogłabyś go posądzić o coś... coś takiego!

– Ależ mamo, ja go o nic nie posądzam. Próbuję tylko zrozumieć, co się stało. Podobnie jak to, dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? Dlaczego nie powiedzieliście, że dzieje się u was coś złego, tylko borykaliście się z tym sami?

– Wcale nie sami. Madzia bardzo nas wtedy wspierała.

– Jak to, Madzia? A ja? Ja nie zasłużyłam na wasze zaufanie?

Anna poczuła się, jakby dostała czymś w głowę. Ponieważ jej broda zaczęła niebezpiecznie drzeć, ciągnąc w dół kąciki ust, przytrzymała ją dłonią i zacisnęła mocno oczy, by powstrzymać napływające do nich łzy. Chciała uciec, ale nie zdążyła, bo matka złapała ją i przytuliła mocno.

– Anulka, no co ty? To wcale nie dlatego! Byłaś wtedy w ciąży z Frankiem. Nie chcieliśmy cię w tym stanie denerwować, więc postanowiliśmy powiedzieć ci dopiero, jak urodzisz. No ale tak się złożyło, że do tego czasu to myśmy się już właściwie zesłi, więc uznaliśmy, że nie ma co do tego wracać. Gdyby ten stary sklerotyk nie wyskoczył dziś z tym bukietem, pewnie nigdy byś się nie dowiedziała.

Anna wyplątała się z objęć matki i znów opadła na krzesło. Jednym haustem dopiła zimną już kawę, czując jednocześnie nadchodzącą falę mdłości. Wzdrygnęła się, obejmując się ramionami, i popatrzyła z wyrzutem na matkę, ocierając z policzka łzę.

– Uważam, że mimo wszystko powinniście byli mi... Miałam prawo wiedzieć.

Siedziała skulona, wciąż pociągając nosem, ze ściągniętymi brwiami, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć.

– Ale przecież w tym czasie, kiedy byłam w ciąży z Frankiem, całkiem często u was bywaliśmy, pamiętasz? Nie chciałam wdychać warszawskich spalin i na weekendy przyjeżdżaliśmy do Bujan. I nie zauważyłam, żeby coś między wami było nie tak. Ojciec cały czas tu normalnie mieszkał.

– Wcale nie. Wprowadzał się tylko na czas waszego pobytu.

– Więc gdzie mieszkał?

– W chałupie po babci. Jeszcze wtedy nie była sprzedana.

– W tej ruderze?

– Tylko do jesieni. Potem żal mi się go zrobiło, bo pamiętasz, tam z tym piecem coś było nie tak. Kiepsko grzał. A ja nie mogłam patrzeć, jak on tam zamarza, i kazałam mu przeprowadzić się do pokoju na poddaszu. Podzieliłam lodówkę na pół, żeby stołował się na własny rachunek. Wszystko w domu podzieliłam na pół. Ale w końcu znów żal mi się go zrobiło, że byle jak i byle co je, więc raz i drugi poczęstowałam go obiadem. Czasem też razem obejrzelśmy jakiś film, potem coś się stało z prądem na strychu, więc ojciec musiał sprowadzić się na dół, i... już na tę górę nie wrócił. A dalej, wiesz.

– Powiedzmy. Bo nadal nie rozumiem, dlaczego wam się to pierwsze małżeństwo rozsypało.

– Przez szereg nieporozumień – odparła Maria. – Tak głupich, że nie chcę już do tego wracać.

– Niech ci będzie – westchnęła Anna z rezygnacją i spojrzała nagle na zegarek. – Powinam już od pół godziny być w lecznicy. – Potarła z roztargnieniem twarz i zacisnęła na chwilę oczy, jakby usiłowała pozbyć się spod powiek zalegających tam łez. – Muszę iść – powiedziała, podrywając się gwałtownie. – Powiesz Frankowi, że już wyszłam, dobrze?

– Pewnie. O nic się nie martw. Wszystko mam pod kontrolą.

– Jasne. – Anna posłała jej wymowne spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na bukiet, który wciąż leżał na stole. – Może wstawisz je do wody? Są bardzo ładne, szkoda, żeby zwiędły.

– Wstawię.

Anna wychodząc odwróciła się i zerknęła jeszcze raz na matkę. Przypomniała sobie twarz ojca w chwili, gdy wybiegał z kuchni. Poczowała przykre ukłucie w sercu, żalując, że jednak za nim nie pobięła. Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie bardziej martwi się o jej reakcję, niż o to, że długo skrywana tajemnica przez jego roztargnienie wreszcie wyszła na jaw. Chciała mu powiedzieć, że jest już lepiej, że będzie lepiej, niedługo, z nią, i ze wszystkim, jednak jednocześnie czuła, że nie ma w sobie dość siły, by to zrobić. Musiałaby wówczas wrócić choćby tylko w myślach do tego, do czego wracać wciąż nie mogła i nie chciała.

Podeszła do matki i objęła ją mocno.

– Mamo – zaczęła. – A może pójdziesz do taty, co? Przecież on mimo wszystko miał dobre intencje.

– Wiem.

– To co, pójdziesz?

– Przecież wiesz, że tak.

– Powiedz mu przy okazji, że ja..., że...

– Dobrze. Powiem.

Maria z czułością pogładziła córkę po policzku, osuszając go. Dopiero wtedy Anna zorientowała się, że był wilgotny.

Na ekranie laptopa wyświetlały się kolejne zdjęcia. Amelia przesuwała palcem po gładziku, klikała i co chwila zadzierała głowę, zerkając na matkę. Z uwagą wpatrywała się w jej twarz, starając się coś z niej wyczytać. Anna raczej celowo z niewiele niemówiącą miną i zmarszczonym lekko czołem przyglądała się obrazom. Córka obserwowała ją więc z coraz większym niepokojem.

– Pokaż mi jeszcze raz to poprzednie – poprosiła ją matka. – O tak, właśnie to. Możesz zatrzymać?

Przez długi moment obie przyglądały się fotografii.

Podobnie jak na większości pozostałych, była na niej Flo. Tym razem na tle szaroniebieskiego cadillaca. Miała na sobie sukienkę podszytą kilkoma warstwami tiulu, a rozpuszczone włosy przewiązała opaską w grochy. Na rękach trzymała... Niusię. Suczce pomiędzy uszami sterczała ogromna kokarda, również w grochy. Niusia patrzyła prosto w obiektyw aparatu roziskrzonymi ślepiami, pełnym najprawdziwszej psiej radości. Flo miała przechyloną głowę i policzek przytulony do niusinej mordki.

– Niesamowite – szepnęła Anna. – Ta dziewczyna ma w sobie coś absolutnie... niezwykłego. Dopiero tutaj to naprawdę widać. Nie umiem tego nazwać, ale to „coś” emanuje z niej z taką siłą, że człowiek nie jest w stanie oderwać wzroku. I ten pies...

– Czyli podoba ci się, tak? – upewniła się Amelia.

– Podoba? To za mało powiedziane. Te zdjęcia są rewelacyjne! Wszystkie. Również z innymi pinapkami, Ksenią i Karoliną... – Anna kręciła głowę z ciągłym niedowierzaniem i podziwem. Nie spodziewała się aż tak spektakularnego efektu pracy dziewcząt. – I przede wszystkim te, na których jesteś ty. Dlaczego nie pokazałaś mi wcześniej twojego bloga? Jest fantastyczny. Niesamowite stylizacje! Kochanie, masz naprawdę wielki talent! Wszystko jest pokazane z prawdziwym smakiem i klasą. Nawet tam, gdzie widać kawałek babcinego pasa do pończoch.

– Więc nie wydaje ci się to zbyt śmiałe, albo... wulgarne? – Amelia wciąż zerkła na nią niepewnie.

– W żadnym wypadku.

– To dobrze – odetchnęła. – Bałam się, że będziesz o to zła.

– Niepotrzebnie. – Anna żartobliwie zmierzwiła jej włosy. – I fajnie, że masz takie koleżanki. To naprawdę świetne dziewczyny.

– Będzie mi ich strasznie brakowało. – Zamyśliła się. – Bo przecież wakacje kiedyś się skończą, wrócimy do Warszawy.

Anna poruszyła się niespokojnie i zagryzła wargi. Od pewnego czasu wciąż zastanawiała się, czy to już odpowiedni czas, by ujawnić swój plan, jednak nadal nie miała co do tego pewności.

Pewna była jedynie tego, że chce osiąść w Bujanach na stałe. Czasami miała wrażenie, że dzieci też tego by chciały. Momentami była niemal przekonana, że taka wiadomość by je wręcz ucieszyła, jednak już po chwili wracały wątpliwości. Zdawała też sobie sprawę z tego, że prawdy nie da się ukrywać w nieskończoność. Zbliżał się koniec lipca, a prawnik, któremu przekazała pełnomocnictwo w sprawie sprzedaży mieszkania, poinformował ją o pojawieniu się pierwszych zainteresowanych. Jeżeli zostanie sprzedane, trzeba będzie zająć się przeprowadzką. Wtedy wszystko wyjdzie na jaw. Lepiej więc było powiedzieć o tym dzieciom wcześniej, zamiast stawiać je przed faktem dokonanym. Obojętnie, jak zareagują.

– A co byś powiedziała, gdybyśmy zostali tu na dłużej? – Anna zaczęła ostrożnie.

– Masz na myśli cały sierpień? – Amelia zerknęła na nią podejrzliwie. – Bo jeśli tak, to raczej beze mnie, skoro jadę na obóz. A zaraz po moim powrocie zaczyna się szkoła.

– Tu też są szkoły.

Dziewczyna zamknęła pokrywę laptopa i chwilę przyglądała jej się z uwagą. W końcu roześmiała się serdecznie.

- Żarty się ciebie trzymają. Przez chwilę myślałam, że mówisz serio.
- Czy to znaczy, że nie podoba ci się w Bujanach? Nie chciałabyś tu zostać na... dłużej?
- Jasne, że się podoba, nawet bardzo. Dlatego cieszę się, że spędzam tu wakacje. Bo to jest dobre miejsce właśnie na coś takiego, nie do mieszkania na stałe.
- Dlaczego? Przecież ja właśnie tutaj mieszkałam. Zapomniałaś? Tu się wychowałam, spędziłam szczęśliwe dzieciństwo, młodość, przeżyłam wiele wspaniałych chwil.
- Więc dlaczego wyjechałaś. Hmm?
- Nie wiem. Bo chciałam czegoś więcej?
- Ja też chcę czegoś więcej. A tu, w Bujanach, raczej tego nie znajdę.
- Ale...

Anna zamilkła. Patrzyła na córkę, która uznawszy prawdopodobnie rozmowę za skończoną, zabrała laptop i ruszyła do siebie na górę.

Teraz nie miała już wątpliwości, że nie będzie łatwo. Straciła wszelkie złudzenia. Amelia nie pogodzi się z wyprowadzką z Warszawy. Pozostawała nadzieja, że chociaż Franek to zaakceptuje, i że dzieci mimo wszystko nie odwrócą się od niej z powodu podjętej decyzji. Nie mogła już jej zmienić. Nie widziała innego rozwiązania, dla siebie i dla nich. Nie mogła i przede wszystkim nie chciała wracać do Warszawy, gdzie nic i nikt na nią nie czekał. Natomiast w Bujanach miała wszystko. Rodziców, przyjaciół i nie tylko... Nieoczekiwana myśl sprawiła, aż zrobiło jej się gorąco, a na twarz wystąpiły rumieńce.

Wyszła na werandę, by trochę ochłonać. Wtedy rozdzwoniła się jej komórka. Zerknęła na wyświetlacz i przestraszona odłożyła telefon na stół. Zamiast go wyłączyć, odruchowo przykryła poduszką.

– To idiotyczne – mruknęła. – Zupełnie, jakby wiedział, że o nim pomyślałam. – Wzdrygnęła się nerwowo, przyciskając dłonie do teraz już płonących policzków.

Telefon przestał wibrować, a ona odetchnęła z ulgą. Po chwili jednak dopadły ją wątpliwości. A co, jeśli poprzedniego dnia zrobiła lub powiedziała coś niewłaściwego? Może Wojtek obraził się, kiedy odmówiła przyjęcia zapłaty za pomoc w renowacji mebla? Albo, co gorsza, właścicielce kredensu nie spodobała się ta nieszczęsna lawenda? I o tym właśnie chce powiedzieć Wojtek?

To było możliwe, ponieważ samowolnie zmieniła nieco koncepcję klientki. Zamiast lawendowych krzaczków namalowała w rogach drzwiczek po trzy delikatne gałązki. W dodatku używała do tego laserunku, przez co lekko transparentny motyw przypominał bardziej cień lawendy. Wtedy wydawało jej się to strzałem w dziesiątkę, a teraz właśnie dopadły ją wątpliwości. Obawiała się, że przez nią Wojtek nie pozbędzie się kredensu.

Podniosła poduszkę i sięgnęła po telefon. Wtedy nieoczekiwanie rozdzwonił się ponownie. Tym razem odebrała.

– Dobrze, że cię wreszcie złapałem! – Usłyszała w słuchawce zaniepokojony głos Wojtka. – Dzwonię w sprawie kredensu.

Anna poczuła, jak po plecach spływa jej strużka zimnego potu.

– Tak mi przykro – zaczęła lekko schrypniętym głosem. – Naprawdę bardzo przepraszam. Nie powinnam niczego zmieniać, ale zrobić wszystko zgodnie z wytycznymi klientki. To w końcu jej kredens. Dlatego przekaż jej, proszę, że wszystko naprawię, zrobię tak, jak prosiła...

– Ale co ty wygadujesz, Anka? Całe szczęście, że nie zrobiłaś tego według jej gustu. Wyglądałoby okropnie. I to nie są, wyobraź sobie, moje słowa, ale właśnie tej kobiety. Właścicielki znaczy. Kiedy dziś zobaczyła kredens, prawie padła przed nim na kolana. Mówię ci, miała łzy w oczach.

– Nabijasz się? – zapytała ostrożnie.

– Gdzieżbym śmiał. Jestem śmiertelnie poważny. Kobieta była wniebowzięta. Niestety, wynikł z tego całkiem nowy problem, i właściwie dlatego dzwonię...

– Wiedziałam. – Westchnęła pełna najgorszych przeczuć. – Mów.

– Bo ona chce, żebym jej odnowił pozostałe meble. W taki sam sposób. Obiecuje, że dobrze zapłaci.

– Ale to chyba dobra wiadomość, co?

– Właśnie nie jestem pewien, bo ona chce mieć wszędzie tę idiotyczną, przepraszam, chciałem powiedzieć identyczną lawendę – westchnął. – Tłumaczyłem, że to nie ja, że znajoma artystka, w ramach przysługi, jednorazowo, incydentalnie, i pewnie kolejny raz się nie zgodzi...

– Dobra, dobra. Nie czaruj. Namaluję ci te kwiatki.

– Naprawdę? Nie masz pojęcia, jak się cieszę. I nie chodzi nawet o zarobek, ale o to, że to jest naprawdę nadzwyczaj upierdliwa baba i nie dałaby mi spokoju. Odwdzięczę ci się, zobaczysz. Powiedz tylko słowo, a zrobię, co zechcesz.

– Zastanowię się. A na początek bardzo cię proszę, byś nie nazywał nigdy żadnej kobiety babą – oświadczyła z powagą. – Pamiętaj. Nawet gdyby była nie wiem jak upierdliwą... osobą.

Z miną księżniczki odłożyła telefon na stół i znów przykryła go poduszką. Rozparła się wygodnie w fotelu i położyła na niej stopy, uśmiechając się do siebie.

„Przecież wszystko się idealnie układa” – pomyślała. „Wszystko, więc z Amelią i Frankiem też będzie dobrze. Musi być”.

Na bibliotecznym biurku leżał piękny album w ozdobnych okładkach. Anna wypatrzyła go przypadkiem wśród sterty książek i kart biblioteczných, czekając na bibliotekarkę, która akurat gdzieś zniknęła.

Niemal zapominając, po co tu przyszła, od dobrych paru chwil nie mogła oderwać od niego wzroku. Album wyglądał na wykonany ręcznie. Ornamentową okładkę w kolorze sepii zdobiła bawełniana koronka, malutkie guziczki, kwiatki i trójwymiarowe ozdoby wycięte z grubego kartonu. Spomiędzy kartek wystawały dwie wstążeczki – prawdopodobnie zakładki, zakończone kilkoma szklanymi koralikami. Przyciemnione brzegi powodowały, że album wyglądał na bardzo stary, chociaż z pewnością taki nie był ze względu na całkiem współczesne dodatki.

Na środku, w tekturowym owalu widniał ozdobny napis *Ich najlepsze chwile*. Tytuł sugerował osobisty charakter zawartości, dlatego Anna nie odważyła się wziąć tego zachwycającego przedmiotu do ręki, a tym bardziej zajrzeć do środka, mimo wielkiej ochoty. Czekala więc cierpliwie przy biurku na powrót Marty, młodsiutkiej bibliotekarki.

– Nie zauważyłam cię, przepraszam. – Kobieta wychyliła się nagle spomiędzy rzędów półek. – Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dziękuję. Właśnie skończyłam. Dzieciaki już sobie poszły – uśmiechnęła się, ponieważ zdała sobie sprawę, że zapomniała, po co tu przyszła. – Właściwie, czekam tu na ciebie.

Gdy Marta podeszła do biurka, Anna wskazała album.

– Nie mogę oderwać od niego wzroku. Możesz mi powiedzieć, co to jest?

– To? – Bibliotekarka zmieszana podniosła album. – Przepraszam, zapomniałam schować. Nie powinnam się tym zajmować w czasie pracy, ale boję się, że nie zdążę skończyć na czas, więc czasem, jak akurat nikogo nie ma...

Uśmiechnęła się przepraszająco i otworzyła dzieło na pierwszej stronie. Było tam zdjęcie pary starszych ludzi w ozdobnej tekturowej ramce w kształcie serca.

– Moi rodzice niedługo obchodzą rocznicę ślubu i wymyśliłam dla nich taki prezent.

– Naprawdę sama to zrobiłaś? – Anna patrzyła na nią z niedowierzaniem i podziwem. – Cały? I okładkę, z tymi wszystkimi guziczkami i koronkami?

– No tak. – Marta się zarumieniła. – To scrapbooking. Nauczyłam się tego jakiś czas temu, przy okazji, jak w bibliotece był kurs dla dzieciaków. Bardzo fajnie się to robi, można wykorzystać różne pozornie niepotrzebne rzeczy, a jedyne ograniczenie to wyobraźnia. Chociaż w sumie ja właśnie napotkałam jeszcze jedno. – Wskazała tytuł na okładce. – Chciałam stworzyć album upamiętniający szczególne chwile z życia moich rodziców. Jednak nie te oczywiste, jak śluby, chrzciny czy urodziny, ale takie, w których czuli najsilniejszą więź i bliskość, to, jak dobrze się rozumieją i niezmiennie kochają. I że nie znudzili się sobą, mimo tylu lat wspólnego życia.

– To jest naprawdę piękny prezent – pochwaliła Anna. – Niezwykły.

– Byłby taki, gdyby udało mi się go dokończyć, ale coś czarno to widzę.

– Dlaczego?

– Wymyśliłam sobie, że każdą z takich dobrych chwil zilustruję zdjęciem. Niestety, okazało się, że tym momentom nie zawsze towarzyszył aparat fotograficzny. – Marta przewracała kolejne strony albumu. – Popatrz, na przykład tutaj mój tata złamał nogę. Przez miesiąc miał ją w gipsie, a mama przez cały ten czas kilka razy dziennie specjalnym patyczkiem drapała go pod tym gipsem w łydkę. A tu z kolei mama robiła sobie maseczkę, taką wiesz, co się ją w całości zdejmuje, jak skórę. W połowie zdejmowania wpadła na pomysł, żeby z tą niby-skórą zwisającą z twarzy pokazać się tacie i powiedzieć, że oblała się wrzątkiem. Tata omal nie zszedł na zawał, a kiedy już zorientował się, że mama umiera ze śmiechu, miał chęć ją udusić. Tutaj jedzą ze wspólnej miseczki budyń, które mama zrobiła na zgodę. Takich historii jest więcej, niestety nie ma zdjęć.

– A nie myślałaś o tym, żeby zrobić rysunki?

Marta wybuchnęła śmiechem.

– Oczywiście, nawet próbowałam. Niestety, do rysowania mam dwie lewe ręce. Nie potrafię i już.

– Ale ja potrafię. A przynajmniej taką mam nadzieję. – Mrugnęła. – Jeżeli chcesz, mogę spróbować. Opowiesz mi tylko co i jak.

– Naprawdę? – Marta nie dowierzała. – Mogłabyś? Bo brakuje przynajmniej kilkunastu.

– Narysuję ich tyle, ile będzie trzeba. A w zamian poproszę cię, żebyś pokazała mi kiedyś, jak się robi taki album.

– Sama zrobię ci podobny, jeśli chcesz. Ratujesz mi życie tymi rysunkami!

– Mam nadzieję, że spodobają ci się i dorównają urodzie albumu. – Anna znów dotknęła okładki, uchyliła ją lekko i popatrzyła na przytuloną do siebie parę. – To jest naprawdę niezwykle i chyba dziś rzadkie – powiedziała bardziej do siebie. – Gdy miłość ani trochę nie słabnie, mimo upływu lat.

– Byłaś kiedyś w Kiermusach?

Anna rzuciła pytanie jakby w przestrzeń, mimo że z pewnością kierowała je do matki. Stała odwrócona do niej tyłem i wolno obierała marchewkę. Myślami była jednak tak daleko, że nie zauważyła, kiedy z warzywa już prawie nic nie zostało. Maria wyjęła jej z ręki marchew, podając główkę sałaty.

– Umyjesz? – spytała. – A jeśli chodzi o Kiermusy, byliśmy tam kiedyś z ojcem. Jakieś parę lat temu. Na jarmarku. A dlaczego pytasz?

Anna nadal trzymała skrobak do warzyw i patrzyła z roztargnieniem na sałatę, wyraźnie nie mogąc się zdecydować, co z nią począć.

– Chodzi mi właśnie o ten jarmark. Spotkałam dzisiaj w lecznicy Wojtka. Pytał, czy nie wybralibyśmy się z nim, to znaczy ja i dzieci.

– Ale to chyba jeszcze nie teraz? Bo o ile dobrze pamiętam, jarmark jest w każdą pierwszą niedzielę miesiąca.

– Zgadza się. Podobno można tam znaleźć prawdziwe skarby.

– Skarby? – podchwycił Franek, który wparował do kuchni z miseczką świeżo zebranych poziomek. – Gdzie?

– Na targu staroci. Miałbyś ochotę się tam wybrać?

– No pewnie!

Wrzucił poziomki do naczynia przygotowanego do mycia sałaty i puścił na nie silny strumień zimnej wody. Anna odskoczyła energicznie, wycierając ochlapaną twarz i dekol. Popatrzyła karcąco na syna i przesyłała oplukane poziomki do miski, a do durszlaka wrzuciła sałatę.

– A może przy okazji odwiedzić też Miejsce Mocy – rzuciła Maria, jakby mimochodem.

Franek aż przysiadł z wrażenia, otwierając szeroko buzię.

– Miejsce Mocy? A co to?

– Magiczny krąg z trzynastu kamieni. Podobno, gdy pośród nich pomyśli się życzenie, ich siła sprawi, że się spełni.

– Przestań, mamó, bo mój syn gotów jeszcze uwierzyć w te bajki! – Roześmiała się Anna i wrzuciła do otwartych ciągle ust syna kilka poziomek.

– Wcale nie uwierzyłem – zaperzył się, przetykając w pośpiechu. – Ale bardzo chciałbym tam pojechać.

– Pojedziemy. Obiecuję. Nie tylko tam. Na Podlasiu jest wiele pięknych miejsc. Dawno temu powinnam wam je pokazać. Do jarmarku w Kiermusach zostało jeszcze trochę czasu, ale w okolicy odbywają się chyba też inne targi, prawda, mamó?

– W Jedwabnem, w każdą środę, ale to jest zwykły targ, nie wiem, czy można tam też znaleźć starocie. Ale można to sprawdzić.

– Środa jest jutro. Chcesz pojechać? – Anna zwróciła się do Franka.

– Chyba nie. Wolę tam, gdzie na pewno będą starocie i skarby.

– Amelia mówiła, że jutro rano znów będzie bardzo zajęta, więc obawiam się, że i ona nie dotrzyma ci towarzystwa. Ani ja, bo mam zajęcia w bibliotece.

– Pojadę wobec tego sama.

– To dobrze. – Ucieszyła się Maria. – Kupisz nam wiejskie jajka, dwadzieścia par.

– Jak to, par? – Franek był zaskoczony.

– Bo tutaj od zawsze kupuje się jajka tylko parami – wyjaśniła mu babka. – Nawet cena podawana jest za parę.

– A gdybym poprosił o jedno?

– I tak dostałbyś dwa – wtrąciła się Anna.

– No coś ty! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – A jak poproszę o dwa, to dostanę cztery?

– Oczywiście.

– Wkręcacie mnie?

– Skądże! Jajka na Podlasiu występują w parach – oświadczyła Anna z powagą, co wywołało niekontrolowany chichot Marii.

– To z czego się śmiejecie?

– Bo dziadek kiedyś postanowił sprawdzić, jak to właściwie jest z tymi jajami – wyjaśniła Anna, domyśliwszy się, z czego między innymi zaśmiewa się jej matka. – Pojechał na targ i chyba z czystej przekory poprosił dwadzieścia jeden sztuk. Okazało się, że naprawdę nie da się tyle kupić. Mógł wziąć jedynie dwadzieścia albo dwadzieścia dwa. Kiedy dociekał, dlaczego, dowiedział się od gospodyni, która je sprzedawała, że jaja w całej przyrodzie występują wyłącznie parami i ona nie ma zamiaru tego zmieniać.

Franek zastanawiał się chwilę, z dziwnym wyrazem twarzy. W końcu klepnął się w czoło i popatrzył na matkę i babkę z politowaniem.

– To oczywiste, że zawsze są dwa. I w ogóle nie rozumiem, dlaczego tak was to bawi. – Obruszył się, widząc, że teraz już obie chichoczą.

– Myślisz, że zrozumiał nasz głupi dowcip? – spytała Anna, kiedy wyszedł z kuchni.

– Oczywiście. To bystry chłopak. Teraz pewnie poleciał do dziadka pożalić się na nasze beznadziejne poczucie humoru. W ramach męskiej solidarności.

– Pewnie masz rację. – Anna odstawiła na bok umytą salatek. – Ziemniaki też obrałam. A zupa już się gotuje. Dasz sobie radę z resztą?

– No pewnie. Idziesz już do lecznicy?

– Tak. Po południu mam zajęcia w bibliotece i jeśli nie zrobię tego teraz, potem mogę nie zdążyć.

– A może zaprosiłabyś Agnieszkę na obiad?

– Świetny pomysł! – Anna krzyknęła już z przedpokoju, wiążąc buty. – Ostatnio jest mniej zajęta, są wakacje i nie ma tak wielu pacjentów, więc mam nadzieję, że nie odmówi.

W przychodni Fabian kończył właśnie sprzątanie klatek.

Niektóre znów były puste. Anna rozglądała się zdziwiona. Czyżby jednak dziewczyny zabrały psy na spacer? Zerknęła na hak, gdzie zwykle odwieszane były psie smycze, ale nie zauważyła, by ich brakowało.

– Panie Fabianie, a gdzie są psy? – zagadnęła. – Ktoś je wziął na spacer?

– Nie – mruknął mężczyzna niechętnie. – Pojechały do Białegostoku. Do schroniska.

– Jak to? Dlaczego?

– Bo tak trzeba – odparł krótko i odwrócił się, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę.

Zdumiona, usiłowała zrozumieć tę jego niechęć, bo choć na co dzień nie mówił wiele, zawsze był wobec niej uprzejmy. Obejrzała jeszcze raz puste kojce, a potem od razu skierowała się do budynku lecznicy. Wpadła do gabinetu Agnieszki, nie sprawdzając nawet, czy jest tam jakiś pacjent. Na szczęście Agnieszka była sama. Siedziała przy biurku z policzkiem podpartym otwartą dłonią.

– Musieliśmy je oddać – powiedziała, zanim usłyszała pytanie. – Już dawno przekroczyliśmy dopuszczalną liczbę zwierząt, w razie kontroli moglibyśmy mieć kłopoty. Takie są zasady. Każdy pies może u nas przebywać tylko określony czas. Jeśli nie znajdziemy dla niego domu, musi zrobić miejsce dla kolejnych. A tylko w tym tygodniu przybyły nam aż cztery nowe. Wszystkie zaniedbane, zarobaczone i niedożywione, a jeden z łańcuchem wrośniętym w skórę na szyi.

– Jak to? Znów podrzutki? – Anna usiadła naprzeciwko zrezygnowana. – Dlaczego? Dlaczego ludzie to robią? Po jaką cholerę najpierw biorą te biedne zwierzaki do siebie, a potem się ich pozbywają? Przecież to w ogóle nie ma sensu!

– Powody są różne. Czasem pies okazuje się za mały, bo właściciel biorąc szczeniaka, miał nadzieję, że urośnie większy i będzie wyglądał na bardziej groźnego, żeby bronić posesji. Czasem wręcz przeciwnie, pies robi się za duży i już nie może być zabawką dla dziecka, bo nie mieści się w wózku dla lalek. Bywa też, że pies nie szczeka, a gospodarz spodziewał się, że zastąpi mu alarm – kontynuowała pozornie tylko beznamiętnie, patrząc gdzieś w przestrzeń. – Zresztą, tutaj takie przekonanie jest dość powszechne, że pies, który nie szczeka, jest ufnym i łąsi się do ludzi, nie ma żadnej wartości.

– I to jest właśnie powód, by przywiązywać je łańcuchami, okaleczać, wywozić do lasu albo podrzucać tutaj? Przecież to okrutne! Nie da się czegoś z tym zrobić?

Agnieszka wzruszyła ramionami i zaprzeczyła ruchem głowy.

– W dodatku to, o czym mówisz, wcale nie jest takie okrutne w porównaniu z tym, co mogłoby spotkać te biedne zwierzęta, gdyby nie Przystanek.

– Co masz na myśli?

– Lepiej żebyś nie wiedziała. Powiem ci tylko, że wobec tamtego przywiązanie do drzewa w lesie wydaje się wręcz dobrodziejstwem...

Urwała, słysząc pukanie do drzwi. Do gabinetu zajrzał młody mężczyzna. Dźwigał duży wiklinowy kosz.

– Przepraszam, nie przeszkadzam? – Uśmiechnął się nieśmiało. – Bo jeśli tak, może lepiej zaczekam...

– Nie, nie, panie Jakubie, proszę. – Nachmurzona twarz Agnieszki nagle pojaśniała. Przytrzymała też za rękę Annę, która chciała wyjść. – Zostań. Musisz coś zobaczyć.

Mężczyznę postawił kosz na stole. Do jego krawędzi wspinały się trzy małe kotki. Obok leżała spokojnie ich matka, niezwyklej urody kocica w czarno-rude prążki. Poruszała wolno ogonem, obserwując otoczenie zmrużonymi ślepiami.

– Spacja – oświadczyła Agnieszka, wskazując kotkę. – A to? – zwróciła się do właściciela kociąt, podnosząc dwa.

– To jest Enter, a to Del – odparł pośpiesznie. – I Bekspejs – pogłaskał ostatniego, którego sam

wziął na ręce.

– Pan Jakub uczy w naszej szkole informatyki – wyjaśniła Agnieszka.

Anna pokiwała głową ze zrozumieniem.

– To dlatego, że Enter jest jakby szefem tej bandy, widać, że tu rządzi – uzupełnił mężczyzna. – Del to mały odkrywca, pcha się do przodu, nie patrząc po czym stąpa i co kasuje po drodze, no a Bekspejs, jak widać zresztą, jest odrobinę wycofany i szczerze mówiąc, trochę się o niego martwię.

– Spokojnie, zaraz zbadamy wszystkie maluchy – uspokoiła go Agnieszka. – I zdaje się, że pora na szczepienie, prawda?

– Mają dziewięć tygodni. Przyszedłem tak, jak pani doktor kazała. Chociaż muszę przyznać, miałem wielką ochotę przynieść je wcześniej, żeby przekonać się, czy na pewno wszystko z nimi w porządku.

Agnieszka przyglądała się uważnie kocieciom, obracając je na wszystkie strony.

– No niestety, mamy pewien problem z Bekspejsem.

– Co z nim? – Pan Jakub pobladł lekko i przysiadł na pobliskim krześle, łapiąc się za serce.

– Raczej z nią. – Zaśmiała się Agnieszka. – Bekspejs to dziewczynka.

– O matko, ale mnie pani wystraszyła, pani doktor.

– Przepraszam, nie zamierzałam. Poza tym z maluchem wszystko w porządku. Tylko imię trzeba będzie chyba zmienić na żeńskie. Może Beki?

– Niech będzie Beki. – Pokiwał energicznie głową, oddychając z wyraźną ulgą. – Najważniejsze, że jest zdrowa.

– Teraz trzeba pomyśleć nad znalezieniem im domów. Pytał pan może wśród znajomych?

– Ale jak to? Już? Przecież one są jeszcze takie małe.

– Mogą jeszcze trochę pobyc z matką, ale mimo to dobrze byłoby zacząć już teraz rozglądać się za nowym miejscem dla nich. Wbrew pozorom, nie jest to takie proste. No chyba, że odda je pan na wieś. Tam na pewno ktoś je przygarnie.

– Mowy nie ma! – Zaperzył się. – To są domowe kotki. W dodatku bardzo wyjątkowe!

– Spokojnie. Na pewno coś dla nich znajdziemy.

Kiedy mężczyzna opuścił gabinet, Agnieszka spochmurniała na nowo.

– Widzisz? Tym maluchom też trzeba znaleźć dom.

– Nie chcę być złośliwa, ale może pan Jakub powinien był pomyśleć, że będzie kłopot, zanim jego kotka zaszła w ciążę?

– Zabrał od nas Spację, kiedy już była ciężarna. Ktoś nam ją podrzucił w tym stanie. Zimą.

– Jezu, przepraszam... – Anna złapała się za usta. – Oceniałam go zbyt pochopnie, nie powinnam. Teraz mi głupio. To niezwykle, co zrobił.

– Tak. Od dawna nam pomaga ze zwierzakami. Ostatnio rzadziej, bo zajmuje się Spacją i jej dziećmi, ale gdyby nie on, nie wiadomo, co by się z nią stało. Nasze kociska zupełnie jej nie zaakceptowały, bo okazała się typowo domowym kotem, a one są niekiedy na wpół dzikie. Gdyby nie wziął jej do siebie, pewnie prędzej czy później zrobiłyby jej krzywdę.

– Dobrze, że są ludzie tacy jak on.

– Bez takich jak on nasz Przystanek dawno przestałby istnieć. Sama nie dałabym rady. Gdyby nie Fabian, dziewczyny, Wojtek, no i teraz ty...

– Przestań, nie ma o czym mówić. – Anna przerwała jej trochę zażenowana. – Wracam lepiej do pracy. A po południu zabieram cię do nas na obiad. Mama zaprasza. Co ty na to?

– Twojej mamie nie mogłabym odmówić. Pamiętam jeszcze, jak świetnie gotuje.

– Będziemy mogły zastanowić się przy okazji, jak pomóc pozostałym psiom, żeby i one nie trafiły do schroniska.

Agnieszka kiwnęła głową i uśmiechnęła się smutno, gdy Anna była już za drzwiami. Zbyt wiele razy, podczas kolejnych nieudanych prób, przekonała się, że to, z czym chce się zmierzyć koleżanka, z góry skazane jest na niepowodzenie. Dawniej podobnie jak ona sądziła, że jest inaczej, za dużo jednak widziała, by mieć jeszcze jakiegokolwiek złudzenia.

Anna skręciła w ulicę Kościuszki, która niegdyś była brukowa. To się jednak zmieniło, podobnie jak wiele innych rzeczy mijanych po drodze. W większości odbiegały od zachowanych w pamięci obrazów, gdy Anna przyjeżdżała tu jako dziecko. Niekiedy miała wręcz wrażenie, że przez przypadek dotarła w niewłaściwie miejsce.

Zdezorientowana, zatrzymała się w końcu i wysiadła z samochodu. Przeszła na drugą stronę ulicy i jeszcze raz się rozejrzała. Nagle na frontowej ścianie jednego ze starszych budynków dostrzegła miniaturową wnękę obramowaną przyklejonymi do tynku kolorowymi szkiełkami. Za przykurzoną szybką znajdowała się mała kapliczka z figurką Matki Boskiej i plastikowymi kwiatkami. Anna uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Rozpoznała kapliczkę, którą widywała przed ponad trzydziestoma laty, gdy jako kilkuletnia dziewczynka uciekała matce podczas targowych zakupów, by móc na nią popatrzeć. Dziś okienko wyglądało dokładnie tak samo.

Jednak wówczas tu, gdzie właśnie stała, znajdował się ogromny plac targowy, zwany przez mieszkańców Jedwabnego targowicą. Teraz zmienił się w osiedle domków jednorodzinnych poprzecinane wąskimi uliczkami.

Mijając dom z kapliczką, przeszła kilkaset metrów dalej, do miejsca, gdzie spodziewała się piaszczystej polnej drogi wiodącej wprost do lasu. Niegdyś wyznaczały ją łąki oraz długie zagony truskawek i porzeczek. Niestety, po nich również nie został nawet ślad. Tam też stały nowe domy, mimo że w oddali nadal widać było las i żółte połacie pól obsianych zbożem. Anna zauważyła maszyny rolnicze i uwijających się przy nich ludzi. Ich obecność powstrzymała ją przed dalszym spacerem. Poza tym wciąż nie odnalazła targowiska. Czas mijał szybko, a jarmark, z tego co pamiętała, kończył się jeszcze przed południem.

Zawróciła, rozglądając się za kimś, kogo mogłaby spytać o drogę, dopóki nie olśniła ją nagła myśl. Przypomniała sobie, że jarmark zostało przeniesiony w inne miejsce, kiedy chodziła jeszcze do liceum!

Minęła dawny plac Świerczewskiego i wjechała w ulicę Łomżyńską. Zaparkowane coraz gęściej samochody utwierdziły ją w przekonaniu, że zbliża się do celu. Zostawiła auto na poboczu i dalej poszła pieszo, mijając idących z naprzeciwka ludzi, niosących kosze pełne owoców i warzyw. Niemal każdy dźwigał pod pachą ogromną głowę młodej kapusty. Anna, widząc to, natychmiast poczuła na podniebieniu smak maminego kapuśniaku, gotowanego na żeberkach, z koperkiem, zasmażką i młodymi ziemniakami. Pomyślała też o przepysznych gołąbkach i przełknęła napływającą do ust ślinę, ciesząc się już na samą myśl o jutrzejszym obiedzie i układając w głowie listę zakupów.

W końcu dotarła do zatłoczonego targowiska. Początkowo wybrała niewłaściwą alejkę i zagubiła się pomiędzy kramami odzieżowymi, rozwieszonymi pod dachami namiotów kwiecistymi bluzeczkami i kolorową bielizną. To przypomniało jej dawne czasy, kiedy można tu było wynaleźć najróżniejsze „przydasie” przywiezione przez gości zza wschodniej granicy.

To właśnie od nich jej ojciec, ku ogromnej radości obu córek, kupił pierwszą w ich życiu grę elektroniczną, zwaną popularnie „ruskimi jajkami” – wówczas ogromnie pożądaną przez wszystkich zabawkę. Sama też kiedyś przytargała do domu wielkiego drewnianego słonia, który jeszcze do niedawna stanowił wątpliwej urody ozdobę pokoju gościnnego w domu rodziców, natomiast jej matka wciąż używała solidnych rosyjskich sztućców ze skomplikowanym motywem roślinnym na uchwytach i łyżkami, które za nic nie chciały się zmieścić w przeciętnej wielkości ustach, dlatego nikt nie lubił nimi jeść.

Wstępny ogląd ryneczku jednak szybko dowiódł, iż dawne czasy bezpowrotnie minęły, a wraz z nimi zniknęły wszystkie atrakcyjne towary zza wschodniej granicy. Anna westchnęła z pewnym rozrzewnieniem. Rozejrzała się raz jeszcze po zawieszonych ubraniach straganach i ostatecznie porzuciła je na rzecz owocowo-warzywnej części targu.

Kiedy obciążona zakupami kierowała się wreszcie w stronę samochodu, zauważyła kobietę we wzorzystej chustce, która stała przy wiklinowym koszu pełnym jaj poowijanych w pomięte kawałki gazety.

– Czy mogłaby je pani dla mnie odłożyć? – zagadnęła.

– Wsie? Dwadzieścia pięć par mnie się akurat ostało, po złoty siedemdziesiąt. – Kobieta uniosła koszyk. – Świeżuśkie. Z tego tygodnia, jeszcze wczoraj zbierane.

– Tak. Wezmę wszystkie – zapewniła. – Muszę tylko najpierw odnieść zakupy do samochodu, bo nie dam rady wszystkiego na raz...

– A jak tak, to ja paniusi zanięse, gdzie trzeba, bo i tak na pekaes będę szła.

– To może podwiozę panią przy okazji do przystanku? – zaproponowała Anna. – Wracam już do miasta.

– Oj to dobrze by było. Bo mnie cosik dzisiaj nogi spuchli. Musi z tego ukropu. Duchota taka, że nie do wytrzymania.

Kobieta podniosła koszyk i ruszyła za Anną.

– A pani to chyba nietutejsza, co? – zagadnęła, patrząc na nią z ukosa. – Może i z samej Warszawy?

– Skąd pani wie, że z Warszawy?

– A bo wygląda na taką, co to nawet i z Warszawy może być.

– Właściwie to nie do końca pani zgadła, bo przyjechałam z Warszawy, ale pochodzę z tych stron.

– Z Jedwabnego?

– Nie. Ale w Jedwabnem często bywałam z mamą jako dziecko. Mieliśmy tu znajomych.

– A mama to gdzie mieszka? – dopytywała kobieta, przyglądając się Annie z zaciekawieniem.

– W Bujanach.

– Aaa, w Bujanach. Bo tam też mieszkała stryjeczna siostra mojego starego. Ale umarła, to już nie mieszka.

– Jest mój samochód. – Anna otworzyła bagażnik. – Zaraz zwolnię mój koszyk i przełożę do niego jajka.

– To ja pomogę – zaofiarowała się kobieta.

– Dziękuję, ale poradzę sobie. Proszę sobie usiąść. Włączę klimatyzację, zaraz zrobi się chłodniej. – Anna uruchomiła silnik. Zerknęła na sadowiącą się obok kobietę. Uśmiechała się z wdzięcznością i wzdychała z wyraźną ulgą, masując sobie nogi. Gdy ruszyły, oparła głowę o szybę i przymknęła oczy.

Anna pomyślała nawet, że jej pasażerka w ciągu tych kilku minut jazdy zasnęła, jednak gdy tylko zaparkowała auto w pobliżu przystanku autobusowego, kobieta poderwała się.

– Dziękuję, kochaniutka. Niech cię Bóg błogosławi. – Ścisnęła lekko ramię Anny. – A jakby trzeba było kiedy jajeczek, to ja co środa na rynku jestem. U mnie zawsze świeżuśkie i od zdrowych kur, byle czym niepasionych.

Wygramoliła się z samochodu, zegnając się wylewnie. Zanim zatrzasnęła drzwi, obejrzała się jeszcze raz na Annę.

– A w kościele to była? – spytała nieoczekiwanie.

Anna nieco zdezorientowana pokręciła głową.

– A to trzeba zajść. Zobaczyć. Bo u nas to kościół taki ładny, jak mało gdzie.

Machnęła ręką w stronę biejących ponad drzewami dwóch wież. Anna powędrowała wzrokiem we wskazanym kierunku.

– Tak, chętnie zajrzę. Dziękuję – odparła szybko. – Powinnam chyba też zobaczyć pomnik ku czci ofiar pogromu? – spytała, ponieważ nagle uświadomiła sobie, że widziała go jedynie w telewizji. Nigdy dotąd nie znalazła czasu, by odwiedzić miejsce, o którym tyle mówiło się w mediach, co ją samą trochę zaskoczyło. – To gdzieś przy cmentarzu, prawda?

Kobieta zawahała się i zerknęła na nią niepewnie. Poprawiła chustkę i przełożyła na drugie ramię

pusty koszyk.

– A, ja tam nic nie wiem – powiedziała. – Jak sobie chce, niech jedzie, albo i nie. Ale do kościoła to trzeba koniecznie.

Pożegnała się teraz już tylko skinieniem głowy, a potem przycupnęła na skraju ławki pod zadaszeniem przystanku autobusowego i zapatrzyła się przed siebie.

Anna natomiast wysiadła z samochodu i od razu ruszyła w stronę kościoła.

Jak większość podlaskich miasteczek, również centrum Jedwabnego ozdobił park. Ten akurat był bliźniaczo podobny do bujaneckiego. Z tą myślą Anna weszła w jedną z sześciu alejek. Wiodła do małego placu wybrukowanego dwukolorową kostką, na widok którego Anna niemal roześmiała się w głos. Do złudzenia przypominał ten w Bujanach, jednak jego środek był pusty, natomiast na skraju stał pomnik. Z pewną zazdrością zauważyła też, że w jedwabińskim parku zachowano wszystkie srebrne świerki, podcinając im jedynie dolne gałęzie. Piękne i dostojne, wciąż stanowiły największą jego ozdobę.

Z pewnym żalem opuściła wreszcie zieleniec i przeszła na drugą stronę ulicy, wchodząc przez kutą bramę na szerokie kościelne schody.

Kiedy otwierała wierzaje świątyni, owionął ją przyjemny chłód o lekkim zapachu kadzidła. Weszła do środka i stanęła jak wryta na wprost środkowej nawy, wyłożonej długim, czerwonym chodnikiem. Cały kościół wyglądał tak, jakby właśnie opuściła go ekipa remontowa i jednocześnie sprzątająca. Wszystko lśniło świeżością i czystością.

Podeszła do rzędu nowiutkich ławek i usiadła w ostatniej. Rozejrzała się onieśmielona. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz była w takim miejscu, jednak przychodziły jej na myśl jedynie zabytkowe kościoły zwiedzane w trakcie wakacji, odwiedzane jednak w zupełnie inny sposób. Niemetafizyczny, przyziemny i pozbawiony jakiegokolwiek duchowości, polegający na podziwianiu mniej lub bardziej zachwycającej sakralnej sztuki. Dlatego teraz splotła ręce na piersiach, starając się poczuć właściwą atmosferę wnętrza. Nie docierały tu nawet najmniejsze odgłosy ulicy. Panowała idealna cisza, która mogłaby zadziałać na nią kojąco, a jednak... nie zadziałała.

„Przecież takie miejsce powinno sprzyjać wyciszeniu” – zastanawiała się zdziwiona, że tak się nie dzieje.

Przymknęła oczy, powtarzając w myślach zapamiętaną w dzieciństwie modlitwę, którą raz po raz przerywały strzępki innych myśli, tych niechcianych. Zacisnęła mocniej powieki i zaczęła od początku. Poczowała znajome pulsowanie w skroniach. Wtedy odsłoniła oczy. Nagle sobie przypomniała. Przed oczami stanął jej moment, w którym była po raz ostatni w takim właśnie miejscu.

Uniosła głowę i utkwiała wzrok w jaskrawym fresku namalowanym na wprost bocznej nawy. Wstała i zrobiła kilka kroków w jego stronę, po czym obróciła się gwałtownie i wybiegła z kościoła.

Wsiadła do nagrzanego auta i położyła głowę na kierownicy.

– Nie chcę tego pamiętać. Nie chcę tamtych myśli – wyszeptwała.

Uruchomiła silnik, zastanawiając się, dokąd jechać. Po namyśle okrążyła park i skręciła w ulicę Przestrzelską, a potem Cmentarną.

Wysiadła na parkingu obok kamiennego muru i oparła się o maskę samochodu, spoglądając w stronę pofałdowanego, leszczynowego zagajnika.

– Mogiłki – wyszeptwała.

Tak nazywali to miejsce mieszkańcy. To tutaj najczęściej przychodziła z koleżankami, córkami przyjaciółki matki. Przybiegały tu we trzy. Latem na orzechy, zimą na sanki. Czasem zatrzymywały się na chwilę, przyglądając się wkopanym w ziemię kamieniom, pokrytym trudnymi do odczytania napisami, by jednak szybko wrócić do ulubionej zabawy w chowanego, turlając się ze śmiechem z kolejnych pagórków albo z wypiekami na twarzy szpiegując ukryte między krzewami zakochane pary. A potem rozchichotane, trzymając się za ręce, szły przez całe miasto do parku przy domu kultury, żeby bujać się godzinami na ustawionych w jego pobliżu, skrzypiących niemiłosiernie huśtawkach. Czasem, mimo kategorycznego zakazu rodziców, zaglądały nad pobliski staw. Wchodziły na betonowy mostek, pod którym przepływał strumyk. Rzucaly do niego patyczki tylko po to, by sprawdzić, czy wypłyną

z drugiej strony.

Wróciła do samochodu i tym razem skierowała się w stronę dworku Rembielińskich, gdzie prawdopodobnie wciąż miał siedzibę lokalny dom kultury.

Tak jak się spodziewała, po skrzypiących huśtawkach nie zostało nawet śladu. Za to nieopodal wyrosło całkiem spore osiedle z nowymi placami zabaw. Natomiast odrestaurowany dworek prezentował się zdecydowanie lepiej niż ten, który Anna zapamiętała. Również dzięki urokliwej oprawie. Tak jak dawniej, otaczał go park pełen wysokich, starych drzew, ale teraz ustawiono pomiędzy nimi ładne drewniane ławki.

Podeszła bliżej, od frontu, i usiadła na schodach dawnego kina, opierając się plecami o jedną z masywnych kolumn. Znowu zamknęła oczy. Poczowała, jak przyjemne ciepło zalewa jej twarz. Pod powieki wciskały się ostre promienie słońca, powodując barwne migotanie i przyjemny dreszcz rozplywający się po całym ciele, które nagle stało się dziwnie wiotkie. Anna opuściła bezwładnie ręce, poddając się czemuś, czego nie umiała nazwać. Nagle zaczęło z niej uchodzić napięcie, z którego istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak powietrze z pękniętego balonika. Albo z nazbyt wzdętego brzucha, powodując ulgę.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Przez chwilę poczuła się lekka. Zupełnie jak kiedyś, gdy była jeszcze kimś zupełnie innym niż teraz. Gdy jeszcze nie stało się to, co zmieniło ją prawdopodobnie już na zawsze.

Słońce prażyło nieznośnie, a weranda była jedynym miejscem, gdzie można było schronić się przed nim, nie ocierając co chwila spływającego ze skroni potu. Szczelnie zacieniona, pozwalała na moment oddechu, z czego skwapliwie korzystali wszyscy domownicy. Spowodowane upałem rozleniwienie udzieliło się również ojcu, który drzemał w fotelu, z twarzą przykrytą gazetą. Obok niego siedziała Maria, migając trzymaną w rękę igłą nad czymś bardzo misternym i delikatnym, a po jej kolanach turlała się w tę i z powrotem szpulka białych nici.

Anna przyglądała się obojgu, z otwartym szkicownikiem na kolanach. Palcem u nogi drapała za uchem Kopra, który jak zwykle uwaliał się u jej stóp.

– Co rysujesz? – Matka podniosła na chwilę wzrok znad robótki.

– Ilustracje do albumu Marty – odparła Anna. – Pamiętasz? Opowiadałam ci o nim.

– Skoro chodzi o rodziców Marty, dlaczego nam się przyglądasz? Przecież nie jesteśmy do nich podobni.

– Fizycznie nie, ale pod wieloma innymi względami już tak. – Uśmiechnęła się zagadkowo. – Pozytywnie mnie inspirujecie.

– Pokażesz, co już narysowałaś? – Maria wyciągnęła szyję.

– Jasne, że tak. – Anna wbrew swojemu słowom zasłoniła dzieło z przeproszącą miną. – Jak tylko skończę. Myślę, że jutro będę już mogła pokazać je również Marcie.

Anna zamyśliła się z ołówkiem przyciśniętym do ust.

– Powiedz mi, mam – odezwała się po chwili. – Dlaczego nigdy nie widziałam waszych zdjęć z czasów, gdy mieszkaliście jeszcze w Kłodzku, kiedy Magda była mała, a ja byłam dopiero, mam nadzieję – mrugnęła – w odległych planach?

– No co ty opowiadasz? – zdziwiła się Maria. – Oczywiście, że je widziałam. Pokazywałam ci przecież, nie pamiętasz?

– Pamiętam. To były zdjęcia z waszych górskich wycieczek. Twoje i ojca. A ja pytam o rodzinne fotografie, domowe. Na których jesteście wszyscy. Ty, tata i Magda. Takie jest tylko jedno. To na kominku, w ramce. A co z resztą?

Maria wbiła igłę w znieruchomiałą teraz szpulkę i odłożyła robótkę na kolana.

– To dlatego, że nasz pierwszy album rodzinny po prostu zaginął.

– Nigdy wcześniej mi o tym nie wspominałaś. Jak to się stało?

– Podczas przeprowadzki. Cały karton z książkami gdzieś nam przepadł, a na nieszczęście właśnie tam go spakowałam. Uchowało się zaledwie parę zdjęć, których nie zdążyłam wkleić. Do dziś nie wiem, co mogło się z tym stać.

– Rzeczywiście dziwna historia. – Anna zmarszczyła czoło. Zamknęła szkicownik i położyła go na stole. – Na razie wystarczy tego rysowania – skwitowała sytuację i tym samym opowiedzianą jej historię. – Dokończę robienie obiadu. Trzeba też chyba zemleć mięso na gołąbki, prawda?

– Już to zrobiłam, rano, włożyłam je do lodówki. Kapusta też jest już sparzona i ugotowany ryż. A pozawijamy je wieczorem, jak robi się trochę chłodniej.

W całym domu czuć było też smakowity zapach kapuśniaku, jednak Maria zdecydowała, że ze względu na pogodę poda go dopiero nazajutrz. Z młodymi ziemniakami, tak jak prosiła Anna. Za to na obecny upalny dzień zaplanowała chłodnik litewski z prawdziwego zsiadłego mleka. Idealny na doskwierający wszystkim skwar.

Anna umyła przyniesioną z ogrodu botwinę i podgotowała ją w niewielkiej ilości wody. W międzyczasie posiekała zieleninę, ogórki, rzodkiewkę, a potem ugotowała kilka jajek na twardo. W dużym, glinianym garnku wymieszała wszystko drewnianą łyżką, by w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wrócić na werandę.

Usiadła obok matki, znów przyglądając się jej robótkce.

– Co to będzie?

– Bransoletka. Z koronki frywolitkowej. Amelka pokazała mi taką na jakiejś stronie internetowej i obiecałam jej zrobić podobną. Do tego ma być jeszcze naszyjnik w formie obróżki. Mam nadzieję, że zdążę ze wszystkim, zanim wyjedzie.

Anna nagle spochmurniała.

– Jakoś mi źle z tym, że ona jednak wyjeżdża. Pozwoliłam jej, a potem ciągle miałam nadzieję, że zrezygnuje.

– Ale dlaczego? – Maria zerknęła na nią znad okularów. – Przecież taki obóz językowy to świetna sprawa. Doskonalenie języka, nowi przyjaciele. Mela mówiła, że tam będą jej rówieśnicy z całej Europy.

– Wiesz przecież, że nie o to mi chodzi. Myślałam po prostu, że nie będzie miała nastroju, żeby tam jechać.

– Ale to chyba dobrze, że go ma, prawda?

– Tak. I dobrze, że tam jedzie, co nie zmienia tego, że ja już za nią tęsknię. – Anna poderwała się nagle. – Wiesz co? Pojadę po nią. Nie będzie się wlokła z lecznicy pieszo w taki upał.

– Mówiłaś, że nie wybierasz się dziś do Agnieszki.

– Ale zmieniłam zdanie. Wrócimy akurat na obiad.

Po drodze zajrzała do Franka. Jej syn wzorem dziadka drzemał nad otwartą książką. Przeszła na palcach przez pokój i ostrożnie przymknęła drewniane okiennice, zacieniając wnętrze. Zanim wyszła, musnęła delikatnie ustami czoło syna. To był jedyny moment, w którym mogła sobie na to pozwolić. Od pewnego czasu czuł się zbyt dorosły na mamine pocałunki. Ona z kolei wcale nie była przekonana, czy kiedykolwiek uda jej się z tym pogodzić.

W lecznicy panował nieopisany chaos.

Dwie nastoletnie dziewczyny, śmiejąc się i piszcząc przeraźliwie, próbowały dogonić ociekającego wodą Kapsła. Pies prawdopodobnie czmychnął im podczas kąpieli, ponieważ jego sierść wciąż zlepiona była pianą z szamponu. Zanim go dopadły, wskoczył między pobliskie kwiatowe rabatki, gdzie postanowił pozbyć się z grzbietu detergentu w jedyny znany sobie sposób. Nim jedna z dziewcząt chwyciła wreszcie za obrozę, wytarzał się w piachu, a potem usiłował strząsnąć z siebie grubą warstwę błota. Anna cofnęła się odruchowo, z przerażeniem patrząc na jasną sukienkę dziewczyny, która szamotała się z rozbrykanym psem. Ta zdawała się jednak nie zauważać przyklejających się do niej ciemnych placków. Wciąż dzielnie trzymała szarpiące się zwierzę, ocierając wierzchem dłoni twarz i odgarniając z policzków ubłocone włosy.

– Monika, puść go! – krzyknął ktoś z drugiego końca podwórka.

– Ani myślę! – zaprotestowała. – Znowu nam zwieje i już zostanie taki uświniony!

– Może ja ci pomogę – zaofiarowała się Anna odruchowo.

– Oj, lepiej nie. – Dziewczyna zademonstrowała swoją poplamioną sukienkę. – Bo panią też tak urządzi. Zresztą pan Jakub już tu idzie, on sobie najlepiej radzi z Kapsłem.

Anna w zbliżającym się mężczyźnie rozpoznała właściciela kocicy Spacji i jej dzieci.

– Dzień dobry! – Uśmiechnęła się, wskazując kręcącą się w pobliżu młodzież. – Jak widzę, znalazł pan sporo ochotników do pomocy.

– To moi uczniowie – wyjaśnił. – Zaangażowałem ich do pracy przy psiakach, żeby zrobiły coś pożytecznego w wakacje, zamiast spędzać czas przed komputerem, ale teraz już nie wiem, czy to był dobry pomysł – dodał, patrząc krytycznie na umorusaną nastolatkę.

Przejął od niej psa. Dziewczyna wytarła zabrudzone dłonie w sukienkę i roześmiała się wdzięcznie.

– To był bardzo dobry pomysł, proszę pana. A błoto to nie asfalt, zmyje się.

Mężczyzna westchnął z przesadnym dramatyzmem. Pokręcił głową, udając zafrasowanie, jednak widać było, że tak naprawdę jest bardzo zadowolony. Powiódł wzrokiem po wyczyszczonych na błysk kojach.

– Mam tylko nadzieję, że to nie jest słomiany zapał i przynajmniej część z tych dzieciaków będzie tu regularnie przychodzić. Dobrze by było, gdyby wszystkie psy mogły być wyprowadzane na spacer częściej niż tylko kilka razy w tygodniu.

– A byłoby jeszcze lepiej, gdyby miały swoje domy.

– Tak. – Pan Jakub nagle posmutniał. – Niestety, to nie jest takie proste.

Anna widząc to, przypomniała sobie o jego podopiecznych.

– A co słyhać u pana kociąt? – zagadnęła.

– Ciągle szukam kogoś, kto się nimi opiekuje, ale to wcale nie jest takie łatwe, jak mi się początkowo zdawało. – Westchnął tym razem ponuro. Popatrzył na ubłoconego Kapsła, który znów zaczął się szarpać i chlapać błotem. – Przepraszam, ale chyba powinienem to jednak z niego splukać, zanim zaschnie. Gdyby słyzała pani przypadkiem o kimś, kto chciałby adoptować kotka, bardzo proszę dać znać przez panią Agnieszkę.

– Oczywiście, będę o tym pamiętać.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Amelii. Nie zauważyła jej jednak w pobliżu.

– Szuka pani córki? – Usłyszała za sobą głos Fabiana. – Z resztą pinapek zabrały psy do lasu. Wrócą najprędzej za godzinę, bo poszły niedawno.

Anna postanowiła mimo wszystko poczekać i przy okazji sprawdzić, co słyhać u Agnieszki. Weszła do budynku przychodni i zatrzymała się zaintrygowana pod drzwiami gabinetu. Dochodziły stamtąd podejrzane dźwięki, jakby lament i płaczliwe utyskiwania. Od czasu do czasu dał się też słyszeć

głos Agnieszki. Z jego tonu wynikało, że prawdopodobnie usiłowała kogoś uspokoić, ale nie dało się ukryć, że sama też jest zdenerwowana. Anna zastanawiała się, czy wypada zapukać do gabinetu i zaofiarować pomoc, zwłaszcza że nie wiedziała, co się tam właściwie dzieje.

Nieoczekiwanie drzwi otworzyły się z hałasem. Anna odskoczyła, ocalając w ostatniej chwili swoje czoło i nos. Z gabinetu wypadła kobieta – w wielkim słomkowym kapeluszu ozdobionym czerwoną wstążką i kwiatami, koronkowych rękawiczkach i ze złożonym wachlarzem w dłoni. Wyglądała na ogromnie wzburzoną. Zatrzymała się na chwilę, obrzucając Annę od stóp do głów nieprzychylnym spojrzeniem. Prychnęła nieznacznie, wydymając lekceważąco pomalowane na karminowo wargi. Anna wciąż zdezorientowana cofnęła się jeszcze o krok i otworzyła w zdumieniu usta na tak nieoczekiwany i całkiem kuriozalny widok. Kobieta tymczasem z trzaskiem rozłożyła trzymany w rękach wachlarz i przez chwilę machała nim ostentacyjnie w pobliżu swojej zarumienionej twarzy. Wreszcie kącikiem ust zdmuchnęła z policzka pomarańczowy kosmyk włosów, uniosła dumnie brodę i dostojnym krokiem oddaliła się, stukając hałaśliwie obcasami.

– Och, widzę, że poznałaś już panią Leokadię.

Anna dopiero teraz zauważyła Agnieszkę. Stała w drzwiach i połą fartucha ocierała pot z zaróżowionej twarzy.

– Kto to był? – spytała Anna, otrząsnąwszy się nieco z szoku.

– Przecież mówię. Pani Leokadia Jęrzych de domo Trzaska. Artystka operowa.

– Artystka? Tutaj? Znaczy, w Bujanach?

– Otóż tak! I to wcale nie przez przypadek, ponieważ u schyłku błyskotliwej kariery postanowiła powrócić do swoich korzeni. Wykupiła dawną siedzibę rodową leżącą niedaleko Bujan, wyremontowała i sprowadziła się do niej jakiś czas temu. Ona i Tygrysek.

– Tygrysek? – spytała Anna z dziwnym uśmiechem.

Agnieszka bez słowa chwyciła ją za łokieć i pociągnęła do gabinetu.

Na środku weterynaryjnego stołu stała metalowa klatka, a w niej uwięziony był olbrzymi kocur. Jego wściekle rude futro układało się w spore fałdy opadające kaskadowo na okrągły jak piłka do koszykówki, koci brzuch. Kocisko gapiło się na nie wielkimi jak spodki oczami, a w jego spojrzeniu malowała się wyraźna pogarda. Lekko zmarszczony, wklęsły nos i wysunięta dolna warga dodawały kociemu pyskowi lekceważącego wyrazu.

– Tygrysek. – Agnieszka z szacunkiem pokiwała głową, przyglądając się kotu.

– Dlaczego jest w klatce?

Weterynarka podciągnęła rękawy fartucha i pokazała jej kilka krwawych śladów na przedramieniu.

– Bo nie przepada za kroplówkami. – Wskazała wbity w tylną łapę kota wenflon. – A jego pani nie spodobał się pomysł, by wsadzić Tygryskę do klatki, ponieważ uznała, że to nieludzkie. Jednocześnie odmówiła przytrzymania pupila, uznając to za jeszcze mniej etyczne, a wręcz karygodne – dodała, modulując odpowiednio głos.

Pobrzmiwające w nim złośliwe nuty zupełnie nie pasowały do Agnieszki, więc zarówno pacjent, jak i jego właścicielka musieli nieźle dać jej się we znaki.

– Co mu właściwie jest?

– Nadmiar łososia. Albo może paluszków krabowych, lub też połędwiczek cielęcych. – Agnieszka nie przestawała drwić, zapewne w ten sposób dając upust emocjom. – Pani Leokadia nie pamiętała, którego z tych dań spożył najwięcej, dlatego nie wiemy, które dokładnie mogło mu zaszkodzić. Niemniej Tygrysek przez całą noc rzygał jak... kot. Dlatego teraz trzeba go trochę nawodnić.

Ponownie zmierzyła pacjenta badawczym wzrokiem.

– No nie – jęknęła. – Tylko nie to!

– Co się stało? – Anna również przyglądała się kotu, nie widząc jednak niczego niepokojącego. Wyglądał dokładnie tak, jak w chwili, gdy tu weszła. Siedział nieruchomo i patrzył.

– Usiadł na wlewniku.

– Co?

– Przygniótł dupskiem wlewnik i kroplówka nie spływa.

– To go przesun.

Agnieszka spojrzała na nią znacząco i znów pokazała podrapane ręce. Anna wzruszyła tylko ramionami i stąpając niemal na palcach, wolniutko okrążyła klatkę.

– Kici, kici – zaszcebiotała. – Chodź tu, kotku.

Tygryskowi nie drgnęła nawet powieka. Nadal siedział i patrzył. Jedyne jego tłuste policzki wydały się jeszcze bardziej nadęte, a dolna warga mocniej wysunięta.

Agnieszka tymczasem wyjęła z torebki kanapkę. Odwinęła ją z papierka i wyciągnęła spomiędzy kromek chleba różowy plasterek szynki. Ostrożnie włożyła go między pręty klatki, potrząsając nim zachęcająco.

Tygryszek nawet na nią nie spojrzał. Wciąż wlepił wzrok w ten sam punkt, a Anna przez chwilę miała wrażenie, że zobaczyła w jego ślepiach coś na kształt politowania. Agnieszka wyrzuciła szynkę i na chwilę zniknęła na zapleczu. Przyniosła stamtąd szczotkę na długim kij.

– Trzymaj. – Wręczyła ją Annie. – Spróbuj go tym trochę przesunąć, a ja wtedy pociągnę wlewnik.

– Zwariowałaś? – Oburzyła się mimowolnie. – Kota kijem?

– Przecież nie każę ci bić go nim po głowie, ale proszę, żebyś spróbowała delikatnie przesunąć jego zadek, a ja w tym czasie ten wlewnik...

– Dobra! Przygotuj się.

Anna ostrożnie wsunęła kij do klatki, a Agnieszka z przeciwnej strony długie szczypce, starając się pochwycić nimi wlewnik kroplówki. Pochyliły się w skupieniu, by nagle odskoczyć jak oparzone, ponieważ drzwi gabinetu niespodziewanie otwarły się na całą szerokość. W progu stanęła pani Leokadia, akcentując swoje przybycie głośnym stuknięciem obcasów. Jej twarz, która pewnie w międzyczasie odzyskała naturalny kolor, purpurowiała w zadziwiającym tempie.

– Czy mogłyby panie – wycedziła, powoli wypuszczając powietrze z płuc. – Zwrócić mi kotka? – dokończyła prawie szeptem, mrużąc złowieszczo oczy.

Anna kompletnie oniemiała patrząc na kota, który jak gdyby nigdy nic wstał i przeciągnął się leniwie, a potem zaczął łąsić się do prętów klatki i głośno mruczeć. Przeniosła wzrok na jego właścicielkę i odruchowo schowała kij od szczotki za siebie.

– Oczywiście, za kilka minut, jak tylko skończy się kroplówka – odparła Agnieszka z uprzejmym uśmiechem. – Tymczasem wypiszę pani receptę na środki przeciwwymiotne, żeby sytuacja się nie powtórzyła. Bo lepiej nie narażać kotka na kolejny stres, prawda? – Wbiła w kobietę pytający wzrok.

Anna, patrząc znów na właścicielkę Tygryska, przypomniała sobie, że gdzieś kiedyś przeczytała, jakoby ludzie upodabiali się do swoich zwierząt. A może zwierzęta do ludzi? Nie potrafiła sobie tego dokładnie przypomnieć, ale skłonna była uwierzyć, iż w przypadku, który miała przed sobą, prawo mogło to zadziałać w obie strony.

Pani Leokadia wydeła pucułowate policzki otoczone rudymi lokami.

– Receptę? – powtórzyła machinalnie.

– Proszę łaskawie spocząć. – Agnieszka wskazała jej krzesło. – Koty niechętnie przyjmują doustne środki, więc będzie wygodniej, jeśli przepiszę Tygryskowi czopki. Proszę mu aplikować trzy czwarte czopka.

– Ale jak to?

– Do odbytu. Trzy czwarte. Myślę, że taka ilość będzie dla niego mimo wszystko wystarczająca. – Rzuciła jeszcze raz okiem na kocie fałdy.

Tymczasem pani Leokadia wstała i obeszła klatkę z kotem dookoła. Zatrzymała się po przeciwnej stronie, tam gdzie znajdował się koci ogon, po czym przeniosła pytający wzrok na Agnieszkę.

– Znaczy co? Mam wsadzić trzy czwarte, a jedna czwarta ma wystawać?

Anna poczuła, jak zaczynają łzawić jej oczy. Wydała z siebie kilka niekontrolowanych dźwięków i krztusząc się, wybiegła z gabinetu.

– Alergia – wyjaśniła spokojnie Agnieszka. – Na kocią sierść. A czopek należy wcześniej

podzielić i wetknąć w... hm... odbył ten większy kawałek. Resztę wyrzucić.

Pani Leokadia wzruszyła ramionami.

Gdy z kotem na rękach opuszczała wreszcie lecznicę, obejrzała się na Annę, która siedząc na krześle w poczekalni, nadal nie mogła przestać się śmiać, i pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ci wiejscy weterynarze – mruknęła do siebie, trzaskając jednocześnie drzwiami.

– Powiedz mi, mam, co sądzisz o kotach?

Anna stała przed lustrem i szczotkowała energicznie włosy. Maria zerknęła na nią znad otwartego laptopa.

– Ale w jakim sensie?

– Czy nie wydaje ci się, że dobrze byłoby mieć w domu kota? A na początek kociaka?

– Przecież Koper by go połknął. Albo jak większość smakołyków zawierających kości, zakopałby w ogródku na potem.

– Nie sądzę! – Anna potrząsnęła głową. – Widziałam nie raz, jak kot sąsiadów wyjadał mu z miski karmę, a on tylko się temu przyglądał. Pewnie nawet ucieszyłby się z takiego towarzystwa. Pamiętasz naszą Murkę? Bo mam wrażenie, że Koper całkiem nieźle się z nią dogadywał.

Maria wyłączyła komputer i zamyśliła się.

– Ale Murcia była wtedy starą kocicą, a Koper szczeniakiem. Teraz, jak widzisz, troszkę nam wyrósł. – Schyliła się i poczochnęła za uchem leżącego pod stołem psa. Zamruczał, nie otwierając nawet oczu. – Bałabym się, że zrobiłby takiemu maleństwu krzywdę. Nawet niechcący. Wystarczy, że by je przypadkiem nadepnął.

– Beki – wymamrotała Anna, pociągając usta pomadką.

– Co?

– Ona ma na imię Beki. To takie zdrobnienie od Bekspejsa.

Schowała kosmetyki do torebki i rozejrzała się z roztargnieniem po pokoju. Podniosła leżące na stole gazety, a potem zajrzała za fotel.

– To koteczka? – spytała Maria, obserwując poczynania córki.

– Tak, całkiem malutka. Kotka informatyka ze szkoły okociła się jakiś czas temu i trzeba znaleźć maluchom nowe domy. Są jeszcze dwa kocurki, ale ta koteczka jest wyjątkowa. Może chociaż zobaczyłabyś ją? Mogłybyśmy sprawdzić, jak Koper na nią zareaguje...

– Dobrze – przerwała jej matka. – Lubię koty, nawet myślałam o tym, żeby jakiegoś przygarnąć. Ale ostateczna decyzja jest w łapach Kopra, bo jeśli on... – urwała. – Szukasz czegoś?

– Takiej zielonej teczki. Papierowej. Miałam ją dopiero w rękach.

– W torebce sprawdzałaś?

– W torebce? – Zdziwiła się Anna. – Ale przecież... Jest. Skąd...?

Maria uśmiechnęła się. Od pewnego czasu zastanawiała się, co może być powodem tak wielkiej zmiany w zachowaniu Anny. Nie miała już tak częstych napadów przygnębienia, o wiele rzadziej ogarniał ją smutek. Za to niekiedy bywała nienaturalnie ożywiona i jednocześnie jakby nieobecna. Częściej się też uśmiechała, ale też popadała w dziwne stany kompletnego zamyślenia. To było dość niepokojące, zważywszy na to, co działo się z nią wcześniej. I co zapewne nadal się z nią działo, mimo że nie okazywała tego na zewnątrz. Maria nie miała złudzeń, że jej córka kiedyś zapomni o tym, co ją spotkało, że to kiedykolwiek przestanie mieć wpływ na jej obecne życie.

– To są rysunki dla Marty, tak? – zagadnęła. – Na pewno będzie nimi zachwycona, są wspaniałe

– Chcę je dzisiaj oddać – przytaknęła. – I również mam nadzieję, że się spodobają.

– Nie mam co do tego wątpliwości – powtórzyła, wciąż przyglądając się córce z uwagą. – Wrócisz zaraz po zajęciach czy masz jeszcze jakieś plany?

– Będę dziś trochę później. To znaczy przywiozę do domu Franka i Arturka, a potem od razu pojedę do Wojtka. Skończył renowację mebli, o których ci opowiadałam, i muszę domalować lawendę. Zrobię to jeszcze dzisiaj, będę miała z głowy.

Po wyjściu Anny Maria podeszła do okna. Stała tam, dopóki ona i chłopcy nie odjechali.

Nagle zyskała pewność, że w życiu jej córki zaczął się jakiś nowy etap, nawet jeśli ona sama nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. Równie nieświadomie starała się ten, który mijał, oddzielić od

obecnego grubą kreską, tworząc zbyt gwałtowny przeskok. Zapomnieć w ten sposób o przeszłości i skupić się tylko na tym, co będzie, nawet bez konkretnego planu na najbliższą przyszłość. Annie o wiele bardziej zależało na tym, by wreszcie zapomnieć o życiu, które wcześniej wiodła, sprawach, które się z nim wiązały, a przede wszystkim o Piotrze. Dlatego wciąż nie myślała o przyszłości w taki sposób, w jaki powinna.

Maria zerknęła na fotografię rodzinne stojące na kominku. Mimo iż początkowo cieszyła się, że jej córka tak szybko dochodzi do siebie po tym, jak nagle została sama, teraz nie była wcale pewna, czy zmierza to we właściwym kierunku. Bała się o nią. Bardzo się bała tego, że Anna znów będzie cierpiała. Jednak z drugiej strony, sama nie potrafiłaby wskazać jej drogi, nawet gdyby wolno jej było to zrobić. Nie mogła jej w tym pomóc. Anna musiała zrobić to sama. Jednak cokolwiek zdecyduje, powinna pamiętać, że nie przemierza już tej drogi w pojedynkę, ale z dziećmi. Powinna uwzględnić je w swoich planach na przyszłość, dostrzec to, czego one pragną, i co jest dobre również dla nich.

W domu panowała kojąca cisza, mącona jedynie od czasu do czasu bzyczeniem zabłąkanego komara albo krzykiem jakiegoś nocnego ptaka.

Anna siedziała w fotelu pod abazurem staroświeckiej lampy i wytrwale usuwała spod paznokci resztki akrylowej farby, która nie poddała się niestety długotrwałemu moczeniu podczas odprężającej kąpieli. Relaks w wannie pełnej gorącej wody i pachnącej piany przyniósł jednak inne zbawienne korzyści. Zmniejszył sztywność karku i złagodził dotkliwy ból między łopatkami, spowodowany długotrwałym tkwieniem w pochyleniu, z pędzelkiem w dłoni. Mimo niedogodności i niepożądanych efektów ubocznych, Anna była z siebie ogromnie zadowolona i dumna, mając poczucie dobrze wykonanego zadania. Wielki zestaw kuchenno-jadalnianych mebli rodem z Podlasia dzięki lawendzie nabrał całkiem nowego, bo prowansalskiego klimatu. Ich właścicielka była zachwycona przemianą, tak wynikało ze wstępnej relacji Wojtka, który z poświęceniem dostarczył jej wszystko jeszcze tego samego dnia, szczęśliwy i pełen ulgi, że pozbył się kłopotu. Mordercza i niezwykle mozolna praca zakończyła się niewątpliwym sukcesem.

Anna schowała pilniczek do kosmetyczki i przestawiła lampę bliżej łóżka. Z błogą przyjemnością wsunęła się pod miękką kołdrę, przytulając głowę do poduszki. Po namyśle wychyliła się po laptopa, który stał na szafce nocnej, żeby przed snem coś sprawdzić, i zanim jeszcze go dosięgła, jęknęła z rezygnacją. Już wiedziała, że nieprędko dane będzie jej zasnąć.

Uniosła się nieco i obejrzała prześcieradło.

– Niech to szlag! – zaklęła teraz już trochę głośniejszym głosem, widząc na nim sporą czerwoną plamę.

Zerwała się i boso pobiegła do łazienki. Zajrzała do szafki, w której powinny znajdować się wkładki higieniczne. Opakowanie było jednak puste.

– No nie... Tylko nie to! Może Mela coś ma? – Zastanawiała się gorączkowo.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ. Jej córka zapewne już spała, wieczorem wydawała się bardzo zmęczona. Spędziła całe popołudnie w lecznicy.

– No cóż, musi mi wybaczyć, sytuacja jest wyjątkowa.

Narzuciła na ramiona szlafrok, by zamaskować krępującą plamę, którą z pewnością miała również z tyłu koszuli. Przeszła przez korytarz i na palcach wspięła się po schodach. Tak, jak się spodziewała, w pokoju Amelii było ciemno. Potykając się o róg dywanu, a potem jeszcze o coś leżącego na podłodze, dotarła wreszcie do małej lampki nocnej. Zapaliła ją i potrząsnęła delikatnie ramieniem córki.

– Mela... Meluś, masz gdzieś podpaski?

– Co? – Amelia przetarła oczy, obrzucając matkę mało przytomnym i jeszcze mniej przyjaznym spojrzeniem.

– Podpaski. Przepraszam cię, ale...

– Wszelki wypadek – wymamrotała.

– Tak, tak, wiem, że powinnam zawsze mieć kilka na wszelki wypadek, ale niestety...

– Torebka. Na krzesle – przerwała jej zaspanym głosem i obróciła się na drugi bok, przykrywając głowę jaśkiem.

Anna tym razem pojęła jej odpowiedź właściwie. W końcu sama przekonywała córkę, że każda kobieta powinna mieć w swojej torebce zestaw awaryjny, który Amelia nazwała „wszelkim wypadkiem”. Była to niewielka kosmetyczka, w której zawsze znajdowały się: chusteczki higieniczne, pilniczek do paznokci, agraftka, igła z nitką, plaster z opatrunkiem, tabletki przeciwbólowe, miniaturowy scyzoryk, grzebyk, pomadka ochronna, i oczywiście podpaska. Anna odnalazła torbę wiszącą na oparciu krzesła, co jej przypomniało, że mogła najpierw sprawdzić własną, w końcu miała tam podobną kosmetyczkę, gdzie tak jak u Amelii pewnie znajdowała się ostatnia deska ratunku w różowej folii. Anna odetchnęła z ulgą. Zabrała wkładkę i już uspokojona zaczęła schodzić po schodach. W połowie drogi

przypomniała sobie o zaplamionym prześcieradle, więc wróciła do bielizniarki z czystą pościelą, znajdującej się obok sypialni rodziców.

Nie chcąc ich obudzić, skradała się cicho, przeklinając w duchu skrzypiącą podłogę, gdy niespodziewanie dobiegł ją szmer rozmowy. Zamarła zdziwiona, że rodzice mimo tak późnej pory nie śpią. A potem bezwiednie nastawiła uszu. Nasłuchiwała chwilę, zaciekawiona, o czym tak zawzięcie dyskutują w środku nocy.

– Uważam, że powinna poznać prawdę. Głupio zrobiliśmy, ukrywając to przed nią tyle lat. – Usłyszała najpierw nieco poirytowany głos ojca. – Należało jej powiedzieć już dawno temu.

– Po co? – Maria starała się mówić spokojnie, lecz jej głos również drżał. – Po co wracać do tego, co już minęło?

– Ponieważ w rodzinie nie powinno być tajemnic. Szczególnie, gdy dotyczą najważniejszych spraw.

– Przecież ustaliliśmy, że tak będzie lepiej. Madzi bardzo na tym zależało.

– Ustaliliśmy? Jakie ustaliliśmy? Ja niczego nie ustalałam. To wy...

– Sam wtedy przyznałeś, że jest za mała, by to zrozumieć. Pamiętasz? Zgodziłeś się.

– Bo byłem głupi. A kiedy to odkryłem, zrobiło się za późno. Wtedy była za mała, a teraz niestety jest już za duża, żeby zrozumieć, dlaczego przez tyle lat ukrywaliśmy przed nią prawdę. To był ogromny błąd. Nie sądzę, by nam to wybaczyła.

– Nie mów tak. Ania jest naszą córką, tak samo jak Madzia. Wie, że ją kochamy. Ufa nam.

– To się z pewnością zmieni, jeśli się dowie, że od zawsze ją okłamywaliśmy. Nie zdziwię się, jeśli kiedyś znienawidzi nas za to, że jej nie powiedzieliśmy.

– Przestań!

Zza drzwi sypialni dał się słyszeć cichy szloch matki. Ojciec stłumionym głosem, jakby wtulił w coś usta, starał się ją uspokoić. Anna natomiast tkwiła nadal pod drzwiami, wolno analizując słowa, które przed chwilą wdarły się do jej uszu, usiłując zebrać myśli.

– Masz rację. – Usłyszała nagle teraz już spokojniejszy głos matki. – Musimy powiedzieć jej o tej adopcji.

W pokoju zapadła cisza.

Anna poczuła, jak jej serce zamiera, by po chwili szarpnąć się, jakby miało za chwilę przedrzeć się przez granicę zeber, a potem roztrzaskać się na znajdującej się przed nią ścianie korytarza. Czując, jak traci panowanie nad własnym ciałem, oparła się plecami o ścianę, po czym wolno osunęła się po niej i opadła miękko na podłogę.

Miała wrażenie, że jej głowę miazdzy metalowa obręcz, w dodatku rytmicznie uderzana czymś ciężkim w okolicach skroni, co powodowało ogłuszający łomot i ból prawie nie do zniesienia. Gwałtownie wciągnęła powietrze, dopiero wtedy zdając sobie sprawę, że na długą chwilę przestała oddychać. Zalała ją fala potwornego gorąca i krwi. W przenośni i dosłownie. Spojrzała na ogromną ciemną plamę w dole nocnej koszuli. Wstała powoli. Chwiejąc się i przytrzymując poręcz, zeszła na dół.

W pokoju zrzuciła z siebie koszulę, naga wsunęła się pod kołdrę i owinęła nią szczelnie. Jej ciałem wstrząsnął bezgłośny płacz.

Obudził ją ból. Czowała, jak przeszywa ją na wskroś. Wszechobecny, tępy i rwący. W pokoju nadal panowała ciemność. Podniosła się, założyła szlafrok i wyjęła z szafki czystą piżamę.

W łazience również nie zapaliła światła. Puściła cienki strumień wody, nie chcąc, by szum w rurach obudził kogokolwiek. Spłukała z siebie zaschniętą krew i resztki snu.

Wróciła do pokoju. Zignorowała zakrwawioną poszewkę i prześcieradło. Położyła się i wtuliła głowę w poduszkę, próbując zatamować łzy.

Przeczuwała, że już nie zaśnie, dlatego uniosła się na łokciu i sięgnęła po laptopa. A potem zaczęła czytać.

Maniobajanie – blog.

Czasem bywa, że patrzymy na różne rzeczy tak, by widzieć tylko to, co chcemy, zamiast tego, co jest naprawdę. Z różnych powodów fałszujemy naszą rzeczywistość, nie dopuszczamy do siebie tego, co mogłoby stać się dla nas niewygodne, lub z czym nie umielibyśmy sobie poradzić. Zamykamy oczy i udajemy, że tego nie ma. Jak dzieci.

Kiedyś jednak przychodzi taki moment, że nie da się już zamknąć oczu, nie tracąc jednocześnie równowagi i poczucia bezpieczeństwa. Jak podczas spaceru po linie nad przepaścią. Nawet jeżeli bardzo się boimy, musimy otworzyć oczy jak najszerszej. Tylko tak mamy szansę dotrzeć tam, gdzie chcemy. I tylko tyle możemy czasem zrobić, by nie spaść.

– Na pewno źle się czuje i boli ją brzuch. W nocy dostała okresu.

Anna otworzyła oczy, słysząc głos córki i jednocześnie cichy trzask zamykanych drzwi. Poczła wdzięczność. Bardzo nie chciała oglądać swojej matki, a Amelia bezwiednie jej tego oszczędziła.

Leżała z otwartymi oczami. Powtarzała sobie w myślach usłyszane w nocy słowa, usiłując je zrozumieć. Adopcja, kłamstwo, zaufanie, błąd, Magda... Magda! Ona wie. Wie!

Spojrzała na zegarek. W Stanach był środek nocy, ale nie miało to teraz dla niej znaczenia. Sięgnęła po telefon, jednak po namyśle go odłożyła. Postanowiła, że umożliwi rodzicom spełnienie złożonej sobie obietnicy.

– Powiedzieli, że pora skończyć z kłamstwami – szepnęła. – Zobaczymy, czy dotrzymają słowa.

Ktoś cicho zapukał. W progu pokoju stanął Franek, przestępując niepewnie z nogi na nogę.

– Babcia mówiła, że źle się czujesz. Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie musimy dziś jechać na tę wycieczkę. Zrobimy to innym razem. Poleż sobie.

– Wycieczkę? – powtórzyła, nie rozumiejąc.

Usiadła na łóżku i starała się zebrać zbyt rozbiegane myśli.

– No tak – przytaknęła niepewnie. – Miałam ci pokazać pomnik śledzia. W Strękowej Górze.

Anna poczuła, jak wolno wraca jej świadomość. Potarła z roztargnieniem skroń. Kilka dni wcześniej obiecała Frankowi wspólne zwiedzanie okolicy. Chciała pokazać mu krainę swojego dzieciństwa. Miejsce, gdzie się urodziła i wychowała. Skrzywiła się kwaśno na tę myśl. Popatrzyła na syna, który wciąż tkwił w miejscu i przyglądał się jej z dziwną miną.

– Właściwie już mi lepiej. Daj mi tylko trochę czasu. Zbiorę się i pojedziemy. Tak jak obiecałam.

W łazience przepłukała twarz zimną wodą. Spojrzała w lustro. Pod zaczerwienionymi oczami zobaczyła wielkie, sine podkowy.

– Weź się w garść – syknęła. – Nie możesz rozsypać się właśnie teraz.

Przyjrzała się jeszcze raz swojemu odbiciu, bladym ustom, szarej cerze i sińcom. Liczyła, że uda jej się zamaskować to wszystko makijażem.

Najpierw jednak postanowiła zmusić się do tego, by coś przelknąć. Liczyła, że dzięki śniadaniu przestaną drżeć jej ręce i minie nieprzyjemny ucisk w żołądku.

W kuchni zastała matkę. Siedziała przy stole, popijając kawę, z poszarzałą twarzą i policzkiem opartym na otwartej dłoni. Na widok Anny drgnęła. W jej oczach odmalowała się troska.

– Źle spałam. – Anna uprzedziła jej pytania.

– Wiem. Mela mi powiedziała. I pobiegła rano do sklepu, żeby ci to kupić. – Podążyła jej niebieską paczuszkę. – Boli cię jeszcze?

Podeszła i dotknęła policzka córki, przytrzymując na nim dłużej dłoń.

– Muszę chyba coś zrobić z tymi sinymi workami, żeby Franek się nie przestraszył – bąknęła Anna, tylko po to, żeby coś powiedzieć. Nie odważyła się odchylić głowy, mimo że miała na to wielką ochotę. Po raz pierwszy dotyk matki tak bardzo ją uwierał. – Gdzieś czytałam, że można pomóc sobie herbatą.

Maria cofnęła rękę i odwróciła się, żeby nastawić czajnik.

– Zaparz saszetki, ostudź i połóż je sobie na powieki.

Anna wykonała to wszystko bez słowa. Przykryła oczy woreczkami z herbatą i odchyliła się na krześle. Słyszała, jak matka krząta się po kuchni, uruchamia sokowirówkę. Potem znów poczuła na twarzy jej chłodne palce. Maria zdjęła delikatnie z jej powiek herbatę i zastąpiła czymś zimnym.

– Co to jest? – Zdziwiła się Anna.

– Waciki nasączone sokiem z ziemniaka i ogórka. Potrzymaj je dwadzieścia minut. Powinny pomóc.

– Dziękuję – wyszeptała, przytrzymując lekko dłoń matki. Jakby wbrew sobie, lecz z poczuciem,

że powinna.

Usłyszała, jak ta przysuwa sobie krzesło i siada, bardzo blisko.

– Jesteś pewna, że dasz sobie dziś radę?

– Tak.

– A może mogłabym pojechać z wami?

– Oczywiście, jeżeli tylko masz ochotę...

Starła się, by zabrzmiało to naturalnie, ale nie do końca jej się to udało. Usiłowała podejrzeć spod przykrywających jej oczy płatków, czy matka to zauważyła. Kiedy udało jej się wreszcie zsunąć odrobinę okład, zobaczyła, jak energicznie podrywa się z krzesła.

– Przygotuję coś do jedzenia dla ojca – powiedziała, nie patrząc na córkę. – A potem możemy jechać.

Anna przeczuwała, że im dłużej będzie odkładać rozmowę o tym, co usłyszała w nocy, tym trudniej będzie jej ją zacząć. Przez cały dzień drętwiała jednak ze strachu na samą myśl, że matka zrobi to pierwsza. Anna nadal nie była pewna, czy zdoła spokojnie jej wysłuchać. Czowała się z tym podle, jednak przez cały dzień pozorowała dobry humor, by nie zepsuć dzieciom wycieczki. Pozwoliła Frankowi sfotografować się w towarzystwie wypchanego niedźwiedzia w drozdowskim muzeum przyrody i wtórowała mu, gdy żartował z Amelii, która śmiertelnie przeraziła się syczących groźnie gęsi, na które natknęli się nad brzegiem Biebrzy.

W pewnym momencie ze zdziwieniem zdała sobie jednak sprawę, że poranne emocje nieco opadły. Powoli odzyskiwała spokój.

„Przecież to da się jakoś wyjaśnić” – tłumaczyła sobie w duchu już w drodze powrotnej, jednak to sprawiło, że znów poczuła się gorzej.

W domu od razu włączyła komputer. Magda była dostępna i Anna już miała się z nią połączyć, jednak w ostatniej chwili zrezygnowała.

Przesunęła kursor na zakładkę „ulubione”. Kliknęła.

Maniobajanie – blog.

Czasem bywa tak, że ma się dość rzeczywistości. Wtedy dobrze jest mieć awaryjną drogę ucieczki, na przykład do innego świata. I czasem tak właśnie robię. Zaparzam sobie cytrynową herbatę, owijam się kocem, otwieram książkę i zapadam się w nią tak bardzo, jak tylko jest to możliwe.

A kiedy wracam, właściwie nadal mnie nie ma, ponieważ w książce zostają moje myśli. A gdy są wystarczająco przyjemne, czasem przychodzi mi do głowy, by w ogóle stamtąd nie wracać.

Rano zapukała do pokoju córki.

– I jak ci idzie? – spytała. – Może ci pomogę?

Amelia siedziała na podłodze, pośród mnóstwa ubrań poukładanych w niewielkie stosiki.

– Dzięki, mamuś, ale i tak będę musiała w Warszawie się przepakować, bo tam mam część ciuchów, które chcę wziąć ze sobą. – Spojrzała krytycznie na wypełnioną po brzegi walizkę. – A poza tym, powinnam chyba zabrać to wszystko, bo kiedy wrócę z Anglii, zostanie mi już tylko tydzień wakacji. Nie ma sensu, żebym zostawiała tu swoje rzeczy. Przecież zaraz potem wracamy do domu, prawda?

Anna przysiadła na krawędzi krzesła, ogarniając wzrokiem panujący w pokoju rozgardiasz.

– Zobaczmy – powiedziała cicho, odchrząkując. – A może weźmiesz moją walizkę, co? Jest większa. I kosmetyczkę. Mówiłaś kiedyś, że ci się podoba.

– Jasne, dzięki! Przyniosę!

Zerwała się i zbiegła na dół.

– I zostaw na razie to pakowanie, po obiedzie skończymy razem, dobrze? – Anna krzyknęła za nią.

Sama wyszła do ogrodu. Nagle zapragnęła złapać trochę świeżego powietrza. Przysiadła na podmurówce ogrodzenia, tyłem do posesji sąsiadów. Oparła ciężko czoło na otwartych dłoniach i zamknęła oczy.

– Czy to prawda, że one wyginają, te pająki? – Usłyszała nagle.

Obok ujrzała Arturka. Zaciskał palce na siatce ogrodzenia, wspinając się po nim i zeskakując raz po raz. Nie zauważyła go wcześniej, ani nie zorientowała się, kiedy do niej podszedł.

– Wyginają? – spytała niepewnie.

– No tak. – Arturek pokiwał poważnie głową. – Bo babcia powiedziała, że jak będę je tak deptał i deptał, to wszystkie powyginają i nie będzie ani jednego – powiedział, pokazując murek.

Anna dopiero wtedy dostrzegła uwijające się po nim maleńkie, czerwone pajączki.

– Rubinowce. Tak się nazywają. – Ocknęła się wreszcie, przypominając sobie, nieoczekiwanie również dla siebie, ich właściwą nazwę. – A ty, co tu robisz? Dlaczego nie jesteś z Frankiem w bibliotece?

– Bo mama obiecała, że dziś zadzwoni. Pewnie zmartwiłaby się, jakby mnie nie było. Dlatego musiałem zostać.

– Słusznie. – Anna zamyśliła się chwilę. – Czy twoja babcia jest teraz w domu?

– No przecież mówię. – Arturek pokręcił głową i westchnął teatralnie. – Czeka na telefon od mamy.

– Rozumiem. Pójdę do niej. Muszę ją o coś spytać.

Patrzył na nią podejrzliwie, gdy okrążyła ogrodzenie i otwierała furtkę, ale o nic nie dopytywał.

– Dzień dobry, pani Zosiu... – Anna uśmiechnęła się, gdy sąsiadka otworzyła jej drzwi.

– Co on znów zmalował? – Pani Więckowa zwiesiła z rezygnacją ramiona.

– Arturek? Nie, nic. Rozmawialiśmy sobie i powiedział mi, że czeka na telefon od mamy.

– To prawda. – Kobieta wskazała staroświecki aparat telefoniczny podłączony kablem. – Sylwia nie dzwoni za często, bo to nie jest tanie.

– Czy mogłaby pani poprosić ją dzisiaj, żeby się ze mną skontaktowała? To bardzo ważne. Zapiszę pani mój adres mailowy.

Sąsiadka wywiązała się z obietnicy, a Sylwia odezwała się do Anny już po godzinie. Szybko też podchwyciła jej nietypowy pomysł, a Arturek i jego babcia jeszcze tego samego wieczoru pojawili się na werandzie. Anna czekała już tam na nich z włączonym laptopem.

– Proszę. – Wskazała gestem krzesła. – Pani Zosiu, proszę tutaj, Arturek, siadaj szybciotko.

Chłopiec wgramolił się na krzesło. Oboje z babką spoglądali niepewnie raz na monitor, raz na Annę.

– Ale na co to? – Pani Więckowa wydawała się zmieszana i zaniepokojona sytuacją, w jakiej się znalazła na prośbę Anny.

– Jeszcze chwileczkę. – Anna zerknęła na zegarek. – Dokładnie za minutę wszystko będzie jasne. Proszę czekać spokojnie.

Staruszka przycupnęła posłusznie na samym brzegu krzesła, gniotąc w rękach brzeg nylonowego fartucha. Wreszcie na monitorze pojawiło się okienko i rozległ się sygnał nadchodzącego połączenia. Kobieta przestraszyła się, ale zanim zdążyła się poderwać, Anna przytrzymała ją delikatnie za ramiona. Kliknęła myszką i na ekranie ukazała się uśmiechnięta twarz młodej kobiety. Pani Zosia otworzyła szeroko oczy, nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa. Podciągnęła do twarzy ściskany nadal w garści róg fartucha i przysłoniła nim usta. Drugą ręką objęła wnuka, usiłując przyciągnąć go do siebie.

– Mamusia – wyszeptał Arturek ochryple. – Mamusia... Mamusia! Mamusia! – krzyczał coraz głośniej, podskakując gwałtownie na krześle i zupełnie nie zwracając uwagi na łzy zalewające mu policzki.

Anna, nie kryjąc już wzruszenia, skinęła porozumiewawczo na matkę, po czym obie weszły do domu. Maria delikatnie zamknęła za sobą drzwi i odwróciła się do córki.

– Wiesz, że to wbrew pozorom wcale nie wystarczy, prawda? – wyszeptała. – Powiedz mi, jak jeszcze można im pomóc? Czy w ogóle da się coś zrobić?

– Nie wiem – Anna westchnęła ciężko. – Naprawdę nie wiem.

Koper leżał płasko na dywanie i przyglądał się z uwagą pełzającemu przed nim stworzeniu w rudo-czarne prążki.

Od czasu do czasu trącał je delikatnie nosem i od razu cofał się, jakby nie dowierzając temu, co widzi. Zerkał też raz po raz na Annę, wyraźnie szukając u niej wyjaśnienia dziwnej sytuacji. Anna z kolei bacznie go obserwowała, gotowa natychmiast interweniować, gdyby jego zamiary budziły jej wątpliwości, jednak każda kolejna minuta coraz bardziej upewniała ją w przeświadczeniu, że to nie będzie konieczne.

Kocię, gdy tylko poczuło się nieco pewniej, obeszło psa dookoła, uderzając co chwila łapą jego dyndające dredy. Kiedy dotarło do poruszającego się lekko ogona, stanęło słupka i zamarło jakby w zachwycie, a zaraz potem przyczało się do skoku.

Anna zaśmiała się na ten widok, wciąż jednak przygotowana, aby w każdej chwili pochwycić malucha, gdyby łaskawość Kopra okazała się tylko chwilowa. Zanim jednak zdążyła zareagować, kotek wybił się i opadł miękko w puszysty ogon psa, wbijając w niego wszystkie pazurki. Koper uniósł się na przednich łapach, wyprostował i zeszywniał na moment, po czym opadł ciężko, znów przywierając plackiem do podłogi. Kociak tymczasem wspiał się wyżej i chwiejnie wędrował wzdłuż jego karku, by wreszcie stracić równowagę, rozpląszczył się na jego głowie i zsunął się po uchu na podłogę. Koper uniósł na chwilę łeb, powąchał kociaka, a potem nieoczekiwanie przeciągnął po nim jęzorem, powodując, że maluch zatoczył się i znów wylądował gdzieś w okolicach psiego ogona. Niezrażony tym otrzepał się i rozpoczął swoją wędrówkę na nowo.

Franek wybuchnął śmiechem. Chciał podnieść kotka, jednak został uprzedzony przez siostrę, która rękawem wytarła mu delikatnie obśliniony przez psa pyszczek. Anna zerknęła z rozbawieniem na matkę.

– Widzisz? Mówiłaś, że go połknie, a on tylko polizał i wypluł.

– Coś takiego... – Maria nie mogła wyjść ze zdziwienia. – Wygląda na to, że Koper właśnie podjął decyzję.

– Super! Będziemy mieli kotka – zawołał uszczęśliwiony Franek, próbując odebrać go siostrze.

– Zostaw, proszę. – Amelia, ku zaskoczeniu Anny spodziewającej się awantury, spojrzała na brata błagalnie. – Będiesz z nim potem cały czas, a ja przecież jutro wyjeżdżam.

Franek cofnął ręce. Wydawał się zakłopotany. Podrapał się z roztargnieniem w głowę.

– Jeżeli chcesz, może dzisiaj spać w twoim pokoju – oświadczył poważnie. – A kiedy wrócisz, dalej może tak być – dodał po chwili namysłu. – A ja się nim zaopiekuję, jak cię nie będzie. A potem razem będziemy nim się zajmować, dopóki nie wrócimy do Warszawy.

Pogłaskał kotka po małym łebku. Amelia uśmiechała się do niego z wdzięcznością. Żadne z nich nie dostrzegło miny Anny, która na wszelki wypadek od razu wyszła z pokoju.

Znów musiała pomyśleć. Zastanowić się, co zrobić, by znaleźć w sobie wreszcie dość odwagi i porozmawiać z dziećmi, zanim będzie na to za późno. Tak, jak zbyt późno było już na rozmowę jej własnych rodziców z nią. Bo mimo że teraz już bardzo na to czekała, nie dotrzymali złożonej sobie obietnicy i nie wyjawili córce prawdy o ich rodzinie. Dlatego coraz mocniej do niej docierało, że będzie musiała spytać ich o to sama.

Postanowiła, że to zrobi. Jak tylko znajdzie w sobie dostatecznie wiele odwagi.

Otwierała drzwi swojego mieszkania pełna niepokoju i wciąż nieoswojonego lęku, tego, który jej towarzyszył, zanim stąd wyjechała. Zupełnie, jakby tu na nią czekał. Gdy zegnała się z córką na lotnisku, wciąż o tym myślała. Że będzie musiała zacząć porządkować rzeczy. Zastanowić się, co począć z ich nadmiarem. Posegregować i wyrzucić zbędne, a resztę spakować do pudeł.

Zaparzyła sobie herbatę i włączyła laptopa. Okazało się, że ktoś wielokrotnie próbował się z nią połączyć. „Muszę pilnie z tobą porozmawiać!”, przeczytała pozostawioną wiadomość. „Magda?” Zdziwiła się, widząc, że informacja została wysłana zaledwie przed godziną, czyli jej siostra musiała ją napisać o czwartej nad ranem swojego czasu.

Drgnęła, gdy usłyszała sygnał nadchodzącego połączenia. Zawahała się, by po chwili jednak odebrać.

– Co tam, ranny ptaszku? – Usiłowała brzmieć wesoło i beztrąsko. – Stęskniłaś się za młodszą siostrzyczką?

Magda się nie uśmiechała. Anna, widząc to, natychmiast spoważniała.

– Coś się stało? – zapytała ostrożnie. – Coś z Karoliną? Urodziła?

– Nie, jeszcze nie. Jest już po terminie, więc jeśli w ciągu najbliższych dni nic się wydarzy, będzie miała wywoływany poród..., ale nie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

– Tak? – Wstrzymała oddech i drżącą ręką podniosła kubek do ust, ponieważ poczuła w nich nagłą suchość.

Magda również wyglądała na niespokojną. Nerwowo odgarniała włosy z czoła i wierciła się przed kamerką, przez co ciągle zniknęła Annie z oczu.

– Niedawno rozmawiałam z rodzicami... – zaczęła, odchrząkując nerwowo. – O czymś ważnym, o czym ty też powinnaś się dowiedzieć. Takie jest przynajmniej zdanie rodziców. Poprosili mnie, żebym ja ci to powiedziała. Chciałam z tym poczekać, aż przylecę do Polski, ale pomyślałam, że wtedy byłoby mi jeszcze trudniej.

– Wobec tego ułatwię ci to. Nie musisz mi nic mówić, bo już wiem. – Anna znów podniosła do ust kubek z herbatą, tym razem świadomie chcąc zasłonić nim brodę, która nagle zaczęła jej drżeć.

– Co wiesz? – Magda wydawała się zaskoczona i zdezorientowana.

– Niechcący podsłuchałam rozmowę rodziców i znam prawdę – powiedziała Anna schrypniętym głosem. – Wiem, że zostałam adoptowana.

– O czym ty mówisz? – Magdalena podeszła zbyt blisko do kamerki, pewnie chcąc lepiej przyjrzeć się siostrze. Anna mimowolnie odchyliła się do tyłu.

– Sądziłam, że o tym właśnie chcesz ze mną porozmawiać. O mnie i o mojej... adopcji – powiedziała ostrożnie, wciąż wpatrując się w nienaturalnie powiększone oczy swojej siostry. – I myślę, że właśnie dlatego przeprowadzili się do Bujan – dodała szybko. – Poza tym, teraz rozumiem, dlaczego to tobie poświęcali zawsze więcej uwagi. Bo przecież zawsze tak było, prawda? Bardziej martwili się twoimi niepowodzeniami i cieszyli się z twoich sukcesów, moje w takich momentach schodziły zawsze na drugi plan.

– Bzdura! To nieprawda! To wszystko nie tak! – wykrzyknęła Magda i zniknęła Annie z oczu.

Przez chwilę Anna widziała fragment jej dekoltu, a potem brzucha i pleców. Jej siostra nagle wstała i oddaliła się od komputera. Anna zamarła w oczekiwaniu. Pamiętała, że Magda pod wpływem silnych emocji zawsze krąży w tę i z powrotem. Czekala więc cierpliwie, obserwując migającą na monitorze sylwetkę Magdaleny. Wreszcie zobaczyła, jak siada i ukrywa twarz w dłoniach.

– To nie tak – zaczęła powoli. – Nic nie rozumiesz... Nie zostałam adoptowana.

Urwała i znów poderwała się z miejsca.

– Nie kłam, chociaż ty! – krzyknęła Anna do rysującej się w oddali sylwetki. – Przecież wyraźnie słyszałam, jak rodzice rozmawiali o adopcji. I o tym, że muszę się wreszcie dowiedzieć. Nie wmawiaj

mi więc, że się przesłyszałam!

Magda szybkim krokiem wróciła do komputera. Potem, na ile to było możliwe, spojrzała siostrze prosto w twarz.

– Nie przesłyszałaś się. Rozmawiali o adopcji, jednak na pewno nie o twojej. Nie ty zostałaś adoptowana.

– Więc kto?

– Ja – odparła ledwie słyszalnym szeptem.

Zapanowała martwa cisza. Anna nieco odrętwiała patrzyła tępo w ekran. Dopiero po chwili zorientowała się, że Magda nadal wpatruje się w nią z ogromnym wyczekiwaniem. Otrząsnęła się, usiłując się pozbierać, ale wciąż nie przetrwała tego, co właśnie usłyszała.

– Jak to, ty? – wychrypiąła wreszcie.

– Taka właśnie jest prawda. – Głos Magdy teraz dla odmiany zabrzmiał zdecydowanie. – Już dawno powinnaś ją poznać. Zostałam adoptowana, gdy miałam siedem lat. I w jednym miałaś rację, właśnie dlatego rodzice przeprowadzili się do Bujan. Żeby odciąć mnie od mojej biologicznej rodziny. Oni, ci ludzie, to znaczy moja biologiczna matka i ojciec, byli... – Magda urwała, jakby próbowała znaleźć właściwe słowa, lecz nie potrafiła. – Ja ich... nienawidziłam – powiedziała wreszcie i odwróciła głowę.

Anna patrzyła na nią z poczuciem, że musi dać jej czas. Widziała, w jakim stanie jest jej siostra, i najbardziej w świecie żałowała tego, że nie może jej teraz przytulić. Przyłożyła dłoń do monitora. Magda patrzyła gdzieś w bok, jakby próbowała coś sobie przypomnieć i jednocześnie paradoksalnie broniła się przed tym. Anna niemal fizycznie czuła ból, który zobaczyła w jej oczach. Nigdy wcześniej nie żałowała bardziej, że są tak daleko od siebie.

– Nie chciałam chodzić do szkoły, bałam się, że gdzieś ich spotkam i że mnie zabiorą. – Usłyszała wreszcie głos Magdy, choć nadal wydawała się nieobecna. – Rodzice chcieli mnie chronić, dlatego zdecydowali się wyjechać z Kłodzka aż na Podlasie, w rodzinne strony ojca, bo dalej się już nie dało. Tata skontaktował się ze swoim kolegą ze studiów, który otwierał małą klinikę dla zwierząt w Bujanach.

– Z ojcem Agnieszki – przypomniała sobie.

– Tak. Pan Czarniecki pomógł im znaleźć nowy dom. Wszystko zaczęło się układać. Czułam się bezpieczna i szczęśliwa. A potem nagle mój świat znów wyrzucił się do góry nogami. Dwa lata po przeprowadzce stał się cud i okazało się, że mama jest w ciąży. Bo wcześniej starali się o dziecko przez kilka lat i bezskutecznie, lekarze właściwie nie dawali nadziei.

Anna, słysząc to, poczuła ukłucie w okolicach serca.

– Bałaś się, że nie będą cię już chcieli, skoro niebawem miało pojawić się na świecie ich biologiczne dziecko? – spytała drżącym głosem.

– Ależ nie, skądże! Rodzice nie pozwolili mi tak myśleć ani przez chwilę. Od początku bez przerwy mi powtarzali, że kochają mnie tak samo mocno jak ciebie, jeszcze zanim się urodziłaś. Nigdy nawet przez moment w to nie wątpiłam. Obiecywali, że zawsze będą traktować nas jednakowo, ale ja szybko zauważyłam, że wcale tak nie jest. Powiedziłaś, że poświęcali mi więcej uwagi. Pewnie tak było, ja jednak nie odczuwałam tego w ten sposób. Miałam wrażenie, że oni nieustannie mnie pilnują. Że się mimo wszystko boją.

– Czego?

– Moich genów. Ty byłaś cała ich, od początku, krew z krwi. Ciebie mogli być pewni, mnie nie. Nie wiedzieli, co tak naprawdę we mnie siedzi, czego powinni się obawiać. Wiedzieli, skąd pochodzę, z jakiej rodziny... Postanowili być czujni, by w porę zareagować, gdyby coś było nie tak. Dowiedzieli się, że skłonność do alkoholizmu bywa dziedziczna. Wtedy jeszcze nie mówiło się o FAS, ale mieli świadomość, że skoro moi biologiczni rodzice byli alkoholikami, mogło to wpłynąć na mnie, na to, jaka kiedyś będę, kim się stanę... Nie mieli pojęcia, czego się spodziewać, ale woleli dmuchać na zimne. Na wszelki wypadek.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Ale tak było, rodzice nigdy nie ukrywali przede mną swoich obaw. Dużo rozmawialiśmy,

woleli, żebym była świadoma tego, co się wokół mnie dzieje.

– Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego przez tyle lat nie wyjawili mi, że nie jesteś moją biologiczną siostrą? Przecież to bez sensu.

– Bo ja ich o to poprosiłam.

Magda znów odwróciła głowę tak, by Anna nie widziała jej twarzy.

– Dlaczego?

– Bałam się, że będziesz uważała, że masz do nich większe prawo niż ja, że... mi ich w końcu odbierzesz.

– Co ty mówisz?

– Przepraszam, ale wówczas tak właśnie myślałam. Wiem, powiesz mi, że to głupie, niepotrzebnie, że...

– Nie! – Anna przerwała jej gwałtownie. – Wcale nie.

– Nie? – Magda patrzyła na nią zaskoczona.

– To nie było głupie, ale zupełnie naturalne. Miałaś prawo się bać. Ja... rozumiem. Ale teraz mam nadzieję, że już wiesz, że...

– Wiem. – Nie pozwoliła jej dokończyć i uśmiechnęła się. – Wiem, że nigdy byś czegoś takiego mi nie zrobiła, ani teraz, ani kiedyś, bo przecież jesteśmy siostrami. Mimo wszystko.

– Jesteśmy. – Anna pogładziła czule jej twarz na monitorze. – Najlepszymi.

W drodze powrotnej do Bujan usiłowała skupić się na prowadzeniu auta, ale i tak kilkakrotnie musiała zjeżdżać na przydrożne parkingi i stacje benzynowe tylko po to, by znów ochłonąć i zebrać myśli. Drżała przed spotkaniem z rodzicami. Musiała z nimi porozmawiać o Magdzie i wszystkim, czego się dowiedziała, ale rozpaczliwie bała się związanych z tym emocji. Wciąż nie była na nie gotowa.

Gdy dotarła na miejsce, serce podskoczyło jej do gardła. Matka stała w progu domu, zupełnie jakby na nią czekała. Z daleka było widać, że jest bardzo poruszona. Anna powoli wysiadła z samochodu, a Maria od razu zaczęła biec w jej kierunku.

– Bożena rodzi! – wykrzyknęła zdyszana. – Mirek właśnie dzwonił. Są jakieś komplikacje, to trwa już kilka godzin. Chyba będą jej robić cesarkę! Cała w nerwach czekam na telefon. Nie wiem, co tam się dzieje.

Zanim Anna zdołała otworzyć usta, w kieszeni fartucha matki rozdzwoniła się komórka. Zaczęła wysupływać ją drżącymi rękami, przez co omal jej nie upuściła. Anna zdążyła złapać ją niemal w ostatniej chwili. Odebrała sama, mocno przyciskając aparat do ucha. Przez długą chwilę słuchała ze zmarszczonym czołem. Kiwała tylko głową i odpowiadała monosylabami, nie zważając na matkę, która wpatrzona w jej twarz niecierpliwie szarpała ją za rękaw.

W końcu rozłączyła się i roześmiała się w głos.

– Jest! Chłopczyk! Wszystko dobrze i z nią, i z dzieckiem. Teraz odpoczywa, Mirek siedzi przy niej cały czas.

– Pojedziesz tam?

– Nie, no coś ty? Po co? To jest ich czas i myślę, że wolą teraz być tylko ze sobą i swoim maleństwem. Zadzwoń jutro, albo nawet pojutrze i pogratuluję Bożenie synka.

– Chyba i masz rację.

– Na pewno mam. Przypominam ci, że również urodziłam dwoje dzieci w czasach, kiedy szpitale otworzyły podwoje dla wszelakich odwiedzających, i nic mnie tak wówczas nie wkurzało, jak tabuny krewnych i przyjaciół królika, siedzących całymi dniami przy łóżkach tych biednych obolałych kobiet, choć one wówczas marzyły wyłącznie o świętym spokoju. Ciszy dla siebie i dziecka, a nie tłumy gapiów nad głową.

– Zgadzam się z tobą.

Maria skinęła głową w zamyśleniu, chowając wolno telefon do kieszeni. Tymczasem Anna kontynuowała wzburzona, odgrzebując z pamięci własne doświadczenia związane z pojawieniem się na świecie Amelii i Franka.

– Szkoda, że inni tego nie rozumieją – sarknęła na koniec ironicznie. – Niestety, niektóre moje koleżanki pojawiły się u mnie już następnego dnia. Czy wiesz, jak ja się wtedy czułam? Wszystkie takie świeże, wypachnione, a ja w przepoconej koszuli i mlekiem ciekącym z obolałych piersi. Brr...

– Chyba trochę przesadzasz. Z pewnością nie oceniały twojego wyglądu, a już na pewno nie oczekiwały, że odświeżysz się specjalnie na ich wizytę.

– Oczywiście, że nie oczekiwały i wszystko rozumiały. W to nie wątpiłam, co wcale nie sprawiało, że czułam się lepiej. Ich obecność podziałała na mnie wręcz przygnębiająco. Dlatego z pewnością nie zrobię czegoś takiego Bożenie. Poza tym obiecała mi, że sama do mnie zadzwoni, kiedy wreszcie urodzi. Więc zaczekam.

Anna wyjęła z samochodu małą walizkę i poszła z nią do domu. Najpierw zajrzała do pokoju syna, zdziwiona, że nie wybiegł jej na powitanie. Niestety, nie zastała go.

– A gdzie jest właściwie Franek? – spytała, rozglądając się.

– Oczywiście z dziadkiem. Pojechali z wykrywaczem metali za miasto.

– Zabrali Arturka?

– Nie. Babka go nie puściła. Za karę, bo podobno znów coś zmalował. Chciałam się za nim nawet

wstawić, ale szepnęła mi, że znów jest zaziębiony, więc to przesądziło sprawę.

– Nie masz wrażenia, że ten mały zbyt często choruje? Przecież jest lato i ładna pogoda – zastanawiała się Anna. – I ciągle jest zasmarkany. Trzeba by sprawdzić, czy to czasem nie jakaś alergia.

Weszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Pochyliła głowę, wsypując cukier do kubka. Znów przypomniawszy sobie o obawach, które dręczyły ją przez całą drogę. W końcu zerknęła ukradkiem na matkę.

– Wychodzisz gdzieś? – spytała, widząc, że odwiązuje fartuch.

– Tak. Przepraszam, że cię teraz zostawiam. Ale muszę do biblioteki. Dziewczyny prosiły, chyba że bardzo chcesz, żebym została...

– Nie trzeba, idź. Ja też tylko chwilę odpocznę, jadę do lecznicy.

– W takim razie do zobaczenia wieczorem. – Maria sięgnęła po torebkę. – Aha, zapomniałabym. Beki jest na górze, zamknięta w pokoju Meli. Nie byłam pewna, czy wrócisz, zanim wyjdę, a wołałam nie zostawiać jej sam na sam z gorącymi garnkami na kuchence.

– Jasne. Potem do niej zajrzę.

Po wyjściu matki Anna od razu włączyła laptop, chcąc sprawdzić, czy Magda jest dostępna. Bardzo potrzebowała wsparcia siostry i miała nadzieję jeszcze raz z nią porozmawiać, dowiedzieć się, czy powiedziała o ich rozmowie rodzicom. Zanim jednak kliknęła odpowiednią ikonkę, do jej uszu dobiegło przeraźliwe koci miauczenie.

– Beki!

Poderwała się przerażona. Pełna najgorszych przeczuć i wyrzutów sumienia spowodowanych tym, że nie zajęła się kociakiem w pierwszej kolejności, kilkoma długimi susami wskoczyła na schody... Jednak w połowie wyhamowała, ponieważ dotarło do niej, że jazgot dochodzi z zewnątrz. Wahala się kilka sekund, nie wiedząc, w którą stronę się udać. W końcu wybiegła przed dom i rozejrzała się nerwowo.

– Ratunku, na pomoooooc!

Na podwórku sąsiadów dostrzegła podskakujący rytmicznie daszek czapki Arturka, natomiast rozzierający koci wrzask właśnie się do niej zbliżał.

– Łap go! Łap! – wrzasnął chłopczyk, gdy ją dostrzegł.

Znów rozejrzała się bezradnie, ale na wszelki wypadek rzuciła się w stronę ogrodzenia. Wtedy zobaczyła, jak na płot wskakuje kot sąsiadów. Stała jak wryta.

Kotu płonął ogon.

Bez zastanowienia ściągnęła jedno z suszących się na sznurze prześcieradeł. Rozpostarła je szeroko akurat w momencie, kiedy kocisko drąc się jak opętane, zeskakiwało na jej stronę. Przywarła razem z nim do ziemi, starając się jednocześnie owinąć go szczelnie tkaniną i zdusić ogień. Kot miauczał rozzierająco, drapał i za wszelką cenę próbował się uwolnić. Nie pozwoliła mu. Tuląc go do siebie z wszystkich sił, pobiegła do kranu. Odkręciła kurek i podstawiła zawiniętego w kokon kota pod strumień zimnej wody.

– Biegnij do swojej babci i powiedz, że jedziesz ze mną do lecznicy! – poleciła jednocześnie Arturkowi, starając się przekrzyknąć zwierzę. – Natychmiast!

Dzieciak bez słowa pobiegł do domu. Anna żywiła nadzieję, że mimo wszystko wróci, ponieważ obawiała się, że sama nie da rady utrzymać kota i jednocześnie prowadzić auta. Zanim jednak wróciła z kluczykami, torebką i wyjąłym wciąż wniebogłosy pogorzelnem, chłopak czekał już przy samochodzie. Patrzył na nią z przerażeniem w oczach.

– Wsiadaj. – Otworzyła drzwi i wcisnęła mu kota w ramiona. – Trzymaj z całej siły. Nie możesz go wypuścić, choćby nie wiem co.

Kiedy dojeżdżali do kliniki, Anna zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu nie słyszy już kociego zawodzenia, a zamiast tego ciche pochlipywanie. Zerknęła w lusterko. Arturek siedział z twarzą zalaną łzami, z całych sił przyciskając do siebie zawiniątko, teraz całkiem nieruchome.

„Jezus Maria! Udusił go” – pomyślała ze zgrozą.

Z piskiem opon zahamowała przed drzwiami przychodni i wyskoczyła z samochodu. Otworzyła

tylne drzwi i ostrożnie wyjęła kota z rąk chłopca. Powoli podniosła róg prześcieradła i zobaczyła wbite w siebie zmartwiałe z bólu spojrzenie zielonych ślepi. Odetchnęła z ulgą. Jednocześnie usłyszała cichy, przerywany łkaniem głos Arturka.

– Ja... ja nie... nie chciałem. Nie chciałem. Na... naprawdę. To nie... specjalnie.

Spojrzała na niego z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Coś ty zrobił?

– Bo dzia... dziadek mówił, że on nosi ten o... ogonek, jak jaką świeczkę... I ja sobie po... pomyślałam, że jak się mu podpali sam ko... koniec tego ogonka, tylko sa... sam koniec, to będzie... będzie śmiesznie... Jak prawdziwa świeczka. Ja nie wiedziałem, że to się aż tyle zapali, cały ogonek. Chciałem zagasić, od razu, ale on mi u... uciekł.

Anna przelknęła słowa, które cisnęły jej się na usta.

– Chodź – wycedziła tylko. – Biegniemy do pani Agnieszki. Szybko!

– Ale ona go uratuje? Tak? Uratuje go pani Agnieszka?

Truchtał obok niej, potykając się co chwilę o własne nogi, i usiłował bezskutecznie zajrzeć w jej twarz, jakby miał nadzieję sam coś z niej wyczytać, skoro mu nie odpowiadała. I chociaż widziała, jak bardzo jest przerażony, nie była w stanie przemóc się i go uspokoić. Czowała, jak wzbiera w niej gniew. Po raz pierwszy była na niego naprawdę wściekła. Pierwszy raz nie umiała też niczym usprawiedliwić jego zachowania. Tym razem to nie była zwykła psota, którą mogłaby jakoś wytłumaczyć. Wiedziała, że cokolwiek się stanie, Arturek powinien ponieść konsekwencje swojego czynu. Nawet jeśli zawiniła tylko dziecięca bezmyślność.

W gabinecie na szczęście nie było akurat pacjenta. Agnieszka poinformowana w kilku słowach, co się stało, odebrała jej kota i położyła na stole, przytrzymując mocno. Zerknęła niepewnie na Annę.

– Może lepiej niech mały zaczeka na korytarzu?

– Ja chcę tu być! – chlupnął Arturek.

Anna zacisnęła usta, po czym rozłożyła bezradnie ramiona. Agnieszka nachyliła się do jej ucha.

– Nie wiem, jak rozległe są poparzenia, więc rozumiesz, co się może za chwilę okazać? Że po odwinięciu szmaty część tego kota na niej zostanie. To nie jest widok dla takiego malca.

– Ja muszę tu być! – powtórzył kategorycznie Arturek, pociągając nosem.

Anna pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Trudno. Może przynajmniej to go czegoś nauczy – powiedziała, nie starając się już hamować pobrzmiwającej w jej głosie złości.

– Będzie go bolało? – wyszeptał ledwie słyszalnie. Podszedł kilka kroków bliżej i zatrzymał się gwałtownie, spiorunowany wzrokiem przez Annę.

– A jak myślisz? – odparła nieco głośniejszym głosem, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie powinna. I bez tego widać było, że dzieciak jest wystraszony. Mimo wściekłości, jaką czowała, zrobiło się jej go nagle żal.

– Zrobimy tak, żeby bolało go jak najmniej. – Agnieszka pospieszyła jej z pomocą. – Zanim go rozwiniemy, podamy mu silny środek znieczulający. To się nazywa sedacja. Będzie wyglądał trochę tak, jakby zasnął. Może też niestety zwymiotować.

Kilkanaście minut po podaniu zastrzyku głowa kota opadła bezwładnie. Anna mimowolnie zamknęła oczy, kiedy Agnieszka zaczęła rozwijać prześcieradło.

– Arturku, czy mógłbyś, kochanie, opowiedzieć dokładnie, co robiłeś z kotkiem, zanim podpaliłeś mu ten ogonek?

Usłyszała spokojny głos przyjaciółki. Otworzyła oczy i spojrzała na chłopca. Stał ze spuszczoną głową, przestępując z nogi na nogę.

– Nie pamiętam. Chyba nie mogłem go dogonić. Raz go już nawet prawie miałem, ale mi uciekł.

– Dlaczego o to pytasz? – zaintrygowała się Anna, nie widząc związku.

– Bo wydaje mi się, że ten kot musiał być już wcześniej mokry, zanim mały go podpalił.

– Wpadł mi do wanny – wybąkał Arturek. – Tam, gdzie dziadek zbiera wodę do podlewania kwiatków. Ale niechący, naprawdę. I zaraz pomogłem mu się wydostać.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – spytała Anna.

– Prawdopodobnie uratowało kotu życie. Spójrz tylko – odsłoniła prześcieradło. – Ma bardzo mocno spalony ogon. Możliwe, że jedynie tutaj był suchy, bo pewnie trzymał go w górze. Reszta jednak nie jest nawet poparzona. Lekko przysmalona sierść i tyle.

– A co będzie z ogonem?

– Nie wiem, czy uda się go uratować. Założę opatrunek żelowy i zobaczymy, może obejdzie się bez amputacji. Niestety, tak czy owak czeka go długie leczenie. – Spojrzała wymownie na małego winowajcę.

– Ja zapłacę za wszystkie lekarstwa. Mam pieniądze w skarbonce! Żeby tylko wyzdrowiał.

– Pieniążki nie są teraz ważne. Dużo ważniejsze jest to, że trzeba będzie się nim opiekować. Cały czas pilnować i nie dopuścić do zakażenia rany, bo wtedy będzie naprawdę źle.

– Będę pilnował – zapewnił gorliwie.

– Dziś jednak kotek musi zostać u mnie na obserwacji. Zobaczymy, co z ogonkiem, i jutro zdecydujemy, co dalej.

– Chodź. – Anna wyciągnęła do niego rękę. – Wracamy do domu.

– Ale... – Chłopiec wyszarpnął się jej i stanął niezdecydowany. – Ja nie mogę.

Kucnęła i zajrzała w zapuchnięte od płaczu oczy dziecka. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła mu kompletnie zasmarkany nos. Chłopiec wydawał się też rozpalony. Dotknęła ustami jego czoła. Było gorące. Przypomniała sobie, że przecież malec jest chory. Przez to wszystko zupełnie o tym zapomniała i zrobiło jej się trochę wstyd. Chwyliła chłopczyka za obie ręce.

– Słyszałeś. Kotek musi dziś tu zostać.

– A jutro? Przywieszysz mnie tu jutro?

– Przywiozę. Obiecuję. – Poglaskała go po głowie. – A teraz wracamy do babci, pewnie się o ciebie martwi.

– Powiedziała, że spuści mi za to lanie, jak wrócę – odparł spokojnie. – I dobrze. Bo ja jestem najgorszym łobuzem na świecie. I pewnie dlatego mama i tata mnie już nie chcą.

Anna obejrzała się na Agnieszkę, która zastygła na moment z uniesionym nad kotem kawałkiem gazy. Pokręciła głową i zmarszczyła brwi, nic nie mówiąc.

– Wiesz co? – Anna ponownie wzięła dziecko za rękę. – Zanim pojedziemy do domu, zajrzemy na chwilę do innych zwierząt. Dobrze?

Skinął głową, pociągając nosem.

Przy kojcach znów zerknął na nią ze strachem pomieszanym ze zdziwieniem.

– Dlaczego są uwięzione? – wyszeptał.

– Nie są uwięzione. One tu mieszkają.

– A dlaczego tutaj, a nie w domkach?

– Ponieważ nie mają swoich domów – odparła Anna.

– Ale dlaczego? – Nie ustępował.

– Nie wiem. Niektóre pewnie się zgubiły, a inne może nawet nigdy nie miały swojego pana.

– A on? – Arturek wskazał smutnego boksera, który siedział w kojcu z głową opartą o ścianę.

– To jest Baster – wyjaśniła. – Jego pan wyjechał i nie mógł zabrać go ze sobą. Musiał go tu zostawić.

– Ale wróci po niego? Prawda? Potem wróci?

Anna dotknęła ramienia chłopca i ucisnęła lekko. Nie miała pojęcia, co ma odpowiedzieć malcowi. Znała historię Bastera. Wiedziała, że właściciel miał go odebrać przed trzema miesiącami. Wiedziała też, że jego pan, który wyjechał za granicę, od pewnego czasu przestał opłacać jego utrzymanie i odpowiadać na maile i SMS-y Agnieszki pytającej o przyszłość psa. Było niemal przesądzone, że wkrótce Baster zostanie przewieziony do schroniska w Białymstoku. Spojrzała na Arturka, który stał z czołem przyciśniętym do prętów klatki.

– Przecież musi po niego wrócić. Prawda? Skoro obiecał, to wróci. Zarobi tylko pieniądze i wróci – powtarzał w kółko, trąc pięścią oczy. – Na pewno go bardzo kocha, wróci i zabierze go ze sobą.

Anna, nic już nie mówiąc, chwyciła chłopca za rękę i skierowała się do samochodu. Postanowiła sobie w duchu porozmawiać z Sylwią o jej dziecku. Mimo że nadal uważała, że nie powinna się wtrącać do cudzego życia, wiedziała, że w tym wyjątkowym wypadku musi złamać ustanowione przez siebie zasady.

– Wszystko przez to cholerne światło!

Anna z desperacją przestawiała z miejsca na miejsce sztalugi, próbując znaleźć to optymalne. Bardzo chciała zająć czymś ręce i głowę, odizolować się choć na krótko od rzeczywistości, w której znów działo się zdecydowanie zbyt wiele niedobrego. Malowanie wydawało się tym, co mogło pozwolić jej od wszystkiego odpocząć, nabrać dystansu, oswoić. I pewnie byłoby to możliwe, gdyby nie to nieszczęsne światło, które tym razem jej nie sprzyjało.

W końcu zrezygnowana ściągnęła fartuch i rzuciła ze złością na krzesło.

Po namyśle zeszła z werandy do ogrodu, prosto pod rozłożyste czereśniowe drzewo. Usiadła w jego cieniu na drewnianej huśtawce i odbiła się nogami od ziemi. Wiatr przyjemnie schłodził jej twarz. Przechyliła głowę, odgarniając włosy z czoła. Zamknęła oczy, by pozwolić myślom odpłynąć. Niestety, nie udało się. Bo chociaż świeże powietrze odprężyło jej umysł, nadal kołatały się po nim strzępki rozmowy, którą poprzedniego dnia przeprowadziła z matką Arturka. Już odkładając słuchawkę, nie była pewna, czy postąpiła właściwie, opowiadając Sylwii o tym, co zrobił jej syn i co później zaszło w lecznicy. Jednak nie ze względu na dziecko, które mogło zostać ukarane za swój występki, bo już wiedziała, że nic takiego nie będzie miało miejsca. Chodziło o coś zupełnie innego. Anna ogromnie współczuła matce chłopca, która była zbyt daleko, by mogła coś zrobić dla swojego syna, pocieszyć go inaczej niż słowem, by poczuł się lepiej. Pozostała jej tylko rozmowa przez komunikator internetowy, w trakcie której Arturk sprawiał wrażenie jeszcze bardziej przygnębiętego. Sylwia natomiast co chwilę odwracała głowę, żeby ukryć przed nim łzy.

Oboje pragnęli tylko jednego, by znów być razem, móc się objąć, przytulić. Podobnie jak tysiące innych rozłączonych rodzin. Praca za granicą miała nie tylko poprawić jakość ich życia, ale zapewnić im jego godziwe warunki, bo wcześniej nie mieli nic. Anna wiedziała, jak trudno jest obecnie młodym ludziom szczęśliwie wystartować w dorosłość, zwłaszcza na tak odległej prowincji. Usamodzielić się, znaleźć pracę, zapewnić przynajmniej podstawowe potrzeby sobie i rodzinie, którą wbrew przeciwnościom zdecydowali się założyć. Niestety, zwykle odbywało się to kosztem dzieci, bo to one najczęściej były składane w ofierze na ołtarzu bliżej nieokreślonego „później”, z głęboką wiarą, że będzie ono zawsze lepsze niż podle „teraz”. Matka Arturka nie miała już wątpliwości, że za to lepsze jutro zapłaci więcej, niż była w stanie przewidzieć. Ale wiedziała też, że ona i jej mąż poświęcili już zbyt wiele, by się wycofać i to zaprzepaścić. Byli zbyt blisko celu.

Anna drgnęła, ponieważ ktoś delikatnie popchnął zastygłą już w bezruchu huśtawkę. Otworzyła oczy i zobaczyła matkę. Maria trzymała w rękach stary album.

– Proszę.

– Po co mi go dajesz?

– Ponieważ o niego pytałaś. To jest album ze zdjęciami z czasów przed twoimi narodzinami. Ten, który... nie zaginął. Przepraszam, że cię okłamałam. Że wszyscy cię okłamywaliśmy przez tyle lat.

Położyła album na huśtawce i odwróciła się, chcąc odejść.

– Mamuś! – Anna poderwała się, jednak nie podbiegła do matki, która zatrzymała się w pół kroku. Zamiast tego podniosła album i przytuliła go do piersi. – Wszystko jest już w porządku, wiesz? Tylko... ja chyba nie chcę jeszcze rozmawiać, o tym, i o wszystkim innym. Nie jestem na to gotowa.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się.

Anna poczekała, aż matka zniknie za drzwiami domu. Dopiero wtedy rozluźniła ramiona i położyła sobie album na kolanach. Poglądziła ostrożnie chropowatą, skórzaną okładkę, muskając palcami brzegi kartek, jakby oceniała jego grubość. Podniosła go znów i ważyła chwilę w dłoniach. Zaraz miała poznać fragment przeszłości jej rodziny, ale ten, do którego nigdy nie należała. Czuła się z tym trochę dziwnie i być może dlatego wciąż odwlekła ten moment. Innego powodu nie było, ponieważ nie miała wątpliwości, że cokolwiek tam zobaczy, to już niczego nie zmieni.

Powoli do niej docierało, że właśnie zamykał się pewien rozdział jej życia, a otwierał następny. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że na wszystko patrzyła inaczej, niż zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Również przeszłość zyskiwała zupełnie nowy wymiar i sens. Niektóre sprawy dopiero teraz stawały się zrozumiałe.

Od kilku dni nieustannie wracała myślami do czasów, gdy dorastała. Analizowała wyrwane z pamięci i kontekstu urywki zdarzeń, odkrywając, jak bardzo wcześniej ich nie rozumiała lub pojmowała fałszywie. W nowym świetle wyglądały zupełnie inaczej. Czy gdyby wcześniej знаła prawdę, jej relacje z siostrą mogłyby być inne? Czy ona sama byłaby taka, jak dzisiaj?

Przez całe życie czuła ogromną potrzebę, by ciągle być blisko siostry, nieustannie jej towarzyszyć. Buntowała się przeciwko podzieleniu na pół wspólnego wcześniej pokoju, bez Magdy nie chciała jeździć na obozy i kolonie. Mimo że była od niej dużo młodsza, bezkrytycznie naśladowała ją we wszystkim. Ubierała się podobnie, nosiła taką samą fryzurę, słuchała tych samych płyt. Nie reagowała, gdy Magda tłumaczyła jej, że powinna być sobą, mieć własne zainteresowania, upodobania, przyjaciół. Wołała być taka jak ona. I zawsze mieć ją przy sobie, wtedy czuła się o wiele pewniej i bezpieczniej.

Dlatego po przeprowadzce siostry za ocean Anna wpadła w prawdziwą rozpacz. Miała wrażenie, że wyrwano z niej jakąś część jej samej, tę, bez której nie potrafiła funkcjonować. Jej życie straciło sens. Na szczęście niedługo potem poznała Piotra, który ją ocalił. Z czasem odnalazła w nim fragment tego, co utraciła wraz z wyjazdem ukochanej siostry. Dzięki niemu odzyskała dawne poczucie bezpieczeństwa i mogła zacząć żyć normalnie. Dopóki znów wszystko nie runęło.

Anna powoli otworzyła album.

Ze ściśniętym gardłem patrzyła na zdjęcia swoich rodziców. Młodych i z pewnością szczęśliwych. To były pierwsze lata ich małżeństwa, spędzane tylko we dwoje. Bez starszej córki, która w tym czasie mieszkała ze swoją biologiczną rodziną. Bez Anny, która dopiero miała przyjść na świat.

Kiedy dotarła do pierwszej fotografii przedstawiającej siedmioletnią wówczas dziewczynkę, z cienkimi warkoczykami, jej serce na chwilę zamarło. Z trudem rozpoznawała w niej Magdalenę. Zdjęcie wykonano w domu dziecka, w którym prawdopodobnie przebywała przed adopcją. Może wtedy jeszcze nie wiedziała, co się z nią stanie, jak potoczy się jej życie. Na jej twarzy nie było nawet śladu uśmiechu. Patrzyła wprost w obiektyw aparatu, a w jej oczach czał się niewiarygodny smutek i coś jeszcze, czego Anna nie potrafiła określić, ponieważ brakowało jej odpowiednich słów. A szukała ich już wcześniej, gdy zobaczyła to w oczach małego, jasnowłosego chłopca w chwili, gdy patrzył na zamknięte w kojach bezpieczeństwa psy.

Karolina, córka Magdy, ku radości całej rodziny szczęśliwie urodziła zdrową córeczkę. Zaledwie dzień po tym, jak przyszedł na świat synek Bożeny. Jednak gdy pierwsza wraz z nowo narodzonym dzieckiem wróciła do domu, druga pozostawała w szpitalu, ponieważ maluszek miał żółtaczkę.

Anna nadal nie chciała niepokoić koleżanki, przekazując jedynie gratulacje i słowa wsparcia za pośrednictwem jej męża. Bez przerwy deklarowała też chęć pomocy, gdyby zaistniała potrzeba. W końcu jednak postanowiła zadzwonić. Niestety, Bożka nie odebrała. Anna ponownie wybrała numer, by już po chwili anulować połączenie. „Skoro nie odbiera, pewnie jest zajęta” – pomyślała. „Spróbuję później”.

Schowwała telefon do kieszeni i wróciła do obierania rabarbaru na kompot. W zamyśleniu odrywała powoli długie, czerwone włókna. Wciąż jednak dręczyło ją dziwne poczucie niepokoju. Nie знаła jego dokładnej przyczyny, ale przeczucie jej podpowiadało, że coś jest nie tak. Wytarła ręce w ścierkę i ponownie sięgnęła po telefon. Patrzyła chwilę na ciemny wyświetlacz, marszcząc czoło. Już od pewnego czasu nie opuszczało jej wrażenie, że o czymś zapomniała.

– Obiecała, że zadzwoni – wymruczała do siebie. – Oczywiście, że tak! – wykrzyknęła w nagłym olśnieniu. – Obiecała, że zadzwoni, jak tylko coś się będzie działo. Jak urodzi. Więc dlaczego tego nie zrobiła, skoro minęło tyle czasu?

– Kto?

Jej krzyk zwabił do kuchni Marię, która wróciła właśnie z zakupów. Odstawiła koszyk na blat i zamarła w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Bożka. Obiecała mi, że na pewno do mnie zadzwoni, kiedy już urodzi. I nie zadzwoniła, chociaż minęło kilka dni. W dodatku nie odbiera telefonu. Martwię się, że dzieje się coś niedobrego. Może zadzwonię do jej męża?

– Nie musisz. Właśnie miałam ci powiedzieć. Spotkałam go przed chwilą.

– Tak? I co? Co z Bożoną?

– Właściwie, nie wiem. Niby wszystko w porządku. Mały ma jeszcze niewielką żółtaczkę, ale podobno ładnie mu schodzi. Bożenie rana po cesarce szybko się goi i nie ma żadnych powikłań, ale...

– Co? – Niecierpliwiła się coraz bardziej, pełna najgorszych przeczuć.

– Mirek mówi, że jest dziwnie smutna, ciągle płacze, narzeka, że ją boli. Ale to chyba normalne, że boli, prawda? W końcu miała operację.

– Że boli, to wiadomo, ale że ciągle płacze, to już nie wydaje mi się normalne.

– Więc co teraz?

– Jak to, co? Pojadę tam. I to zaraz. Czuję, że coś jest nie tak i nie uspokoję się, dopóki nie dowiem się, co. – Rozwiązała fartuch i zgarnęła kluczyki od samochodu.

Wybiegła z kuchni niemal tak, jak stała. Przez całą drogę do szpitala wyrzucała sobie, że zwlekała zbyt długo. Powinna zainteresowała się tym, co się dzieje z koleżanką, przewidzieć, że może potrzebować pomocy. Wziąć pod uwagę jej stan psychiczny jeszcze sprzed porodu.

Jej matka uważała, że w podobnych momentach dobrze jest mieć obok siebie inną kobietę, bo mężczyzna nie wszystko zrozumie. Do Anny dopiero teraz dotarło, jak wiele jest w tym prawdy. Nagle przypomniała sobie własną kłótnię z Magdą dwa tygodnie przed jej wylotem do Stanów i zrobiło jej się głupio. Jak mogła być taką egoistką? Jak mogła żądać od siostry, żeby dla niej zrezygnowała z towarzyszenia córce w jednym z ważniejszych momentów w życiu?

„W ich życiu” – poprawiła się w myślach.

Mimowolnie wróciła też pamięcią do obu własnych, takich właśnie momentów, kiedy rodziły się jej dzieci. Magdalena była wtedy przy niej, gdzieś z boku, nienachalnie, starając się, by ten czas należał przede wszystkim do niej i do Piotra. Wciąż powtarzała, że to jest zbyt intymne, zbyt szczególne wydarzenie w życiu dwojga kochających się ludzi, by z kimkolwiek się tym dzielili. Że ta chwila powinna należeć tylko do nich i powinni ją wypełnić wyłącznie sobą, nacieszyć się nią, dopóki trwa,

i postarać się zapamiętać każdy, nawet najmniejszy jej szczegół. Niestety, Piotr... On miał na ten temat inne zdanie. Pochłaniała go praca i materialny aspekt ich życia, nie duchowy. Mówił, że wszystko to robi dla niej i dla dzieci, by żyło im się wygodnie, na odpowiednim poziomie. Niecierpliwie rozliczał każdą z chwil, jakie im wtedy dawał. Był, ale jakby go nie było.

Nie od razu otrząsnęła się ze wspomnień.

W szpitalnym holu Anna przysiadła na krześle w pobliżu rejestracji. Wzięła głęboki oddech, starając się zebrać i uporządkować myśli, które niechcący rozsypały się, znów powodując bałagan w jej głowie. Potrzebowała chwili, żeby wrócić do równowagi. Wyjęła z torebki pudełko z maleńkimi bucikami – prezentem dla synka Bożeny, i uśmiechnęła się na ich widok. Poprawiła przyklejoną do opakowania różową kokardkę i pewnym krokiem ruszyła na oddział położniczy.

Bożena leżała na wznak, na uniesionej lekko poduszce, z przyciśniętymi kurczowo do siebie łokciami. Obok niej, w plastikowym wózku spoczywało błękitne zawiniątko. Na widok Anny na twarz kobiety wypłynął grymas, mający być prawdopodobnie uśmiechem. Jej usta zaraz potem mimowolnie wykrzywiły się w rzeczywiście bólu.

– Cześć – wyszeptła Anna prawie bezgłośnie, pochylając się jednocześnie nad śpiącym niemowlakiem.

W nogach łóżeczka położyła pudełko z bucikami i odeszła na chwilę, żeby umyć ręce. Wróciła i dotknęła ostrożnie maleńkiej rączki wystającej z kocyka. Dziecko drgnęło niespokojnie. Anna nieco przestraszona cofnęła dłoń i zaczęła delikatnie kołysać wózkiem, by uspokoić malucha. Niemowlę przeciągnęło się, mlasnęło kilka razy i pograżyło się we śnie, nie otwierając nawet oczu.

Bożena ponownie wykrzywiła usta, próbując się uśmiechnąć. Podciągnęła się trochę na łóżku i syknęła.

– Ciągle cię boli? – Anna pogładziła ją współczująco po ramieniu. – A co mówią lekarze? Rana po cięciu goi się prawidłowo?

– Taaa. – Bożena machnęła lekceważąco ręką. – Tam już mnie prawie nie boli, tylko jak się zbyt gwałtownie poruszę.

– Więc gdzie...? – Anna urwała, przyglądając się koleżance badawczo.

– Nie widzisz? – jęknęła, przyciskając do siebie podbródek i patrząc znacząco w rozcięcie koszuli na piersiach. – Zaczynają się tu. – Dotknęła okolic obojczyka. – A kończą się nie wiem gdzie, bo aż tak daleko mój wzrok nie sięga – parsknęła ironicznie.

– Ach, masz nawał pokarmowy. Współczuję. Ale to minie...

– Nawał? – przerwała jej niecierpliwie. – Skończył mi się, przedwczoraj. I całe szczęście, bo gdyby to potrwało choć trochę dłużej, udusiłyby mnie własne cycki, bo zaczynały już uciskać mi krtań. Teraz jest trochę lepiej, chociaż nadal nie mam odwagi oderwać od ciała łokci, bo kiedy mi się tak rozlewają na boki, mam wrażenie, że się w końcu urwą. Najgorzej jest, jak muszę nakarmić małego. Boję się, że go nimi w końcu zaduszę. I nie umiem go przystawić, więc do tego jeszcze doszły poranione sutki.

– Zgłaszałaś to komuś, mówiłaś, że cię boli?

– Pewnie. Dostałam środki przeciwbólowe i dobrą radę, żeby się cieszyć, bo nie każdy ma aż tak dobre warunki, by porządnie wykarmić dziecko. A mnie się zdaje, że je właśnie głodzę. Cały czas mam wrażenie, że mały się nie najada i męczy się strasznie przy ssaniu.

– A może byłoby lepiej, gdybyś założyła biustonosz? Są przecież takie do karmienia.

Bożena wybuchnęła śmiechem i popatrzyła na nią z politowaniem.

– Chyba dwa wiadra trzeba byłoby zdrutować. Myślisz, że nie próbowałam? Nie ma szans, żeby to – znów zerknęła w dół – w cokolwiek zmieścić. Posłałam Mirka do bielizniaka, przyniósł mi tu jakieś gigantyczne namioty, które i tak okazały się o wiele za małe. W ogóle nie dały się zapiąć.

– Naprawdę? Jakoś trudno mi w to uwierzyć, żeby nic, ale to nic nie pasowało. Jeszcze dziś poszperam w necie i znajdę ci coś. Jednak to może trochę potrwać...

– Poczekał, ile będzie trzeba, byle tylko przestało boleć. Mam gdzieś tu zapisany mój obwód i wszystko, zerknij, proszę, leży chyba na szafce. – Westchnęła. – Boję się wierzyć, że uda ci się coś znaleźć, i dziękuję, że w ogóle chcesz mi pomóc. Bo ja... ja już nie mam siły.

Nagle zaczęła jej drzeć broda. Odwróciła wzrok, wbijając go w łóżeczko dziecka.

– Więc może powiesz mi, co tak naprawdę się dzieje? – spytała cicho Anna. – Bo jakoś trudno mi uwierzyć, że za twój ponury nastrój odpowiada wyłącznie brak dobrego stanika.

Kobieta pokręciła gwałtownie głową, a jej ramionami wstrząsnął spazmatyczny szloch. Na poduszkę pociekły łzy. Odkręciła się mocniej, starając się w niej ukryć twarz. Anna przytrzymała ją za mokry policzek, a drugą ręką odgarnęła włosy, które opadły na zaczerwienioną twarz. Przysunęła stołek bliżej łóżka i pochyliła się nad koleżanką. Bez przerwy głaszcząc ją po włosach, czekała cierpliwie, aż się uspokoi. Czuli, że ten płacz jest jej potrzebny. Bożena łkała głośno, przytrzymując kurczowo ramionami nabrzmiałe piersi.

– Podasz mi chusteczkę? – powiedziała wreszcie, z wciąż mokrą od łez twarzą, ale z wysychającymi powoli oczyma.

Anna bez słowa sięgnęła po pudełko. Poczekala, aż Bożena wysmarka nos, a potem patrzyła, jak gniecie w rękach chustkę, odrywając od niej bezwiednie małe strzępki osypujące się na szpitalną pościel.

– Już? – zapytała w końcu, zaglądając jej w oczy.

– Bo ja mam wrażenie, jakby umarło mi dziecko... – wyszeptala Bożena, znów odwracając głowę.

Anna milczała, starając się zachować spokój. Znowu postanowiła dać Bożenie czas. Widziała, jak kotłują się w niej emocje, więc pozwoliła jej uporać się z nimi na tyle, by mogła mówić dalej. Wreszcie kobieta spojrzala na Annę trochę jeszcze szklistymi oczami, ale już bardziej wyciszona.

– Nie znałam płci dziecka. Nie chciałam wiedzieć – powiedziała wreszcie. – Ale bardzo chciałam mieć córeczkę. Basię. Ciągle wyobrażałam ją sobie, jaka mogłaby być. Marzyłam, że kupuję jej sukienki, zaplatam warkoczyki... A potem robiło mi się głupio, wobec Stasia. Bo mimo wszystko brałam też pod uwagę, że dziecko, które mam w brzuchu, może okazać się chłopcem i starałam się poświęcać mu tyle samo myśli i marzeń, co Basi, żeby nie czuł się skrzywdzony albo nie pomyślał, że go nie chcę, bo nie jest dziewczynką... – Przechwyciła zdziwione spojrzenie Anny, którego ta nie zdążyła ukryć. – Tak, wiem, to głupie. Wymarzyłam sobie dwoje dzieci. Basię i Stasia... A urodził się tylko Staś. Kocham go nad życie i nie oddałabym go za nic w świecie, ale tak bardzo tęsknię do Basi...

– Ale przecież jej nie ma... Nigdy nie było...

– Myślisz, że nie wiem? – Szarpnęła się, a jej twarz znów wykrzywił grymas bólu. – Nie jestem wariatką!

– Nie to chciałam powiedzieć...

– Przepraszam. – Chwyciła Annę za rękę. – Wiem. Wiem, że muszę sobie z tym durnym poczuciem poradzić sama.

– Sama? To absolutnie nie jest dobry pomysł.

– Mam powiedzieć o tym Mirkowi? Przecież mnie wyśmiej, uzna, że to takie tam babskie dyrdymały.

– Nie sędzę, to mądry facet, ale zrobisz, jak zechcesz. Zresztą miałam bardziej na myśli rozmowę ze specjalistą. Moim zdaniem to by ci pomogło.

– Psychologiem?

Anna przytaknęła z pewną obawą. Znowu przypomniała sobie, jak jej całkiem nie tak dawno samej radzono to samo, a potem własną reakcją – zdecydowany opór. Podejrzewała, że Bożena zareaguje tak samo. Dlatego szukała w głowie argumentów, które przekonałyby ją do słuszności takiego rozwiązania. Nie było to łatwe, skoro nie umiała znaleźć podobnych, żeby do tego samego przekonać siebie.

– Pewnie masz rację – odezwała się nieoczekiwanie Bożena, a Anna podniosła na nią zaskoczony wzrok. – Właściwie mnie też coś takiego przyszło do głowy, ale postanowiłam najpierw spróbować uporać się z tym sama. Dam sobie czas, przynajmniej dopóki moje hormony się nie uspokoją. Jeśli to nie minie, poszukam pomocy. Właściwie już mi trochę lepiej, może po prostu potrzebowałam komuś o tym powiedzieć. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

– To ja ci dziękuję za zaufanie. Domyślałam się, jakie to było dla ciebie trudne.

– Tak. Bałam się i wstydziłam powiedzieć o tym komukolwiek, a już najbardziej Mirkowi, że

mnie wyśmiej.

– Musisz chyba trochę bardziej mu zaufać. To twój mąż. Jeżeli przestaniecie ze sobą rozmawiać, to z czasem możecie już nie mieć okazji... – urwała nagle przestraszona tym, co zamierzała powiedzieć. Poczula zimny dreszcz i ogromną potrzebę, by wstać i wyjść. Natychmiast. Chwyliła torebkę i trochę zbyt gwałtownie poderwała się, łapiąc zdziwione spojrzenie Bożeny. – Przepraszam cię – wyszeptała. – Ale muszę już iść. Ty też na pewno powinnaś odpocząć.

Bożena patrzyła na nią chwilę, zastanawiając się nad czymś.

– Aniu – powiedziała cicho. – Obie sobie poradzimy, zobaczysz.

Anna pochyliła się i dotknęła ustami policzka przyjaciółki.

– Trzymaj się, dziewczyno – powiedziała, już wychodząc.

Do samochodu dotarła prawie biegiem. Oparła się o jego maskę i oddychała ciężko. W końcu wsiadła i przekręciła kluczyk w stacyjce. Ruszyła, jednak zaraz potem zatrzymała auto, zastanawiając się nad czymś chwilę. W końcu zamiast do domu, skręciła w stronę łomżyńskiego Starego Rynku.

Zaparkowała naprzeciwko ratusza.

Wysiadła z samochodu i po namyśle ruszyła w kierunku Krzywego Koła. Niedługo potem zatrzymała się u szczytu ponadstuletnich kamiennych schodów przy Bramie Napoleona. Rozejrzała się, dla ochrony przed słońcem przykładając dłoń do czoła, a później zaczęła powoli schodzić niżej, trzymając się metalowej poręczy. Mniej więcej w połowie schodów zatrzymała się i przysiadła na jednym z nierównych stopni. Ogarnęła wzrokiem rozpościerającą się przed nią przestrzeń, widoczną w oddali ulicę Rybaki, kawałek Żydowskiej i soczystą zieleń doliny Narwi, w całej swojej okazałości.

Przypomniała sobie, jak bardzo kiedyś lubiła tu przychodzić. Po zajęciach w szkole plastycznej siadała na tych właśnie schodach, z nieodłącznym szkicownikiem na kolanach, ale zamiast utrwalać w nim ołówkiem wspaniałą panoramę, przyglądała się jej jedynie i zapisywała obraz wyłącznie w pamięci. Usiłowała nie stracić z tych momentów nawet sekundy. Wydawały się jej cenne i warte zapamiętania, by potem do nich wracać w chwilach, w których było jej to potrzebne. W tym miejscu najwyraźniej czuła, jak jest malutka i jak niewiele znaczy wobec świata, który ją otacza, i jak wobec jego ogromu błahе są jej problemy. Małe i bez znaczenia, zagubione pośród wielu innych, ważniejszych spraw.

Słyszając za sobą coraz wyraźniejsze kroki zmierzających w jej stronę przechodniów, z ociąganiem podźwignęła się, spoglądając jednocześnie na zegarek. Zbliżała się pora obiadu, najwyższy czas, by wracać do domu.

Znów starała się jak najdokładniej zanotować w pamięci widok z kamiennych schodów, tak, by przesłonił to, co wyłoniło się z zakamarków jej umysłu chwilę wcześniej, a do czego stanowczo nie chciała wracać. Gdy dotarła wreszcie do domu, uśmiechnęła się z zadowoleniem, patrząc na tak bliski jej sercu, stary, bo jeszcze przedwojenny drewniany budynek z porośniętą winobluszczem werandą, otoczony ogrodem starannie pielęgnowanym przez jej rodziców.

W domu przywitał ją zapach smażonego boczku, którym jej matka okrasiała ugotowane na sypko ziemniaki. Maria kroїła właśnie ogórki na mizerię, a na patelni skwierczały już kotlety z jajek i sera.

– Dobrze, że jesteś. Za chwilę podaję obiad. Reszta też zaraz będzie.

Anna wyjęła z szafki talerze i ustawiła je na stole. Matka z zaciekawieniem wodziła za nią wzrokiem.

– No i co? – Nie wytrzymała wreszcie. – Co z Bożeną?

– Ma problem z karmieniem, stąd te nastroje. – Anna westchnęła nad szufladą ze sztucami. Poczula, że prawdziwą przyczynę złego samopoczucia przyjaciółki powinna zachować tylko dla siebie. Jej zwierzenia były zbyt osobiste, by opowiadać o nich komukolwiek.

– Nie ma pokarmu? – Maria kręciła głową ze współczuciem.

– Skąd! Wręcz przeciwnie. Ma go bardzo dużo i przez to trudności z przystawieniem synka. W dodatku strasznie bołą ją piersi, a każdy najmniejszy ruch do dodatkowe cierpienie. Ulgę pewnie przyniosłby biustonosz...

– Więc dlaczego go włoży?

– Nie ma odpowiedniego, nie udało jej się takiego znaleźć, wszystkie okazały się za małe. Zaraz włączę komputer i poszukam czegoś specjalnego dla matek karmiących, w większych rozmiarach. Na pewno są jakieś sklepy, które mają coś takiego w ofercie, przecież Bożena nie jest jedyną kobietą na świecie, która ma podobny problem. – Wyjęła z kieszeni kartkę z zapisanymi wymiarami Bożeny i położyła na stole, przyglądając się jej ze zmarszczonym czołem.

– Pewnie, że są. Takie biustonosze mogą mieć miseczki nawet w rozmiarze „K”.

– Naprawdę? Sprawdzę, gdzie można je kupić. Przyniosę tylko laptop.

– Ale po co chcesz szukać w internecie, skoro znajdziesz i w Łomży.

– Nie sądzę. Podobno Mirek szukał i...

– Widać nie tam, gdzie trzeba. Jest taki jeden sklep, na Dwornej, naprzeciwko fary.

Anna patrzyła na matkę z powątpiewaniem.

– W Łomży? Jesteś pewna?

– Oczywiście. Pamiętasz panią Danusię? Moją dawną znajomą?

– Szczerze mówiąc, słabo. Dlaczego pytasz?

– Ponieważ to jej sklep. Nazywa się Danaberia Bra. Kilka lat temu została wykwalifikowaną brafitterką i pomaga kobietom w dopasowaniu biustonoszy. Byłam kiedyś u niej i widziałam na własne oczy. Słyszałam też od innych, że jest w tym najlepsza i że przyjeżdżają do niej kobiety nawet z bardzo daleka, nie tylko z Polski. Jestem przekonana, że pomoże ci znaleźć coś odpowiedniego dla Bożeny, i tym samym ulży jej cierpieniom.

– Byłoby cudownie! Muszę się tym zająć od razu.

– Ale przecież obiad!

– Później sobie odgrzeję – odrzyknęła już z przedpokoju, pobrzękując kluczykami od samochodu. – Przekaż, proszę, Frankowi, że wrócę niedługo, dobrze?

Pół godziny później zatrzymała się na parkingu, w miejscu dawnego dworca PKS. Kilkaset metrów dalej zaczynała się ulica Dworna. Anna już z daleka zobaczyła szyld z nazwą sklepu. Przyspieszyła kroku. Dopiero wchodząc do środka, zwolniła, rozglądając się trochę niepewnie. Na wieszakach zobaczyła mnóstwo pięknej bielizny, w wielu fasonach i kolorach, a to uświadomiło jej kolejny problem. Wobec powagi sytuacji mógł wydawać się błahy, ale tylko pozornie. Annę ogarnęły nagle wątpliwości, czy będzie potrafiła wybrać coś odpowiedniego, nie znając upodobań przyjaciółki.

– Och, cieszę się, że pani już jest. – Niewysoka brunetka wyszła zza lady, żeby się przywitać.

Anna poczuła się jeszcze bardziej zdezorientowana.

– Pani mama już do mnie dzwoniła, pani Aniu. Jestem gotowa, możemy jechać. – Zapięła guziki sweterka, wygładziła na biodrach spódniczkę i podniosła z lady papierową torbę.

– Ale dokąd? – Anna zdumiała się jeszcze bardziej.

– Do szpitala. Młoda mama powinna przymierzyć biustonosz, żeby dobrze leżał i przyniósł ulgę w bólu. Sama może sobie nie poradzić, dlatego trzeba jej pomóc. Na miejscu sprawdzimy wszystko dokładnie i dopasujemy. Marysia przekazała mi wymiary z kartki. Zapomniała ją pani zabrać ze sobą. – Anna dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zostawiła ją na stole. – Więc mogłam w międzyczasie spakować odpowiednie modele. Na miejscu zdecydujemy, który będzie najlepszy.

Anna, słuchając jej, poczuła, jak sływa na nią ulga. Nie miała wątpliwości, że trafiła pod właściwy adres, a pani Danusia pomoże Bożenie. Była również wdzięczna swojej matce, że ją tu pokierowała. „Przynajmniej jeden problem zostanie rozwiązany” – westchnęła nieznacznie.

Po drodze wstąpiła do apteki po drugiej stronie ulicy, żeby kupić maść łagodzącą do poranionych brodawek, a potem jeszcze do księgarni, ponieważ na wystawie zobaczyła drugi tom popularnej powieści, którą widziała u Bożeny, zanim jeszcze urodziła. Dlatego chwilę potem, gdy już po raz drugi tego dnia zatrzymała się na szpitalnym parkingu, pani Danuta już na nią czekała obok zaparkowanej kilkadziesiąt metrów dalej, szarej toyoty. Anna pomachała do niej i wskazała wejście do szpitala. Po schodach wbiegły już razem, kierując się prosto do sali Bożeny.

Właśnie karmiła synka. Po jej zaczerwienionej i zapuchniętej twarzy spływały wielkie krople potu i łez. Maluch kręcił się i kwilił niespokojnie. Pani Danuta, zanim Anna zdążyła ją przedstawić, umyła dokładnie ręce, wytarła je papierowym ręcznikiem i podeszła do Bożeny. Wyjęła delikatnie dziecko z jej objęć i ułożyła je w łóżeczku.

– Zaraz będzie lepiej – powiedziała miękko do oniemiałej ze zdumienia Bożeny i wysypała na kołdrę stos bajecznie kolorowych, tiulowych i koronkowych biustonoszy.

Anna przyglądała się temu teraz już z nieco mieszanymi uczuciami. Bielizna wyglądała dużo bardziej buduarowo niż ta, której sama używała, gdy karmiła własne dzieci. Biustonosze wydały jej się też zbyt delikatne, by mogły dobrze wypełnić raczej niezbyt łatwe w tym przypadku zadanie, jednak postanowiła zaufać brafitterce. Bujając delikatnie popłakując niemowlę, obserwowała, jak ostrożnie pomaga Bożenie zdjąć koszulę, ale zaraz potem odwróciła wzrok, by przyjaciółka nie czuła się jeszcze

bardziej skrępowana.

Bożena od razu to spostrzegła.

– Nie wygłupiaj się. – Chlipnęła żałośnie. – Już chyba z pół świata zdążyło sobie obejrzeć mój biust, bo ciągle ktoś tu się kręci, a ja karmię ostatnio niemal bez przerwy.

Anna odwróciła się więc dokładnie w momencie, gdy pani Danuta zapinała haftki. Bożena patrzyła okrągłymi jak spodki oczami na swój imponujący dekolt.

– Za duży – wyszeptła z niedowierzaniem.

– Tego jeszcze nie wiemy – odparła spokojnie braffitterka. – Proszę się troszeczkę pochylić.

Kilkoma sprawnymi ruchami ułożyła piersi karmiącej w miseczkach i podciągnęła ramiączka biustonosza.

– Proszę sobie od razu zapamiętać, żeby zawsze robić to w ten właśnie sposób – oznajmiła z powagą. A potem cofnęła się lekko i przyjrzała się Bożenie. Kiwnęła z zadowoleniem głową. – Wygląda na to, że udało nam się trafić z właściwym rozmiarem już przy pierwszej próbie.

Bożena wyprostowała się, podskoczyła na łóżku i syknęła.

– Nadal cię boli. – Anna spojrzała na nią ze współczuciem.

– Rana, trochę... – urwała i podskoczyła jeszcze raz, znów krzywiąc się z bólu, a potem roześmiała się w głos. Chwyliła się obiema rękami za piersi. – Umarłam i poszłam do nieba. A pani jest moim aniołem! – Odwróciła uradowaną twarz do pani Danuty. – Nie boli, nic a nic. Mogłabym zatańczyć.

– Przyjdzie i na to czas. – Roześmiała się kobieta, sięgając do haftek na jej plecach.

– Co pani robi? – Bożka szarpnęła się gwałtownie.

– To jest na razie zwyczajny biustonosz. Musimy go przerobić tak, żeby nadawał się do karmienia. To potrwa najwyżej godzinkę. Wrócę do sklepu i od razu się tym zajmę.

– W życiu! – Bożena potrząsnęła głową. – Nie zdejmę go za nic w świecie!

– Musisz, bo nie dasz rady nakarmić w nim Stasia – przekonywała ją Anna.

– Nie mogę, boję się. – Bożena patrzyła na nią teraz błagalnie. – Znów będzie bolało. Może dałoby się przerobić jakiś inny stanik, żebym mogła od razu zmienić. I dopiero potem wezmę ten.

– W porządku, możemy tak zrobić – zgodziła się pani Danuta. – Znajdę coś o identycznym kroju i w takim samym rozmiarze, i szybciotko przerobię.

– Dziękuję. – Bożena odetchnęła z ulgą. – Zadzwońię do mojego męża. Zajmie się wszystkim, dostarczy gdzie trzeba i ureguluje rachunek. Nie chcę cię jeszcze bardziej fatygować – zwróciła się tym razem do Anny. – Już i tak wystarczająco wiele dla mnie zrobiłaś.

Gdy braffitterka pożegnała się i wyszła, by jak najszybciej wrócić do pracowni i zająć się zleceniem, Anna przysunęła bliżej łóżka wózek ze śpiącym już dzieckiem.

– Nie pogniewasz się, jeśli ja też już pójdę? Obiecałam mamie, że wrócę szybko.

– Oczywiście, że nie. I jeszcze raz bardzo ci za wszystko dziękuję. Gdyby nie ty... – Bożenie znów zadrżała broda.

– Ejże, tylko mi tu znów nie becz. – Anna położyła na kołdrze zrobione pod drodze zakupy. – Masz tu jeszcze maść na te twoje popękane brodawki, podobno skuteczna. I książkę, żebyś się nie nudziła.

– I żeby zabrakło w głowie miejsca na durne myśli?

– To też. – Pokiwała głową. – Mam nadzieję, że teraz będą ci towarzyszyły już tylko te dobre.

W czytelni biblioteki miejskiej panował nieopisany bałagan.

Anna miotła się w tę i z powrotem, usiłując pozakręcać wysychające tubki z farbami, domyc pędzle i usunąć wszystkie wielobarwne ślady artystycznej działalności swoich podopiecznych, którymi usiane były stoliki, krzesła i podłoga. Z niektórych malunków powieszonych na korkowych tablicach nadal kapął na podłogę nadmiar rozwodnionej farby.

Przyglądała się bezradnie zaciekom tworzącym się właśnie na lamperkach, pełna wątpliwości, czy nie postąpiła zbyt lekkomyślnie, odprawiając uczestników warsztatów do domów, zanim sala została należycie uprzątnięta. Nie miała jednak sumienia obarczać ich winą za pozostawiony bałagan, zwłaszcza że zwykle sprząтали po sobie z nie mniejszym zapałem niż bałaganili. Tym razem zwolniła ich z tego obowiązku. Powodem było pragnienie chwili spokoju i samotności. Tego dnia jak nigdy wcześniej czuła się zmęczona zajęciami, które niechcący napędziły ogłuszający kołowrót myśli prześladowających ją od kilku dni.

Kiedy planowała kolejne zajęcia plastyczne, nie przypuszczała, że jej nowy pomysł tak bardzo spodoba się dzieciom. Propozycja „malowania ze słuchu” początkowo wywołała głośny pomruk niezadowolenia. Wkrótce jednak ucichł, a jedynym dźwiękiem panoszącym się w sali były energetyzujące takty *Lotu trzmiela* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa. W ślad za trzmielom w ruch poszły pędzle maczane w farbie. Opadały na arkusze papieru bardzo okrężną drogą, zataczając w powietrzu kręgi lub lecąc zygzakiem prowadzonym dziecięcą ręką, w rytm muzyki. Zamaszystym ruchom ramion towarzyszyło kołysanie ciałem i potrząsanie głowami. Anna z przerażeniem patrzyła na plamy z farby pojawiające się w zastraszającym tempie nie tylko na okolicznych sprzętach i podłodze, ale również na twarzach, włosach i ubraniach dzieci. W końcu postanowiła zmienić płytę w odtwarzaczu. Tym razem wybrała muzykę relaksacyjną z odgłosami przyrody – szmerem strumieni, szelestem liści i śpiewem ptaków tłumionym szumem wiatru. Niestety, do kojących dźwięków bardzo szybko znów dołączyły odgłosy niezadowolenia i coraz śmielsze żądania przywrócenia poprzedniego podkładu muzycznego. Rozpaczliwe protesty Anny na niewiele się zdały. Świetlicę ponownie zdominował trzmielom lot.

Mimo że Rimski-Korsakow już dawno wybrzmiał i powinna zapaść cisza, trzmiel nadal buczał w jej głowie. Obijał się o stłoczone myśli i sklepienie czaszki, powodując narastający ból. Próbowwała to zignorować, myśląc o czekającej ją wizycie u Agnieszki. I o Arturku, który asystował przy każdej zmianie opatrunku na kikucie pozostałym po amputacji spalonego ogona.

Zdawała sobie sprawę, jak bardzo ostatnie wydarzenia zmieniły tego chłopca. Wyraz jego oczu wcześniej przywodził na myśl nieufne spojrzenie dzikiego zwierzątka. Teraz dodatkowo był przepełniony smutkiem i powagą. Arturek dzielnie zniósł wiadomość o konieczności amputacji ogonka, jednak Anna nie miała wątpliwości, że mocno to przeżył. Widziała wymalowane na jego twarzy ogromne poczucie winy. Dotarło też do niej, jak wielką chłopiec ponosi karę za to, że nie nikt mu wcześniej nie wytłumaczył, co jest dobre, a co złe. Był o wiele za mały, by zrozumieć to samodzielnie.

Z zamyślenia wyrwał ją trzask zamykającego się okna. Przeciąg rozsypał poskładane chwilę wcześniej czyste arkusze papieru. Anna rzuciła się, by je przytrzymać, sprawdzając jednocześnie, kto jest sprawcą nagłego zamieszania, by mu to uświadomić.

W progu świetlicy stała Marta. Uśmiechała się od ucha do ucha, jakby nie dostrzegała, co się dzieje.

– Drzwi! – krzyknęła Anna. – Zamknij, proszę, drzwi... przeciąg...

– Oj, przepraszam. – Zreflektowała się, wypuszczając klamkę, przez co drzwi same zamknęły się z potwornym łoskotem. – Przepraszam! – Kobieta uniosła ręce w geście kapitulacji. – To przez to, że nadal nie mogę ochłonąć po tym, co się właśnie stało!

Anna zerknęła niepewnie w rozentuzjazzowaną twarz bibliotekarki i usiłowała odmalować na swojej coś na kształt zaciekawienia. Trzmiel nadal buczał nieznośnie w jej głowie, nie pozwalając zebrać

myśli, dlatego zamiast spytać, co się stało, czekała, aż bibliotekarka sama jej to wyjaśni. A zaraz potem pozwoli dokończyć sprzątanie. Anna w tej chwili niczego nie pragnęła bardziej, niż tego, by znaleźć się wreszcie w domu i odpocząć. Marta tymczasem wciąż zwlekała z wyjaśnieniem, uśmiechając się tajemniczo.

– Bo chodzi o ten album, który robiłam dla moich rodziców – oświadczyła wreszcie, i zawiesiła głos, spoglądając na Annę z wyczekiwaniem. Ta skinęła jedynie głową, mimowolnie przykładając palce do skroni, ponieważ trzmiel nie przestawał buczeć.

– Chodzi o twoje rysunki – kontynuowała Marta. – Rodzice pokazali je swoim letnikom, takiemu starszemu państwu, którzy do nich każdego roku przyjeżdżają na wakacje, potem jeszcze ich synowi, bo ich akurat odwiedził, a wtedy... – Marta urwała nagle i wlepiła w Annę badawcze spojrzenie. – Boli cię coś? – spytała z troską.

– Nie, to znaczy trochę, głowa, ale to nic takiego. Mów, mów – ponagliła ją, chcąc, by jak najszybciej dotarła do finału historii. – I co z tym albumem?

– No właśnie nie tyle z albumem, co z twoimi rysunkami. – Bibliotekarka znów zawiesiła głos, a Anna ponownie wykrzesiła z siebie uprzejme pozory zaciekawienia. – Bo ten ich syn pracuje w jakimś wydawnictwie, które akurat poszukuje ilustratorów. A twoje rysunki okazały się dokładnie takie, jakich potrzebują. I dlatego bardzo proszą cię o kontakt, ponieważ chcą z tobą o tym porozmawiać – wypaliła, wyciągając z kieszeni wizytówkę i unosząc ją w geście triumfu.

Na ten widok trzmiel w głowie Anny szarpnął się gwałtownie, uderzył z impetem w wewnętrzną stronę potylicy i ogłuszony runął, by nareszcie ucichnąć. Anna zaskoczona nagłą ciszą, zamarła bez słowa.

– Ale jak to? – wyjąkała wreszcie.

– Normalnie. Ten człowiek był wręcz zachwycony twoimi obrazkami, widziałam to na własne oczy. Prosił o twój numer telefonu, ale nie byłam pewna, czy mogę mu dać. Obiecałam jednak, że obojętnie co zdecydujesz, zadzwonisz, więc proszę cię, zrób to jak najszybciej, bo on czeka.

– No nie wiem, zaskoczyłaś mnie. – Anna wciąż czuła się oszołomiona. – Nigdy wcześniej nie robiłam podobnych rzeczy, to znaczy nie rysowałam, projektowałam jedynie wnętrza domów, więc nie wiem, czy umiałabym.

– Był zdeterminowany, żeby się z tobą skontaktować, i z pewnością nie odpuści, więc obojętnie co zdecydujesz, błagam cię, zadzwoń. Poza tym ja też uważam, że twoje rysunki są świetne, i moim skromnym zdaniem, głupio byłoby odrzucać taką fajną propozycję.

– Masz rację. Zadzwonię i dowiem się więcej – zdecydowała.

– Ale zaraz, tak? – upewniała się bibliotekarka, już wychodząc.

– Tylko zbiorę myśli.

Nim jednak zdążyła to zrobić, musiała odebrać inny telefon. Uśmiechnęła się, widząc, od kogo.

– Cześć! Masz jutro wolne popołudnie? – Usłyszała wesoły głos Wojtka.

– A jeśli tak, to co? – odpowiedziała trochę zaczepnie.

– Rezerwuję go i porywam cię gdzieś.

– Gdzieś?

Milczał chwilę, co oznaczało, że Annie może się nie spodobać to, co za chwilę usłyszy.

– Chodzi o tę kobietę, tę od lawendy... – W głosie mężczyzny wyczuła wahanie.

– No nie. – Przysiadła na stojącym najbliższym miniaturowym krzeselku. – Czyżby podrzuciła ci kolejną partię mebli do przyozdobienia?

– Nie, nie, spokojnie! – Roześmiał się Wojtek. – Tym razem to nie to. Zaprosiła nas na podwieczorek.

– I co? Zgodziłeś się? Również w moim imieniu? – Nie dowierzała, jak mógł coś takiego zrobić, nie pytając jej wcześniej o zdanie.

– No coś ty, oczywiście, że nie!

– To dlaczego twierdzisz, że tam idziemy?

– Ponieważ nie miałem kiedy się nie zgodzić. Nikt mnie o to nie pytał. Zostałem po prostu

poinformowany, że jutro o szesnastej jest zaplanowany podwieczorek dla mnie i dla artystki, która namalowała lawendę. W ramach podziękowania.

– Nie wierzę...

– Masz czas do jutra, by to zrobić. Przyjadę po ciebie przed czwartą.

– Ale... – Anna zawahała się. – Właściwie to nawet chętnie ją poznam. Po tym, czego się o niej dowiedziałam od ciebie, mam wrażenie, że spotkanie z nią może być całkiem ciekawym doświadczeniem.

– Nie wyobrażasz nawet sobie, jak bardzo – westchnął Wojtek. – Dziękuję, że się zgodziłaś. Strasznie się bałem, że mnie wystawisz i będę musiał zmierzyć się z tym sam.

Wieczorem Anna otworzyła szafę, zastanawiając się, co powinna włożyć na spotkanie z „lawendową damą”, jak od pewnego czasu nazywała sobie w myślach klientkę pracowni Wojtka. „Może sukienkę?” – rozważała, patrząc na ulubioną kiedyś liliową, z paskiem i z niewielkim dekoltem. Przyłożyła ją do siebie i spojrzała w lustro, rumieniąc się nieznacznie. W głębi duszy wiedziała, dla kogo tak naprawdę chciałyby ładnie wyglądać. Odwiesiła strój do szafy, zatrzasnąwszy ją z łoskotem. Wtedy usłyszała podniesiony nieco głos matki. Dochodził z pokoju Franka.

– Powiedz mi, kochanie, co robi się z brudnymi ubraniami? – pytała wnuka.

– Pierze się.

– Się? Samo?

– No jasne, że nie samo. Pralka pierze – odparł, nie kryjąc zdziwienia.

– A gdzie jest pralka?

Anna przyłożyła ucho do drzwi, przysłuchując się z zaciekawieniem tej dziwnej rozmowie.

– W łazience.

W tonie Franka pobrzmiewała coraz większa dezorientacja.

– Więc dlaczego rozrucasz swoje brudne ubrania po całym pokoju, zamiast je odnieść tam, gdzie jest pralka? Przecież same tam nie pójda, nie sądzisz?

– Same to nie. – Roześmiał się chłopak. – Wiadomo, że nie. Pewno mama je tam zanieś.

– A dlaczego mama? A nie ty? Przecież to są twoje ubrania.

– Bo to mama pierze, a nie ja.

– Przed chwilą powiedziałeś, że pralka.

– Ale mama wkłada do niej ubrania.

– Które musi podnieść z podłogi po tym, jak ty je tam rzucisz. Uważasz, że to jest w porządku?

– O rany... – westchnął poirytowany chłopak, wyłączając prawdopodobnie jednocześnie grę komputerową, ponieważ towarzyszące rozmowie dźwięki nagle ucichły. – Mogę sam zanieść, jak już muszę, ale wtedy Melka też niech to robi, bo u niej w pokoju leży jeszcze więcej ciuchów, sam widziałem.

– Porozmawiam z nią o tym, jak tylko wróci. I przy okazji o paru innych sprawach, mam na myśli dbanie o porządek.

– Wolałabym, żebyś tego nie robiła – odezwała się Anna, gdy tylko Franek, przewracając sugestywnie oczami, minął ją w drzwiach i pomaszerował z naręczem ubrań do łazienki.

– Dlaczego? – zdziwiła się jej matka.

– Ponieważ to są moje dzieci i to ja powinnam ustalać z nimi zasady, jakie je obowiązują.

– Rozumiem. Jednak powinny wiedzieć, że w tym domu obowiązują też moje zasady, zgodnie z którymi każdy sprząta po sobie i nie traktuje innych jak służących.

Anna przyglądała się jej chwilę.

– Dobrze – odezwała się wreszcie, starając się za wszelką cenę zachować spokój. – Na przyszłość postaramy się zachowywać tak, żeby nie zaburzać ustalonego przez ciebie porządku. Przynajmniej dopóki tu będziemy.

Ostatnie słowa wypowiedziała już z chrypką, czując dławienie w gardle. Nie chcąc rozplakać się przy matce, wybiegła na werandę.

Maria westchnęła ciężko i od razu poszła za nią. Usiadła nieopodal i przyglądała się jej chwilę, nic nie mówiąc. Anna odwróciła głowę, by nie pokazać łez. Zdradziło ją jednak nerwowe pociąganie nosem, którego nie zdołała powstrzymać. Siedziały tak dobre kilka minut, w końcu Maria sięgnęła do półki pod stołem po pudełko z chusteczkami i podała je córce.

– Wy też rozrzucałyście swoje ubrania – zaczęła spokojnie. – I ojciec. A ja je zbierałam. Prałam, prasowałam, układałam. Na okrągło. Staralam się, żebyście zawsze mieli wszystko czyste i gotowe do założenia. Wstawałam też co rano, by przygotować wam śniadanie, tylko po to, żebyście mogli dłużej

pospać. A potem, gdy już wyszliście, sprzątałam, słałam wasze łóżka, myłam lustro w łazience zbyt ubrudzone pastą do zębów, żeby mogła się w nim przejrzeć, gdy sama szykowałam się do pracy. I jeszcze nastawiałam obiad, żeby po południu był gotowy, zanim wrócicie. Wy ze szkoły, a ojciec z lecznicy. A kiedy jedliście deser, ja zmywałam naczynia, prasowałam ubrania na następny dzień, nie tylko własne. Potem zwykle było coś jeszcze do zrobienia, jakieś drobne sprawy, aż w końcu robiło się zbyt późno, żeby poczytać albo znaleźć czas już tylko dla siebie. Albo po prostu nie miałam już na nic siły i szłam spać. Najczęściej ostatnia. Dlatego gdy obie wyprowadziłyście się z domu, a ojciec przestał pracować, pomyślałam, że wreszcie sobie odpocznę, od czasu do czasu nie zrobię obiadu albo nie nastawię pralki, że ojciec mnie wreszcie wyręczy, skoro przestał pracować. Niestety, pomyliłam się. Czasem mi się wręcz wydawało, że przez jego ciągłą obecność mam jeszcze więcej pracy. Bo to ja musiałam umyć szklankę po kompocie, którą on zostawił na stole, pozbierać jego brudne skarpetki, uporządkować przeczytane przez niego czasopisma i pozmywać po niedzielnym obiedzie, gdy on relaksował się przed telewizorem.

Mówiła prawie bez oddechu, a Anna słuchała, zdając sobie sprawę, że nie ma prawa jej przerwać. Ze zdumieniem obserwowała, jak jej matka właściwie prawie bez emocji opowiada o sobie, ale tonem, jakby mówiła o kimś innym.

– Postanowiłam porozmawiać o tym z ojcem – kontynuowała beznamiętnie. – Powiedziałam mu, że czuję się już zmęczona, że potrzebuję jego pomocy i też chciałabym od czasu do czasu odpocząć. Ale on mnie nie zrozumiał. Zżymał się, że próbuję zrobić z niego kurę domową i upokorzyć jako mężczyznę, zaprzęgając do babskich zajęć. Bardzo się wtedy zdenerwowałam. Powiedziałam mu, że jeśli się nie zmieni, to z nami koniec. W ogóle się tym nie przejął, a potem zachowywał się jeszcze gorzej. Wyglądało to, jakby specjalnie rozrzucał rzeczy i oczekiwał, że je posprzątam, żeby pokazać, kto w tym domu rządzi i kto ma jakie obowiązki. I prawa. Tak właśnie mówił. A ja w końcu zrozumiałam, że ten podział wygląda tak, że ja mam same obowiązki, a on tylko prawa. Wtedy uznałam, że nie mam wyjścia i muszę to zakończyć.

– Zdecydowałaś się na rozwód? – wyszeptała Anna sucho. – To właśnie był powód?

– Tak. Jednak to nie ja zdecydowałam, ale ojciec. Dałam mu wybór, a on z tego nie skorzystał. Nie rozumiał, jak jest mi ciężko, albo po prostu nie chciał tego dostrzec, bo tak było mu wygodniej. Bo ja go do tego przyzwyczaiłam – dodała cierpko i spojrzała na córkę z troską. – Dlatego nie chcę, żebyś ty też kiedyś ocknęła się ze świadomością, że nie masz własnego życia, bo ważniejsze są obowiązki wobec innych. Dokładnie to miałam na myśli, mówiąc o zasadach. Kocham moje wnuki i chcę tylko ich dobra, tak samo jak twojego.

– Dlaczego więc nie powiedziałaś nam o tym wcześniej? Dlaczego pozwoliłaś tak długo się wykorzystywać?

– Nie czułam się wykorzystywana. – Matka uśmiechnęła się i pogłaskała ją po dłoni. – Opiekowanie się wami, zajmowanie domem było dla mnie prawdziwą radością, dzięki temu czułam się potrzebna, niezastąpiona. To, że nie pomagałyście mi w domu, nie oznaczało, że nie dostawałam od was niczego w zamian. Dawaliście mi o wiele więcej, niż sama mogłam wam dać, a przynajmniej tak mi się wówczas wydawało. Dlatego tyle dla was robiłam. Chciałam, żebyście czuli się szczęśliwi, żeby niczego wam nie brakowało. Tylko że z czasem poczułam się tym zmęczona.

– Przyzwyczaiłaś nas, że jesteśmy we wszystkim wyręczeni. Nie zauważaliśmy nawet, że robisz więcej niż my, wydawało nam się to całkiem naturalne. Myślę, że tata dlatego tak się zachowywał.

Anna poczuła się w obowiązku usprawiedliwić ojca. Sama też nie miała prawa go winić, skoro zachowywała się podobnie. Nie doceniała starań matki. Nigdy też jej za to nie podziękowała, tak jak nie dziękuje się za możliwość oddychania albo za rodzicielską miłość. Przyjmuje się je jako coś naturalnego i nie dopuszcza się możliwości, że mogłoby być inaczej.

– Na szczęście w porę okazało się, że wasz ojciec wcale nie jest takim ślepym egoistą, jak początkowo sądziłam. – Maria uśmiechnęła się ciepło. – Potrzebował tylko trochę czasu, by to okazać.

– Cieszę się, że udało wam się w końcu porozumieć.

– Nie wyrzuca się rzeczy, które jeszcze całkiem nieźle działają – odparła jej matka, a jej słowa

przypomniały Annie o innych, bardzo podobnych, znalezionych na śledzonym przez nią blogu.
Wróciła do pokoju i odnalazła odpowiedni post, by przeczytać go sobie jeszcze raz.

Maniobajanie – blog.

„Dawniej, gdy coś się zepsuło, zanim wyrzuciło się to do kosza, zawsze próbowało się najpierw naprawić”. Takie słowa znalazłam pod pewnym obrazkiem przedstawiającym parę starych ludzi trzymających się za ręce. Podobno tak właśnie odpowiedzieli, gdy zapytano ich, jak udało im się przetrwać ze sobą tyle lat.

Myślę, że życie wbrew temu, co niektórzy głoszą, NIGDY nie jest bajką. Bywa naprawdę dobrze, ale NIGDY nie jest idealnie. Nawet, gdy czasem tak się wydaje. Prędzej czy później coś zaczyna się psuć. Często niezauważenie, dlatego można łatwo to przegapić. I w tym tkwi sedno problemu. Bo maleńką dziurkę w skarpetce można zacerować tak, że nie będzie po niej śladu, i z czasem zapomina się, że kiedykolwiek istniała. Jeśli jednak niezauważona lub zlekceważona zrobi się tak wielka, że odsłoni piętę, wtedy nie ma już czego ratować. Takie skarpetki można już tylko wyrzucić. I kupić sobie nowe.

Anna wstawiła do piekarnika zapiekankę ze szpinakiem, by ją tylko podgrzać, kiedy zjawi się Agnieszka. Umówiły się na wieczór i Anna obawiała się, że jeśli podwieczorek u lawendowej damy się przedłuży, nie zdąży przygotować swojej kolacji. Dlatego wołała zrobić to wcześniej, żeby potem się nie denerwować.

Wyjadała właśnie z patelni resztki szpinaku, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Rozwiązała troczki fartucha i w przedpokoju zerknęła w lustro, by po raz ostatni ocenić swój wygląd. Skrzywiła się lekko, zastanawiając się, czy postąpiła słusznie, rezygnując z sukienki. Proste spodnie i koszulowa bluzka w drobne kwiatki wcześniej wydały jej się bardziej odpowiednie i znacznie mniej pretensjonalne. Niestety, teraz już nie była tego taka pewna, a na zmiany było już za późno. Przyglądała się jedynie włosy związane w koński ogon.

Pobiegła otworzyć drzwi, a gdy zobaczyła Wojtka ubranego w jeansy i zwykłą koszulkę polo, ucieszyła się, że nie wybrała sukienki. Wyglądałaby przy nim na zbyt wystrojoną i czułaby się niezręcznie. Zadowolona wsunęła szybko buty, przewiesiła przez ramię torebkę na długim pasku i popędziła za Wojtkiem do samochodu zaparkowanego przed bramą. Dopiero gdy usiadła, zapięła paski sandałów.

– Zdążymy? – sapnęła, łapiąc oddech, i zerknęła z niepokojem na zegarek.

– Na pewno. To jest jakieś trzy kilometry stąd. Pojedziemy skrótem, będzie jeszcze szybciej.

Wyboista droga wiodąca przez niewielki leśny odcinek i pola żółte od niezaoranego jeszcze rzyska doprowadziła ich szybko do celu. Anna poczuła lekki niepokój, gdy zdała sobie sprawę, jak niewiele wie o gospodini podwieczorku, oprócz tego, że jest niezwykle uparta, raczej apodyktyczna i uwielbia lawendowe motywy. Cała reszta pozostawała niewiadomą. Rozglądała się z napięciem, gdy wjeżdżali na zadbaną posesję przez zwieńczoną drewnianym łukiem bramę. Wyspany drobnymi kamykami podjazd prowadził wprost do niewielkiego dworku w stylu klasycystycznym, otoczonego cudownym, majestatycznym starodrzewem.

Anna wysiadła z samochodu i zagapiła się na budynek, odcinający się intensywną bielą od znajdującej się kilkadziesiąt metrów za nim ściany lasu. Nie był przesadnie okazały, ale wyglądał na świeżo odnowiony, z wielką starannością i dbałością o szczegóły. Największą jego ozdobę stanowił wspaniały portyk podparty czterema kolumnami, w którego tympanonie widać było rysunek księżycy w kształcie kołyski zawieszony między dwoma złamanymi mieczami. Najprawdopodobniej był to herb rodowy właścicielki dworku. Czerwień dachówki idealnie współgrała z wszechobecną jaskrawością soczystych barw pelargonii, które obficie wylewały się z drewnianych skrzynek ustawionych na wszystkich parapetach okiennych i z ogromnych donic u podnóża półokrągłych schodów, wiodących ku okazałym, dwuskrzydłowym drzwiom z wiekowego, ciemnego drewna.

Wojtek wyjął z bagażnika ładnie zapakowane wino i kwiaty. Anna zawstydzona, że sama nie pomyślała o podarunku i przyjechała w odwiedziny z pustymi rękami. Wojtek jakby odgadł jej myśli.

– Spytałem ją, co mamy przynieść – oświadczył z lekkim zakłopotaniem. – Powiedziała, że nic, więc kupiłem wino.

Anna uśmiechnęła się wyrozumiale, spinając się przy tym jeszcze bardziej. Niepewnie weszła na ganek. Stał tam bujany fotel z wikliny, a z jego oparcia zwisał biały, koronkowy szal. Obok, na czymś w rodzaju podnóżka leżała gruba aksamitna poducha ze złotymi chwostami.

Obejrzała się na Wojtka, który właśnie zamierzał zapukać do drzwi. Nie zdążył, ponieważ otworzyły się same i stanęła w nich gospodini. W ramionach trzymała ogromne rude kocisko. Anna, widząc to, poczuła, jak miękła jej kolana.

Wojtek przedstawił je sobie.

– To jest właśnie pani Leokadia Jęrzych de domo Trzaska, o której tyle ci opowiadałem – oznajmił, z powodu niewątpliwego podenerwowania trochę zbyt uroczystym tonem.

Kobieta skinęła wdzięcznie głową całą w rudych lokach, nie odrywając ani na chwilę wzroku od Anny i marszcząc lekko czoło.

– A ja chyba panią to już gdzieś ...

– Spotkałyśmy się w przychodni weterynaryjnej, kiedy... – Anna zerknęła ukradkiem na tłustego kota. – Kiedy Tygrysek zachorował.

Uśmiech z twarzy Leokadii zniknął. Ściągnęła na chwilę brwi, w jej oczach pojawił się pewien błysk. Odmalowała się w nich też pewna podejrzliwość, a już po chwili niemalże odraza.

– To pani jest we-te-ry-na-rzem? – wycedziła, niemal nie otwierając ust.

– Ależ pani Leokadio! – Wojtek, choć niewtajemniczony, widząc, jak Anna nagle bladnie, pośpieszył jej na ratunek. – Anna jest artystką. Absolwentką warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych!

Leokadia lekko skonfundowana wycofała się nieco w głąb domu, tracąc wcześniejszy rezon.

– Ale ja... – zająknęła się. – Tam, w tej klinice... sama przecież widziałam!

Zanim Anna, teraz jeszcze bardziej zmieszana, zdążyła otworzyć usta, Wojtek znów ją uprzedził.

– Ach, widziała ją pani w klinice? Nic w tym dziwnego, przecież Anna jest wolontariuszką, wspiera doktor Agnieszkę i pomaga bezdomnym zwierzętom.

– Taaak? – Pani Leokadia otworzyła szeroko oczy, jednak reflektując się w porę, zręcznie zamaskowała zdziwienie. – Rozumiem, sama niekiedy bywam filantropką. W końcu my, artyści, nieustannie udzielamy się charytatywnie, to bywa silniejsze od nas.

Wydawało się, że milknąc wymownie, oczekuje poparcia swoich słów, więc Anna potrząsnęła energicznie głową, zbyt oszołomiona, by coś powiedzieć. Dopiero rozbawione spojrzenie Wojtka uświadomiło jej, jak kuriozalne jest jej zachowanie, i z trudem powstrzymała się przed szturchnięciem go ukradkiem w bok. Tymczasem pani Leokadia, na której oblicze powrócił uprzejmy i naturalnie promienny uśmiech, dziękując, przyjęła wino, zachwyciła się bukietem, i zaprosiła gości na pokoje.

Wnętrze domu zrobiło na Annie jeszcze większe wrażenie, niż to, co zastała na zewnątrz. Gustownie umeblowany salon zastawiony był licznymi, pieczołowicie odrestaurowanymi antykami. Wspaniały puszysty dywan, misternie upięte, ciężkie aksamitne zasłony, mosiężne kandelabry i stara porcelana, mimo że nieco przytłaczały nadmiarem i przepychem, nie ujmowały urody pomieszczeniu. Wszystko razem wyglądało bardzo szycownie. Oryginalny był też kominek umiejscowiony w rogu salonu, wykonany z marmuru i wykończony ciemnym drewnem. Na nim stało mnóstwo oprawionych w ramki fotografii, w większości przedstawiających panią domu w towarzystwie niezwykle eleganckiego, przystojnego mężczyzny z sumiastym wąsem, jak można było się domyślić, świętej pamięci małżonka gospodyni. Anna wiedziała od Agnieszki, że kobieta jest wdową. Przypomniała też sobie o jej nietypowej profesji. Niektóre ze zdjęć były prawdopodobnie pamiątkami z koncertów pani Leokadii, sądząc po strojach, w których pozowała.

Anna oderwała wreszcie wzrok od zdjęć, by nie być posądzoną o wścibstwo, ale gdy spojrzała nieco wyżej, zamarła z wrażenia na całkiem długą chwilę.

Nad kominkiem wisiał gigantyczny portret w złoczonej ramie, przedstawiający panią domu, ale młodszą o co najmniej trzydzieści lat. W dodatku autor owego dzieła z pewnością celowo odniósł się do stylu ulubionej malarki Anny – Tamary Łempickiej, posługując się charakterystyczną dla niej mocno zarysowaną formą i schematycznym potraktowaniem koloru. Poza tym podobnie jak na jednym z jej najbardziej znanych obrazów „Dziewczyna w zielonej sukience”, pani Leokadia pozowała w ogromnym białym kapeluszu, spod którego wзираły rude loki, i w zielonej sukni z nieco frywolnie odsłoniętym, całkiem sporym fragmentem ponętnego obfitego uda. Drugą ręką podtrzymywała ogromne rude kocisko. Anna, nieco zdezorientowana, właśnie na nim skoncentrowała całą swoją uwagę, przypatrując się mu z nieskrywanym zdziwieniem. Kot wyglądał zupełnie jak Tygrysek, co oznaczałoby, że nadal przebywając w domu pani Leokadii, wykorzystywał obecnie któreś z kolejnych już legendarnych kocich żyć. Bo w przeciwnym razie nic się nie zgadzało. Kobieta na portrecie była zbyt młoda, by towarzyszył jej właśnie Tygrysek.

– To Lilou. – Usłyszała za sobą głos pani Leokadii, brzmiący teraz niezwykle ciepło i łagodnie. Wtedy zobaczyła, że ona również patrzy na obraz. W jej oczach malowała się tęsknota i ledwie

dostrzegalny cień żalu. – To babka Tygryska. Piękna, prawda? – Mimowolnie wyjaśniła wątpliwości Anny dotyczące wieku sportretowanego kota czy też, jak się właśnie okazywało, kotki.

– Tak. Zupełnie jak jej wnuk. – Anna, wciąż nieco oszołomiona, przytaknęła z pewnym roztargnieniem.

– I jak jej pani.

Jednocześnie obejrzały się na Wojtka, który przysiadł na jednej z sof i drapał za uchem kota leżącego na największej poduszce. Pani Leokadia spojrzała na niego z wdzięcznością, skinąwszy uprzejmie głową.

– To Ignacy zamówił ten portret podczas naszej podróży po Meksyku, mój świętej pamięci mąż, u takiej swojej dawnej znajomej. Zdaje się, w siedemdziesiątym ósmym. Całe wieki temu ... Moja Lea i jej Lilou, tak kazał go podpisać. – Zamyśliła się chwilę, po czym otrząsnęła się z tego trochę teatralnie, odgarniając z czoła rude loki. – Stare dzieje. Niepotrzebnie państwu zawracam nimi głowę, a herbatka stygnie. Upiekłam też ciasto. To tradycyjny podlaski marcinek, według przepisu mojej mamy. Zapraszam. Chętnie też dowiem czegoś więcej o pani wolontariacie w przychodni.

– Czy Tamara Łempicka krótko przed śmiercią nie osiadła właśnie w Meksyku? To przecież twoja ulubiona malarka, więc pewnie pamiętasz. – Wojtek zdążył jeszcze szepnąć Annie do ucha coś, co sprawiło, że na odchodnym jeszcze raz przyjrzała się malowidłu. Przy okazji przypomniała sobie, że on również był wielbicielem twórczości malarki, więc nie zdziwiła się, że zna jej życiorys.

– Eee, no coś ty, przecież to niemożliwe – odszepnęła, marszcząc czoło. Odwróciła się jednak ponownie z pewnym wahaniem, by znów otrząsnąć się z niedorzecznych, jej zdaniem, podejrzeń. – Nieee, zupełnie niemożliwe, żeby to sama Łempicka namalowała portret pani Leokadii... – mruknęła ostatecznie.

„Bo to by oznaczało, że odkryliśmy właśnie nieznaną nikomu obraz artystki, wartą prawdziwą fortunę” – dodała już w myślach. Odrzuciła jednak szybko ten pomysł, mimo że pozostał w niej dziwny cień wątpliwości.

Poprowadzeni przez gospodynię zasiedli przy okrągłym stole przykrytym koronkowym obrusem, na którym stało już równiutko pokrojone ciasto ułożone na srebrnej paterze, talerzyki, imbryk i filiżanki. Wprawne oko Anny natychmiast rozpoznało legendarną Białą Marię. Z szacunkiem i niemal namaszczeniem dotknęła ucha delikatnej białej filiżanki. Nieznaczny uśmiech zadowolenia i dumy na twarzy pani Leokadii sugerował, że kobieta dostrzegła jej uznanie, jednak taktownie przemilczała temat posiadania cennej zastawy Rosenthala.

– Proszę mi opowiedzieć więcej o tych biednych zwierzętach – poleciła, nakładając na talerzyki ciasto przełożone niezliczoną ilością warstw śmietankowego kremu. – Nie wiedziałam, że macie tu, w Bujanach, schronisko.

– Bo to właściwie nie jest schronisko – sprostowała Anna, i uśmiechnęła się do gospodyni teraz już ze szczerą sympatią. – Tylko taki tymczasowy azyl dla zwierzątek, a moja przyjaciółka leczy je, sterylizuje i stara się znaleźć im nowy dom. Niestety, duża część z nich rzeczywiście trafia jednak prędzej czy później do białostockiego schroniska.

– Ale dlaczego? Nie mogą tu zostać?

– To nie jest takie proste. Mamy za mało miejsca, a zwierząt wciąż przybywa. Dochodzą też koszty utrzymania Przystanku, na szczęście wspomagają go tacy sponsorzy jak na przykład Wojtek, który regularnie dostarcza karmę, jednak to mimo wszystko wciąż kropla w morzu potrzeb.

– Więc trzeba coś zrobić! Pomóc tym biednym pieskom i kotkom. I ja chyba już wiem, jak... – Pani Leokadia zawiesiła głos i uniosła w geście triumfu srebrny widelczyk do ciasta. – Zorganizujemy koncert charytatywny! Zajmę się tym osobiście, i to jeszcze dziś!

– Co sądzisz o tym zwariowanym pomysle? – spytała, kiedy po dwugodzinnym pobycie w rodowym dworku Trzasków wracali do Bujan. Wojtek obejrzał się z roztargnieniem, wyraźnie wyrwany z zamyślenia.

– Mówisz o koncercie? – upewnił się.

– A o czymże innym?

– Może wcale nie jest aż tak zwariowany?

– Nie wierzę. Chyba nie mówisz serio?

– Dlaczego? Pani Leokadia podobno była niegdyś znaną diwą operową, z pewnością nadal ma kontakty w środowisku.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, by ów słynny tenor, o którym wspominała, przyjechał na koncert. Do takich... – Zrobiła w powietrzu cudzysłów i przewróciła oczami. – Bujan.

– Artyści bywają ekscentryczni. – Zamyślił się nad czymś chwilę. – Dużo większą przeszkodą w realizacji tego pomysłu jest brak odpowiedniego miejsca. Szkoła nie ma auli, ani nawet tak dużej sali gimnastycznej. W domu kultury też jest tylko niewielka świetlica.

– Ale przecież koncert wcale nie musiałby odbyć się w Bujanach. – Anna zmarszczyła nos i uśmiechnęła zagadkowo.

– Myślisz, że udałoby się coś wynająć w Łomży? To chyba jednak pociągnęłoby dodatkowe koszty. Pewnie też terminy są bardzo odległe...

– Nie myślałam o Łomży, ale o Jedwabnem.

– Jedwabne? – Zdziwił się Wojtek, ale szybko zrozumiał, co sugeruje Anna. – Kino Oaza! Przecież tam wciąż jest duża, piękna sala z odpowiednią sceną i zapleczem. Wiesz co? Zadzwoń tam jutro rano. I tak na wszelki wypadek zapytam, co i jak.

– Nie za szybko? – spytała z powątpiewaniem w głosie. – To na razie tylko pomysł, a od tego do realizacji droga może być nie tylko długa, ale i wyboista.

– Przecież nie będę niczego rezerwował, spytam tylko, na jakich warunkach można wynająć kino.

– Widzę, że się zapaliłeś do tego pomysłu?

– Na początku tak jak i tobie wydał mi się nedorzeczny, ale zaczyna mi się coraz bardziej podobać – skwitował, parkując już na miejscu.

Anna pożegnała się z nim pośpiesznie, usprawiedliwiając się spotkaniem z przyjaciółką. A gdy tylko weszła do domu, poczuła mocną czosnkową woń zapiekanki. Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. „Jak to dobrze, że mama włączyła wcześniej piekarnik. Agnieszka zjawi się pewnie lada moment” – pomyślała z wdzięcznością. Zrzuciła buty, z ulgą wsunęła stopy w kapcie i poszła do kuchni. Zamarła jednak w jej progu, zdziwiona widokiem Agnieszki, która przepasana fartuchem szarpała zieloną i bordową sałatę i wrzucała ją do dużej szklanej miski.

– Co ty tutaj... A gdzie mama?

– Gotuję, nie widać? – Agnieszka żartobliwie wrzuciła ramionami. – Pani Maria poprosiła, żebym przyszła trochę wcześniej i czekała tu na ciebie, bo Franek chciał koniecznie pójść do domu kultury na dyskotekę dla dzieci.

– Mówił mi, że wcale nie ma na to ochoty.

– Widać zmienił zdanie. Zabrali Arturka i poszli. Pani Maria powiedziała, że wrócą pewnie po dwudziestej.

Anna zajrzała do piekarnika.

– Włączyłam jakieś dwadzieścia minut temu – poinformowała ją koleżanka. – A od piętnastu pachnie tak, że już nie nadążam przetykać śliny. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tej samowolki, ale niestety mój wilczy głód zwyciężył nad poczuciem przyzwoitości. Dlatego sama zabrałam się za przyrządzanie kolacji.

- Bardzo dobrze zrobiłaś, ja też jestem głodna.
- Nie dali ci tam jeść, na tym podwieczorku?
- Dali, pyszne ciasto, ale u mnie słodkie bardzo wzmaga apetyt.
- A gospodyni? Jaka była, sympatyczna?
- Zaraz ci wszystko opowiem. Myślę, że mam dla ciebie prawdziwą bombę. Zjemy na werandzie,

co?

– Jasne, że na werandzie. Ale zdradź mi najpierw, co to za bomba? Bo umrę już nie z głodu, ale z ciekawości.

– Wyobraź sobie, że naszą lawendową damą okazała się sama pani Leokadia de domo Trzaska!

Agnieszka wytrzeszczyła oczy w szczerym zdumieniu, które jeszcze wzrosło, kiedy wysłuchała całej relacji z wizyty. Parząc sobie usta gorącym makaronem, wypytywała niecierpliwie o szczegóły związane z pomysłem urządzenia koncertu.

– Sama ją o to wypytasz, przy najbliższej okazji. – Anna machnęła w powietrzu widelcem.

– Czy to znaczy, że Tygrysek znów...? – Agnieszka skrzywiła się nieznacznie.

– Podobno to tylko rutynowa kontrola, żeby zyskać pewność, że wszystko z nim w porządku. – Anna zamyśliła się chwilę. – To może trochę głupie, ale wydaje mi się, że to jednak tylko pretekst. Myślę, że pani Leokadia za wszelką cenę szuka kontaktu z innymi. Pewnie wcześniej, gdy jeszcze koncertowała, wiodła ciekawe życie towarzyskie i teraz jej tego brakuje. Widać, że lubi być w centrum zainteresowania i uwielbia, gdy coś się wokół niej dzieje. Oczywiście wcale nie uważam, że tylko dlatego podjęła się organizacji koncertu, bo wierzę w jej dobre intencje. Jednak wydaje mi się, że doskwiera jej samotność. Nie wspominała o żadnej rodzinie, nie widziałam też zdjęć dzieci, tylko zmarłego męża.

– O ile wiem, pani Leokadia nie ma dzieci – wtrąciła Agnieszka. – Tylko Tygryska.

– I swoje pamiętki. Oraz całą masę ciekawych wspomnień. To jest naprawdę niezwykle fascynująca postać. W dodatku wbrew pozorom ogromnie sympatyczna.

– Nie znam jej zbyt dobrze, bo mieszka tu od niedawna, ale po tych kilku wizytach w przychodni udało mi się ją na tyle poznać, by nawet nie podejrzewać jej o to, że jest taka... takim.

– Porządnym człowiekiem?

– Właśnie. – Agnieszka z lekkim zawstydzeniem kiwnęła głową.

– Właściwie, ja też. I z tego powodu jest mi trochę głupio.

– Po tym, jak zachowała się w przychodni, miałaś prawo mieć o niej nie najlepsze zdanie.

– Wcale nie. – Anna odłożyła na chwilę sztucę i odgarnęła włosy z czoła. – Widziałam ją tylko przez chwilę, a ona mogła mieć wtedy akurat gorszy dzień czy coś w tym stylu. Nie powinno się nikogo tak pochopnie oceniać, a mnie to nie zdarzyło się po raz pierwszy. Pamiętasz, jak ci opowiadałam o moim pierwszym spotkaniu z Bożeną?

– Ale na szczęście nie dałaś jej wtedy niczego po sobie poznać, prawda?

– Jej nie, ale Lilce... – urwała, niepewna, czy chce o tym mówić.

– Co z Lilką?

Agnieszka przestała jeść i wlepiła w Annę zdziwione spojrzenie. Być może dlatego, że od dawna nie rozmawiały o przyjaciółce ze szkolnych czasów. Zanim jednak Anna zdążyła odpowiedzieć, usłyszały trzaśnięcie furki i głośny tupot. Koper, który leżał pod stołem, uniósł na chwilę łeb i postawił uszy, ale zaraz potem ziewnął i znów zamknął oczy. Było za wcześnie, by matka i dzieci Anny wróciły z domu kultury, poza tym to były kroki tylko jednej osoby, dlatego obie poderwały się z krzeseł i wychyliły z werandy, usiłując dojrzeć, kto tak hałasuje. Wtedy usłyszały wołanie:

– Pani Aniu! Jest pani tam?

– To Fabian – stwierdziła Agnieszka i od razu zbiegła ze schodów, wychodząc mu naprzeciw.

Fabian był bardzo zdyszany. Okazało się też, że w pobliżu furki czeka jeszcze jeden, nieznanany Annie mężczyzna. Obaj ucieszyli się na widok Agnieszki, mimo że oprócz tego wydawali się bardzo zdenerwowani.

– I pan tutaj, panie Waldku? – Agnieszka najwyraźniej знаła drugiego z mężczyzn. – Co panowie tu robią?

– Jak to dobrze, że i pani tu jest, pani doktor. Wszędzie pani szukamy. Dzwoniliśmy, ale pani nie odbierała.

Kobieta pomacała kieszenie.

– Przepraszam, chyba zostawiłam telefon w kuchni. Coś się stało?

– Miłka chyba zdycha. – Fabianowi załamał się głos.

– Miłka? – Zdziwiła się Anna, która z boku przyglądała się scenie.

– Koza Zalesiaków? – upewniła się Agnieszka, udzielając tym samym Annie wyjaśnienia. – Co się dokładnie stało?

Fabian zagryzał coraz bardziej drżące wargi.

– Ten chuj pierdolony skopał ją chyba na śmierć. – W dość dobitny sposób wyręczył go milczący dotąd kolega.

– Zalesiak?

– A gdzie tam Zalesiak! – Oburzył się mężczyzna. – Biczek, sąsiad Zalesiaków, co to, wie pani, ciągle o tę kozę do nich pretensje miał. Wczoraj jego baba wywiesiła na dwór garnitur do wietrzenia, bo oni jutro wnuka chrzczą, a koza, jak to koza, jakoś przelazła na ich stronę i całe rękawy od tego garniaka poobgryzała. Biczek na ten widok tak się wkurwił, aż piana mu z pyska podobno szła. Ruszył od razu do Miłki, a jak babka Zalesiaków, co ma już z dziewięćdziesiąt lat, chciała go zatrzymać, to i ją tak pchnął, że nie wiadomo, czy sobie też czego nie złamała. A potem zaczął kopać to biedne bydlę dotąd, aż przestało się ruszać.

– Nie żyje?

Fabian rozłożył bezradnie ręce.

– Myśmy zaraz po panią doktor polecieli. Jakaśmy odchodzili, to ta koza jeszcze dychała, ale teraz to już wszystko może być. Dlatego jakby pani doktor mogła szybko...

– No jasne! Nie ma na co czekać. Tylko muszę jeszcze po torbę...

– A bez torby nie można? – Fabian spojrział na nią błagalnie. – Toż przychodnia na drugim końcu miasta, a dom Zalesiaków o tu, blisko.

– Bez niej mogę nie zdołać pomóc zwierzakowi.

– Słuchaj, to zróbmy tak, ty leć już do tej kozy, a ja pojedę do przychodni i zabiorę torbę – wtrąciła się Anna.

– Dobrze. Pan Fabian pojedzie z tobą, wie lepiej, gdzie co jest. Panie Waldku, a my do Miłki. Szybko!

W samochodzie Anna ukradkiem zerknęła na Fabiana. Milczał, skupiony prawdopodobnie na ciągłej próbie zapanowania nad nerwami i nieustannym drzeniem brody.

– Bo ten dzieciak, znaczy wnuczek Zalesiaków – zaczął nieoczekiwanie. – On jest ponoć bardzo chory. Ja tam nie wiem, co mu dokładnie dolega, ale widać, że z chłopaczkiem nie jest dobrze. Słabiutki taki, blade. No i do tego okazało się, że ma alergię i krowiego mleka nie może. Tylko kozie. Pożyczyli więc Zalesiaki pieniądze i kupili kozę, żeby mały miał mleko. Bo tam, wie pani, u nich bieda aż piszczy. Schorowana babka, dziadek i córka, co sama z tym małym została, bo mąż znudził się szybko chorym dzieciakiem i zostawił ich z niczym.

Anna słuchała w milczeniu, zaciskając dłonie na kierownicy. Była poruszona opowieścią mężczyzny i tym, jak bardzo przejął się losem obcego mu dziecka, dlatego też nie przerywała mu i pozwoliła mówić, widząc, że to pomaga mu zapanować nad emocjami.

– A tak naprawdę, to wcale nie chodzi najbardziej o mleko – tłumaczył wciąż drżącym głosem.

– Bo ten Adaś, wie pani, tak się do Miłki przywiązał, tak ją polubił, że jak ona zdechnie, ja nie wiem, co się z tym dzieciakiem stanie. I to jest właśnie najgorsze, że choć i kozy, to dzieciaka najbardziej żal...

Umilkł i odwrócił głowę, ocierając rękawem oczy. Anna chciała coś powiedzieć, ale wzruszenie zbyt mocno ścisnęło ją za gardło i odebrało głos. Stała się mimowolnym świadkiem spontanicznego uwolnienia emocji przez tego niezwykle zamkniętego w sobie, powściągliwego człowieka. Wyobrażała sobie, ile go to kosztowało. Dlatego była przekonana, że gdyby spróbowała z nim o tym porozmawiać, przekroczyłaby pewną niewidzialną granicę jego intymności, którą i tak prawdopodobnie przesunął dalej

niż zamierzał.

Dotarli wreszcie do przychodni. Fabian odpiął pas i poprosił, by zaczekała na niego w samochodzie. Wrócił po dwóch minutach, dzierżąc dużą brązową torbę lekarską. Miał mokrą twarz i włosy, więc pewnie włożył głowę pod kran, by nieco ochłonąć. Przez całą drogę powrotną milczał, jednak spokój, który powrócił na jego oblicze, wydawał się bardzo kruchy.

Przy zagrodzie Zalesiaków Fabian znów wyskoczył z samochodu, niemal zanim jeszcze zdążyła się zatrzymać. Z przyciśniętą do piersi torbą pobiegł za dom, nie oglądając się na Annę. Ruszyła szybko za nim i już z daleka dostrzegła Agnieszkę klęczącą przy zwierzęciu i wierzgające białe racice, które ktoś próbował przytrzymać.

„Żyje” – pomyślała z niemalą ulgą. Gdy podeszła bliżej, przekonała się, że koza wciąż zwija się z bólu, choć na pierwszy rzut oka nie było widać większych obrażeń, nie licząc krwi sączącej się z rozbitego nosa. Agnieszka ostrożnie wodziła dłońmi po wielkim brzuchu zwierzęcia. Annę przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Pomyślała, że koza jest prawdopodobnie ciężarna. Z przerażeniem i pytaniem w oczach patrzyła na przyjaciółkę.

– Ma wzdęcie żwacza. Jeszcze nie wiem, czy skutek pobicia, czy czegoś innego, jednak z pewnością przez to tak cierpi. Jest też mocno poobijana. Nie widzę raczej żadnych złamań, ale nie jestem jeszcze pewna, czy nie ma jakichś krwotoków wewnętrznych.

Anna odetchnęła z odrobiną ulgi, kiedy zrozumiała, co jest powodem powiększonych powłok brzusznych zwierzęcia. Bezradnie przyglądała się poczynaniom przyjaciółki, nie mając pojęcia, jak mogłaby pomóc. Wyciągnęła bezwiednie dłoń, chcąc pogłaskać nastroszoną jasną sierść, jednak nie zdążyła, ponieważ koza wyrwała się panu Waldkowi, który ją przytrzymywał. Usiłowała podźwignąć się niezdarnie, po czym opadła z głuchym uderzeniem na mostek, dysząc ciężko i wyciągając nerwowo szyję.

– Spróbujemy pozbyć się gazu sondą, ale jeżeli to nic nie da, trzeba będzie trokarować – powiedziała Agnieszka, tym razem gładząc delikatnie zwierzę, żeby je trochę uspokoić.

– Co to znaczy?

– Nakłucie skóry, tkanek podskórnych i żwacza, o tu, po tej stronie, za żebrami.

– Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne – wyszeptwała Anna, przyglądając się z niepokojem, jak koleżanka przymierza się do wprowadzenia sondy.

– Chyba jednak będzie – odparła już po chwili i skinęła na pana Fabiana, który wyjął z torby niewielki metalowy przedmiot i podał lekarce. – Odejdź lepiej na bok – zwróciła się do Anny. – I tak na nic tu się nie przydasz. A najlepiej wróć do domu – dodała, widząc wahanie w jej oczach.

– Poczekam na ciebie w samochodzie – odparła.

Dopiero tam poczuła się trochę lepiej, mimo że nadal pulsowały jej skronie. Gdy nieco ochłonęła i zaczęła oddychać spokojniej, zastanawiając się, jakie konsekwencje powinien ponieść człowiek, który dopuścił się tak strasznego czynu, zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. Nigdzie nie zauważyła chłopca, do którego należała koza. Pewnie odizolowano go, by nie patrzył na męki zwierzęcia. Poczula też wyrzuty sumienia, ponieważ nawet nie zapytała, jak on się czuje. Miała nadzieję, że nic mu nie jest, a sytuacja nie wpłynęła niekorzystnie na jego słabe zdrowie. Mimowolnie przypomniała też sobie Arturka i jego rozpacz po wypadku z kotem, a potem własną reakcję i gniew. Poczula nieprzyjemne ukłucie żalu. Wciąż była pełna poczucia winy wobec dziecka, któremu chciała wymierzyć sprawiedliwość za to, za co i tak zostało zbyt mocno ukarane.

Spojrzała w rozświetlone okna skromnego domu. Zastanawiała się, czy nie zapukać do drzwi, zaproponować pomoc. Po namyśle jednak zrezygnowała, by dodatkowo nie niepokoić obcych sobie ludzi. Poza tym nie bardzo wiedziała, co mogłaby dla nich zrobić tak, by jednocześnie ich nie urazić.

Nagle ktoś pojawił się przy samochodzie. Zobaczyła uśmiechniętą od ucha do ucha twarz pana Waldka. Uchyliła szybę.

– Pani doktor kazała powiedzieć, że wszystko się udało – oznajmił z radością. – I że już idzie.

Agnieszka rzeczywiście zjawiała się niebawem na ścieżce, dźwigając torbę. Wyglądała na wycieńczoną. Pan Waldek natychmiast do niej podskoczył i uwolnił ją od ciężaru. Kobieta uśmiechnęła

się z wdzięcznością.

– Uff, chyba będzie dobrze – westchnęła i pokazała Annie brązowy guzik ze strzępkami materiału. – Miała to w pysku. Nie wiem, gdzie są pozostałe, trzeba by sprawdzić, czy zostały przy garniturze, czy może połknęła, bo to też mogło być częściowo przyczyną kłopotów.

– Ja się tym zaraz zajmę. – Poderwał się pan Waldek.

– Nie, nie trzeba. – Powstrzymała go Agnieszka. – Można to zrobić jutro. Zresztą, Fabian mówił, że sam spróbuje się dowiedzieć.

– A gdzie on się właściwie podział? – Zreflektował się mężczyzna, dopiero teraz zdając sobie sprawę z nieobecności kolegi.

– Zostanie na wszelki wypadek, żeby poobserwować kozę. Sam się zaoferował. Da znać, gdyby działo się coś niepokojącego, a ja i tak do niej zajrzę z samego rana. Jeśli okaże się, że jednak połknęła te guziki, podam jej olej parafinowy.

– Po co olej? – Zdziwiła się Anna.

– Pewno na poślizg. – Odgadł pan Waldek. – Żeby guziki wyszły którądy trzeba bez kłopotu.

Agnieszka skinęła z roztargnieniem głową, potwierdzając jego domysły.

– Czy istnieje jeszcze jakieś inne zagrożenie? – dopytywała Anna.

– Nigdy nie ma co do tego stuprocentowej pewności i w takim wypadku pierwsza doba jest decydująca, ale jestem dobrej myśli. Jutro powinno być lepiej, jednak chłopiec przez jakiś czas zapewne nie dostanie mleka.

– A jak on w ogóle to w ogóle zniósł? – spytała Anna cicho.

– Jeszcze nic nie wie. Na szczęście spał, gdy to się stało.

– To dobrze.

Uwolniła ze spoconej dłoni kluczyki od samochodu, które zaciskała całkiem bezwiednie, myśląc o dziecku, i wsunęła je do stacyjki. Nie uruchomiła jednak silnika. Nadal coś nie dawało jej spokoju. Już po chwili wiedziała, co.

– A co z sąsiadem, który skopał kozę? – zagadnęła. – Czy ktoś wezwał policję?

– Nie – odparł pan Waldek, zanim Agnieszka zdążyła otworzyć usta. – Bo wtedy najwięcej kłopotów by z tego miała kobieta Biczka i cała jego rodzina. A oni i tak już z tym bałmotem cholernym nie mają życia. I pewno prędzej czy później zemściłby się za to na swojej babie, skoro to ona wyniosła garnitur na dwór. Lepiej będzie, jak my z Fabianem sami się nim zajmijmy.

– Ale co panowie chcą zrobić? Samosąd? Aga! Chcesz się na to godzić? – Anna patrzyła z niedowierzaniem na przyjaciółkę.

– Zwariowałaś? Jaki samosąd? Wszystko jest już załatwione. Panowie wyjaśnili Biczkowi, co mu grozi za jego czyn.

– I co? I już? Przeprosił i dał słowo honoru, że to się nie powtórzy? – sarknęła ironicznie.

– Mniej więcej. – Agnieszka zachichotała złośliwie. – A poza tym obiecał ogrodzić kawałek tego zapuszczonego sadu u siebie za domem, żeby koza miała gdzie się paść. I będzie przez pewien czas kupował chłopcu mleko od hodowcy kóz z pobliskiej wsi.

– Za leczenie ma jeszcze zapłacić. I baby swojej ma nie lać, bo ona niczemu winna – dodał pan Waldek.

– Jestem pod wrażeniem pańskiego daru przekonywania. – Anna kręciła z uznaniem głową. – Nie mogę uwierzyć, że was posłuchał!

– A słuchał, słuchał. I to jeszcze jak! Tylko stał i oczami mrugał, jakieś mu do głowy kładli, co mu za takie coś grozi, jak organa się dowiedzą i zaczną ścigać. I od razu pojął, że nie ma innego wyjścia, bo jak nie, to... – Zerknął na Annę z ukosa. – Doniesiem na niego na policję. Takeśmy mu obiecali.

– Widzisz? Wszystko zostało załatwione zgodnie z paragrafem. To co? Jedziemy? – Agnieszka okrążyła samochód i otworzyła drzwi od strony pasażera. – Jestem wykończona. Szkoda, że nie kupiłyśmy sobie wina do kolacji, teraz bym się chętnie napiła.

– Dobrze, że nie kupiłyśmy, bo nie mogłabym ci przywieźć torby, gdybym się go napiła. Ale

może teraz gdzieś kupimy?

– Nie ma potrzeby kupować – odezwał się nieoczekiwanie pan Waldek. – Bo na wino to ja obie panie z całego serca zapraszam. Do naszego pubu.

Kobiety obejrzały się na niego zaskoczone.

– Ale teraz? – wyjąkała Anna niepewnie.

– A jakże, no pewnie, że teraz, bo kiedy? Za to, co panie dziś zrobiły, niejedno wino się należy.

Zapraszam serdecznie!

– Ale jest już po dziesiątej – jęknęła Anna, patrząc na zegarek, a potem na Agnieszkę, szukając u niej wsparcia. Ta jednak uśmiechnęła się figlarnie do pana Waldka.

– Da nam pan jakieś piętnaście minut, dobrze? Musimy odprowadzić samochód i przypudrować noski.

– To ja zaczekam przy pubie – odparł uradowany.

Gdy tylko się oddalił, Anna spojrzała z wyrzutem na koleżankę.

– Czyż ty zwariowała? O tej porze? Do pubu? Na wino?

– A czemu nie?

– Bo to tak jakoś...

– Nie wypada?

– Też. A poza tym jutro muszę wstąpić wcześniej. Jedziemy na jarmark do Kiermus.

– Na pewno zdążysz się wyspać. A poza tym i tak nie zaśniesz przez nadmiar wrażeń, podobnie jak ja. I co najważniejsze, panu Waldkowi byłoby przykro.

– Pan Waldek powinien wiedzieć, że ta propozycja nie jest za bardzo, jakby to delikatnie ująć, na miejscu.

Agnieszka zerknęła na nią spode łba.

– Ale nie chodzi ci chyba o to, że pan Waldek to prosty człowiek, a Pub u Bolka jest zwykłą speluną, w której porządnej kobiecie nie wypada pokazywać się o żadnej porze?

– Nnie...

– Więc coś jest z tobą nie tak. Bo przecież ten pub to jest straszna speluna, a pan Waldek to prosty, choć bardzo dobry człowiek. Uczciwy i honorowy. Chce nam podziękować. Cóż w tym zdroźnego?

– Ale dlaczego musi dziękować właśnie w taki sposób?!

– Bo to jedyny, jaki zna – ucięła, wysiadając już z samochodu. – I pospiesz się lepiej, jeśli chcesz rzeczywiście o w miarę przyzwoitej porze wrócić do domu.

PuB, czyli Pub u Bolka, znajdował się w dość malowniczym miejscu, bo w sąsiedztwie parku, w niewielkim budyńeczku wciśniętym między kilka łysawych modrzewi, trzy całkiem bujne kasztanowce i połamane krzewy akacji.

Sam obiekt był już znacznie mniej malowniczy. Mimo zapewne świeżo odnowionej elewacji jego brzydka bryła, będąca pamiątką nie do końca ciekawej architektonicznie epoki, zdecydowanie psuła to urokliwe zapewne kiedyś miejsce. W ogromnych, niemytych od lat oknach wisiały poszarzałe firanki, które skutecznie uniemożliwiały zajrzenie do środka. Odrapane, metalowe drzwi nie zapraszały do wejścia, a wręcz odstręczały tak bardzo, że Anna wyhamowała gwałtownie, gotowa do ucieczki, jednak stanowczy chwyt za ramię i znaczące spojrzenie przyjaciółki udaremniły jej zamiar. Pan Waldek zamasyście otworzył skrzypiące metalicznie podwoje i szerokim, uprzejmym gestem zaprosił je do środka.

W pubie zamiast spodziewanego gwaru panowała względna cisza. Przy stolikach przykrytych kraciastymi ceratami siedzieli nieliczni konsumenci. Niektórzy wolniutko sęczyli piwo z wielkich kufli, inni po prostu zastygli z głową podpartą pięścią, patrząc w milczeniu na siedzących naprzeciwko kolegów. Za barem stał niewysokiej postury, krępy mężczyzna, który na widok nowych gości podskoczył do jednego ze stolików, wytarł szybko wątpliwej czystości ścierką blat i siedziska krzesel, po czym wysunął trzy i skłonił się grzecznie, wykonując zamaszysty zapraszający gest.

Anna nadal trzymała się kurczowo łokcia Agnieszki i usiłowała zamaskować wzbierającą w niej niechęć do miejsca, w którym się znalazła właściwie wbrew swojej woli. Mimo to uśmiechnęła się jak najuprzejmiej i energicznie ruszyła w stronę wskazanego stolika. Jednocześnie poczuła, jak zahacza o coś nogą. Tylko dzięki przytomności koleżanki nie wylądowała jak długa na szarym linoleum. Obróciła się, chcąc zobaczyć, o co się potknęła, i zamarła skonsternowana i przerażona.

Na podłodze siedział mężczyzna. Drzemał smacznie z policzkiem przytulonym do nogi od stołu, błogim wyrazem twarzy i wyszczerzonym uśmiechem nie tyle na obliczu, co kilka centymetrów przed nim, z powodu poluzowanej i wysuniętej na zewnątrz sztucznej szczęki.

Na twarzach wstrząśniętych kobiet odmalowała się groza, zanim jednak zdążyły ją w jakikolwiek sposób wyrazić, pan Waldek chwycił śpiącego za ramiona i manewrując kolanem, sprawnie wepchnął użębienie na miejsce.

– Panie Waldku! – Agnieszka nie kryła oburzenia. – Co pan wyprawia? Tak przecież nie można!

– A bo mnie już, za przeproszeniem, wkurwia z tą swoją szczęką, ganc jeden – burknął pan Waldek. – Tyle razy się prosiło, że jak już idzie pochlać, niech ją w domu zostawi, a to wszystko jak grochem o ścianę. Już dwa razy ją stracił, a to wiadomo, kosztuje. Ostatnim razem to tak nam już go było żal, żeśmy się z chłopakami mu dorzucili do nowej, a ten dureń dalej nie dba i nie pilnuje. I znów będzie to samo. Boluś! – zwrócił się do barmana. – Weź no któregoś chłopaka, niech go gdzieś dalej w kąt zawlecze, coby paniom widoku nie psuł. I buty niech mu obuje, bo jeszcze i te straci, przyglupek jeden.

Anna zerknęła na stopy śpiącego i dopiero teraz spostrzegła, że są bosc, a dwa wsuwane pantofle z ozdobnymi frędzelkami w miejscu sznurówek stały sobie równiutko tuż obok delikwenta.

– A może by lepiej było, jakby on sobie poszedł do domu? – zaproponowała niepewnie. – I wyspał się w normalnych warunkach?

– Ale po co? – Zdziwił się pan Waldek. – Babie i dzieciom się naprzykrzać? Prześpi się, wytrzeźwieje trochę, to i pójdzie. Pioter, co się tak gapisz jak wół na malowane wrota? Pomóż lepiej, a potem trzeba paniom jakie dobre wino podać! – Machnął ręką do młodego mężczyzny, który wychylił się ciekawie z zaplecza baru.

Czym prędzej wykonał polecenie. Ale gdy zaraz potem zjawił się przy stoliku z butelką wina, Waldek prychnął gniewnie i trzepnął go lekko po głowie.

– Zdurniałeś? Tajfun Poziomkowy? Bolek ci to dał? Dla pań?

– Sam wzięłem – zająknął się mężczyzna. – Bo i ja sam takie lubię najlepiej – dodał speszony.
– Bolek! – Waldek huknął ponownie w stronę baru. – Dawaj nam tu jakie dobre wino!
– Nie trzeba wina, panie Waldemarze – zaproponowała Agnieszka. – Tak naprawdę, chętniej napiałabym się piwa, z colą. Ty Anka pewnie też?

– Z colą? – Zamrugła zdziwiona.

– Zaufaj mi. – Agnieszka mruknęła do niej dyskretnie, na co Anna przytaknęła automatycznie.

– Dwa damskie prosimy i jedno całe! – zaryczał znów pan Waldemar w stronę barowego kontuaru i poprawił się z zadowoleniem na krześle. – Ja wiem, że panie pewnie do innych restauracji przyzwyczajone, ale u nas już tak jest, że jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

– Bo panie Waldku, nie miejsce jest najważniejsze, ale towarzystwo – oświadczyła z powagą Agnieszka.

– O to, to!

Wyraźnie uradowany trzepnął z rozmachem otwartą dłonią w stół, aż siedzący nieopodal mężczyzna podskoczył nerwowo, w ostatnim niemalże momencie ratując desperacko przed rozlaniem stojące przed nim piwo.

– Bo panie pewnie myślą, że my tu nic nie robimy, tylko chlamy na okrągło?

– Wcale nie! – zaprzeczyła Anna z przesadną wręcz gorliwością.

Jednocześnie poczuła, jak na jej twarzy pojawiają się niechciane rumieńce.

– Ja tam swoje wiem. – Pan Waldek upił z kufła potężny łyk spienionej, żółtawej cieczy i otarł brodę wierzchem dłoni. – Każdy tak gada, że tu u nas na Podlasiu, to się tylko chla.

– Nieprawda!

– To bogać! Jak, nieprawda, kiedy prawda! – Roześmiał się. – Chla się, tak samo u nas, jak i wszędzie. Wiem, bo sam żem widział, jakem był u syna. W samej stolicy! Żeśmy poszli wtedy we dwóch do takiego lepszego lokalu. I wtedy ja żem zobaczył, że tam się chla tyle, co i u nas, jeno przez bibułkę „ą” i „ę”. Koniaczki i te ichnie drinki umajone różnymi wiechciami, co to się nimi tylko udławić można. – Zamyślił się chwilę. – A mnie to się nawet zdaje, że w mieście chla się więcej, bo u nas, pani widzi, sobota wieczór i jaki spokój, a tam stołu wolnego nie szło znaleźć. Wszędzie gmejs i zamaracha. I baby też były, i to jakie wystrojone! Ho! Ho! A u nas to żadna by do pubu nie przyszła, ani przy sobocie, ani wcale... – urwał, łypnął okiem na swoje towarzyszek i podrapał się z zakłopotaniem w głowę. – Choć ja wcale nie mówię, że to źle, jak kobitka czasem se do pubu zajdzie, bo każdemu należy się rozrywka. Po równo, bo parytet przecie ma być, jak w sejmie, nie?

– Oczywiście, panie Waldku. Nam jest naprawdę bardzo miło, że nas pan zaprosił. Czujemy się wyróżnione – przytaknęła gorliwie Agnieszka, dziarsko unosząc kufel. – Zdrówko!

Anna też podniosła swoje piwo, czując, jak powoli opuszcza ją wcześniejsze napięcie. Mimo początkowego dystansu, zapałała prawdziwą sympatią do pana Waldka. Ten z kolei zachęcony zapewne nieskrywaną przychylnością swoich towarzyszek i coraz bardziej rozluźniony, na co pewnie miało też wpływ widoczne już dno w kolejnym opróżnianym kufle, perorował coraz śmieiej:

– Bo wiedzą panie, że każdy człowiek musi dychnąć sobie po robocie i pójść z chałupy, żeby tego tchu trochę złapać. Baby to jeszcze mają to swoje koło w domu kultury, a my co? Ani kina, ani boiska, nic, tylko ten pub zostaje. A jak się człowiek od czasu do czasu tak porządnie najeb... to znaczy w beret se da, to mu potem lżej trochę ten garb dźwigać, co to go ma na grzbiecie prawie od urodzenia.

– A może dałoby się coś zorganizować, pomyśleć, żeby ten czas spędzać jakoś inaczej... – zaczęła Anna, ale przerwało jej głośnie trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Do baru wszedł młody mężczyzna. Mocno zarośnięty na twarzy i w niezbyt świeżym ubraniu. Rozejrzał się, po czym utkwiał wzrok w Agnieszcze. Skrzywił się i przez moment wyglądał, jakby zamierzał splunąć jej pod nogi, ale zerknąwszy na pana Waldka, powstrzymał się, i zanim ten zdążył zareagować, odwrócił się i wybiegł, trzaskając jeszcze mocniej drzwiami.

Anna spojrzała pytająco na przyjaciółkę, która tylko wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. Pan Waldemar poderwał się z miejsca, chcąc pobiec za mężczyzną i przemówić mu do rozumu, jednak Agnieszka powstrzymała go, chwytając za ramię.

- Da pan spokój, panie Waldku. Nie trzeba.
- Kto to był? – dociekała Anna, wciąż wpatrując się w koleżankę, która nagle spochmurniała.
- Mariusz. Niedawno umarła mu żona – wyjaśniła cicho.
- Ale dlaczego on tak... na ciebie...?
- Ponieważ uważa, że to moja wina.

Pan Waldek, słysząc to, znów rąbnął pięścią w stół, wprowadzając ponowną dezorientację wśród pozostałych gości pubu.

– Bo głupi! – wykrzyknął gniewnie. – Bo nie rozumie, że jakby nie pani Agnieszka, to nie tylko jego Kaśka by nie żyła, ale i na mojej Halinie pewnie bym dziś bratki sadził.

- Nie rozumiem – wyszeptała Anna skonsternowana.
- Bo u mojej żonki też te doktory, ze specjalnego autobusu...
- Mammobusu – wtrąciła Agnieszka.

– Tak, z mammobusu, guz w piersi znaleźli. W samą porę! Potem przez to jej całą pierś odjęli, ale za to moja Halinka do dziś dnia żyje. Dzięki pani Agnieszcze, która sama chodziła po domach i wszystkie kobity z miasta na te badanie namawiała, bo jakby nie ona, to ta moja pewnie by nie poszła. I byłoby za późno na ratunek, jak u tej Mariuszowej Kaśki.

– Nie rozumiem. Czyli ten człowiek ma do ciebie żal, że jego żony nie namówiłaś ostatecznie na badanie?

– A gdzie tam! Właśnie, że namówiła!

– Tylko że u Kaśki było już za późno na cokolwiek – odparła Agnieszka, cedząc wolno słowa. – Kiedy poszła wreszcie się zbadać, okazało się, że są liczne przerzuty. Po trzech miesiącach zmarła.

– A ten mejak myśli, że to przez tamte badanie – dodał pan Waldek, z ironicznym parsknięciem.

– I nie idzie mu całkiem przetłumaczyć, że tak nie jest.

– Bo na to potrzeba czasu, panie Waldku, musi go trochę upłynąć. Może kiedyś ten człowiek sam się opamięta i do niego dotrze, co tak naprawdę stało się z jego żoną.

– Ale czas wcale nie płynie, pani Aniu. Czas, za przeproszeniem, zapierdala, a człowiek leci za nim z wywieszonym ozorem, a jak nie zdąży, to pada na pysk. A potem podniesie się, albo i nie. A mnie coś się zdaje, że Mariusz już się nie podniesie.

– Kaśka też, niestety, się nie podniosła z choroby. – Westchnęła Agnieszka. – Osierociła czworo dzieci.

– I ojciec został z nimi sam, tak?

– Babka mu niby pomaga, znaczy Kaśki matka, ale ona też schorowana i pomocy potrzebuje. Mariusz za to zaczął chlać. A tam w tej chałupie bieda taka, że strach. I najgorzej, że on wcale nie da sobie pomóc, mówi, że łaski nie potrzebuje. Jego wola, tylko dzieciaków szkoda.

– To są zupełne maluchy. – Agnieszka zwiesiła smutno głowę. – Najstarsze ma osiem lat, najmłodsze trzy.

Anna zagryzła wargi. Nie wiedziała, jak na to zareagować, nie była nawet pewna, co ma o tym myśleć. Nagle zapragnęła też wrócić do domu. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że to, co ją samą tak niedawno spotkało, było niczym w porównaniu z tym, co przydarzyło się tamtej rodzinie. W przeciwieństwie do nich miała przecież nieustanne wsparcie bliskich, przyjaciół, a mimo to wciąż czuła się zbyt mocno skrzywdzona przez los, by przestać się nad sobą użalać i narzucać to innym. Ciągle też oczekiwała rekompensaty za to, jak bezdusznie ów los z niej zakpił.

Teraz zrobiło jej się z tego powodu wstyd.

– Już późno, wracajmy, dobrze? – zwróciła się szeptem do Agnieszki, która skinęła tylko głową, zdejmując z oparcia krzesła odwieszony tam sweter. Wstała i otuliła się nim szczerlnie, chociaż wcale nie było zimno.

W niedzielny, bardzo słoneczny poranek Anna z trudem otworzyła wciąż sklezione snem oczy.

Poprzedniego wieczoru nie wróciła do domu na tyle późno, by nie zdążyć się wyspać, jednak zgodnie z przewidywaniami Agnieszki – z głową zbyt pełną wrażeń, by udało jej się od razu zasnąć. Kiedy sen wreszcie nadszedł, na dworze robiło się już jasno.

Przed wycofaniem się z zaplanowanej wyprawy do Kiermus powstrzymywał ją tylko Franek, który właściwie gotowy do drogi, co parę chwil zaglądał do jej pokoju, obserwując ją z napięciem. Mimo że nie miała najmniejszej ochoty wstawać z łóżka, nie mogła sprawić mu zawodu. Zbyt niecierpliwie wyczekiwał wycieczki. Dlatego powlokła się wreszcie do łazienki, gdzie szybki, chłodnawy prysznic, choć nie rozbudził, przynajmniej poprawił jej wygląd i sprawił, że wydawała się rześka. Potem jeszcze bardziej polepszył jej samopoczucie telefon od Agnieszki. Koza Miłka miała się już zdecydowanie lepiej.

Zdażyła upić zaledwie kilka łyków kawy, kiedy przed dom zajechał Wojtek. Franek natychmiast wybiegł mu na spotkanie. Anna z zalem odstawiła kubek, włożyła do torebki jabłko mające jej zastąpić śniadanie i pobiegła za synem, próbując po drodze przyglądzić palcami rozsypane bezładnie, wilgotne jeszcze włosy, których nie zdążyła związać.

– A możesz zostawić je tak jak są? – spytał nieśmiało Wojtek, widząc, jak stara się zwinąć je w węzeł, drugą ręką szukając w kieszeniach jeansów spinki, którą zabrała, już wychodząc. – Bo ładnie jest – dodał i uśmiechnął się, otwierając drzwi samochodu.

Anna uwolniła włosy, które targnięte lekkim podmuchem wiatru opadły jej na twarz. Nie odgarnęła ich, ciesząc się, że w jakimś stopniu ukryły rumieniec, który zakwitł na jej policzkach.

Przez większą część drogi niezręczną ciszę, jaka prawdopodobnie panowałaby w samochodzie, gdyby jechali sami, nieustannie przeganiał Franek. Bez przerwy głośno komentował wszystko, co widział za oknem, zadając przy tym mnóstwo pytań.

– Dlaczego przed każdym domem stoi ławeczka? – Zaciekawiał się, gdy mijali kolejną wieś, powodując u swojej matki, zmęczonej ciągłym odpowiadaniem, błagalne wzniesienie oczu do nieba. – To znaczy nie przed domem, ale przed ogrodzeniem, na ulicy, bo przed domem to nie byłoby takie dziwne – poprawił się, widząc jej minę.

– Ale jesteś spostrzegawczy – pochwalił go Wojtek, uwalniając tym samym Annę od obowiązku udzielenia odpowiedzi. – Rzeczywiście tak jest. To bardzo charakterystyczne dla podlaskich wsi.

– Ale dlaczego?

– To wynika z tradycji i specyficznej kultury naszego regionu. Tutejsi ludzie są niezwykle otwarci, niespotykane towarzyscy i gościnni. Mówi się o wyjątkowej polskiej gościnności, a prawda jest taka, że to dotyczy przede wszystkim Podlasia. Nigdzie indziej nie ma tylu ławeczek.

– To po to one są? – zdumiał się Franio. – Bo ludzie są gościnni?

– No tak. Można dzięki temu porozmawiać dłużej z sąsiadem albo przechodniem, nawet gdy obowiązki nie pozwalają na przyjmowanie gości w domu. A ponieważ my wszyscy tu, na Podlasiu, lubimy mówić dużo, ławeczka jest potrzebna, żeby nogi nie zabołały.

– Ale wymyśliłeś – podsumowała Anna niemal bezgłośnie, nie chcąc w obecności syna podważać autorytetu mężczyzny, mimo że powątpiewała w rzetelność jego wiedzy na temat podlaskiej kultury.

– Wcale nie wymyśliłem – zachnął się głośno, demaskując jej wątpliwości. – Moja babcia mi kiedyś opowiadała o tych ławeczkach.

– A ja dotąd myślałam, że one służą do ustawiania kan z mlekiem, żeby mleczarzowi łatwiej było je przenieść. – Pokiwała głową z politowaniem.

– To też, ale przecież gdyby służyły tylko do tego, nie zrobiono by ich na takiej wysokości, by można było wygodnie usiąść.

– O! Siedzą! – wrzasnął Franek, pokazując dwie starsze kobiety spoczywające na jednej z ławek

przy drodze.

Potem zamilkł na całkiem długo, pewnie wypatrując kolejnych ludzi na ławeczkach. Ocknął się dopiero, gdy wjechali do Pentowa. Otworzył szeroko oczy za zdumienia i podekscytowany zaczął kręcić się na tylnym siedzeniu, wyciągając do przodu szyję.

– Mamo, patrz! Patrz! – krzyczał. – Czy widziałaś kiedyś coś takiego? Ile bociaaaanów!

Anna również z uśmiechem przypatrywała się niezliczonej ilości bocianich gniazd umiejscowionych na dachach zabudowań gospodarczych i specjalnie przygotowanych platformach, również przy drodze. Widok zapierał dech w piersiach.

– Pentowo określa się mianem Europejskiej Wsi Bocianie – wtrącił Wojtek, po raz kolejny popisując się wiedzą o regionie. – To jest w ogóle bardzo ładne miejsce. Możemy w drodze powrotnej zatrzymać się tutaj, obejrzeć Galerię Bocianią i stuletni dębowy dwór.

– Tak, tak! – podchwycił Franek. – Mamo, zgódź się.

– Nie mam nic przeciwko temu. – Uśmiechnęła się pogodnie. – Sama jestem ciekawa tego miejsca, nigdy tu nie byłam.

W Kiermusach, po długich i trochę nerwowych poszukiwaniach udało im się wreszcie znaleźć miejsce parkingowe obok Dworskich Czworaków.

– To domy bartnika, garncarza, tkacza i rolnika – wyjaśnił Wojtek. – Potem je sobie obejrzymy dokładniej. I dworek, po drugiej stronie drogi.

– A zamek? – Zaniepokoił się chłopiec, pamiętając, że mężczyzna mu o nim opowiadał.

– Też. Ale najpierw jarmark, dobrze?

Dobiegające z oddali dźwięki ludowej muzyki świadczyły o tym, że impreza już się rozpoczęła. Niebawem mieszała się z tłumem spragnionym kontaktu z lokalnym folklorem. Poczuli zapach wiejskich wędlin, chleba, serów, miodów i innych regionalnych przysmaków, do których skosztowania zachęcali sprzedawcy. Anna po raz pierwszy miała okazję poznać smak podpuszczkowego sera korycińskiego, którego recepturę, według lokalnej legendy, poznano niemal pięćset lat wcześniej dzięki osiadłym w Korycinie szwajcarskim żołnierzom. Skosztowała najpierw bielutkiej, skrzypiącej zabawnie w ustach wersji śmietankowej, a potem tych dłużej leżakujących – z czarnuszką, czosnkiem, kolorowym pieprzem i innymi aromatycznymi przyprawami.

Smakiem ujął ją też popularny w tych okolicach mrówkowiec – lepki od miodu, posypyany makiem i rodzynkami kopiec o nieco dziwnym, pofałdowanym kształcie. Pomyślała, że to coś dla Franka, który lubił słodczyce, i próbowała przywołać go gestem, jednak nie zareagował. Obaj z Wojtkiem dość obojętnie mijali wypełnione smakołykami kramy, jak się okazało dużo mniej niż Anna podatni na kuszące aromaty, gnając w stronę targu staroci. Nieustannie przez nią zatrzymywani i namawiani do degustacji, z zadowoleniem przyjęli propozycję, żeby się rozdzielić.

– Spotkamy się za dwie godziny w karczmie Rzym, dobrze? – powiedział Wojtek. – I będę uważał na Franka – dodał szybko, uprzedzając jej prośbę i ciągnąc już uradowanego chłopaka w stronę stoisk ze starociami.

Patrzyła za nimi chwilę, zanim sama też ruszyła do wypatrzonych w oddali kramów z rzemiosłem ludowym.

Z zachwytem dotykała pięknych, szydełkowych lub haftowanych serwet, uroczych szmacianych lalek, glinianych garnuszków i wiklinowych koszyków. Oglądała wspaniałe, ręcznie malowane skarby z drewna i ceramiki. Długo nie mogła się zdecydować, co kupić, a nie wyobrażała sobie wrócić do domu bez prezentów. Już nie po raz pierwszy przekonywała się, że nadmiar potrafi przytłoczyć, a nawet odebrać rozum. Na szczęście w końcu udało jej się coś wybrać. Dla siebie i matki kupiła cudowne filcowe torebki haftowane w ludowe wzory i chusty z pasującym do nich motywem, a ojcu zabawne bambosze i skórzane etui na okulary. Nawet dla Amelii znalazła piękną, ręcznie robioną biżuterię z półszlachetnych kamieni.

Wreszcie, po prawie dwugodzinnym przeciskaniu się przez tłumy ludzi, ogłuszona muzyką i gwarem oraz obławowana torbami pełnymi targowych zdobyczy, z ulgą zasiadła w przyjemnym wnętrzu karczmy i poprosiła o kawę. Zachęcona przez kelnerkę skusiła się też na, jak się niebawem

okazało – gigantyczną porcję domowego jabłeczniaka z lodami. Rozkoszując się powolutku jego smakiem, spokojnie czekała na swoich łowców staroświeckich skarbów.

Zjawili się już niebawem, bez jarmarcznych zdobyczy, ale Wojtek wyjaśnił, że po drodze zostawili je w bagażniku samochodu. Zaniósł tam też nabytki Anny, dlatego zaraz po jedzeniu już bez dodatkowego ciężaru mogli pójść na obiecany Frankowi spacer do zamku.

Dotrzeć można było do niego po drewnianych kładkach zbudowanych tuż nad lustrem wody rozlewiska, i tę drogę wybrali. Anna zachwycona widokami, zbyt na nie zapatrzona potknęła się i zatoczyła lekko. Wojtek zareagował błyskawicznie i chwycił ją mocno w pasie, dlatego nie upadła. Szybko odzyskała równowagę, ale on wciąż obejmował ją talii, o wiele dłużej, niż to było konieczne.

– Dziękuję – wyszeptała spłoszona, czując, że tym razem nie uda się jej ukryć rumieńca, który wypłynął na jej twarz. Na szczęście udał, że tego nie widzi, i jakby od niechcenia założył jej za ucho pasmo włosów. Odchyliła się znów lekko spłoszona, a on widząc to, tylko się uśmiechnął. Przez resztę drogi nie miała odwagi na niego spojrzeć, dlatego szła z opuszczoną głową, udając, że tym razem patrzy pod nogi, by znów się nie potknąć.

Wreszcie dotarli do „Jantarowego Kasztela” uroczo porośniętego winobluszczem. U jego bram Wojtek znów został zasypany gradem pytań, dlatego całą swoją uwagę poświęcił już tylko Frankowi. Anna tymczasem oddaliła się, żeby ochłonać, zawstydzona swoją przesadną reakcją na prawdopodobnie niewinne gesty mężczyzny.

– A Miejsce Mocy? – Podskoczyła, słysząc nagle tuż przy uchu wrzask swojego syna, który przypomniał sobie nagle to, o czym opowiadała mu babcia. – Gdzie jest?

– Tam! – Wojtek wyciągnął przed siebie ramię, ruszając jednocześnie za pędzącym już we wskazanym kierunku chłopcem. – Przy kopcu! – krzyknął.

Chcąc nie chcąc, potruchtała za nimi.

– I co teraz? – dopytywał chłopak niecierpliwie, stojąc prawie na baczność w kamiennym kręgu.

– Tutaj masz instrukcję. – Wojtek wskazał mu drewnianą tablicę, przymocowaną do grubego, nadpalonego pnia.

Franek zbliżył się do niej i przeczytał głośno:

*Czyś ty chłopcem, czyś dziewczęciem
Aby chwycić swoje szczęście
Stąpaj z wiarą po kamieniach
Duszę zatop w swych marzeniach
Zdmuchnij świeczkę z wielką mocą
A życzenie ziści się nocą[1].*

– Nie zabrałem świecy – zmartwił się.

– Jest! – Anna triumfalnie wyjęła z torebki mały podgrzewacz, który w ostatniej chwili matka wsunęła jej do ręki, oznajmiając jedynie, że na pewno się przyda. Nie rozumiała po co, ale teraz cieszyła się w duchu, że zabrała świeczkę. Widziała, jak wiele uciechy ma z tego powodu jej dziecko.

Zapaliła tealight i postawiła na ziemi, obserwując ze śmiechem, jak Franek wskakuje na każdy z kolejnych ułożonych dookoła kamieni.

– A ty? Pomyślałaś już życzenie? – Usłyszała nagle szept tuż przy swoim uchu.

Poczuła, jak usta Wojtka muskają lekko jej włosy. Obróciła się gwałtownie. Mężczyzna patrzył na nią poważnie.

– Nie bój się, pomyśl – powiedział cicho. – A jeśli nie potrafisz, ja mogę zrobić to za ciebie. Chyba wiem, czego pragniesz najbardziej.

Anna patrzyła na niego, nie mogąc wykrztusić słowa. Czuła, jak jej serce niebezpiecznie przyśpiesza. Kątem oka dojrzała, jak jej syn wskakuje na trzynasty kamień. Zanim z niego zszedł i zbliżył się do nich, poczuła, jak dłoń Wojtka zaciska się na jej palcach. Znów nachylił się szybko do jej ucha.

– Pomyślałem – wyszeptał.
– Teraz mogę zdmuchnąć! – Franek klęczał już obok świeczki. – Tylko nie mówcie mi, czego sobie zażyczyliście, bo się nie spełni!

[1] Autorem tekstu jest Adam Źamojda, właściciel Dworku nad Łakami.

Arturek czekał obok samochodu Anny, z kotem w objęciach. Niecierpliwił się, spoglądając raz po raz w stronę do domu. Kiedy ujrzał wreszcie Annę pobrzękującą kluczykami od samochodu, uśmiechnął się z zadowoleniem.

– A ty co tu robisz, brzdącu? – spytała, głaszcząc na zmianę raz chłopięcą, raz kocią głowę.

– Franek mi powiedział, że pani zaraz jedzie do lecznicy. A my już jesteśmy gotowi.

– Ale przecież Filonek już nie potrzebuje opatrunku. Pani doktor powiedziała, że wszystko ładnie się goi, nie pamiętasz?

– My wcale nie idziemy do lekarza, tylko do pracy – odparł poważnie. – Obiecywałem przecież, że będę pomagał. A babcia pozwoliła – dodał na wszelki wypadek.

– Wiem, pamiętam, jednak nie musisz tego robić codziennie.

– Ale ja chcę!

– A Filonek...?

– On też chce. – Mina chłopca świadczyła o tym, iż wie, co mówi. – Filonek ma tam kolegów i chciałby ich odwiedzić.

– Kocich kolegów?

– Kocich i psich.

– No dobrze. Wsiadaj.

Uśmiechnęła się, widząc, jak chłopiec sadowi się w foteliku i pieczołowicie zapina pas. Kot, choć wyswobodzony z objęć, nawet na chwilę nie zszedł z jego kolan. Przycupnął z pyszczkiem wtulonym w koszulkę swojego opiekuna.

Od dwóch tygodni byli niemal nierozłączni. Filonek i Arturek, za którym kocisko chodziło krok w krok, jak pies. Tragiczne dla obu wydarzenie w równym stopniu zmieniło psychikę jednego, jak i drugiego. Dawniej bezimienne i półdzikie kocisko z dnia na dzień stało się Filonkiem Bezogonkiem, kotem z książeczki, którą podsunęła Arturkowi matka Anny. Bajkę chłopiec znał już niemal na pamięć, ponieważ w przygody Filonka wsłuchiwał się każdego wieczoru, kiedy Maria na zmianę z Anną czytały mu ją na dobranoc.

Przed przychodnią nie było żadnych samochodów, z wyjątkiem tego należącego do lecznicy. Agnieszka siedziała na schodach, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w coś, co tak mocno pochłonęło jej uwagę, że nie zauważyła podjeżdżającego pod lecznicę auta przyjaciółki. Drgnęła na dźwięk głośnego „dzień dobry”, które rzucił jej Arturek, przebiegając obok niej z tupotem. Obejrzała się za nim zaskoczona, ale chłopiec zniknął już za budynkiem.

– Powiedział, że śpieszy się do pracy – wyjaśniła Anna.

Usiadła obok koleżanki, podążając odruchowo wzrokiem tam, gdzie patrzyła jeszcze przed chwilą, i zamarła.

– Co to?

Na drzwiach służbowego samochodu Agnieszki widniał wielki żółty napis: MORDI.

– Właśnie się nad tym zastanawiałam – odparła, wydymając usta w zadumie. – Ktoś w nocy zrobił mi taki surprażs.

– Ale po co? I dlaczego mordi? Dziwne... Co to właściwie ma znaczyć?

– Sama chciałabym wiedzieć. – Potarła z roztargnieniem skroń. – Nic z tego nie rozumiem i wciąż się zastanawiam, co może mieć z tym wspólnego pan Waldek.

– Dlaczego pan Waldek?

– No bo on jest Mordi. Właśnie tak go nazywają koledzy: Waldi Mordi, ma nazwisko Mordasewicz.

– A może to żona pana Waldiego dowiedziała się o twojej schadzce z jej mężem w pubie? – zażartowała Anna.

– Nie mojej, ale naszej, więc idąc tym tropem, ty też powinnaś mieć na swoim aucie żółty napis, a nie masz – odparowała Agnieszka. – Nie ma co gdybać, trzeba zmyć i już.

– A da się? – Anna przyglądała się żółtym literom z powątpiewaniem.

– Myślę, że tak. To zwykła emulsja do malowania ścian. Schodzi pod paznokciem.

– To co, może ci pomogę?

– Dzięki, ale Fabian obiecał, że się tym zajmie. Powiedział, że poszuka w sklepie u Wojtka jakiegoś preparatu, który usunie farbę i nie zniszczy lakieru.

– W takim razie chodźmy stąd. Jeśli przestaniesz się wreszcie na to gapić, nie będziesz się też dłużej nad tym zastanawiać bez sensu. I lepiej tak na wszelki wypadek sprawdzmy, co robi Arturek.

Chłopiec siedział przy kojcu Niusi i bawił się z Tin Tinem – szczeniakiem Flo. Kot również brał udział w zabawie, trącając co chwilę łapą psi nos, co powodowało coraz większą aktywność szczeniaka i salwy śmiechu Arturka, starającego wyszarpnąć z ostrych ząbków pieska mankiet swojej koszulki, z której już zwisały luźno nitki. Nusia leżała nieopodal i spokojnie obserwowała scenę.

– Dlaczego Tin Tin wciąż tu jest? – spytała Anna, zanim jeszcze podeszły do kojca. Wiedziała, że drugie dziecko Niusi dawno powędrowało do nowego domu, więc mogły już być rozdzielone z matką.

– Bo Flo mówi, że nie może go jeszcze zabrać. Podobno gdzieś wyjeżdża i nie da rady na razie zaopiekować się maluchem.

– Dlaczego podobno?

– Bo gołym okiem widać, że ściemnia. Dobrze wie, że jak tylko szczeniaki zostaną oddane, Nusia od razu pojedzie do schroniska w Białymstoku.

– No coś ty? Dlaczego?

– Musi zwolnić miejsce – burknęła Agnieszka. – I tak jest tu chyba dłużej niż powinna. I niestety, chociaż bardzo chciałam znaleźć jej dom, nie ma chętnych na ośmioletnią suczkę po przejściach, która w dodatku nie jest uroczą, puchatą kulką.

Rozmawiając przyciszonym głosem, zbliżyły się Arturka. Anna przykucnęła obok i potarosiła za uchem wariującego szczeniaka. Arturek przestał się z nim bawić i ucichł, wyraźnie zamyślony. Jego roześmiana buzia w ciągu zaledwie chwili zrobiła się zaskakująco poważna.

– Co jest, chłopaku? – zagadnęła go Anna, siląc się na żartobliwy ton. – Zmęczyłeś się? Może chcesz wracać do domu?

– Przecież dopiero przyszliśmy. – Ocknął się i popatrzył na nią zdziwiony.

– No tak, ale widzę, że już skończyłeś zabawę.

– Nie skończyłem. Po prostu sobie rozmyślałem.

– A możesz mi zdradzić, nad czym?

– Bo ja... Bo ja rozmyślałem, czy moja babcia zgodziłaby się, żebym miał psa. Myśli pani, że by się zgodziła? – spojrzał na Annę z nadzieją w oczach. Ta odwróciła się do Agnieszki, oczekując wsparcia. Domyślała się, o którego psa może chodzić. Podobnie jak Agnieszka, bo też przycupnęła obok, gładząc chłopca łagodnie po plecach.

– Ale kochanie... Wiesz przecież, że Tin Tin tak naprawdę należy do Flo. Dlatego nie mógłbyś go zabrać, nawet gdyby babcia się zgodziła.

– Ale ja wcale nie chcę Tin Tina! – Chłopiec wydawał się zdziwiony jej słowami. – A Florka dawno mi powiedziała, że to jej piesek. Zresztą i tak bym go nie chciał, bo ja bym chciał... Bym chciał Nusię.

Agnieszka zmarszczyła czoło, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Anna ją uprzedziła.

– Dobrze. Pójdziemy dziś do twojej babci i porozmawiamy o tym. Namówimy ją razem, żeby pozwoliła ci przycupnąć Nusię.

– Ale chyba najpierw powinnaś z nią sama, zanim... – syknęła Agnieszka, zerkając znacząco na Arturka. – Może robisz mu niepotrzebną nadzieję.

– Wiem. – Anna zacisnęła na chwilę usta. – Wiem! Ale wiem też, że temu chłopcu jest równie mocno potrzebny ten pies, jak temu psu ten właśnie chłopiec – powiedziała dobitnie, nie bacząc już, że malec ją słyszy. – To musi się udać – dokończyła już szeptem. – Musi.

Wtorkowy poranek rozpoczął się niemal tak samo, jak poniedziałkowy.

Arturek z kotem pod pachą sadowił się na tylnym siedzeniu samochodu Anny. W rękach ścisnął czerwone szelki i smycz. Co chwila zaglądał w oczy siedzącej obok babce i uśmiechał się szeroko, prezentując brak dwóch górnych jedynek. Anna odkryła to dopiero niedawno, co uświadomiło jej, jak rzadko maluch się wcześniej uśmiechał. Właściwie prawie nigdy, a jeżeli już, to bardzo powściągliwie, i pochylając lub odwracając głowę. Uśmiech, jaki jaśniał na jego obliczu obecnie, widziała na pewno po raz pierwszy.

– Gdybyś nie miał uszu, śmiałybyś się na okrągło – rzuciła żartobliwie. – Dookoła głowy!

Arturek zachichotał i przytulił do siebie kota, z powodu podekscytowania trochę zbyt mocno. Kocisko wydało ostrzegawcze miauknięcie i obejrzało się z wyrzutem na swojego opiekuna, który od razu pocałował je w czarne ucho.

– I na pewno nie będą się ze sobą darły? – upewniała się po raz nie wiadomo który pani Więckowa, patrząc z niepokojem na kota. – Bo tego, to już bym nie dała rady wytrzymać.

– Nie będą, babciu – zapewnił ją gorliwie wnuczek. – Nusia bardzo lubi FILONKA. A on ją.

– To prawda, pani Zosiu, widziałam na własne oczy – potwierdziła Anna i nie bez przyjemności zerknęła we wsteczne lustro, w którym odbijały się dwie, bez wątpienia szczęśliwe twarze.

Poprzedniego dnia wracała z lecznicy pełna obaw, że pod wpływem impulsu postąpiła pochopnie, dając dziecku być może złudną nadzieję na to, że Nusia z nim zamieszka. Nie była pewna, jak sąsiadka zareaguje na ten pomysł. Na szczęście w misji, której się podjęła, wsparła ją matka.

Wieczorem, korzystając z tego, że Arturek i Franek uczą Beki i FILONKA sztuczek, zapukały do sąsiadki. Rozmowa, tak jak przewidywały, nie była łatwa. Argumenty – że ośmioletnia suka nie będzie gryzła kapci, że z powodu choroby stawów nie potrzebuje długich spacerów, że jest łagodna, dobra i przede wszystkim bardzo samotna – nie odniosły takiego rezultatu jak ten, że dzięki niej Arturek będzie szczęśliwszy i być może mniej rozpaczliwie będzie tęsknił za mamą. Wahania babki rozwiązał ostatecznie on sam, obiecując, że zaopiekuje się psem tak samo troskliwie, jak FILONKIEM.

Już w lecznicy, Anna przetarła oczy ze zdziwienia.

– *Déjà vu?* – mruknęła do siebie, a babka Arturka zaczęła kręcić się niespokojnie, zapewne sądząc, że Anna kieruje pytanie do niej.

Dokładnie tak, jak poprzedniego dnia, Arturek wyskoczył z samochodu i popędził do przychodni, mówiąc pośpieszne „dzień dobry” siedzącej na schodach Agnieszce, która w identycznej jak wcześniej zadumie przyglądała się służbowemu autu.

– Co chcesz tam jeszcze wypatrzeć! – krzyknęła Anna z daleka do koleżanki.

– Chodź i zobacz sama – odparła Agnieszka.

Anna okrążyła samochód i zamarła kompletnie osłupiała. Na karoserii widniał duży żółty napis: **MORDERCZY尼亚**.

– O Matko Bosko – wyszeptała ze zgrozą pani Zosia, która przydreptała za Anną, i złożyła ręce w nabożnym geście, a potem szybko się przeżegnała.

– O co tu chodzi? – wykrztusiła wreszcie Anna.

– Wygląda na to, że żartowniś wrócił dziś w nocy i dokończył, co zaczął. Wcześniej prawdopodobnie coś go spłoszyło. Jak widać, tym razem udało mu się wymalować wszystkie literki.

– A nawet o jedną za dużo. – Anna przyglądała się napisowi krytycznie. – Morderczynia? Co to za słowo? I kogo ty właściwie zamordowałaś, jeśli oczywiście możesz nam to zdradzić.

– Nie wiem, ale możliwości jest całkiem sporo – odparła w zadumie. – Nie wszystkich pacjentów udaje mi się wyleczyć. Może ktoś uznał, że za mało się postarałam, by uratować jego zwierzątko? W sumie to nawet nie mogę mieć o to specjalnych pretensji. Ktoś prawdopodobnie nie poradził sobie z emocjami i w ten sposób dał im upust. Powinłam mu właściwie współczuć i cieszyć się, że nie zrobił

czegoś gorszego, innym albo sobie. Zresztą, zaraz przyjedzie Fabian i zmyje to wreszcie. Dzwonił już, że kupił ten preparat. Dobrze, że nie zabrał się za to już wczoraj, bo męczyłby się całkiem niepotrzebnie. A i sprawca miałby więcej roboty. – Zażartowała, choć widać było, że wcale nie jest jej do śmiechu.

– I co najważniejsze, mamy w końcu pewność, że nie zrobiła tego żona pana Waldka – podchwyciła mimo to Anna, szturchając koleżankę w bok.

W tym samym momencie z głębi lecznicy usłyszały rumor i śmiech. Na zewnątrz wybiegł Arturek z Niusią na smyczy i Flo z Tin Tinem na rękach

– A jak się stęskni do mamy? – Chłopczyk zatrzymał się nagle i spoważniał, zerkając niepewnie na szczeniaka.

– Będziemy was odwiedzać. Jak często się da – zapewniała go dziewczyna. – A Tin Tin będzie miał u mnie dobrze. Nie martw się.

– Niusi też będzie u nas dobrze – oświadczyła pani Zofia.

Zbliżyła się do psa i ostrożnie dotknęła wierzchem dłoni jego nosa, pozwalając mu oswoić się z nową dla niego wonią. Suczka z kolei polizała ją i oparła swoje krzywe łapki o jej spódnicę. Kobieta pochyliła się i ujęła w dłoń jej mordkę.

– Oj, będzie ci u nas dobrze, zobaczysz – powtórzyła wzruszona, głaszcząc psa pod brodą.

Następnego ranka Annę obudził telefon od Agnieszki.

– Tylko mi nie mów, że ktoś znów nazwał cię morderczynią – wychrypiła, wciąż jeszcze zamroczone snem.

– Nie, tym razem nie morderczynią.

– A czym? – Słyszając dziwny ton głosu przyjaciółki, rozbudziła się natychmiast i podniosła głowę, podpierając ją dłonią.

– Suka. – Usłyszała w odpowiedzi, a potem w słuchawce zapadła cisza. Annie również na krótką chwilę odebrało mowę. W końcu jednak zebrała się w sobie i odezwała się ostrożnie.

– Skoro ktoś zrobił to po raz drugi, może chodzi o coś poważniejszego niż niewyleczone zwierzątko?

– Sama już nie wiem, co mam o tym myśleć...

– Zaraz do ciebie przyjadę. Może razem coś wymyślimy.

– Oby tylko coś mądrzejszego niż Fabian – westchnęła. – Z panem z Waldkiem planują urządzić dziś zasadzkę. Twierdzą, że skoro sprawca przyszedł już trzy razy, to zapewne pojawi się i czwarty. Szczególnie gdy odkryje, że napis znów został usunięty.

– A wiesz, że oni mogą mieć rację? – Zamyśliła się Anna. – Może to jest jakieś rozwiązanie?

– Opanuj się, Anka! Nie wiemy, kto to jest i do czego jest zdolny. A jak zrobi im krzywdę?

– Fakt. Potrzebują wsparcia, kogoś, kto stanie na czatach i w razie czego wezwie policję.

– Jeezu... Ty chyba nie mówisz poważnie?

– Oczywiście, że poważnie. Zaraz zadzwonię do pana Fabiana i wszystko z nim omówię.

– Zwariowałaś!

– Uważam, że to jedyne wyjście, bo nie sądzę, by policja zajęła się tym jak należy i ujęła sprawcę tak szybko, jak może się to udać nam, jeżeli tylko odpowiednio się postaramy. Nie chcesz chyba do końca świata zmywać z auta żółtych napisów? No chyba, że się artyście skończy emulsja do ścian, wtedy pewnie zainwestuje w inny kolor, może trwalszy, albo na przykład przyniesie gwóźdź czy inne ostre narzędzie, którym...

– Anka!

– Przepraszam. Nie chcę cię straszyć, ale uświadomić, że jeśli nic z tym nie zrobimy, to ten ktoś może posunąć się dalej. Dlatego trzeba mu w tym przeszkodzić. I przy okazji ustalić, kim jest. Wierzę, że nam się to uda.

– Jednak zwariowałaś... – Usłyszała przepelniony grozą szept Agnieszki.

– Nie ma powodu do paniki! To z pewnością jakiś miejscowy desperat. Nie sądzę, by był groźny. Pewnie wystarczy przemówić mu trochę do rozsądku i będzie po wszystkim.

– Obyś miała rację – odparła ponuro. – Że to tylko jakiś miejscowy.

Anna nagle spoważniała.

– Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

– Chyba tak.

– Spotkamy się, żeby o tym pogadać?

– Właściwie dzwonię do ciebie głównie w tej sprawie. Przed chwilą odezwała się do mnie Anita. Przyjeżdża do Bujan. Postanowiłyśmy wprosić się do ciebie na werandę dziś wieczorem. Pomyślałam też o Bożenie.

– Rewelacja! Cieszę się, że Anicie udało się wreszcie wyrwać z macek pracoholizmu. Zadzwonię zaraz do Bożki i zrobimy sobie babskie popołudnie i wieczór, a potem noc kryminalno-detektywistyczną.

– To się jeszcze okaże – mruknęła Agnieszka. – A co do wieczoru, przyniesiemy dobre wino i jakieś sery. Nie rób nic więcej. Kończę, bo mam pacjenta. Pa!

Anna odłożyła telefon i opadła na poduszkę. Miała zamiar jeszcze trochę się zdrzemnąć, ale emocje jej na to nie pozwoliły. W końcu wstała i poszła do łazienki. Założyła swój welurowy dres. Uznała, że to najbardziej odpowiedni strój do sprzątanania. Od kilku dni planowała większe domowe porządki i postanowiła wreszcie się tym zająć. W ten sposób o wiele szybciej minie jej czas do wieczornego spotkania, którego nie mogła się już doczekać.

Chwilę później usiadła przy stole i popijając wolno kawę, zerknęła na kuchenne szafki i półki. Zastanawiała się, od której zacząć. Za szybą kredensu dojrzała pokaźny plik świątecznych kartek i uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Wyjęła je stamtąd, żeby przejrzeć i zdecydować, co z nimi zrobić. Okazało się, że są tam nie tylko wielkanocne, ale i bożonarodzeniowe życzenia. Zdążyły pokryć się cieniutką warstewką kurzu, który wzbił się, gdy Anna przetasowała kartki, kichając przy tym raz po raz.

– Zdrówko! – Roześmiała się Maria, wchodząc właśnie do kuchni.

– Dobrze, że jesteś, mamuś. Zaparzyłam ci kawę – powiedziała Anna, kwitując swoje słowa kolejnym potężnym kichnięciem.

– Odłóż to wreszcie, bo się zakichasz na śmierć – poradziła jej matka.

– Właśnie miałam cię spytać, czy mogę je wyrzucić.

– Możesz. Tylko zerknij, czy nie ma tam wizerunków świętych, bo tych nie można do kosza.

Trzeba spalić.

– Dlaczego?

– Bo tak, i już.

Anna jeszcze raz przetasowała plik, tym razem na wszelki wypadek wstrzymując oddech. Spomiędzy kartek wysunął się biały pasek papieru i opadł wolno na podłogę. Podniosła go, by podać matce, ale najpierw sama mu się przyjrzała.

– Kartka do spowiedzi wielkanocnej? – Zdumiała się. – To one nadal są tu wypisywane?

Maria wzięła paperek z rąk córki i westchnęła zrezygnowana.

– Oczywiście. Podczas każdej kolędy. Ależ ja się tego naszukałam! Wiesz, jaki miałam przez to kłopot?

– Nie żartuj! Bez kartki nie dało się wyspowiadać?

– Dało, ale anonimowo. I w dokumentach by zostało, że u spowiedzi nie byłam.

– Mamo! Nie powiesz mi chyba, że one są nadal imienne, a ksiądz z ambony wyczytuje nazwiska osób, które nie były u spowiedzi?

Anna przypomniała sobie, że nie tylko w Bujanach panowały takie zwyczaje, w czasach gdy sama jeszcze nie przystąpiła do komunii świętej i nie miała się czego obawiać.

– No co też ty za bzdury opowiadasz, dziecko! Oczywiście, że są bez nazwisk. Jest numer z księgi parafialnej i samo imię, a z ambony czytane było tylko, ile osób z danej ulicy nie przyszło do spowiedzi, ale teraz to już raczej i tego się nie robi.

– I co w końcu zrobiłaś, w związku z tą kartką? Poszłaś po drugą?

– Chciałam, ale jakoś tak mi niezręcznie było. Pomyślałam, że lepiej wezmę czystą i napiszę oświadczenie.

– Co takiego?

– Oświadczenie. Że kartka zaginęła, ale ja, Maria, zapisana w księdze parafialnej pod numerem takim a takim, przystępuję do wielkanocnej spowiedzi świętej.

– Nie wierzę... Przecież te kartki to jakieś średniowiecze!

– Nie, kochanie. To nie jest średniowiecze, ale tradycja. Coś, co było zawsze i Bogu dzięki nadal jest. I oby trwało jak najdłużej. Bo jak zaginie nasza tradycja, to zginiemy i my. Bo cóż będziemy warci bez tego, co nas tak naprawdę stworzyło i ukształtowało?

– Przestań! Świat się zmienia, cały czas pędzi naprzód. I jeśli człowiek stanie w miejscu, to inni go rozdepczą.

– Więc trzeba stać tam, gdzie zatrzymali się tacy jak on. Nie wszyscy przecież pędzą jak owieczki za resztą stada, albo szczury, lecz idą sobie wolniutko i się rozglądają. Dzięki temu mogą zobaczyć, jak wokół jest ładnie. I zdążą dostrzec obok siebie innych ludzi, przystanąć i porozmawiać...

- Takich miejsc już nie ma.
- Jest ich coraz mniej, ale na szczęście nadal istnieją.
- Na przykład w Bujanach... – uzupełniła mimowolnie.

Jej matka przytaknęła.

- I dlatego wciąż dostajesz tyle kartek na święta, zamiast maili i SMS-ów, jak inni.
- Pewnie tak.

– Według mnie, nie powinnaś ich wyrzucać. – Anna podała jej plik. – Zostaw sobie na pamiątkę, bo kiedyś przestaną przychodzić. Zastąpią je elektroniczne życzenia. Ludzie nie mają czasu pisać ich długopisem, nalepiać znaczków i wystawać w kolejce na pocztę, albo im się chce. Kiedyś nadejdzie taki dzień, że listonosz nie przyniesie ci ani jednej kartki.

– A ja wierzę, że jeśli w przyszłym roku nie dostanę ich tyle samo, co zwykle, to tylko dlatego, że ktoś nie może mi wysłać już żadnych życzeń. A jeśli przestaną w ogóle przychodzić, to raczej dlatego, że mnie już tu nie będzie. – Uśmiechnęła się, zwracając jej kartki. – Możesz spokojnie się ich pozbyć.

Anna sięgnęła po leżące na okapie kuchennym zapalki.

- Lepiej spalę je po prostu wszystkie. Tradycyjnie – zdecydowała.

Wytaszczyła z szopy żeliwny grill i wrzuciła do niego kartki. Przez moment przyglądała się, jak trawi je ogień, i jak szybko zmieniają się w garstkę żarzących się, szarych płatków. Zamknęła pokrywę grilla i usiadła w ogrodowym fotelu. Odchyliła głowę, wpatrując się w niebo, z kilkoma tylko zastygłymi w kompletnym bezruchu pierzastymi chmurkami.

„Tutaj chyba naprawdę czas stanął w miejscu” – pomyślała z nagłym rozrzewnieniem. „Wszyscy wokół ciągle gdzieś pędzą, a tu ludzie jak tylko zrobią dwa kroki w przód, zaraz cofają się o jeden, w dodatku ciągle oglądając się za siebie”.

Przypomniały jej się podlaskie ławeczki i to, co mówił o nich Wojtek. Że na Podlasiu ludzie nadal mają czas dla innych. Że nie zostawią nigdy sąsiada w potrzebie i udzielią mu pomocy, na ile będą w stanie. Nawet jeśli ktoś z tutejszych okaże się złym człowiekiem, skatuje kozę albo wywiezie ciężarną sukę do lasu, natychmiast znajdą się inni, którzy to naprawią, a nawet spróbują stłamsić zło, które siedzi w nich samych. Jak Fabian. I potrafią zdobyć się na to, by zrobić coś dla innych, nawet gdy sami są w potrzebie.

Zawsze jest ktoś, na kogo można liczyć. Niekiedy też dzieje się tak, że człowiek nie musi już na nikogo liczyć, bo zaczyna radzić sobie sam, a to, co wydawało się końcem wszystkiego, tak naprawdę zmienia się w początek.

- Miejsce Mocy – uśmiechnęła się. – Tak naprawdę jest właśnie tutaj.

Wielkie, szeroko otwarte oczy dziecka wpatrywały się w trzy pochylające się nad nim kobiety, a każda z nich upierała się, że spogląda ono właśnie na nią. Aby to udowodnić, każda z osobna umizgiwała się do niemowlęcia, szczebiocząc, cmokając i potrząsając energicznie kolorowymi grzechotkami.

Bożena stała nieopodal i przyglądała się temu z rozbawieniem.

– Dobra! – Zarządziła w końcu. – Wystarczy tej adoracji. Nie zapominajcie, że to jednak facet, więc niewiele trzeba, żeby uwierzył w tę swoją doskonałość.

– Ależ on jest doskonały! – wykrzyknęła Anita. – Cudowny i taki słodziusi do schrupania, z tymi swoimi pulchnymi łapczkami. Ti, ti, ti... – zaszczebiotała znów, pochylając się nad wózkiem.

Agnieszka ze śmiechem szarpnęła ją za pasek od spodni.

– Nie bój się, Stasięku. Ciocia Aga cię uratuje przed tą wstrętną Babą Jagą, która zjada dzieci.

Na Stasięku żart nie zrobił najmniejszego wrażenia. Przyglądał się im z kamiennym spokojem, dopóki nie zaczęły opadać mu powieki. Zanim kobiety zdążyły nasycić się i nacieszyć jego widokiem, zasnął.

– Zamęczyłyście go – skwitowała Anna. – I padł. Prawdopodobnie również z powodu niedoboru tlenu.

– I bardzo dobrze. – Ucieszyła się Bożena. – Pośni co najmniej godzinę, a ja będę mogła spokojnie z wami posiedzieć. Macie coś do picia, prócz wina?

Bożena omiotła wzrokiem stół, na którym znalazły się wyłącznie winne przekąski: sery, w tym oczywiście te kupione na jarmarku w Kiernusach, prosciutto z melonem, oliwki, winogrona i świeżo wyłuskane orzechy włoskie. W fajansowej miseczce pysznie czerwieniła się konfitura z żurawin własnoręcznie zebranych przez ojca Anny na nadbiebrzańskich bagnach.

– Dla ciebie jest woda, sok i kompot rabarbarowy z melisą. Wstawiłam do lodówki. – Anna się poderwała. – Zaraz przyniosę.

– Wystarczy mi woda! – krzyknęła za nią Bożena. – Byle dużo.

Obie z Anitą rozsiadły się w wiklinowych fotelach. Natomiast Agnieszka ostrożnie przestawiła wózek ze śpiącym dzieckiem w kąt. Kiedy Anna wróciła z dzbankiem pełnym wody mineralnej z cytryną i miętą, przyjaciółka wciąż stała przy wózku, przyglądając się chłopczykowi. Anna podała szklanke z napojem Bożenie. Znad jej głowy nadal popatrywała na znieruchomiałą nagle Agnieszkę. Wychyliła się, by ją przywołać, ale poczuła, jak Bożena przytrzymuje ją za rękę.

– Zostaw – powiedziała szeptem, podążając za jej wzrokiem.

– Ale dlaczego? – Zdziwiła się Anna. – Przecież Staś jest bezpieczny. Śpi sobie, nic mu nie będzie.

Bożka obejrzała się na nią zdziwiona.

– Ale przecież nie o to chodzi. Ty naprawdę nic nie wiesz?

Anna przysiadła naprzeciwko niej zdezorientowana.

– Nie chodzi o Stasia, ale o Agę, tak? Coś się stało? Spotkało ją coś złego? Czy właśnie dlatego wróciła do Bujan? Wspominała, że chce dziś o czymś z nami porozmawiać – urwała, widząc nadchodzącą Agnieszkę. Z wyrazu jej twarzy można było wywnioskować, że usłyszała przynajmniej ostatnie zdanie i domyśliła się, że przyjaciółki rozmawiają o niej.

– To właściwie już nic ważnego – oznajmiła, potwierdzając przypuszczenia Anny.

– Ale jak to? Wydawało mi się, że masz jakieś swoje podejrzenia w sprawie tych napisów.

– To dlatego, że przez chwilę wpadłam w panikę i coś mi się przywidziało. Osoba, którą podejrzewałam, z pewnością nie mogła tego zrobić. I nie mówmy już o tym, dobrze? Dziś mam ochotę po prostu napić się wina.

– I ja! – podchwyciła Anita, mocując się z korkociągiem. – Strasznie się za wami stęskniłam,

dziewczyny!

– Szkoda tylko, że Lilki nie ma. – Zauważyła Bożena. – Kiedyś byłyście przecież nierozłączne.

– A właśnie! – Agnieszka sięgnęła po kieliszek z rubinowym płynem, niemal zanim Anita skończyła go napełniać. – Wspominałaś kiedyś o Lilce, że spotkałaś ją jakiś czas temu. I co?

– I to, że chyba lepiej by było, gdybym się z nią nie spotykała. – Anna wzięła głęboki oddech. – I chociaż zupełnie nie mam na to ochoty, chyba lepiej będzie, jeśli wam opowiem, co się stało.

Gdy kobiety słuchały relacji ze spotkania z ich wspólną przyjaciółką, wciąż przerywanej krótkimi chwilami milczenia tuszowanymi upijaniem małych łyżek wina z obracanego nerwowo w palcach kieliszka, Anna z uwagą obserwowała ich reakcje. A gdy tylko skończyła mówić, nie miała już odwagi spojrzeć w twarz którejkolwiek z nich. Wciąż nie wiedziała, w którym miejscu popełniła błąd w sprawie Lilki, ale czuła się winna temu, co się stało. Dlatego czekała coraz bardziej skruszona, aż któraś z przyjaciółek bezceremonialnie jej go wytknie, podenerwowana przedłużającą się ciszą.

– Czy wspominała o swoim mężu? – Pierwsza odezwała się Anita.

– Chyba tak, to znaczy nie wiem, nie pamiętam... – Anna zająknęła się. – O dzieciach coś mówiła, że niesforne.

– Z pewnością nie tak bardzo, jak ich tata. – Jej przyjaciółka prychnęła ironicznie. – Zadufany w sobie megaloman, który nie widzi niczego ponad czubek własnego nosa, tkwiącego zresztą przez większość czasu w kieliszku.

– A ty, Nitka, skąd o tym wiesz? – Zainteresowała się Agnieszka.

– Bo przekonałam się niestety na własnej skórze – odburknęła. – Miałam wątpliwą przyjemność obcować z tym panem, kiedy na prośbę Lilki zatrudniłam go w warszawskiej filii mojego biura.

– Widziałaś się z Lilką i nic nie powiedziałaś?

– Nie widziałam jej. Zadzwoiła do mnie tylko. Prosiła o pomoc w znalezieniu pracy dla jej męża. Twierdziła, że jest zdolnym architektem, który wskutek jakiegoś spisku stracił etat. Zatrudniłam go więc w moim biurze nieruchomości, jako agenta, z ogromnymi wyrzutami sumienia, że tylko tyle mogę mu zaproponować z jego kwalifikacjami. I trwałabym pewnie w tych swoich wyrzutach do dziś, gdyby ten, pozał się Boże, pseudoinżynier, już po tygodniu niby-pracy nie zdemolował mi po pijaku biura.

– Pseudoinżynier? – Zdziwiła się Bożena.

– No przecież mówię! Bo wkrótce wyszło na jaw, że on tej architektury w ogóle skończył. Studiował tylko trzy lata, a potem rzucił studia, czego, o ja głupia naiwna, nie sprawdziłam. Zatrudniłam go na tak zwaną gębę ze względu na przyjaźń z jego żoną, która zresztą z premedytacją mnie oszukała. Wyraźnie zasugerowała, że mężulek skończył studia.

– Lilka przecież też nie skończyła – zauważyła Agnieszka. – Może w związku z tym głupio jej było się przyznać, że i jej mąż.

– No ale Lilka nie skończyła chyba dlatego, że była w ciąży. Więc to co innego – odezwała się Bożena. – Ani to jej wina, ani wybór.

– Bzdura. Sama słyszałam, jak się przechwalała, że nie będzie się męczyć na jakiejś głupiej ochronie środowiska, czy co tam ona studiowała, bo jej dziani teściowie planują wkrótce przepisać swoją firmę synusiowi, więc studia nie będą jej do niczego potrzebne. A ciąża miała być jedynie przykrywką – sarknęła Anita, odstawiając energicznie na stół kieliszek, z którego wystrzeliły czerwone krople. – A ty, Bożka, jesteś najlepszym przykładem na to, że można wychowywać dziecko i studiować, jeśli tylko komuś zależy. I tym samym, osiągnąć coś samemu, zamiast liczyć na gotowe gołąbki do gąbki. Bo te gołąbki mogą niespodziewanie odfrunąć. I zostanie tylko rozdziawiona zdziwiona gęba. Pusta i głodna. O ile chciwiec wcześniej się tymi gołąbkami nie udławi. – Rozumiem, że wbrew ich nadziejom teściowie nie przepisali im w końcu tej firmy? – Agnieszka podsumowała jej wywód.

– Oczywiście, że przepisali. Ale synalek migiem wszystko przehułał, ponieważ zamiast interes rozwijać, po prostu konsumował. Razem z Lilką. Pamiętacie przecież, że kiedy myśmy zakuwały do kolejnych sesji, ona latała co rusz na Karaiby, Dominikany i Majorki.

– To coś, jak w tej bajce o koniku polnym i mrówce. – Zauważyła Agnieszka. – Konik hasał

i używał życia, podczas gdy mrówka pracowicie gromadziła zapasy na zimę i nie miała czasu na rozrywki. A potem rozżalony zdychał z głodu na progu najedzonej do wypęku mrówki i dziwił się, dlaczego nie chce się z nim podzielić.

– Ja bym się podzieliła – odezwała się Bożena. – Mimo wszystko.

– Ale Anka przecież chciała się podzielić, tylko Lilka okazała się zbyt dumna, by przyjąć jej pomoc. – Obruszyła się Agnieszka, wstawiając się za przyjaciółką.

– Głupia, nie dumna, skoro odebrała to wszystko w ten sposób – uzupełniła Anita. – W dodatku perfidnie zazdrosna. Myślę, że tylko dlatego tak się zachowała.

Milczały chwilę, już osobno rozważając wszystko to, co zostało przed chwilą powiedziane.

– Może jednak zbyt pochopnie ją oceniamy? Nie wiemy przecież, jak to teraz jest u nich naprawdę. Pozory mogą mylić, przekonałam się o tym niedawno na własnej skórze, i to nie raz. – Anna zerknęła niepewnie na wciąż wzburzone twarze koleżanek. – I myślcie sobie, co chcecie, ale przy najbliższej okazji zadzwonię do niej i spróbuję z nią porozmawiać, jakoś to wyjaśnić. Przecież to w końcu nasza przyjaciółka...

– Przyjaciółka, mówisz? A czy ona zapytała, co z tobą, zanim cię prawie opluła za posiadane bogactwo? – zaperzyła się Anita. – I czy chociaż do ciebie zadzwoniła, kiedy ty potrzebowałaś wsparcia po tym, jak ...

– Nitka, dosyć! – przerwała jej Agnieszka. – I zanim kogokolwiek osądzisz, przypomnij sobie, że myśmy też do niej nie zadzwoniły... – Zerknęła na Annę nieco speszona.

Ta jednak wydawała się nie słyszeć ostatniej uwagi lub, co było bardziej prawdopodobne – udawa, że jej nie słyszy. Jak gdyby nigdy nic sięgnęła po kiść winogron i uniosła ją wprost do ust.

– Pozwólcie, że postawię w tym momencie kropkę. Zakończmy ten temat. Zostawmy to na razie w spokoju, na inny, lepszy czas – poprosiła. Rozgryzła soczysty owoc i wypluła na dłoń kilka pestek. – Póki nie dowiemy się czegoś więcej, nie ma co dywagować i niepotrzebnie się nakręcać. Zresztą, to miał być fajny babski wieczór, a zrobiło się trochę jakby ponuro.

– To może winka? – Anita podniosła butelkę, uśmiechając się szelmowsko. – Bo ja ostatnio słyszałam, całkiem przypadkiem, że wy tu z Agnieszką ostro beze mnie imprezujecie.

– A może następnym razem po prostu wybierzesz się z nami do Pubu u Bolka, co? – Agnieszka zerknęła na Annę z ukosa, mrugając do niej porozumiewawczo. – O ile się nie boisz. Bo twój szanowny małżonek może być zazdrosny o takiego chociażby pana Waldka.

– Właściwie to nawet chciałabym, żeby się dowiedział i był choć ociupinkę o mnie zazdrosny. – Anita zrobiła cierpiętniczą minę. – Ale on nie ma na to czasu, tak jest zarobiony przy tych wszystkich damskich pośladkach i cyckach.

– O brzuchach zapomniałaś – dorzuciła Agnieszka, zasłaniając usta pełne oliwek i sera.

Jej uwaga spowodowała, że zachichotały zgodnie.

– Pośladki, cycki i brzuchy? – Zdziwiła się Bożena, ale już po chwili uderzyła się w czoło. – No tak, pamiętam, przecież jest lekarzem. Mam rozumieć, że ginekologiem, tak? – spytała, wywołując u koleżanek kolejny atak śmiechu.

– Dobrze by było – wyjęczała Anita, trzymając się za brzuch. – Niestety, Antoś jest chirurgiem plastycznym. Zajmuje się odsysaniem, podciąganiem, napompowywaniem i co tam mu akurat wypadnie. Cycków, pośladków, brzuchów, no i oczywiście twarzy przede wszystkim.

– To wiele wyjaśnia. – Bożena z zakłopotaniem podrapała się w policzek. – Pamiętałam, że lekarz, ale zapomniałam jak bardzo praktyczną ma specjalizację. Może kiedyś poproszę cię o rekomendację i sama skorzystam?

– A po co ci to?

– Czy ja wiem... Może by się już przydało coś tu... – Bożena wciągnęła demonstracyjnie policzki i kciukami podniosła do góry zewnętrzne kąciaki oczu. – O, i tu...

– Może po prostu włosy mocniej zwiąż, będziesz miała ten sam efekt – poradziła jej Agnieszka, starając się brzmieć poważnie, ale jednocześnie dusząc się ze śmiechu.

– Słuchaj, a tak już zupełnie serio, nie kusilo cię kiedykolwiek, żeby sobie tu i ówdzie, to i owo

poprawić? – Zainteresowała się nagle Anna.

– A co niby miałabym sobie poprawiać? – Anita wytrzeszczyła oczy w szczerym zdumieniu.

– Eee, no tak... Właściwie tak, głupio się pytam... – wyjąkała Anna niepewnie, powodując, że Bożena i Agnieszka prawie spadły pod stół.

Nitka tym razem naprawdę nie rozumiejąc, co jest powodem tak wielkiej radości przyjaciółek, przyglądała się im zgorzozona.

– O co wam chodzi, wariatki?

– Bo co niby miałabyś sobie poprawiać? Przecież ty jesteś i d e a l n a !

– Oczywiście, że jestem. – Wypięta z godnością dekol, falując dumnie biustem, wygładziła spodnie opinające się na obfitych, jędrnych udach i wyprostowała się wyniośle. – To kwestia samoakceptacji. Lubię siebie taką, jaka jestem i nie chcę niczego zmieniać. Zresztą, mój Antoś też by nie chciał, a ja jestem pewna, że nigdy nie pozwolę mu na sobie eksperymentować... Chociaż... – Zastanowiła się. – Właściwie jest jedna taka rzecz, pewna zmiana w życiu, na którą niewątpliwie wpłynęła profesja mojego męża.

Wszystkie kobiety natychmiast nadstawiły uszu i skupiły na niej ogromnie zaciekawione spojrzenia, oczekując zapewne wstrząsającej sensacji. Po Anicie rzadko można było spodziewać się mniej.

– No! – ponagliła ją Agnieszka wyraźnie zniecierpliwiona. – Mów wreszcie, co tam sobie podciągnęłaś.

– A ta swoje! – Nitka westchnęła teatralnie. – Naciągnąć, nie naciągnęłam, ale za to definitywnie pożegnałam się z ćmikiem. Znaczą rzuciłam palenie.

– No tak, skoro mąż lekarz. – Bożena pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Przestań, akurat opowieści o raku i płucach pokrytych smolistą mazią nie robiły nigdy na mnie wrażenia. – Pokręciła pobłaźliwie głową. – Wiele lat paliłam jak smok, oczywiście z przerwą na urodzenie chłopaków. Jednak kiedy jeszcze pracowałam w recepcji w klinice Antoniego, zauważyłam, że jego częstymi klientkami były kobiety pragnące korekcji ust. Chodziło im o pozbycie się tych pionowych bruzd, wiecie, takich właśnie najbardziej charakterystycznych dla palaczek. Przyjrzałam im się dobrze, i u tych z najdłuższym nikotynowym stażem usta wyglądały jak koci zadek.

– Przestań! – parsknęła Bożena i skrzywiła się ze wstrętem. – Koci zadek na twarzy? To obrzydliwe!

– Z punktu wyłącznie zawodowego, mam wrażenie, że koci zadek pachnie zdecydowanie lepiej niż usta wieloletnich palaczek – zawyrokowała bezlitośnie Agnieszka.

– Same więc widzicie, czego udało mi się uniknąć. Pamiętam, że wtedy spojrzałam w lustro i oczyma wyobraźni zobaczyłam przyszłość. Siebie z kocim zadkiem na twarzy. Tego dnia wypaliłam ostatniego papierosa w swoim życiu.

– Ale korekcja takich bruzd nie jest chyba zbyt skomplikowana, prawda? Podobno coś się w nie wstrzykuje. – Anna bezwiednie pomacała własne wargi, robiąc z nich ryjek.

– Zgadza się. – Przytaknęła Anita. – Kwas hialuronowy, albo na przykład własny tłuszcz, niekiedy pobrany z pośladka, bo tam jak wiecie, zwykle go najwięcej.

– Super! Wtedy człowiek nosi na twarzy nie koci, ale własny zad! – Ucieszyła się Bożena.

– A powiedzenie „pocałuj mnie w dupę” nabiera całkiem nowego znaczenia! – zawtórowała jej Agnieszka.

Ich tłumiony początkowo chichot zmienił się w gromki śmiech, przez co w stojącym nieopodal wózku zaczął ruszać się kocyk. Anna, która siedziała najbliżej i zauważyła to pierwsza, położyła sugestywnie palec na ustach i podbiegła do dziecka, próbując je ukołysać.

– Daj spokój, zostaw. – Bożena podniosła się zza stołu, rozpinając jednocześnie bluzkę. – Właściwie to już godzinę temu powinnam go nakarmić. Świeże powietrze dobrze mu zrobiło. Rzadko tak długo śpi.

Usiadła w fotelu, uwolniła z delikatnego koronkowego stanika pierś i przystawiła do niej niemowlę.

– Jakie to ładne. Aż zapiera dech. – Zachwyciła się Anita. – I wygodne! Nie musisz nosić ze sobą tych wszystkich butelek, kaszek podgrzewaczy, możesz nakarmić dziecko gdziekolwiek. Mnie, niestety, z moimi bliźniakami nie było to dane.

– Różnie bywa z tym karmieniem gdziekolwiek – zaprzeczyła Bożena. – Są tacy, którym to przeszkadza. Wczoraj na przykład byliśmy z małym u lekarza i zatrzymaliśmy się na chwilę w centrum handlowym. Mirek poleciał po zakupy, a ja przysiadłam na ławeczce w pasażu, żeby małego nakarmić, bo w samochodzie było za gorąco. Niestety, zaraz podszedł do mnie ochroniarz i poprosił, żebym poszła do toalety.

– Ale po co? – Zdziwiła się Anna.

– Spytałam go dokładnie o to samo, i wtedy zaczął kręcić, że niby tam mi będzie wygodniej i takie tam. Więc go spytałam, czy on też drugie śniadanie zjada w toalecie.

– Słusznie! – wykrzyknęła Anita. – Dobrze mu powiedziałaś, bucowi zacofanemu. I mam nadzieję, że nie poszłaś za jego radą.

– Oczywiście, że nie. I wtedy mi oświadczył, że niektórych ludzi, w tym i jego, krępuje ten widok, a nawet zniesmacza.

– A ty? – spytała Agnieszka lekko podekscytowana. – Co ty mu na to?

– A ja mu na to, iż mnie również krępuje i zniesmacza to, że on od dobrych paru minut stoi nade mną i gapi się na mój cycek. Od razu mnie zapewnił, że przecież nic nie widać, bo bluzka i głowa dziecka właściwie wszystko zasłaniają. A potem chwilę pomyślał, widać jakieś styczki w mózgu mu zadziały, bo zaczerwienił się jak burak, przeprosił i odszedł. A właściwie zwiął, bo zrobił to truchcikiem. W sumie miał szczęście, bo akurat nadszedł Mirek z zakupami, a z nim to już by była całkiem inna rozmowa.

– Ale zgłosiliście to gdzieś, co? – dopytywała Anita.

– Nie... Wiem, wiem, że powinnam, ale mały zaczął ryczeć i już mi się nie chciało. A poza tym wydaje mi się, że tamten facet chyba zrozumiał, jak głupio postąpił. Nie sądzę, by zrobił to kolejny raz.

Bożena skończyła karmić, przewinęła Stasia i zapakowała do wózka. Zerknęła jeszcze raz na zegarek.

– Przepraszam, ale muszę już iść. Zbliża się pora kąpienia. Jak ją przegapię, będzie marudny i w nocy nie da nam się wyspać.

– Odprowadzę was kawałek. – Anna chwyciła przednią część wózka, pomagając koleżance znieść go po schodach. – Poczekacie chwilę, co? – Odwróciła się do koleżanek.

– Jasne, idź. – Anita machnęła ręką. – Ja i tak muszę zajrzeć do Franka. Obiecałam pograć z nim trochę na konsoli.

– Jesteś pewna, że chcesz mu ją podarować? Bo ja nie wiem, czy mój syn może przyjąć taki drogi prezent. On zresztą też ma opory...

– Oj tam, przestań już. Przecież ci tłumaczyłam. To stara konsola moich bliźniaków. Od dawna jej nie używają, bo kupili sobie inną, to co ma się kurzyć. A ja też sobie z przyjemnością przy okazji pogram z Franiem, moi chłopcy rzadko mi pozwalają. Mówią, że za bardzo się przy tym nakręcam i ich denerwuję.

– Ja też bym chciała pograć! – Agnieszka uniosła palec. – Mogę? Nigdy tego nie robiłam i chętnie bym spróbowała. Tylko dajcie mi chwilę, pozanoszę klamoty do kuchni. – W pośpiechu zebrała ze stołu talerzyki i kieliszki po winie i poszła z nimi do kuchni.

Tymczasem Bożena z Anną, gdy tylko oddaliły się na stosowną odległość, przystanąły na chodniku.

– Poczekaj. – Bożena nagle zatrzymała wózek prowadzony przez Annę. – Domyślam się, że zamierzasz mnie o coś zapytać, na osobności. Dlatego zanim to zrobisz, odpowiem ci, że jest już dobrze.

– Czy to znaczy, że byłaś u specjalisty? Rozmawiałaś z kimś?

– Nie. Nie musiałam. Kiedy wróciliśmy ze Stasiem do domu, początkowo nie bardzo mogłam się w tym wszystkim odnaleźć, myślałam, że nie dam rady, ale przyjechał mój starszy syn i wszystko się zmieniło. Coś we mnie pękło, wylało się całe i jakby mnie oczyściło z wszystkich głupich myśli.

– Wcale nie były głupie.

- Były... No może nie głupie, ale irracjonalne.
- Irracjonalne już tak. – Zgodziła się Anna.
- Jakie by nie były, najważniejsze, że zniknęły... No może jeszcze nie do końca, bo czasem jednak myślę o... Basi.
- Bożka, Basia nigdy nie istniała.
- Wiem! Wiem i chyba właśnie dlatego tak trudno mi było się z tym pogodzić. Ale teraz jest dobrze, naprawdę. Miewam jeszcze takie trochę gorsze dni lub godziny, ale coraz rzadziej. Staś daje mi tyle szczęścia i radości, no i jeszcze okazało się, że Adrian przywiózł nam niespodziankę.
- Anna uniosła pytająco brwi.
- Przedstawił wreszcie swoją dziewczynę. Pierwszy raz! Wcześniej miał tam jakieś swoje małe miłości, ale dopiero tę zaprosił do domu. Wygląda to na coś naprawdę poważnego. Wyobrażasz sobie, że mogłabym teraz prawie jednocześnie zostać młodą mamą i babcią?
- Ejże! Nie wywołuj wilka z lasu! – Anna poklepała Bożenę po dłoni wspartej na ręczce wózka.
- Niech się jeszcze chłopak czegoś nauczy i nacieszy wolnością. A fajna chociaż ta jego sympatia?
- Bardzo! Otwarta, miła, pomocna, rozmowna. I śliczna! Sporo czasu spędziłyśmy razem, kiedy Adrian pomagał ojcu w firmie. Naprawdę świetna dziewczyna, dlatego mam nadzieję, że będzie z tego coś więcej. A wiesz, jak ona ma na imię? – Bożena zrobiła tajemniczą minę, zawiesiła głos i spojrzała na przyjaciółkę wyczekująco, z cieniem triumfu na twarzy. – Basia! Ma na imię Basia.

Jeszcze przed zmrokiem, pieszko, na leciutko miękkich nogach dotarły do lecznicy. Nadal w szampańskich humorach, również dzięki opróżnionym butelkom wina. Uznały zgodnie, że ostatnia, choć napoczęta, może im się jeszcze przydać. Dlatego Anita niosła ją ze sobą, przytrzymując palcem odytkający się ciągle korek i upijając dyskretnie od czasu do czasu małe łyżki trunku.

Na miejscu zastały Fabiana z panem Waldkiem. Pierwszy trzymał zwinięty na ramieniu gruby sznur, drugi dłużył łopatą w ziemi. Obaj dyskutowali zawzięcie, a z gwałtowności ich gestykulacji można było wywnioskować, że nie do końca są zgodni.

Po wysłuchaniu nieco chaotycznych wyjaśnień, podczas których pan Waldek bez przerwy przerywał Fabianowi, na co Fabian nie pozostawał mu dłużny, udało się wreszcie ustalić, że panowie przygotowują pułpkę, w którą mają nadzieję schwytać wandalę. Wspólnie uzgodnili, że przeciągną przez cały plac linę, której jeden koniec przywiążą do płotu, a drugi będzie trzymał pan Waldek, kryjąc się w pobliskich krzakach. Fabian tymczasem miał schować się za autem zaparkowanym przy ścianie przychodni tak, aby wandal miał do dyspozycji tylko jeden bok terenówki. Ustalili, że gdy zbliży się do samochodu, należy go przestraszyć, by od razu rzucił się w panice do ucieczki. Waldemar miał za zadanie pociągnąć za sznur i podciąć mu w ten sposób nogi. Wówczas do akcji miał wkroczyć Fabian, wyskakując z ukrycia i ostatecznie obezwładniając leżącego, wykorzystując jego zaskoczenie.

Do tego momentu obaj autorzy planu byli zgodni. Sporne pozostawały dwa fakty: kto i w jaki sposób ma wystraszyć intruza, oraz niepewność, czy ten ktoś mimo ciemności nie dostrzeże leżącego na ziemi sznura. Fabian proponował, by zakopać go płytko, co wyjaśniało obecność łopaty, natomiast jego kolega upierał się, że to zbędne. Powtarzał wciąż jak mantrę, że jego zdaniem, jak ktoś idzie popełniać przestępstwo, to nie patrzy pod nogi, ale rozgląda się raczej na boki.

Po dłuższej dyskusji, do której włączyły się kobiety, również niezbyt zgodne w tej kwestii, ustalono, iż sznur jednak zostanie lekko zamaskowany piaskiem. Nie doszło jednak do ostatecznego konsensusu, ponieważ nadal nierozstrzygnięta pozostawała kwestia sposobu zmuszenia wandalę do ucieczki, bez której użycie sznura nie miało sensu. Fabian co prawda proponował, że po prostu krzyknie groźnie zza samochodu, jednak wszyscy uznali, tym razem zgodnie, że nie jest to zbyt bezpieczne rozwiązanie, ponieważ intruz zamiast się przestraszyć, może go od razu zaatakować. Również okrzyk pana Waldka nie wydał się nikomu dobrym pomysłem, bo jeśli wandal rzeczywiście wykaże się odwagą, ruszy w jego stronę zapewne wzdłuż liny, przez co potknięcie się o nią stanie się niemożliwe, i tym samym bezpieczeństwo pana Waldka również zostanie zagrożone.

– A gdybyśmy tak poszły na górę, do mieszkania Agnieszki, i na przykład zapaliły nagle światła albo mocno trzasnęły oknem? – zaproponowała Anna. – Nie wbiegnie przecież na górę, żeby sprawdzić kto trzaska i czy przypadkiem nie wzywa policji, tylko od razu rzuci się do ucieczki. Prosto przez sznur. Wtedy pan Waldek szarpnie, pan Fabian się rzuci, a my od razu przybiegniemy mu pomóc.

– Wszystko pasuje, oprócz tego, że panie będą tu przybiegać – orzekł stanowczo pan Waldemar. – Sami tu se spokojnie poradzimy. We dwóch. Najwyżej niech Fabek tylko jaką drankę grubszą w łapę weźmie i trzyma, jakby tamtemu śwancowi trzeba było czymś przyłożyć, albo żeby się choć złął tego kija, jak z łapami wyskoczy. Panie co najwyżej mogą gliny zawezwać, jak już go będziemy, skubańca, mieć. Nie, Fabian?

Fabian kiwnął głową i mruknął coś pod nosem, nadal z wielką starannością zasypując linę piaskiem.

Zanim do końca się ściemniło, wszyscy zajęli swoje posterunki.

– A jeżeli nie przyjdzie? – spytała Agnieszka.

– To chyba dobrze? – Nitka wyrzwała zza drzwiczek szafki, w której grzebała w poszukiwaniu kieliszków, przyświecając sobie telefonem.

– Ale wtedy wszystkie przyg... otowania pójda na ma... arne. – Zmartwiła się Anna, walcząc

z nagłą czkawką. – A panowie ta... ak bardzo się starali.

– Jak dla mnie, dużo gorsze jest to, że jeśli ten ktoś się nie zjawi, oni jutro znów będą się tu na niego zasadzać. Słyszałam, jak się namawiali – odparła Anita, napełniając winem jedną z ustawionych na blacie szklanek. – Chcecie? – Uniosła pustawą już butelkę.

Kobiety zaprzeczyły energicznie.

– O matko... Może jednak przyjdzie – jęknęła Agnieszka. Wyglądała z nadzieją przez okno, kryjąc się za firanką, mimo że nie mogło być mowy, by ktoś z zewnątrz ją wypatrzył, ponieważ na wszelki wypadek nie zapaliły nawet słabej lampki.

Anna tymczasem rozsiadła się w stojącym nieopodal fotelu. Nie odzywała się, czekając aż przejdzie jej uciążliwa czkawka. Skupiła się za to na czymś innym. Ukradkiem obserwowała Agnieszkę, mimo że z tej odległości nie widziała wyrazu jej twarzy. Od pewnego czasu dostrzegała w zachowaniu przyjaciółki coś niepokojącego. Początkowo była przekonana, że to efekt ostatnich wydarzeń, najpierw wypadku z kozą, potem incydentów z napisami na aucie. Teraz już jednak nie była tego pewna. Agnieszka zbyt często sprawiała wrażenie nieobecnej, a w jej oczach od pewnego czasu wyraźnie czał się lęk. I nie był to raczej zwykły niepokój o samochód, o to, że ktoś znów go zdemastuje. Bała się, i to bardzo, czegoś lub kogoś innego, natomiast Anna zdawała sobie sprawę, że nie zdoła jej pomóc, dopóki nie dowie się więcej. Nie miała jednak pojęcia, jak to zrobić, nie ingerując jednocześnie w sprawy, o których przyjaciółka nie chciała z nią rozmawiać. A o tym, że nie należy jej do tego zmuszać, Anna wiedziała aż nadto dobrze. Czuła jednak, że to, co się właśnie działo z Agnieszką, mogło być jednocześnie powodem, dla którego wróciła do Bujan.

– Popatrzcie! – Z zamyślenia wyrwał ją stłumiony krzyk Anity.

– Co? – Agnieszka, która wciąż stała najbliżej okna, obejrzała się zdziwiona na koleżankę.

– Nie widziałas? Ktoś jechał od strony miasta, pewnie na rowerze albo niedużym motorze. A zaraz potem zniknął. Widziałam przez chwilę światło.

– Anitko, może zostaw już to wino, co? – Agnieszka zaśmiała się pobłaźliwie. – Bo skoro widzisz znikające rowery, za chwilę zobaczysz pewnie białe myszki...

– Oj, przestań! – Oburzyła się i machnęła trzymaną w rękach szklanką w stronę okna, nie dbając, że rozchlapuje resztki wina. – Mówię, że miał zapalone światło, które nagle zgasło, więc albo się zatrzymał, albo jedzie po ciemku. O! O! Patrz teraz!

Wszystkie trzy rzuciły się do okna. W oddali rozbłysło nagle światełko, a po chwili znów zgasło.

– Rower – zawyrokowała Agnieszka. – Za wolno jedzie, jak na motor.

– No widzisz? Kamufluje się! – Anita była coraz bardziej podekscytowana.

– Albo po prostu komuś się dynamo w rowerze popsulo. – Agnieszka jednak wciąż pozostawała sceptyczna.

– Wiecie co? Skoczę szybko na dół do pana Waldka i powiem mu, żeby na wszelki wypadek był w pogotowiu. – Anna poderwała się z miejsca. – Zaraz wracam.

Wyszła na korytarz, w duchu zadowolona, że sama nie wiedząc kiedy, pozbyła się wreszcie męczącej czkawki.

Zanim dotarła do schodów, dobiegł ją jeszcze kolejny krzyk Anity świadczący o tym, że światło znów się pojawiło i prawdopodobnie obiekt się zbliża. Dlatego teraz już przeskakując w pośpiechu po kilka stopni naraz, zbiegła na dół. Cicho otworzyła drzwi wyjściowe i zaczęła ostrożnie skradać się w stronę pobliskich krzaków bzu. Niestety, nie znalazła tam nikogo. Rozejrzała się bezradnie. Zrobiła jeszcze kilka kroków w przód i podskoczyła jak oparzona, czując, że staje na czymś miękkim. Czymś, co się poruszyło. W ostatniej chwili stłumiała krzyk, zasłaniając usta obiema rękami.

– Jezusie Maryjo! Ale żem się złąk! – Wyręczył ją w krzyku pan Waldemar, gramoląc się z trawy. – Jasssny czort!

– Panie Waldku, pan spał? – Anna patrzyła na niego z wyrzutem, nie kryjąc oburzenia. – A co by było, gdybym nie przysłała?

– Ja tam czujny jestem, jak zając, sam byłbym się ocknął – burknął mężczyzna, rozcierając bolącą łydkę, w którą prawdopodobnie Anna wbiła swój obcas. – Czego to się denerwować. Wielkie mi tu

mecyje. I niech tak nie krzyczy, bo toć my w zasadzce siedziem i trza być cicho.

– Kto krzyczy? Ja? To pan krzyczy i jeszcze sobie śpi zamiast trzymać linę, jak było mówione. A tam na drodze chyba ktoś jest, na rowerze jedzie. I gdzie jest ta lina w ogóle?

– A no tu gdziesik. – Mężczyzna schylił się i zaczął grzebać po omacku w trawie. – Żem cholera z tego strachu ją z rąk puścił, i gdzieś mi przepadła. A nic nie widać po ciemaku.

Mamrotał, szperając dla odmiany w kieszeniach. Po chwili wydobył coś z jednej.

– Poświeć mi pani tą batarejką.

– Czym? – zdziwiła się.

– Batarejką, przecie mówię. A ja zobaczę, gdzie ta lina.

Anna posłusznie wzięła do ręki niewielki przedmiot, który jej podał, i zaśmiała się cicho. Była to latarka w kształcie, jaki pamiętała jeszcze z dzieciństwa – z płaską baterią w środku i maleńką, wkręcaną żaróweczką. Przesunęła znajdujący się z boku włącznik, ale natychmiast go cofnęła.

– Nie możemy świecić – poinformowała pana Waldeka. – Jeszcze go spłoszymy.

– Ma rację. To zrobiem tak, że ja zasłonię kapotą, pani zaświeci, a ja będę patrzył, gdzie ten sznur.

Po szczęśliwie zakończonej operacji pan Waldek trzymał wreszcie w rękach odnaleziony koniec liny, na której, jak się okazało, przez cały czas stał. Ponieważ zajęło im to chwilę i Anna uznała powrót do mieszkania Agnieszki za zbyt ryzykowny, przycupnęli oboje za krzakiem i zamarli w bezruchu, nasłuchując.

Wokół panowała cisza mącona jedynie niemrawym szczekaniem psów. Annę nieco podniosło to na duchu. Raczej niczego nie wyczuwały, skoro były spokojne. Może więc intruz był nadal daleko?

– Jednak pójdę... – zaczęła Anna i urwała, ponieważ do ich uszu dotarło charakterystyczne skrzypienie żwiru, zapewne pod czyimiś butami. Oboje wyteżyli wzrok. Psy zaczęły szczekać nieco głośniejsze, jednak wciąż nie na tyle, by jednoznacznie stwierdzić, że coś się zaczęło. Jednak z drugiej strony, kojce były za budynkiem. Psy mogły się nie zorientować, poza tym były przyzwyczajone do tego, że w pobliżu kręcą się obcy ludzie i nie zawsze reagowały szczekaniem.

– Nic nie widać. – Pan Waldek wiercił się niespokojnie, próbując rozchylić nieco gałęzie.

– Ciii – syknęła Anna, łapiąc go za ramię.

Kroki nagle wydały się głośniejsze i szybsze, a zaraz potem ucichły. Kilka metrów od samochodu, dokładnie na granicy mdłej świetlnej smugi rzucanej przez zakurzoną lampę znajdującą się nad drzwiami przychodni, pojawiła się wysoka, barczysta postać. Mężczyzna stał przez chwilę na środku, jakby niezdecydowany. Kiedy zrobił kolejne dwa kroki, Anna z wszystkich sił wyteżyła wzrok, ponieważ światło na chwilę padło na twarz nieznanego. Niestety, naciśnięta na czoło czapka z daszkiem rzucała na nią zbyt długi cień. Mężczyzna wyraźnie się wahał, spoglądając w stronę przychodni, zza której słychać było coraz głośniejsze poszczekiwanie. W końcu rzucił się prawie szczupakiem do samochodu. Wyjął coś z kieszeni. Pochylił się na moment i od razu poderwał nerwowo, ponieważ niemal dokładnie nad nim rozbłysło nagle światło i rozległ się głośny trzask, po którym na ziemię posypały się odłamki szkła.

Natychmiast puścił się biegiem w stronę bramy wjazdowej, by po kilku susach z głośnym jękiem runąć na ziemię. Zaraz potem został dodatkowo przygwożdżony do niej kolanem Fabiana. Gdy dopadł ich zasapany Waldemar, wykręcał właśnie intruzowi rękę, wyszarpując z niej jakiś przedmiot.

– Miał nóż! – krzyknął w stronę stłuczonego okna, skąd wychylały się dwie kobiece głowy. – Sukinsyn miał nóż!

Schylił się i jednym ruchem ściągnął leżącemu czapkę. Już we dwóch obrócili go twarzą do góry.

– Rany boskie – jęknął nagle pan Waldek i poluzował chwyt. – Coś ty, chłopie, chciał najlepszego zrobić?

Z przychodni wybiegły zdyszane kobiety, wpadając niemal na Annę, która stała w progu kompletnie osłupiała, przyglądając się scenie.

– Ktoś już dzwonił po policję? – wysapała Anita. – Bo w sumie nie umówiliśmy się, kto ma to zrobić.

– Nie trzeba. – Agnieszka podeszła do leżącego. – Panie Fabianie, niech pan pomoże mu wstać.

Mężczyzna wyszarpnął się Fabianowi, podźwignął się i stanął wyprostowany niemal na baczność przed Agnieszką. Dopiero wtedy spojrzał jej prosto w twarz.

– Mówiłem, że kiedyś mi zapłacisz – wysyczał.

– Za co ona ma ci płacić, debilu! – krzyknął pan Waldek, szarpiąc znów mężczyznę. – Za to, że próbowała ratować to, co żeś sam spierdolił? Tak?

– Panie Waldku, niech pan już przestanie. – Agnieszka powstrzymała go, chwytając gwałtownie za ramię. – Nie trzeba – powtórzyła.

– A właśnie, że trzeba! – Wyrwał się jej i chwycił stojącego przed nią mężczyznę za poły rozpiętej koszuli. – Ktoś musi wreszcie otworzyć temu gnojowi oczy i powiedzieć, jak było, skoro sam ślepy.

– Już ja dobrze wiem, jak było. – Mariusz złapał napastnika za nadgarstki, jednak nie zdołał ich od siebie oderwać. – Gdyby nie ta...ta..., moja Kasia nadal by żyła.

– A gówno prawda! – Twarz pana Waldka poczerwieniała z wściekłości. – Kaśka umarła, boś ją zapiłował! Zarobiła się przy tobie na śmierć. Nic jej żeś nie pomagał, tylkoś ją do roboty gnał, w domu, przy dzieciakach, w obejściu. A Kaśka dawno była chora. I ja to wiem, bo ona mojej Halinie opowiadała, że ma bóle, ale do lekarza nie ma kiedy iść, bo robota w domu i dzieciaków nie ma komu przypilnować. A ty żeś jej wtedy powiedział, żeby dupy sobie nie zawracała lekarzami i nie wydumywała sobie choroby. Nie pamiętasz? To se przypomnij. Nie kazałeś, to nie poszła, choć ją wtedy tak strasznie kości bolały, bo musiała te przerzuty już mieć. A jak przyjechał mammobus, sama chciała tam iść, nawet moją Halinę namawiała, ale ty żeś się z niej śmiał, że cycki idzie obcym ludziom pokazywać, to się zawstydziła. Dopiero jak ją pani Agnieszka przekonała, poszła, ale wtedy już ten rak się u niej rozlał wszędzie i było za późno. Rozumiesz, debilu? Za późno!

Kiedy pan Waldek wreszcie skończył, zaległa martwa cisza. Agnieszka spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach, a Anita objęła ją ramieniem. Anna stała jak sparaliżowana, wpatrywała się w błyszczące oczy młodego mężczyzny, który wyglądał, jakby przed chwilą wyciągnięto go z wody, ratując przed utonięciem, ale wbrew jego woli. Dygotał cały, łapiąc z trudem powietrze. Spojrzał na nóż, który pan Waldek rzucił na ziemię. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, schylił się błyskawicznie i podniósł go, a potem wyrrywając się Fabianowi próbującemu go powstrzymać, zamachnął się z całej siły i odrzucił nóż najdalej jak mógł. Pochylił się i oparł dłonie na udach, dysząc ciężko.

– Opony – wychrypiał. – Chciałem tylko poprzebijać opony.

Potem spojrzał na Agnieszkę i otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Zrobił krok w jej stronę, ale raptem odwrócił się i pobiegł, znikając w ciemnościach.

– Panie Fabianie, trzeba go zatrzymać – krzyknęła Anna przestraszona. – Przecież on może sobie coś zrobić. Po tym, co tu usłyszał...

– A niby co takiego? – Fabian spojrzał na nią posępnie. – Zachlać się tylko może, nic więcej nie potrafi.

– Ale...

– Fabian ma rację. – Waldek odszedł na bok i oparł się ciężko plecami o ścianę budynku. – Pani da spokój, pani Aniu. To tchórz jest. Tyle dobrego, że może go wreszcie trochę ruszyło.

– Jednak myślę, że można było załatwić to trochę inaczej. Delikatniej.

– Tak samo delikatnie, jak on postąpił z panią Agnieszką? – Mężczyzna roześmiał się ironicznie. – Tyle razy mu się gadało, tłumaczyło. Ja mu mówiłem, i Fabian, i inne chłopaki też: weź ty się, Mariusz, w garść, dzieci masz, masz dla kogo żyć. Ale ten sekłak nie myślał o dzieciach, tylko o sobie, popapraniec jeden, że to jemu świat się na głowę zawalił, jak mu żona do piachu poszła. Rozumie pani? On myślał, że odeszła tylko żona, nie zobaczył, że razem z żoną odeszła i matka jego dzieci, i córka jego teściowej, i że wszyscy tak samo płaczą, jak on. Tylko własnej biedy patrzył, cudzej nie widział. Uważał, że tylko on ma prawo cierpieć, inni nie. Jemu tylko krzywda się stała, nikomu więcej. Ot, co! To niech teraz przynajmniej wie, że sam temu winien.

– Ale to nie tak, panie Waldku – wyjąkała Anna. – To nie tak. Nie ma pan racji, on też nie ma, ale...

– Nie ma żadnego „ale” – zachnął się. – A racja jest jak dupa i każdy jeden ją ma, jak mawiał marszałek, tyle że każdy po swojemu. I za to sam przed sobą musi odpowiedzieć.

Znów kotłowało się w niej o wiele za dużo emocji. Z wszystkich sił starała się je zignorować, stanąć obok i potraktować z dystansem, lecz świeżo zamalowane płótno mówiło co innego. „To mnie nie dotyczy” – powtarzała sobie w myślach, wyciskając na paletę farby – kolory, których tak naprawdę nie chciała użyć. Rozbielony lazur – dotąd ulubiony, dziś wydał jej się tandetny, podobnie jak ukochana szmaragdowa zieleń. Nie namyślając się długo, zmieszała obie barwy, uzupełniając je sporą dawką popielatej szarości, i mimo że otrzymany odcień wydał jej się odstręczający, w środku poczuła, że osiągnęła zamierzony efekt. Zagarnęła pędzlem burawą maź i rozciągnęła na płótnie szeroką smugę, przykrywając nią większość błękitu.

Tak właśnie się czuła. Bury cień na jej wnętrzu. Zamiast lazuru.

Odłożyła paletę i przechyliła się przez balustradę werandy, rozdzielając pędy winobluszczu. Kilka godzin malowania przy nieprzerwanym akompaniamencie dziecięcego śmiechu i psiego jazgotu miało spowodować, że jej kiepski nastrój spowodowany wydarzeniami z poprzedniego dnia diametralnie się zmieni. Unormuje się. Taką miała nadzieję, rozstawiając wczesnym rankiem sztalugi, gdy w jej głowie nadal pobrzmiwały słowa pana Waldka. „Nie myślał o dzieciach, tylko o sobie... Uważał, że tylko on ma prawo cierpieć...”

Zeszła po schodach i usiadła na najniższym stopniu. Podparła pięścią brodę, przyglądając się Frankowi, który turlał się ze śmiechu, patrząc, jak Koper boi się odebrać Niusi swoją ulubioną zabawkę, i równie rozbawionemu Arturkowi, siedzącemu nieopodal w trawie, z kotem w objęciach.

– I Amelia wraca już za kilka dni. – Anna wreszcie uśmiechnęła się do swoich, teraz nieco bardziej pastelowych myśli. – Przecież wszystko zmierza ku dobremu, dzieci są szczęśliwe.

Z zadumy wyrwał ją warkot samochodu. Zrobiła nad czołem daszek z dłoni i wytrzymała wzrok. Zobaczyła służbową terenówkę Agnieszki. Zaskoczyło ją to, ponieważ wiedziała, że o tej porze w przychodni jest zwykle najwięcej pacjentów.

Po chwili dojrzała też przyjaciółkę. Agnieszka szła, rozglądając się nerwowo. W czapce z daszkiem nasuniętej mocno na oczy i w dużych ciemnych okularach. Anna mimowolnie parsknęła śmiechem.

– Tylko mi nie mów, że ktoś ci znów gdzieś coś napisał – krzyknęła do niej wesoło. – Bo szczerze mówiąc, wyglądasz tak, jakbyś sama coś zmalowała, albo... – urwała nagle, z przerażeniem przyglądając się przyjaciółce. Agnieszka ślaniała się na nogach. – Jezus, Maria! Aga! Co się stało?

Kobieta dygotała jak w febrze. Szklka okularów były zaparowane od środka, a twarz czerwona i mokra. Anna początkowo sądziła, że od łez, jednak okazało się, że wysuwające się spod czapki włosy również ociekają wodą, a Agnieszka ma na sobie dresowe spodnie i bluzę od piżamy przyklejoną do mokrego ciała. Szła, chwiejąc się i lekko utykając, ponieważ miała na nodze tylko jeden gumowy kłapek.

– Z... zgubiłam drugi... – Wyglądała, jakby dopiero teraz zorientowała się, że jedną stopę ma bosą.

Mimo że panował upał, Agnieszka trzęsła się coraz bardziej, szczękając zębami. Anna objęła ją i zaprowadziła ostrożnie na werandę, usadziła na wiklinowej sofie i otuliła troskliwie leżącym tam pledem. Nalała do szklanki trochę wody. Podała przyjaciółce i usiadła obok, głaszcząc ją delikatnie po ramieniu i cały czas bacznie obserwując.

– Aga? – odezwała się, kiedy wydało jej się, że oddech kobiety nieco zwolnił. – Już? Możesz mi teraz powiedzieć, co się stało?

Wyjęła szklankę z jej rąk w obawie, że przyjaciółka ją zgniecie, tak mocno spłotła na niej palce. Odstawiła naczynie na stolik i po namyśle wstała.

– Poczekaj tu, zaraz wracam.

Wpadła do swojego pokoju i rozejrzała się w poszukiwaniu torebki. Wyciągnęła ją spod biurka i wysypała całą zawartość na łóżko. Razem z mnóstwem innych rzeczy, wyturlała się z niej

pomarańczowa fiolka. Anna potrząsnęła nią. Wewnątrz nadal było kilka tabletek. Wysypała na dłoń jedną i pobiegła na werandę.

Podawała pastylkę Agnieszce, wraz z kolejną szklanką wody. Ta ledwie rzuciła na nią okiem i pokręciła kategorycznie głową.

– Nie chcę – wyszeptwała. – Zabierz, to niepotrzebne.

– Jesteś pewna? Może pomóc ci się uspokoić.

– Wiem, co może mi zrobić. – Agnieszka spojrzała na nią z dziwnym wyrazem twarzy. –

I dlatego wolę tego nie brać.

Anna zawinęła drażetkę w chusteczkę higieniczną i wrzuciła do miski pełnej łupin z orzechów włoskich, która stała na stole. Przysunęła sobie bliżej fotel i usiadła naprzeciwko przyjaciółki. Ścisnęła ją za obie ręce.

– Chyba już pora... Porozmawiać. Może na początek powiesz mi, co się dzisiaj stało.

Agnieszka wzięła głęboki oddech.

– Zasnęłam. To przez wczorajszy wieczór, i chyba wino... A potem byłam pod prysznicem, kiedy zadzwonił telefon. Myślałam, że to w sprawie wizyty, miałam na dziś zapisanego królika do sterylizacji, pomyślałam, że się denerwuje...

– Kto? – spytała ostrożnie Anna.

– Właściciel... Chyba. Chciałam go uspokoić, że zaraz zejdem, ale okazało się... – Wstrzymała na chwilę oddech. – Że to był jego brat...

– Tego właściciela królika? Tak?

Anna z rosnącym niepokojem przyglądała się przyjaciółce. Ta z kolei wytrzeszczyła oczy w bezgranicznym zdumieniu.

– Jakiego królika? – wyszeptwała.

Anna chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła lekko, patrząc jej prosto w oczy.

– Aga! Do cholery! Powiedz mi, kto do ciebie zadzwonił?

– Brat! – wykrzyknęła z rozpaczą w głosie.

– Czyj brat? – W głosie Anny pobrzmiwała niemal identyczna rozpacz, ale pomieszana z desperacją.

– Zadzwonił do mnie brat mojego męża. Powiedział, że wyszedł z więzienia.

– Brat?

– Nie brat! – Aga skuliła się, podciągając nogi pod brodę i nakrywając głowę kocem. – Mój mąż! Mój były mąż wyszedł z więzienia! Parę dni temu! Dlatego sądziłam na początku, że właśnie on... te napisy, ale potem pomyślałam, że to niedorzeczne, bo przecież nie wie, gdzie jestem. A teraz Marek, jego brat, zadzwonił do mnie i powiedział, że on już wie i że właśnie do mnie jedzie... Więc od razu wybiegłam, prawie jak stałam, narzuciłam na siebie, co było pod ręką, zgarnęłam tylko kluczyki... A w samochodzie znalazłam czapkę Witka i okulary, tylko but gdzieś zgubiłam... – Rozszlochała się na dobre, wciąż kryjąc się pod pledem.

– Spokojnie, Aguś. – Anna delikatnie uwolniła rogi koca z zaciśniętych kurczowo pięści przyjaciółki i przyciągnęła ją do siebie, tuląc mocno i głaszcząc po plecach. – Spróbuj się trochę uspokoić, dobrze? Już?

Chwyciła w dłonie jej twarz i znów zajrzała w oczy. Wyjęła z pudełka kilka chusteczek i delikatnie otarła z łez opuchnięte policzki.

– Więc tak – zaczęła znów powoli. – Kiedy brałaś prysznic, zadzwonił brat twojego męża. Powiedział, że on do ciebie jedzie, mimo że sądziłaś, że nie wie, gdzie jesteś? Tak? – podsumowała, żeby zyskać pewność.

Agnieszka przytaknęła.

– Czyli jego brat powiedział mu, że teraz mieszkasz w Bujanach...

– Nie! – Tym razem zaprzeczyła gwałtownie, kręcąc energicznie głową. – Marek jest w porządku, on by mu na pewno nie powiedział, to wszystko przez Witka. Prosiłam go, żeby nie umieszczał na stronie internetowej lecznicy mojego nazwiska, ale mnie nie posłuchał.

– Rozumiem. Twój były mąż odnalazł cię przez internet. Domyślam się, że bardzo mu na tym zależało. Czy wiesz, dlaczego?

Agnieszka milczała.

– Boisz się, że zrobi ci krzywdę, tak?

Pokiwała wolno głową. Znów zaczęła drżeć. Anna ścisnęła ją mocniej za rękę. Odczekała chwilę i wzięła głęboki oddech.

– Powiedziałaś, że właśnie wyszedł z więzienia. Czy możesz mi zdradzić, z jakiego powodu tam się znalazł?

Agnieszka położyła głowę na ramieniu przyjaciółki.

– Za pobicie ze skutkiem śmiertelnym – powiedziała i westchnęła cicho.

– Kogo pobił?

– Mnie – odparła i wyprostowała się gwałtownie. W oczach jednak nadal miała pustkę.

– Ale jak to? Co ty pleciesz? Aga? Jak mógł cię pobić ze skutkiem śmiertelnym? No przecież nie mógł!

– Mógł. Wszystko mógł. I pobił. Zabił naszego synka. Byłam w ósmym miesiącu ciąży. Najpierw mnie skopał, a potem zepchnął ze schodów. Dziecko nie przeżyło, niestety ja tak. Odważyłam się i złożyłam zeznania, a on powiedział, że to był nieszczęśliwy wypadek, że się potknęłam, ale nie umiał wytłumaczyć, skąd wzięły się na moim... brzuchu ślady jego butów...

Jej głos był pozbawiony emocji. Jakby opowiadała nieciekawą historię lub coś, co właśnie przeczytała w gazecie, co przytrafiło się komuś innemu, a właściwie było zbyt niewiarygodne, by mogło się komukolwiek przydarzyć.

– Skazano go. Dostał jednak mały wyrok. Obrońca mówił w sądzie o jego nieskazitelnej reputacji, że wzorowy policjant, że raz go poniosło, bo stres na służbie, przepracowanie.

– To jednak nie był pierwszy raz, prawda? Bił cię wcześniej?

– Obiecował, że się zmieni, płakał, a ja razem z nim.

– I dlatego nikomu o tym nie mówiłaś... Rozumiem.

Skłamała, ponieważ wcale tego nie rozumiała. Za każdym razem, kiedy czytała, słuchała lub oglądała w mediach relacje kobiet maltretowanych przez tych, w których ręce złożyły całe swoje życie i których często kochały nad życie, zastanawiała się, dlaczego? Dlaczego tak długo pozwalały to sobie robić?

– Był świetnym policjantem. – Agnieszka podniosła głowę i tym razem spojrzała wprost na Annę, jakby przejrzała jej myśli. – Nikt by mi nie uwierzył. Taki spokojny, zawsze opanowany, przecież nie mógłby nikogo świadomie skrzywdzić. To do niego niepodobne. Jego koledzy, znajomi prosili mnie nawet, żebym wycofała zarzuty. A ja... gdyby nie mój ojciec, pewnie bym to w końcu zrobiła. Gdybym wtedy nie dostała wsparcia od taty, wszystko pewnie potoczyłoby się inaczej...

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? – spytała Anna cicho. – Powinnam była wtedy być przy tobie...

– Ja też powinnam z tobą być i cię wspierać, kiedy odszedł Piotr, ale nie potrafiłam, nie umiałam. Sama nie wiem, dlaczego. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Nie trzeba.

Milczały chwilę, obie zakłopotane zwierzeniami.

– Co teraz będzie? – Agnieszka podniosła na nią załzawioną twarz.

– Nic. Położysz i odpoczniesz, a ja się wszystkim zajmę.

– Co chcesz zrobić? – Zaniepokoiła się.

– Powiedziałam przecież. Zajmę się wszystkim. Daj mi tylko kluczyki do swojego samochodu.

– Aniu, proszę cię, nie rób głupstw, ten człowiek jest naprawdę niebezpieczny. Jeszcze zanim usłyszał wyrok, powiedział, że bez względu na to, jak to wszystko się skończy, znajdzie mnie i zniszczy. Za to, że zabiłam mu syna.

– Nie wierzę! A to drań! Jaką chorobą psychikę musi mieć człowiek, który mówi coś takiego!

– W pewnym sensie miał rację. Gdybym go nie sprowokowała, gdybym wtedy zachowała się

inaczej...

– Prędeż czy później znalazłby inny powód, by zrobić to, co zrobił. Aga! Przestań chrzanić, do cholery! Jesteś zbyt mądra, żeby uwierzyć w te brednie. I daj mi wreszcie te cholerne kluczyki!

– Zostały w samochodzie.

– A od lecznicy?

– Też.

– Dobra, to teraz chodź. – Objęła przyjaciółkę i pomogła jej wstać. Zaprowadziła ją do swojego pokoju. Wyjęła ze schowka na pościel poduszkę i koc. – Połóż się i postaraj się zasnąć. Niedługo wrócę.

– Proszę cię, zostań. – Agnieszka patrzyła błagalnie na plecy Anny, wychodzącej pośpiesznie z pokoju. – Boże drogi, co ona wymyśliła? – wyszeptała już tylko do siebie.

Anna po drodze zajrzała do kuchni.

– Mamuś, Aga u mnie jest. Żle się poczuła, kazałam jej się położyć. Zajrzyj do niej od czasu do czasu, dobrze? – rzuciła pośpiesznie. – Tylko proszę cię, o nic jej nie pytaj i pilnuj, żeby Franek jej nie przeszkadzał. Jest z Arturkiem na podwórku. Zresztą, sama zaraz mu powiem. Muszę na chwilę wyjść. Wrócę niedługo.

– W porządku. Idź, zajmę się wszystkim. – Matka odprowadziła ją niespokojnym wzrokiem, z wyraźnym trudem powstrzymując się od dalszych pytań.

Niedługo potem podeszła na palcach do drzwi pokoju córki i delikatnie zapukała. Mimo że nikt nie odpowiedział, weszła cicho i zbliżyła do Agnieszki. Przysiadła na krawędzi łóżka, okryła ją szczelniej kocem i pogłaskała po policzku.

– Będzie dobrze, zobaczysz – wyszeptała. – Nic się nie bój.

Na parkingu przed przychodnią stał tylko jeden samochód. Niedaleko spacerował wysoki mężczyzna. Wyglądał, jakby na coś czekał. Anna zsunęła się nieco na siedzeniu, nie chcąc, by ją dostrzegł, i przypatrywała mu się z uwagą. Nigdy nie poznała męża Agnieszki, nie miała pojęcia, jak wygląda, i teraz łajała się w myślach za to, że nie poprosiła matki, która była na ich ślubie, gdy Anna akurat przebywała na porodówce, by choć z grubsza go opisała.

Mimo ciągłej niepewności i dławiącego ją strachu, wychyliła się nieco. Mężczyzna od razu ją zauważył. Uśmiechnął się, po czym gwizdnął przeciągle w stronę pobliskich krzaków. Anna podskoczyła przerażona, upewniając się jednocześnie, że drzwi od samochodu są zablokowane. Zaraz jednak odprężyła się, przewracając lekko oczami. Do nieznanego podbiegł nieduży psiak, a mężczyzna przypiął mu do obrozy smycz. Razem ruszyli w jej stronę.

Anna wysiadła z samochodu, przybierając przepraszący wyraz twarzy.

– Bardzo mi przykro, ale doktor Czarnecka zachorowała i dziś jej nie będzie – wyjaśniła ze współczuciem głosie. – Przyjechałam właśnie po jej terminarz, żeby mogła odwołać wszystkie wizyty. Przykro mi, że niepotrzebnie pan się fatygował.

– No cóż. – Mężczyzna podrapał się w głowę z zakłopotaniem. – Proszę zatem życzyć jej szybkiego powrotu do zdrowia. Do widzenia!

Anna pożegnała się pośpiesznie i puściła się niemal biegiem do przychodni. Ziajana wpadła do gabinetu. Wyciągnęła z szafy służbowy fartuch Agnieszki i właśnie go zakładała, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – krzyknęła pewnym głosem, z trudem zapinając drżącymi palcami guziki. Łudziła się jeszcze, że to kolejny pacjent.

Do gabinetu wszedł, a raczej wkroczył zdecydowanie krótko ostrzyżony, przystojny mężczyzna. Zanim się odezwał, Anna obejrzała go w popłochu od stóp do głów, sprawdzając, czy nie towarzyszy mu przypadkiem jakieś zwierzę, z irracjonalną nadzieją, że być może jest to skrywany gdzieś za pazuchą chomik lub świnka morska. Przybysz jednak szybko rozwiął jej wątpliwości, zadając jedno konkretne pytanie:

– Gdzie mogę znaleźć Agnieszkę Czarnecką?

– To ja. Słucham pana. – Anna usiłowała brzmieć możliwie pewnie i jednocześnie opanowanie.

– W czym mogę pomóc?

Mężczyzna zawahał się. A potem rozejrzał po gabinecie, unosząc lekko brwi.

– Pani?

– Oczywiście, a któżby inny? – Anna sugestywnie wskazała brodą przypięty do fartucha identyfikator. – Wygląda na to, że to właśnie mnie pan poszukuje. – Uśmiechnęła się uprzejmie.

– Nie wydaje mi się – odparł niezbyt przyjaźnie. – Właściwie spodziewałem się zastać tu kogoś zupełnie innego, to znaczy Agnieszkę Czarnecką, ale pani nią nie jest... A raczej nie jest pani tą Agnieszką Czarnecką, której szukam.

– Ach, wobec tego chyba wiem, o kogo panu może chodzić! – Bardzo starała się wyglądać na kogoś, kto nagle doznał olśnienia. – Pewnie szuka pan córki byłego właściciela kliniki, pana Jana Czarneckiego. Bo to, wie pan, dość popularne u nas nazwisko, sporo osób je tutaj nosi, choć chyba nie wszyscy są ze sobą spokrewnieni – trajkotała, modląc się, by to, co mówi, miało z grubsza sens. – Ja nie jestem na przykład spokrewniona z panem Janem, choć dziwnym zbiegiem okoliczności nazywam się tak samo jak jego córka, i jeszcze pracuję w jego byłej klinice. Zabawne, prawda?

Mężczyzna nie wyglądał na rozbawionego. Wlepił w nią uważne spojrzenie, a potem wychylił się w jej stronę jeszcze bardziej, opierając się o blat biurka.

– W takim razie gdzie jest Agnieszka, córka Jana Czarneckiego? – wycedził.

– Wie pan, tak dokładnie to ja nie wiem. Zdaje się, parę lat temu wyjechała za granicę. Z mężem

się rozstała, czy coś... Ale nie znam szczegółów – dodała szybko. – Podobno od razu po rozwodzie wyjechała z kraju. Bo i po co by tu miała wracać, skoro jej matka umarła, a ojciec sprzedał klinikę i dawno się stąd wyniósł, prawda?

Mężczyzna zmarszczył brwi, pochylił głowę, niemal dotykając czołem głowy Anny, i właśnie zamierzał coś powiedzieć, gdy nieoczekiwanie z hałasem otworzyły się drzwi gabinetu. Do środka wtargnął z impetem Fabian, by po chwili wyhamować, wbijając w Annę zdezorientowane nieco spojrzenie.

– No wreszcie pan jest, panie Fabianie! – wykrzyknęła z przyganą w głosie, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć. – Za chwilę zaczynamy... ten... zabieg, a pan się akurat spóźnia. Przecież sama nie dam rady. Proszę przygotować natychmiast... przygotować... salę zabiegową.

Fabian rozejrzał się niepewnie, a potem ruszył już całkiem zdecydowanie w stronę szafy z lekami.

– Przepraszam pani A... – obrzucił błyskawicznym spojrzeniem pobladłą nagle twarz Anny, a potem jego wzrok ześlizgnął się na przypiętą do jej piersi plakietkę. – Pani Agnieszko. Przepraszam za spóźnienie. Już się zabieram do pracy.

– Czy mogę panu jeszcze w czymś pomóc? Bo jeśli nie, to jak pan widzi...

– Dziękuję – odparł gość, prostując się gwałtownie. – Teraz już sam sobie poradzę.

Wyszedł z gabinetu, trzaskając drzwiami. Anna przeniosła nadal nieco rozbiegany wzrok na Fabiana.

– O matko – wyszeptała, opadając miękko na krzesło. – Jak to dobrze, że się pan tu przypadkiem zjawił, i co najważniejsze, w porę zorientował się w sytuacji.

– Wcale nie przypadkiem. Pani mama do mnie zadzwoniła. Nakazała, żebym natychmiast leciał do gabinetu pani Agnieszki. Nie powiedziała, po co dokładnie, tylko żeby biegiem. To rzuciłem wszystko i przyleciałem. Choć dalej nie wiem, o co tu chodzi.

– To był bardzo niebezpieczny człowiek, panie Fabianie. Szukał naszej Agnieszki i jak pan widział, raczej dobrze, że jej nie znalazł.

– Bo pani się podała za panią doktor, tak? Że niby tu inna Agnieszka pracuje niż on myślał?

– Dokładnie tak. Mam tylko nadzieję, że mi uwierzył.

– Uwierzyć to może i uwierzył, ale zadowolony nie był. I nie wiadomo, dokąd teraz poleciał, żeby jej tylko gdzie nie dopadł. – Zmartwił się.

– Nie dopadnie. Jest bezpieczna.

– A co pani robi?

Zamierzał już wyjść, ale zatrzymał się i patrzył zdziwiony na Annę zajęta pozbywaniem się uniformu Agnieszki.

– Wracam do domu.

– Może lepiej trochę poczekać, co? Bo jak on się gdzieś zaczął i jeszcze za panią pojedzie albo co? Ja bym na pani miejscu trochę jeszcze tu posiedział.

– Boże drogi, nie pomyślałam. Ma pan absolutną rację. Zostanę. Przy okazji pójdę do psów, bo dawno u nich nie byłam.

Anna postanowiła też zajrzeć do mieszkania Agnieszki i zabrać dla niej trochę ubrań. Celowo jednak nie wzięła telefonu, żeby przyjaciółka odizolowała się na trochę od świata i mogła spokojnie dojść do siebie. Okazało się jednak, że musi zmienić plany, ponieważ matka powiadomiła ją, że Agnieszka prosi o komórkę i laptopa. Westchnęła z rezygnacją i spakowała wszystko do znalezionej w szafie torby. Potem poszła wyprowadzić psy.

Gdy wróciła wreszcie do domu, zastała Agnieszkę przy kuchennym stole. Siedziała tam z bardzo niewyraźną miną, grzebiąc łyżką w talerzu z rosołem. Matka Anny kręciła się niedaleko, udając ogromnie pochłoniętą przestawieniem w tę i z powrotem garnków i talerzy. Co chwila ukradkiem zerknęła na gościa z troską w oczach.

– Pani Mario, dziękuję, jest pyszny, ale naprawdę nie jestem głodna. – Agnieszka jęknęła żałośnie akurat w momencie, gdy Anna weszła do kuchni. Upewniając się, że jej matka na nią nie patrzy, rzuciła

jej bezgłośnie błagalne: – Ratuj!

– Jesteś głodna, jesteś. Tylko z nerwów tego nie czujesz. A jak zjesz, to wtedy zrozumiesz, jak ci tego było trzeba, i będziesz mi wdzięczna. Tobie też nałożę. – Maria, kompletnie ignorując opór Agnieszki, zwróciła się do córki. – Drugie danie będzie trochę później, więc najedzcie się porządnie.

Dopiero po obiedzie, gdy przeniosły się z kawą na werandę, Anna zdała przyjaciółce szczegółową relację z wydarzeń w przychodni. Ta słuchała z uwagą, nie odzywając się i nie komentując niczego. Widać było, jak wiele ją to kosztuje. Odżyły wszystkie traumatyczne wspomnienia, a ich koszmar powrócił wręcz fizycznie w postaci byłego męża. Anna wzdrygnęła się na samą myśl o nim. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co przechodziła jej przyjaciółka, żyjąc wiele lat pod jednym dachem z tym budzącym trwogę człowiekiem.

– Musisz wziąć kilka dni wolnego – oświadczyła Anna, starając się brzmieć spokojnie. – Nie możesz tam na razie wrócić. Dopóki nie będziemy pewne, że odpuścił.

– Wiem. Witek już się zgodził przejąć moich pacjentów. Na szczęście dziś akurat nie miał wielu pilnych spraw w terenie. – Spojrzała na Annę z wdzięcznością. – Przepraszam, że cię w to wplątałam. Przykro mi, że narobiłam kłopotu tobie i twojej mamie.

– Mówiłam ci, nie przepraszaj, bo nie masz za co. Powinnaś też na wszelki wypadek zostać u nas kilka dni. Przygotuję ci pokój Amelii.

– Ale ja nie mogę...

Nie dokończyła, ponieważ rozdzwonił się jej telefon. Anna spojrzała na nią pytająco. Chwilę wcześniej razem powiadomiły wszystkich pacjentów o nowych terminach wizyt. Potem Agnieszka miała wyłączyć telefon, ale najwyraźniej zapomniała. Teraz wyjęła go z kieszeni spodni i ze strachem patrzyła na numer, który się wyświetlił.

– Nie znam – wyszeptwała, jakby z obawy, że dzwoniący może ją usłyszeć.

– Daj. – Anna zdecydowanym gestem wzięła od niej komórkę i od razu odebrała. – Agnieszka Czarnecka, słucham?

Potem przez krótką chwilę z nieokreślonym wyrazem twarzy słuchała kogoś, kto wydawał się bardzo zdenerwowany, ponieważ niemal krzyczał na tyle głośno, by również do Agnieszki uszu dotarły pojedyncze słowa: „nie przeżyje...” „rodzi martwe...” „nie można nic zrobić...” „natychmiast przyjechać...”. Kobieta słuchała tego nachylona do aparatu i robiła się coraz bardziej błada, gdy nieoczekiwanie Anna oświadczyła stanowczo: „To ja za chwilę do pana oddzwonię”, po czym rozłączyła się.

– Kto to był? – Agnieszka wpatrywała się w nią z przerażeniem.

– Nie wiem. – Anna wzruszyła ramionami. – Niewiele zrozumiałam z tego, co mówił. Musisz sama do niego oddzwonić, bo wydaje mi się, że to może być ważne.

– Ale czy to był ktoś od mojego męża?

– Nie, no coś ty? To był jakiś człowiek, gospodarz, któremu koń, a raczej kobyła się źrebi i coś tam idzie nie tak, ale dokładnie nie rozumiałam, co. Najlepiej sama to sprawdź.

Agnieszka odszukała w pamięci telefonu numer. Po krótkiej rozmowie rozłączyła się, schowała telefon do kieszeni i poderwała się na równe nogi.

– Muszę tam jechać! Jeśli tego nie zrobię, klacz może paść.

– Ty? Może lepiej Witek.

– Witek się nie rozdziwi. – Spojrzała na zegarek. – W tej chwili ma zaplanowaną cesarkę.

– Dobrze, w takim razie pojedę z tobą. – Anna niemal jednym haustem dopiła swoją kawę. – No, co tak patrzysz? Zbieraj się!

Pół godziny później wjeżdżały na posesję otoczoną niskimi zabudowaniami gospodarczymi, gdzie powitał je krótki burzowy błysk. Agnieszka wysiadając, zadarła głowę i popatrzyła z niepokojem na zachmurzone niebo.

– Cholera jasna – wymamrotała. – Tylko nie to.

– Ale że co? Że burza? – Zdziwiła się Anna. – Nawet jeśli się rozpada, to przecież ta klacz ma chyba rodzić pod dachem, nie? A trochę piorunów i błysków to nie problem, prawda?

– Może być problem i to poważny. – Westchnęła Agnieszka ciężko. – Klacz nie urodzi w burzę. Oby przeszło bokiem.

Zabrała z tylnego siedzenia torbę lekarską i popędziła do stajni, ponaglana przez mocno już zdenerwowanego mężczyznę, który czekał na nie przed domem. Anna trochę niepewnie i dlatego zbyt wolno podążyła za nimi.

Już z daleka usłyszała przerażające rzenie i głucho uderzenia końskich kopyt. Ostrożnie zajrzała do pomieszczenia, z którego dochodziły dźwięki, ale przestraszona widokiem, odruchowo zakryła sobie oczy. Kiedy je znów odsłoniła, zobaczyła, jak jej przyjaciółka, przemawiając łagodnie, stara się zbliżyć do spoconej, rzucającej się po boksię gniadej klaczy. Kilku mężczyzn, w tym ten, który na nie czekał na zewnątrz, próbowało desperacko i zupełnie bezskutecznie przytrzymać szalejącego konia za uzdę, pokrzykując i przeklinając siarczyście.

– Trzy godziny już tak się rzuca bez ustanku! – krzyczał jeden z nich. – Nic nie możemy zrobić! Zaraz nam się tu gadzina wykończy i padnie.

– I tak właśnie będzie, jeśli nie przestaniecie jej nakręcać – warknęła Agnieszka. – Proszę mi stąd wyjść, zostaje tylko właściciel konia i moja asystentka. – Machnęła ręką w stronę Anny. – I od tej chwili ma być cisza!

Oślupiali mężczyźni, mamrocząc coś nieprzyjaźnie pod jej adresem, wycofali się posłusznie, zatrzymując się jednak w prostu stajni.

– Pan, jak rozumiem, jest tu gospodarzem? – zwróciła się do jedyne go, który został, i nie czekając na odpowiedź, ramieniem odsunęła go od konia. – Pan tam stanie z boku, nic nie robi i nic nie mówi, tylko słucha, co ja mówię. Będę informować o tym, co się dzieje, a pan ma się odzywać tylko wtedy, kiedy czegoś nie zrozumie albo nie wyrazi zgody na pomoc weterynaryjną.

Mężczyzna skinął głową i odsunął się kilka kroków. Agnieszka otworzyła torbę i przywołała Annę gestem.

– Patrz. Tu masz linkę, tu haki oczodołowe. Kroplówka, wlewnik, igły, o te. – Pokazywała, naciągając w pośpiechu fartuch i długie zielone rękawice. – A to jest oxytocyna. Mam nadzieję, że nie będzie potrzebna, ale mówię na wszelki wypadek. Będiesz mi to podawać, kiedy ci powiem, dobra?

– Jasne.

Anna przycupnęła obok torby, notując skrupulatnie w pamięci przekazane jej informacje. Podniosła głowę, chcąc jeszcze o coś spytać, jednak powstrzymała się, widząc, że Agnieszka przystąpiła już do badania. Mimowolnie odwróciła wzrok, ponieważ po prostu zrobiło jej się niedobrze. Zrobiła kilka głębokich wdechów, usiłując ze wszystkich sił wziąć się w garść, i wtedy usłyszała za sobą skrzekliwy rechot. Odwróciła się natychmiast. Jeden z mężczyzn zapalał właśnie papierosa, przyglądając się jej z głupawym uśmieszkiem.

– Proszę to zgasić albo natychmiast stąd wyjść – powiedziała stanowczo, czując, jak powraca jej pewność siebie. – I nie przeszkadzać!

Energicznie podniosła się z klęczek, z trudem powstrzymując się przed zatrzęsnięciem mu przed nosem drewnianych wrót stajni. Zamiast tego zbliżyła się do wciąż niespokojnej klaczy. Chwyciła ją ostrożnie za uzdę i zaczęła delikatnie głaskać po drżącej szyi.

– Dobrze, zostań tam, gdzie jesteś – powiedziała Agnieszka. – To jej chyba pomaga.

– A co ze źrebakiem? – Nie wytrzymał właściciel. – Żywy czy nie?
– Żywy. Ale wyczuwam trzy kopytka...
– Tylko trzy? – Spojrzała na nią przestraszony. Przeżegnał się i postąpił kilka kroków w przód, ale wyhamował zgromiony wzrokiem obu kobiet.

– Właściwie to aż trzy, bo z ułożenia wynika, że źrebaki są dwa.
– Ja pierdolę! – Mężczyzna chwycił się za głowę, po czym uśmiechnął się z zadowoleniem. – Naprawdę będą dwa?

– Na razie nie wiemy, czy będzie choć jeden żywy, nie mówiąc już o matce. W takich wypadkach wskazaniem jest cesarskie cięcie.

– Ja się nie zgadzam! – Zaoponował natychmiast. – Nie dam pochłastać całkiem dobrej kobyły!
– To się nawet nieźle składa, bo szczerze mówiąc, wołałabym się tego nie podejmować. A przynajmniej nie tutaj – mruknęła Agnieszka, starając się, by ten nie usłyszał.

– I co teraz? – Anna kurczowo objęła klacz za szyję.
– Użyjemy tego, na co możemy sobie pozwolić w tych warunkach. Podaj mi linkę. – Kiwnęła na stojących w progu mężczyzn. – Teraz będę potrzebowała pomocy, sama nie uciągnę. A ty najlepiej odsuń się jak najdalej – zwróciła się do Anny.

W tej samej chwili przez podwórko przetoczył się potężny grzmot poprzedzony krótką błyskawicą, a targnięte wiatrem wieżeje zatrzasnęły się z łoskotem. Klacz wierzgnęła przerażona i zarżała rozpaczliwie. Agnieszka przypadła do niej, głaszcząc ją i szepcząc coś do strzygących nerwowo uszu. Schyliła się po garść słomy i wytarła z końskiego grzbietu duże krople potu. Zmieniła rękawice i sięgnęła po przewieszoną przez ramię linkę.

Anna wcisnęła się w najdalszy kąt stajni, żalując z całego serca, że mimo burzy, która prawdopodobnie za chwilę miała się rozpętać na dobre, nie wyszła na zewnątrz. I tak nie mogła nic zrobić, jedynie patrzeć na wycieńczone zwierzę, które nie było w stanie urodzić. Tym razem bez zażenowania odwróciła wzrok. Objęła się ramionami, czując dreszcz zimna i strachu przed tym, że stanie się świadkiem porażki. Zaciśnęła mocno kciuki, obserwując kątem oka, jak trzech mężczyzn zapiera się nogami i ciągnie linę, którą Agnieszka zawiązała na kopytkach źrebięcia tkwiącego w brzuchu matki. Zupełnie bezwiednie napinała razem z nimi wszystkie swoje mięśnie, czując kłujący ból w okolicach obojczyka. Zaciśnęła oczy i kciuki, modląc się żarliwie o to, żeby się udało, by zwierzę przeżyło ciężki poród.

– Stop! – Usłyszała krzyk Agnieszki, a pobrzmiwająca w nim rezygnacja nie pozostawiła jej złudzeń.

Mężczyźni, sapiąc z wysiłku, poluzowali linę.

– Może ciągnikiem bym podjechał... – odezwał się ten, który przypalał papierosa.

Zanim jednak Agnieszka zdążyła otworzyć usta i wyrazić swoje oburzenie, właściciel klaczy trzepnął otwartą dłonią pomysłodawcę w kark.

– Popierdoliło cię, głąbie? – warknął. – Toć dupę byś prędzej kobyle tym ciągnikiem rozerwał, niż źrebaka wyciągnął, popaprańcu.

– Spokojnie, panowie, nie ma czasu na kłótnie. – Agnieszka uniosła dłoń w pojednawczym geście, widząc, jak zaatakowany mężczyzna rzuca się na gospodarza z pięściami. – Spróbuję odwrócić młode i jeszcze raz pociągniemy.

– A pewna jest, że tę linkę to do jednego źrebaka uwiązała, a nie dwóch naraz? – zarechotał złośliwie trzeci z mężczyzn.

– Chce pan sam sprawdzić? – Agnieszka odsunęła się, robiąc mu miejsce, na co ten natychmiast przestał się śmiać i spuścił głowę.

– Na trzy, ciągniecie! – Agnieszka otarła łokciem czoło i z nadzieją w oczach popatrzyła na napiętą linę.

Kilka minut później na miękkiej słomie spoczęło uwolnione z pęcherza płodowego ciemnokasztanowe źrebię. Wierzgało kopytkami ubranymi przez matkę naturę w białe skarpetki.

– Cudo! – wykrzyknęła Anna, czując ze zdziwieniem, jak po policzkach płyną jej łzy.

Wzruszenia, szczęścia i przede wszystkim ulgi.

Agnieszka pochyliła się i obejrzała dokładnie maleństwo. Szybko jednak się wycofała i pozwoliła matce oczyścić je ze śluzu. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdy konik podźwignął się na przednich nogach, a po chwili stanął pewnie na wszystkich czterech. Pchnęła go lekko, by mógł łatwiej odnaleźć matczyne wymiona. Po chwili źrebię przyssało się łapczywie.

Przez moment obie w niemym zachwycie obserwowały tę zapierającą dech w piersiach scenę.

– A drugi? – spytała Anna, ocierając wierzchem dłoni mokre policzki.

– Ten już powinien urodzić się sam. Dam jej tylko kroplówkę i zabieramy się stąd – odparła, wbijając wenflon w szyję klaczy.

– Jak to? Nie pomożesz jej?

– Klacz nie urodzi w asyście. Musi zostać sama. Poczekamy na zewnątrz. Trochę to pewnie potrwa, no i przede wszystkim niewiele się wydarzy, dopóki burza nie przejdzie.

– To ja do domu zapraszam serdecznie – odezwał się gospodarz. – Moja żona już tam cosik dobrego naszykowała. Zapraszam obie panie doktorki.

Anna uśmiechnęła się ukradkiem do Agnieszki, a ta szturchnęła ją w bok.

– Dobrze się spisałaś, pani doktorko – szepnęła jej do ucha.

– Aga, to było niesamowite, naprawdę. Uratowałaś życie temu małemu. Jesteś... jesteś...

– Jestem w pracy. Po prostu – skwitowała, uśmiechając się skromnie, jednak widać było w jej oczach dumę.

Dwie godziny później, po sycącym pysznym poczęstunku składającym się z okraszonych wielkimi skwarkami, podsmażanych ziemniaków i hojnie podlanego tłustą śmietaną zsiadłego mleka, którymi poczęstowała je gospodyni, obie akuszerki znów pobiegły do stajni. Nieco wcześniej, niż prognozowała Agnieszka, na świat przyszło szczęśliwie drugie źrebię. Zdrowe i równie zachwycające jak pierwsze.

Burza również ucichła, pozostawiając po sobie ogromne błotniste kałuże. Natomiast właściciel nowo narodzonych koników, nie posiadając się ze szczęścia, wbrew protestom obu kobiet, pogwizdując wesoło, pakował do bagażnika ich samochodu kolejno: skrzynkę rumianych jabłek, worek ziemniaków, kbiałkę upstrzonych kurzymi kupami jaj, a na końcu dwa pęta pachnącej czosnkiem, swojskiej kiełbasy. Anna wodziła za nim zdumionym wzrokiem i co chwila zerknęła na Agnieszkę, która tylko wzruszała ramionami, śmiejąc się.

– To jest Podlasie – powiedziała, kiedy wsiadły wreszcie do samochodu. – Zapomniałaś? Tutaj ludzie w taki właśnie sposób wyrażają wdzięczność lub po prostu sympatię. A dowodów sympatii i tym bardziej wdzięczności nie można nie przyjąć bez podania ważnej przyczyny. Zresztą, każda taka przyczyna, jaka by nie była, mogłaby urazić darczyńcę. Rozumiesz? – Roześmiała się, widząc zdezorientowaną minę przyjaciółki. – Albo przyjmiesz prezent i podziękujesz, albo nie przyjmiesz i obrazisz śmiertelnie tego, kto ci go daje.

– Jasne – odparła, choć niezbyt pewnie.

Gdy tylko ruszyły, na niebie nieoczekiwanie pojawił się kolejny błysk.

– Lepiej szybko wracajmy do domu, bo chyba szykuje się druga tura. – Anna zerknęła z niepokojem w niebo. – I wiatr się jakoś wzmacnia, pewnie nie zdążymy dojechać przed kolejną ulewą.

– Zdążymy, na pewno.

Niestety, po kilku kilometrach jazdy okazało się, że Agnieszki „na pewno” zmieniło się nagle w Anny „pewnie nie”, gdy z przerażeniem ujrzały zwalone w poprzek drogi drzewo. Agnieszka wyhamowała niemal w ostatniej chwili. Wyłączyła silnik i szarpnęła za klamkę.

– A ty dokąd? Chcesz je przesunąć? – Zażartowała Anna, tylko po to, żeby dodać sobie otuchy, bo tak naprawdę wcale nie było jej do śmiechu.

Agnieszka przytrzymała obiema rękami uchylone drzwi, które silny podmuch wiatru usiłował wyrwać jej z rąk. W końcu zatrzasnęła je z trudem.

– Jeezu, zobacz, co się dzieje... – sapnęła. – Chciałam tylko zobaczyć, jak to wszystko wygląda z bliska, czy tak samo beznadziejnie, jak stąd. I teraz już wiem, że tak.

Niebo w kilka sekund zrobiło się granatowe. Przydrożne drzewa wygięły się niebezpiecznie w łuki, chyląc się konarami niemal ku samej ziemi. Tuż nad samochodem rozległ się ogłuszający grzmot. Agnieszka sięgnęła po telefon i zaklęła.

- Zdechł zasięg. – Spojrzała na Annę z rezygnacją, a ona od razu sprawdziła swoją komórkę.
- U mnie też. Nie mamy wyjścia, musimy zobaczyć, czy da się jakoś to objechać.

Z niemalym trudem wysiadły wreszcie z samochodu i w coraz obfitszych strugach deszczu obejrzały drzewo z obu końców, by z przerażeniem stwierdzić, że blokuje nie tylko jezdnię, ale zasłania też część głębokiego przydrożnego rowu. Świeżo zaorane i podmokłe pole, gdzie Agnieszka zapadła się w miękką glebę, niemal tracąc buty, utwierdziło je w przekonaniu, że przejazd jest absolutnie niemożliwy. Stały jeszcze chwilę, rozważając kolejne nieistniejące sposoby, gdy nagle tuż za sobą usłyszały głośny trzask i brzęk tłuczonego szkła. Podskoczyły przestraszone.

- Boję się obejrzeć – jęknęła Anna płaczkliwie. – Chyba coś rozwalilo nam auto.
- Konar wybił przednią szybę – odparła Agnieszka ponuro. – Ja pierdolę! Co my teraz zrobimy?

Anna podbiegła do samochodu i energicznie szarpnęła za leżącą na jego masce świeżo odłamaną gałąź, zagarniając nią pokruszone szkło. Wskoczyła do zalewanego przez deszcz pojazdu, uważając, by nie pokaleczyć się rozsypnymi wszędzie odłamkami. Ściągnęła rękaw i tak osłoniętym ramieniem strzepnęła je z obu przednich siedzeń.

- Wsiadaj – nakazała przyjaciółce stanowczo. – Zawracamy!
- Dokąd? Nie ma innej drogi do Bujan. Może lepiej przeczekać.
- Mam lepszy pomysł. Zawróć, a w Nadborach skręć w prawo.
- Ale po co?
- Zobaczysz.

Po kilku minutach dojechały do niewielkiej wsi.

– Brzostowo – wyjaśniła Anna. – Tu przeczekaamy burzę. U moich kuzynów. No co tak patrzysz? Przypomniałam sobie, że mam tu taką dalszą rodzinę. Dawno u nich nie byłam, ale kiedyś często przyjeżdżałam tu z rodzicami. Nad Biebrzę.

Po chwili skręciły w wąską, zarośniętą drogę przypominającą zielony tunel, by zatrzymać się wreszcie przed niziutkim białym domkiem. Wyskoczyły z auta i popędziły na ganek, gdzie przywitało ich stłumione ujadanie psa.

– Cicho, Misiek! Odsuń się. – Usłyszały jednocześnie ze skrzypnięciem drzwi, zza których wychyliła się przewiązana chustką kobieca głowa.

– Dzień dobry, wujenko – powiedziała Anna, wciąż strząsając z włosów i ramion duże krople wody. – Możemy u was przeczekać burzę?

– Ania! Dziecko kochane! A skąd ty żeś się tutaj wzięła w taką zawieruchę! – Kobieta otworzyła szerzej drzwi i ramieniem zagarnęła gości do środka. – A zachodźcie, zachodźcie prędko do chałupy! Misiek, no odsuń się, utrapieńcu, dajże przejść – fuknęła na podskakującego radośnie psa.

Wewnątrz było przyjemnie ciepło. W glinianej kuchni palił się ogień. Gospodyni natychmiast odsunęła pogrzebaczem jedną z fajerek i postawiła tam okopcony czajnik.

– Zaraz wam herbaty z pigwą naparzę. – Przyjrzała się krytycznie ubraniom kobiet. – I na przebranie coś dam, a wasze przy piecu się powiesi, żeby przeschło.

– A wujek jest? – Anna rozejrzała się po domu.

– Posłałam go, żeby obaczył, czy w obejściu wsio pozamykane. Patrzeć tylko, jak przyleci nazad. – Podeszła do okna i załamała ręce. – O Matko Bosko, toć wam szybę całą w samochodzie wytlukło. Wody się naleje. Trzeba go do stodoły dać. O, wujek już wraca, dajta kluczyki, on zaprowadzi.

– Ale nie trzeba się kłopotać – zaoponowała nieśmiało Agnieszka. – I tak już go porządnie załało. A kluczyki zostały w samochodzie. Nie zamykałyśmy, bo i tak szyba wybita, więc bez sensu.

Wujenka zrobiła w powietrzu nieokreślony znak dłonią, wywracając jednocześnie oczami, po czym otworzyła okno i głośno nakazała mężowi odprowadzenie samochodu do stodoły.

– Sodoma się robi! Świat nie słyszał! – Tymi słowami przywitał ich wujek, ściskając serdecznie Annę i witając się z Agnieszką. – Nie ma mowy, żebyśta wy dziś do domu wracali. Matka naszykuje

wam zaraz spanie.

– A pewnie, że naszykuje – podchwyciła wujenka. – Tylko najsampierw herbaty i co do jedzenia. A na przebranie to ja najlepiej od razu koszule do spania dam.

– Ale w domu będą się martwić, a my nie mamy jak zadzwonić, bo telefony nie działają.

– Wujek potem poleci do sołtysa i stamtąd Maryni da znać. Nie bojta się nic. A o jechaniu nie ma gadania, jeszcze z rozbitem oknem – krzyknęła wujenka, już z drugiej izby.

Przemoczone do ostatniej suchej nitki przycupnęły tymczasem na drewnianej ławie przy piecu, rozcierając i ogrzewając przemarznięte dłonie. Obie też wcisnęły równie zimne bosc stopy pod rozciągniętego na podłodze psa. Agnieszka z zainteresowaniem omiotła wzrokiem pomieszczenie.

– Ależ tu jest niesamowicie – wyszeptwała z zachwytem.

– Zawsze tak było – odparła Anna, nie kryjąc zadowolenia i trochę nieuzasadnionej dumy. – Dlatego tak bardzo lubiłam tu przyjeżdżać, kiedy byłam mała. Mimo że nigdy nie było tu nawet telewizora, jakoś nie brakowało nam rozrywek. I wiesz, co? Najbardziej niezwykły jest fakt, że to miejsce wygląda identycznie jak trzydzieści parę lat temu. Nadal sercem domu jest kuchnia. Bo tamten pokój... – Anna wskazała brodą sąsiednie pomieszczenie. – Jest zarezerwowany tylko dla gości i na święta.

Wyposażenie izby, w której siedziały, wyglądało, jakby była jednocześnie kuchnią, pokojem dziennym i sypialnią gospodarzy.

W części kuchennej stał duży, biały kredens. Za szybkami przysłoniętymi do połowy szydełkową koronką widać było ciemnobrązowe miski, talerze i kubki. Do ścian przytwierdzono półki udekorowane papierowymi wycinankami z papieru i krepiny. Na najdłuższej stał rząd kolorowych koszyczków wyciętych zmyślnie z plastikowych butelek po różnych płynach, wypełnionych po brzegi bibułkowymi kwiatami. Z kolei żywy bukiet polnych i ogrodowych kwiatów wabił zapachem ze stojącego pod oknem stołu. Spod kraciastej ceraty, którą przykryto gruby blat, wystawały skrzyżowane, masywne dębowe nogi. Z tego samego drewna wykonano też proste krzesła, na których dla wygody siedzących położono płaskie poduszki w wielobarwnych, wydzierganych na drutach poszewkach.

W przeciwległym, najciemniejszym kącie izby stało wielkie staroświeckie łóżko z drewnianym wezglowiem. Na nim piętrzyła się pościel przykryta kraciastą narzutą – idealnie wygładzoną, z wyjątkiem niewielkiego zagłębienia, w którym drzemał zwinięty w kłębek szarobury kot.

Nad łóżkiem wisiały dwa pozieleniałe ze starości i nieco wyblakłe obrazy przedstawiające Matkę Boską oraz patrona rodziny i małżeństwa – świętego Józefa. Obrazy powieszono w często spotykany w tych stronach sposób, czyli z górną krawędzią odstającą od ściany. Obok, tuż nad wezglowiem, przytwierdzono odrobinę podkolorowane monidło – portret ślubny gospodarzy.

Najważniejszą część izby stanowił jednak pomalowany na kremowo, gliniany piec, wzdłuż którego stały trzy drewniane ławy przykryte chodnikami – pasiakami utkanymi na krosnach z różnokolorowych gałganków.

– Wiesz, pamiętam jak... – zaczęła Anna.

– Ciii – przerwała jej Agnieszka, kładąc palec na ustach.

Schyliła się i zajrzała pod sąsiednią ławę, odchylając nieco zwisające frędzle pasiaka.

– O rany! Popatrz tylko!

Już po chwili obie klęczały na podłodze, przyglądając się z zachwytem siedmiu złotym kulkom. Dreptały w tę i z powrotem na maleńkich pomarańczowych nóżkach po wyścielonym gazetami kartonie, pod umocowaną do spodniej części ławy rozgrzaną, stuwatową żarówką. Kompletnie nie zwracając na nie uwagi, dziobały spokojnie ziarno wsypane do zakrętek od słoików.

– Coś takiego! Kurczęta o tej porze roku? – Agnieszka ze zdumieniem pokręciła głową. – Nie w marcu?

– Bo to znajdkie – wyjaśniła wujenka. – Kwoka wyprowadziła parę dni temu nazad, to wzielim do domu, żeby koty ich nie podusili. A koszule i spanie naszykowałam w paradnej izbie. I zaraz nagrzeję wody do mycia – dodała.

Kiedy w długich płóciennych koszulach siedziały przy stole, popijając z metalowych garnuszków

herbatę z pigwą, Agnieszka uśmiechnęła się do gospodyni.

– Muszą być państwo bardzo szczęśliwi, mieszkając w takim miejscu.

– Bo to i prawda. – Zamyśliła się wujenka, głaszcząc kota, który teraz umościł się w jej fartuchu.

– Tak było, ale teraz ciężko nam już starym i na jesień syn i synowa zabiorą nas do siebie. A to... – Machnęła ręką. – Chyba już na zatracenie pójdzie.

– Jak to? A nie chcą państwo tego po prostu sprzedać?

– Pewnie, że by my i chcieli. – Westchnęła. – I dzieciom pieniądze mogliby my dać. Ale kto to weźmie? Toć to stara chałupa i trochę walącego się obejścia.

– Ja bym wzięła – odparła nagle Agnieszka.

– No coś ty? – Anna patrzyła na nią z niedowierzaniem. – Żartujesz?

– Bynajmniej. – Mina Agnieszki potwierdzała, że mówi poważnie. – Chętnie kupiłabym to siedlisko, o ile oczywiście byłoby mnie na nie stać.

– Dogadaliby my się – wtrącił się nagle wujek, który siedział pod piecem z fajeczką w zębach i przyglądał im się z zagadkowym uśmiechem.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? – Anna nie spuszczała zdumionego wzroku z przyjaciółki. – Dojazdy do pracy, zwłaszcza zimą, brak wygod... –

– To tylko kilkanaście kilometrów. I zostawiłabym sobie mieszkancko nad lecznicą, w razie gorszej pogody. A bez wygod można żyć, ale gdyby się okazało, że jednak nie, pomyślę o zrobieniu łazienki. Nie znam się na tym, ale pewnie byłoby to możliwe.

– A jużci, że by było, a nawet już jest. – Rozjaśniła się gospodyni.

Odwróciła się i podniosła wiszącą za nią makatkę. Ze ściany wystawały dwie krótkie rurki.

– Mieli my tu latoś ten cały zlewozmywak. Syn się neper, żeby zrobić. A potem tak nam się nadarzyło, że nam Mucia padła przy cieleniu i trzeba było cielaczka do domu zabrać. I my mu uszykowali kąt tutaj, bo tak najlepiej pasowało, z dala od pieca. A ten cielaczek, co rusz się w ten zlew łbem walił. Nie było rady, trza było odkręcić i wynieść ustrojstwo. A potem jakosik nie było kiedy nazad nasadzić, to żem tylko te rury szmatą zakryła.

– Ale teraz musicie chodzić po wodę do studni, przecież z bieżącym dostępem byłoby wam łatwiej, wujenka. – Anna nie posiadała się ze zdumienia.

– Gdzie tam, łatwiej, zamaracha tylko. Całe życie człowiek nosił i było dobrze. A ta woda jak przez te wszystkie rury przeleci, to i tak nie ma porównania do takiej prosto ze studni, bo smak już nie ten.

– Ale chociaż do mycia, i co najważniejsze – toaleta.

– Z tą toaletą to już całkiem nie dało rady. Oni się za nią wzięli, o tam. – Kiwnęła brodą. – W sieni odgrodzili kawał miejsca, ale jek my ze starym zobaczyli, że oni tam ten sedes chcą montować, to my się nie zgodzili i już.

– Dlaczego?

– Całe życie sobie człowiek do wychodka za stodołą chodził, i było dobrze. I tam nie musiał się pilnować, czy mu co za głośno nie wyszło... A tu, zaraz przy kuchni z nieczystościami się doczynkować? O co to, to nie! My się już do takiej nowoczesności oba nie nadajem, ale jakby se kto chciał tu w chałupie te sedesy pomontować, to wszystko już jest doprowadzone. Nawet kafelki na ścianie są, ja mogę pokazać.

– Nie trzeba, proszę się nie fatygować. Proponuję, żeby się państwo spokojnie naradzili w sprawie ceny za dom, a ja wtedy powiem, czy mnie na niego stać.

– Jezu, Aga. Ty naprawdę mówisz serio? Zastanów się jeszcze.

– O to, to – podchwyciła wujenka. – Co nagle, to pod diable.

– Już się zastanowiłam. Chcę tego, jestem pewna. Anka, sama tylko popatrz, mogłabym zabrać ze sobą z siedem, a może nawet z osiem psów, no i jeszcze Entera i Dela od Jakuba. Nie widziałam stajni, ale może konia też mogłabym trzymać.

– Ale koń już jest przecie, razem ze stajnią do oddania. I krowa też, jedna, ale mleczna. I kurek kilka i dwie kaczki. Misiek by tylko z nami poszedł, i Mruczek, a resztę to by my zostawili, tylko czy

dałaby radę tego sama doglądać?

– Dałabym. – Agnieszka rzuciła przyjaciółce pełne desperacji spojrzenie. – Dałabym radę. I tutaj na pewno nikt mnie nie znajdzie – dodała już znacznie ciszej. – Tu będę wreszcie bezpieczna.

– No nareszcie! – Usłyszała pełen ulgi okrzyk, kiedy nazajutrz, zaledwie kilka kilometrów za Brzostowem odzyskała wreszcie zasięg w telefonie. – Aleśmy się tu o was wszyscy martwili.

– Przecież wujek do was dzwonił. – Zdziwiła się Anna.

– Dzwonił, jednak w pół słowa coś mu przerwało, a potem nie mógł się chyba już połączyć. Usłyszałam tylko, że drzewo zważyło się na drogę i nie wróćcie na noc, ale czy jesteście całe i zdrowe, już do mnie nie dotarło.

– Jesteśmy, mamó, całe i zdrowe. Za chwilę będziemy w domu. Powiesz Frankowi?

– Franek słyszy, bo włączyłam cię na głos. Aha, jeszcze jedno, czy już wiesz, że będziesz mieć dzisiaj gości z Warszawy? Miałaś od nich telefon?

– Nie. Z Warszawy? Kto taki?

– Był tu wczoraj jakiś mężczyzna. Nie sam, bo ktoś został w samochodzie. Przepraszam, córeczko, ten człowiek podawał swoje nazwisko, ale z tych nerwów o was nie dosłyszałam, a jakoś tak niezręcznie było mi drugi raz pytać. Ale powiedział, że jadą gdzieś do Puszczy Knyszyńskiej i wracając, wstąpią do ciebie jeszcze raz, bo mają jakąś pilną sprawę.

Anna wyłączyła telefon i podrapała się w głowę, odgarniając z twarzy włosy, przez brak przedniej szyby nieustannie rozdmuchiwane przez wiatr.

– Mama mówi, że jacyś ludzie z Warszawy mnie szukali – poinformowała przyjaciółkę.

– Domyślasz się, kto?

– Niestety, chyba tak.

– Dlaczego niedostępnie?

– Nie mówiłam ci o tym, ale Marta, bibliotekarka, dała mi jakiś czas temu wizytówkę człowieka, który chciał ze mną porozmawiać w sprawie ilustracji do jakiejś książki. Miałam się z nim skontaktować.

– Tylko mi nie mów, że tego nie zrobiłaś. – Agnieszka spojrzała na nią z wyrzutem.

– Zrobiłam. To znaczy zadzwoniłam od razu. Obiecałam przemyśleć jego propozycję i odezwać się za jakiś czas. Potem jednak nie miałam do tego głowy, a teraz doszłam do wniosku, że to głupi pomysł z tym ilustrowaniem. Wołałabym się w to jednak nie angażować. Dlatego nie ma sensu, bym w ogóle spotykała się z tym facetem.

– Dlaczego?

– Właśnie dlatego. Że sama tego nie wiem, więc trudno będzie mi się z tej odmowy wytłumaczyć.

– Nie rozumiem cię – parsknęła Agnieszka. – Masz szansę zrobić coś własnego, w dodatku jest to coś, co wręcz uwielbiasz, i jeszcze mieć z tego pieniądze, ale odmawiasz? Wolisz sprzątać u mnie psie kupy i zeszkrobywać farbki ze stolików w świetlicy? Gdzie w dodatku jedno i drugie, bez urazy, jest jedynie dorywczym zajęciem, trochę mało poważnym. I to, co teraz robisz, tak naprawdę nie jest tylko twoje. W lecznicy pomagasz w pracy mnie i Fabianowi, a w bibliotece między innymi twojej mamie. Wszędzie na doczepkę.

– Czyli co, chcesz powiedzieć, że uczepiłam się was, jak jakiś rzep? – Anna przygryzła wargi. – Albo jak... Jak bluszcz?

– Może to trochę za mocne określenia, ale coś w tym jest. Działasz wyłącznie w oparciu o coś lub kogoś, a prawda jest taka, że dla własnego zdrowia psychicznego powinnaś zrobić coś, co będzie tylko twoje.

– I tym miałyby być według ciebie praca ilustratora?

– Nie wiem. Sama musisz odpowiedzieć sobie na to pytanie. Nikt tego za ciebie nie robi. Ja ci tylko tłumaczę, że powinnaś wreszcie żyć na własny rachunek. I wcale nie chodzi mi o pieniądze, ale o to, by zachować pewną niezależność, która wzmocni twoje poczucie wartości.

– Ale ja nie mam żadnego problemu z moim poczuciem wartości – oburzyła się Anna. – Tego akurat jestem pewna!

– Więc to udowodnij. I zastanów się chociaż nad tamtą propozycją jeszcze raz. Albo przynajmniej porozmawiaj z tym człowiekiem, zanim mu ostatecznie odmówisz.

– Pomyślę o tym. Na szczęście jednak nie muszę tego robić już teraz. – Anna wskazała samochód zaparkowany przed domem. – Już wiem, kto mnie szukał. To jest auto współnika... mojego męża.

– O proszę, oto i są. – Już wysiadając z samochodu, Anna usłyszała głos matki.

Obejrzała się na Agnieszkę, która nadal siedziała za kierownicą.

– Idziesz?

– Nie. Pojadę do domu. Nie będę ci przeszkadzać. Masz gości. Poza tym muszę coś zrobić z tą szybą.

– A jeśli...

– Dostałam wiadomość od szwagra. Mój były wrócił już do siebie. Nie spotkam go w Bujanach, przynajmniej na razie, więc nic mi nie grozi. Jutro do was wpadnę po rzeczy i zostawię ci twoją część wałowy. Solidnie na nią zapracowałaś. – Mrugnęła i obejrzała się znacząco na załadowany po brzegi bagażnik. – Podziękujesz swojej mamie ode mnie?

Anna skinęła głową.

Patrzyła przez chwilę, jak przyjaciółka odjeżdża. Dopiero potem ruszyła wreszcie do domu, gdzie czekali na nią goście. Ta wizyta nie była jej na rękę, nie spodziewała się po niej zbyt wiele dobrego, ale mimo to postarała się przybrać możliwie pogodny wyraz twarzy i rozłożyła ramiona do powitania.

– Skąd się tu wzięliście tak niespodziewanie? – spytała, przytulając policzek do głowy małej Wiktorii.

– Odwziliśmy Jaśka na obóz jeździecki do Supraśla i odkryliśmy, że po drodze mamy Bujany – odparła matka dziewczynki. – A Wiktor ma do ciebie pilną sprawę i właściwie ja też, ale to potem.

– Jak udało wam się tu trafić?

– Nie było łatwo, bo miałas nieaktywny telefon, ale na szczęście ktoś z biura Wiktora miał gdzieś zanotowany adres. Piotr kiedyś go podał, żeby przesłać mu jakąś korespondencję... – zająknęła się. – Zresztą nieważne. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że zjawiliśmy się tak nieoczekiwanie.

– Co ty opowiadasz, jak mogłabym się gniewać. – Anna objęła ją serdecznie. Kobieta odwzajemniła uścisk. Wyczuła w tym geście wielką szczerość, dlatego nagle zrobiło jej się głupio, że nie ucieszyła się z wizyty.

– Świetnie wyglądasz. Naprawdę. – Uśmiechnęła się Michalina. – Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy widziałyśmy się ostatni raz, w Warszawie.

– Ty też. Macierzyństwo naprawdę ci służy. Rozkwitasz z miesiąca na miesiąc.

– Wikunia daje mi dużo radości. Chłopcy zresztą też.

– A co u nich?

– W porządku. Jaś, jak wspomniałam – na obozie, a Michał w Grecji. Z dziewczyną – dodała znacząco i westchnęła cicho.

– Rozumiem, że z córką twojej przyjaciółki, tą półkrwi Greczynką, tak? Mówiłaś, że jest bardzo fajna, więc co cię tak martwi?

– Niestety, Julka zostaje na razie u ojca. Będzie tam studiować.

– A co na to jej matka? Pewnie trudno jej się z tym pogodzić.

– Przeżywa to, tak jak i mój Michaś. W dodatku to dla Gabrieli podwójnie trudny moment, a właściwie nawet potrójny.

– Nie rozumiem.

– Bo martwi się na zapas nie tylko o swoją córkę, ale i o dzieci które lada moment przyjdą na świat.

– Naprawdę? Jest w ciąży? Z bliźniętami? Ale wszystko w porządku, tak? Dobrze się czuje?

Anna z premedytacją zasypała dawną znajomą gradem pytań, świadoma, że dzięki temu odwlecze moment, w którym pozna prawdziwy powód odwiedzin Michaliny i Wiktora Bruników. Nie wierzyła, by miały charakter głównie towarzyski, poza tym Michalina wspomniała, że jej mąż chce o czymś rozmawiać.

– Właściwie to można już śmiało powiedzieć, że nie z bliźniętami, ale bliźniakami, bo to chłopcy – oznajmiła tymczasem kobieta. – A czuje się niezłe, ale Wiktor mówi, że na miejscu tego jej Łukasza dawno by oszalał. Chociaż... – Zamyśliła się chwilę. – Ze mną wcale nie miał źle, kiedy byłem w ciąży z Wikunią. Wydaje się, że w naszym wieku powinniśmy mieć więcej cierpliwości, a tymczasem bywa całkiem na odwrót. A przynajmniej ze mną tak było. – Westchnęła.

– Ale twój mąż ostatecznie dał radę, prawda? A ojciec dzieci Gabrieli też z pewnością przeżyje. I przekaz jej, proszę, ode mnie gratulacje, dobrze?

– Jasne, dziękuję.

– Zapraszam na świeże ciasto drożdżowe. Ze śliwkami! – Zawołała Maria, gdy już wchodziły na werandę. – I kompot rabarbarowy – dodała, wskazując stół przykryty jasnym obrusem.

Chwilę potem Anna pierwsza zaczęła rozmowę z Wiktorem, pytając, co słyhać w firmie, ale od czasu do czasu zerknęła na Michalinę. Odniosła wrażenie, że kobieta zachowuje się dziwnie. Kręciła się nerwowo, zaglądając co chwila do torebki, trącała męża łokciem i rzucała mu ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia.

– Wspominałaś wcześniej, że masz do mnie jakąś sprawę, prawda? – Anna nie wytrzymała i zagadnęła Michalinę, kiedy jej matka z małą Wiktoria i Frankiem zeszli do ogrodu poszukać poziomek, a Wiktor wydawał się całkowicie pochłonięty rozmową z jej ojcem.

Kobieta drgnęła i popatrzyła na nią niemal ze strachem.

– Nnie, to znaczy tak, ale... – zająknęła się. – Jeżeli pozwolisz, to ja wolałabym później... – Zerknęła znacząco na siedzących obok mężczyzn. – A poza tym, mój mąż chciałby cię najpierw o coś zapytać. Prawda, kochanie? – Teraz już całkiem otwarcie szturchnęła męża, uśmiechając się przeproszająco do pana Stefana.

Wiktor zrobił zagadkową minę, i jednocześnie trochę niepewną.

– Sam nie wiem, od czego zacząć – potarł brodę. – Pamiętasz, jak ci kiedyś mówiłem, że chcielibyśmy poszerzyć usługi naszej firmy o projektowanie wnętrz? – Spojrzał pytająco na Annę, a gdy potwierdziła, wypalił wprost. – Chciałbym, to znaczy wszyscy w zespole by chcieli, żebyś objęła pieczę nad naszym nowym działem.

– Nie rozumiem – wydukała. – Ale jak to, pieczę?

– Normalnie. – Michalina postanowiła jednak się wtrącić. – Chodzi o to, żebyś została szefową nowej komórki. Ja też uważam, że to doskonały pomysł.

– Ale przecież ostatni swój projekt zrobiłam ponad piętnaście lat temu. Od tamtej pory sporo się zmieniło, również technologicznie. Dawno temu wypadłam z obiegu i nie sądzę, by udało mi się kiedykolwiek wrócić.

– Wcale nie musisz od razu projektować, jeżeli nie czujesz się na siłach – zaproponował mężczyzna. – I tak zatrudnimy kilku nowych projektantów. Chodzi przede wszystkim o nadzór. Uważam, że jesteś idealną osobą...

– Nie jestem, Wiktor – przerwała mu. – I pomijając już całkowicie kwestie kwalifikacji, nie mogę objąć tego stanowiska z jednego prostego powodu. Nie da się zarządzać niczym na odległość.

– O czym ty mówisz? – Zdziwił się.

– O tym, że nie wracam do Warszawy. Zostaję tutaj.

– No, ale później...

– Później też.

– Zaskoczyłaś mnie trochę.

– Przepraszam. Powinam była wcześniej ci powiedzieć.

– Nie, nie o to mi chodzi. Ale o to, że... że...

– Że to bardzo zły pomysł – wypaliła Michalina. – Przepraszam cię, Aniu, ale tak właśnie uważam. Mam nadzieję, że jeszcze to sobie przemyślisz.

– Ostatnio mam coraz więcej tematów do przemyśleń. Ciągłe dostaję nowe, chociaż czasem wcale tego nie chcę. Bo kiedy mi się wydaje, że wszystko sobie poukładałam i jest dobrze, nagle ktoś podchodzi, burzy moją wieżę z klocków i każe mi budować nową. A ja nie wiem, czy mam na to ochotę,

zwłaszcza że moim zdaniem te wcześniejsze były całkiem dobre.

– Widocznie nie aż tak dobre, jak mogłyby być, gdybyś trochę bardziej się postarała, skoro kolejna osoba ci mówi, że się mylisz. Może jeśli będziesz próbować i próbować, w końcu zbudujesz tę idealną. I bez niczyjej pomocy – odezwał się nieoczekiwanie milczący dotąd ojciec Anny, patrząc poważnie na córkę.

– Zmówiliście się wszyscy, czy co? – wybuchnęła nagle, podnosząc głos, o wiele bardziej, niż zamierzała, i umilkła zawstydzona. – Przepraszam – dodała prawie szeptem i odwróciła głowę.

Michalina w odpowiedzi sięgnęła po torebkę wiszącą na oparciu krzesła i powiesiła ją sobie na ramieniu.

– A może poszłybyśmy na mały spacer, co? Tylko we dwie, bo... – Spojrzała na męża. – Bo Wiktor zostanie, żeby przypilnować małej.

– Jasne, idźcie – odparł jej mąż, obdarzając jednak żonę podejrzliwym spojrzeniem.

Nie ulegało wątpliwości, że miał powód. Anna dostrzegła dziwny błysk w oczach Michaliny, gdy kobieta podnosiła się zza stołu, zaciskając palce na pasku od torebki.

– No dobra. Mów, co się dzieje – poleciła, gdy uszły zaledwie kawalek. – Bo pewnie wołałabyś, żeby twój mąż nie dowiedział się o tym, co masz mi do powiedzenia?

– Mniej więcej. – Michalina obejrzała się lękliwie. – Właściwie, to chyba by mnie zamordował, gdyby odkrył, co zrobiłam.

– O ho, ho, robi się poważnie. – Roześmiała się Anna. – Ale jak rozumiem, mnie wtajemniczysz?

– Tak, choć to dość trudne. Sama nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku?

– Bo... – Michalina zatrzymała na chwilę w płucach dużo powietrza, nadymając przy tym również policzki. Dopiero po chwili wypuściła je ze świstem. – Ja do niej poszłam.

– Do kogo? – Anna zamarła, czując nagle pieczenie w żołądku. Miała niejasne przeczucie, że już wie, co za chwilę usłyszy.

– Poszłam do tej kobiety... – zaczęła Michalina powoli.

– Do kochanki Piotra, tak?

Potwierdziła w milczeniu.

– I czego się dowiedziałas? – Anna odwróciła głowę, zdając sobie sprawę, że jej twarz zapewne zmienia kolor, choć jeszcze nie była pewna na jaki. Przyłożyła dłonie do policzków.

– Niczego. – Usłyszała.

– Jak to niczego?

– Niczego się nie dowiedziałam, ponieważ właściwie o nic nie pytałam. Przedstawiłam się tylko, a ona dała mi to. – Michalina wyciągnęła z torebki zmiętą nieco kopertę.

– Co to jest?

– Nie wiem. Chyba list. Prosiła, żeby koniecznie ci to przekazać.

Anna wzięła ostrożnie kopertę.

– Tylko schowaj ją, proszę. – Michalina przytrzymała ją za rękę. – Nie chcę, żeby Wiktor... Nie chcę po prostu mu tłumaczyć, dlaczego tam poszłam, bo właściwie sama nie wiem, to był impuls. A jeśli chodzi o tę kopertę, i tak prędzej czy później byś ją dostała, bo ona planowała zrobić to przez prawnika Piotra, więc...

– Dziękuję ci – przerwała jej Anna.

Zgięła kopertę na pół i schowała do tylnej kieszeni dzinsów. Przez moment wydało jej się, że wyczuła w niej jakieś nieduże zgrubienie. Pomacała jeszcze raz kieszeń. W kopercie z pewnością znajdowało się coś, co nie mogło być tylko złożoną kartką. Postanowiła jednak na razie tego nie sprawdzać. Chwyciła Michalinę za ramię i pociągnęła ją za sobą.

– A teraz chodź. Pokażę ci, jaki piękny mamy tutaj park. – Uśmiechnęła się pogodnie, jak gdyby nic się chwilę wcześniej nie wydarzyło.

Amelia wreszcie wracała z obozu.

Anna jechała po nią sama, mimo że mieli jej towarzyszyć chłopcy. Arturek nie posiadał się ze szczęścia, kiedy dowiedział się, że będzie mógł z Frankiem i jego mamą zobaczyć Warszawę, że pójdą do zoo i wjadą windą na ostatnie piętro Pałacu Kultury. Od kilku dni tak intensywnie przeżywał wycieczkę, że być może pod wpływem emocji rozchorował się. W niedzielny poranek, kiedy Anna i jej syn byli niemal gotowi do drogi, do drzwi zapukała babka Arturka z informacją, że wnuczek ma bardzo wysoką gorączkę.

Mimo protestów, płaczu i zapewnień chłopca, że już czuje się lepiej, niestety konieczna była zmiana planów. Anna z niepokojem przyglądała się bardzo blademu, mimo gorączki, dziecku. Powiększone węzły chłonne wskazywały na to, że kolejny raz przyplątała się do niego infekcja. Zdaniem Anny zdarzało mu się to zbyt często. Obiecała sobie zaraz po powrocie przyjrzeć się temu dokładniej. Nawet jeśli miejscowy lekarz stwierdzi, że nic poważnego się nie dzieje, zasugeruje pani Więckowej konsultację u specjalisty, który sprawdzi, czy chłopiec nie ma na przykład ukrytych alergii. Kłopoty ze zdrowiem chłopca nasiliły się, gdy zaopiekował się Filonkiem, dlatego Anna w głębi duszy najbardziej obawiała się tego, że okaże się uczulony na kocią, a nawet psią sierść. Starła się nie dopuszczać do siebie podobnej myśli ze względu na konsekwencje takiej diagnozy, jednak rozsądek nakazywał jej wziąć i to pod uwagę. Przynęła sobie w duchu zająć się tym natychmiast po powrocie z Warszawy. I potem dopiero pomyśleć, co dalej.

Tymczasem obiecała Arturkowi, że jak wyzdrowieje, pojedą na wycieczkę. To jednak tylko minimalnie poprawiło choremu nastrój, dlatego Franek, wzruszony widokiem zapłakanego kolegi, postanowił również zostać i dotrzymać mu towarzystwa.

Anna, choć w pierwszej chwili z przykrością myślała o samotnej podróży, teraz cieszyła się, że ma kilka godzin tylko dla siebie. Mogła dzięki temu spokojnie pomyśleć i zastanowić się nad wieloma sprawami.

„Pomyśl” – to było słowo, które nadal siedziało jej w głowie i nieprzyjemnie uwierało. W ciągu ostatnich kilku dni usłyszała je co najmniej trzykrotnie. Wiktor chciał, by pomyślała o objęciu odpowiedzialnego stanowiska w firmie, co wiązało się nieodzownie z powrotem do Warszawy. Agnieszka sugerowała zastanowienie się nad przyjęciem pracy ilustratora. I jeszcze Wojtek. Od wyprawy do Kiermus starała się nie myśleć ani o nim, ani o tym, co jej szepnął, kiedy Franek skakał z kamienia na kamień, by spełniły się również ich życzenia.

Wojtek wbrew złej wróżbie wypowiedział swoje prawie na głos, nie ukrywając, że pragnie, aby stało się również jej marzeniem. Złudzenia okazały się o wiele bardziej realne niż przypuszczała. Czula, że to, co się dzieje między nią a mężczyzną, który wiele lat temu był jej tak bardzo bliski, nie jest tylko odnowieniem starej przyjaźni, ale czymś więcej. A ona wciąż nie była pewna, czy tego chce. I co najważniejsze, czy potrafi odwzajemnić jego uczucia, których już nawet nie starał się ukryć.

„Chcę być dla ciebie oparciem”.

Słowa, które wtedy od niego usłyszała, w tej chwili otrzymały zupełnie nową treść.

– Bluszcz, który potrzebuje podpory. – Anna już nie po raz pierwszy wypowiedziała ją na głos.
– Pragnie oparcia.

Poczuła, jak robi jej się niedobrze. Być może zjedzone w dużym pośpiechu byle jakie śniadanie i zbyt mocna kawa pita już w biegu sprawiły, że nagle zrobiło jej się gorąco i zaczęły drżeć ręce. Zjechała na leśny parking. Otworzyła drzwi, ale nie wysiadła. Wystawiła jedynie stopy na zewnątrz, oparła łokcie na kolanach i włożyła między nie głowę, dysząc ciężko. W końcu wyprostowała się i wyjęła ze schowka butelkę z wodą mineralną. Upiła kilka łyków, czując, jak jej oddech powoli wraca do normy.

Sięgnęła na tylne siedzenie po torebkę. Kiedy ją otworzyła, niemal wprost do jej ręki wpadła pomarańczowa fiolka. Nadal grzechotało w niej kilka tabletek. Anna odkorkowała buteleczkę i wysypała

wszystkie na dłoń. Spojrzała na leżącą obok butelkę. Zabrała ją, wysiadła z samochodu i pobiegła do stojącego nieopodal zielonego kontenera. Cisnęła do niego lepkie od potu tabletki, pustą fiolkę i butelkę po wodzie mineralnej. Biegiem wróciła do samochodu. Uruchomiła silnik i włączyła klimatyzację. Poczowała przyjemny chłód i nieprawdopodobną ulgę.

Oddychała teraz już powoli i dużo spokojniej.

Sięgnęła jeszcze raz do torebki i wyjęła z niej białą, nadal zaklejoną kopertę. Oderwała jej róg w miejscu, gdzie znajdowało się tajemnicze zgrubienie. Ze środka wypadł czarny, welurowy woreczek. Podobny do tych, w które czasem pakowana jest w sklepach jubilerskich biżuteria. Odwiązała tasiemkę i ostrożnie wysypała zawartość na siedzenie samochodu.

Ze środka wypadła i poturlała się aż na podłogę złota obrączka. Anna schyliła się szybko, podniosła ją do oczu. Na wewnętrznej stronie zobaczyła wygrawerowane inicjały i datę. Dzień ślubu jej i Piotra...

Na szerokiej białej wstędze ktoś odbił ślad swojego buta. Z brudnych folii wystawały suche lub zbutwiałe kwiaty. Na wciąż purpurowych, sztucznych różach nadal błyszczały plastikowe krople rosy.

Jak nieprawdziwe łyzy.

„Kochanego ojca i męża żegna...” – dalsza część napisu była przysypana piaskiem i nieczytelna. Jedynie słowo „żona” na końcu nadal udawało się odczytać, mimo że zostało przez kogoś zadeptane.

Załamane oczy Anny ledwie rozróżniały litery na czarnej błyszczącej tablicy. „Piotr Radecki. Zginął tragicznie”. Odczytane w końcu słowa wydawały się nadal zbyt nierealne, by w nie uwierzyć. Jakby dotyczyły kogoś innego. Nie tak bliskiego i kochanego.

Siedziała na kamiennej ławeczce przynależącej do sąsiedniego grobu. Czuła, jak chłód granitu przenika jej spodnie, pośladki i wędruje dalej, rozprasza się po całym ciele i dociera aż do czubków palców rąk i stóp, zmieniając w końcu w bryłę lodu również jej serce i duszę. Czekala, aż dotrze jeszcze głębiej. Zamrozi i uspokoi znów kotłujące się w jej głowie pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. I których nikt od dawna nie zadawał.

– Wszystko popsuleś – wyszeptala. – Rozwaliłeś to, co było takie piękne i dobre, i odszedłeś jak gdyby nigdy nic. Nie wiedziałeś, że kończąc swoje życie, zakończysz i moje? Przecież teraz już nic do siebie nie pasuje. Wszystko się rozsypało i nie działa jak powinno. Bo w maszynie zabrakło jednego trybiku. A ja teraz nie wiem, czy mam go zastąpić innym i spróbować coś naprawić, żeby było jak dawniej, czy zbudować wszystko od początku. Na nowo... Inaczej, bo już bez ciebie.

Przetarła z roztargnieniem oczy, rozmazując po policzkach czarne smugi z tuszu do rzęs. Podniosła się z ławki i przesunęła dłonią po białym napisie na tablicy, zostawiając tam mokry, łązawy ślad.

– Tylko wciąż nie wiem, czy potrafię. – Westchnęła.

Wyjęła z kieszeni zmięty kawałek papieru i rozprostowała go delikatnie.

Zawsze kochał tylko panią. Pani i dzieci byliście dla niego najważniejsi. Ja tak naprawdę nic dla niego nie znaczyłam...

Wchodząc do szpitalnej sali, wciąż nie była pewna, co powinna zrobić, jak się zachować. Nie potrafiła przewidzieć własnej reakcji, ani tym bardziej wziąć za nią odpowiedzialności. Uprowadzona przez doktora Olszańskiego o jej stanie, wiedziała jedynie, że nie zrobi niczego, co mogłoby zaszkodzić jej dziecku. Ich dziecku, dodała sobie po chwili. Tej obcej, nieznannej kobiety i jakże bliskiego jej człowieka. Męża.

Tamta drgnęła na jej widok jakby przestraszona i uniosła się lekko, ale powstrzymana przez Annę nieznacznym gestem opadła z powrotem na poduszkę. Była bardzo blada i przeraźliwie smutna. Położyła ręce na widocznej już, mimo jeszcze niezaawansowanej ciąży, krągłości brzucha. A potem zaczęła mówić, zaczynając od początku – momentu, w którym z premedytacją uwiodła męża innej kobiety. Omotała, próbując go w sobie rozkochać i osiąść. Tylko dla siebie.

Sądziła, że jest bliska, zwłaszcza tamtego dnia, w którym dowiedziała się, że spodziewa się jego dziecka. Kupiła dla niego prezent – maleńkie buciki, w ten sposób chciała obwieścić nowinę. Mieli wyjechać razem tam, gdzie zawsze, do niewielkiego pensjonatu na Mazurach. On drżał z podszytej lekkim niepokojem radości, a on wyglądał, jakby przeczuwał nadchodzący przełom, wydawał się podenerwowany. Ona co chwila dotykała ukrytej w torebce maleńkiej paczuski owiniętej w srebrny papier, układając sobie w głowie słowa, którymi ogłosi swoje, i jak miała jeszcze wtedy nadzieję, jego szczęście, cudowną nowinę o ich wspólnym dziecku. Szybko jednak dotarło do niej, że on też układa sobie w głowie coś, o czym chce jej powiedzieć tam, dokąd jechali. Półśłówka i nerwowo rzucone spojrzenia nie zapowiadały niczego dobrego. Zaczęła naciskać. Prosił, by dała mu czas, aż dotrą na

miejsce, ale ona chciała wiedzieć natychmiast. W końcu go zmusiła i powiedziała. Że żona, że dzieci, że zrozumiał... błąd. I teraz wie, że pierwsza w jego życiu zawsze będzie Anna, a w romantycznym mazurskim pensjonacie zarezerwowane zostały dwa osobne pokoje. Prosił też, by zrozumiała. I wybaczyła.

Nie rozumiała, a wybaczyć nie chciała mieć powodu. Schyliła się po opakowaną w srebrny papier ostatnią deskę ratunku, nadzieję, że ukochany zrozumie i zmieni zdanie. A później i serce, nie dla niej, ale dla ich dziecka. Niestety nie zdążyła. Zanim jej palce dotknęły srebrnego papieru, usłyszała pisk hamulców, nim podniosła głowę, rozległ się huk...

– A obrączka?

Annie długo nie dawało to spokoju. Kiedy po śmierci Piotra przekazano jej jego rzeczy, nie było wśród nich obrączki. Przekonywano ją, że w momencie wypadku nie miał jej na palcu. Przeszukała cały dom, zastanawiając się, co się stało. A potem o niej zapomniała, aż do momentu, w którym wyjęła ją z otrzymanej od Michaliny koperty.

– Zostawił ją u mnie na długo przed wypadkiem. – Kobieta uśmiechnęła się smutno. – Od razu ją zauważyłam, na umywalce, ale jemu powiedziałam, że nie znalazłam. Uznałam to za znak, dobre fatum. Pomyślałam, że jeśli odbiorę mu jego ślubną obrączkę, wówczas wydarzy się coś, co wszystko zmieni. Gdybym tylko wiedziała, jak ma wyglądać ta zmiana...

– To nie jest pani wina. – Anna wykonała gest, jakby chciała dotknąć ramienia kobiety, jednak jeszcze szybciej cofnęła rękę. – Ten wypadek... Policja przecież ustaliła, to tamten kierowca...

– Przepraszam. – Po twarzy ciężarnej popłynęły łzy. – Gdybym tylko mogła cofnąć czas.

– Teraz to już nieważne. Proszę myśleć o swoim dziecku... Waszym dziecku. Ono musi się urodzić. Nie jest przecież niczemu winne – powiedziała, już wychodząc.

Drogę powrotną do Bujan zdominował przerywany jedynie wybuchami śmiechu monolog Amelii, która z wypiekami na twarzy opowiadała o wszystkim lub też, co było o wiele bardziej prawdopodobne, prawie wszystkim, co wydarzyło się w Anglii.

– Nie masz nawet pojęcia, jak ja się za wami stęskniłam – zapewniała żarliwie po raz setny. – A kiedy w pewnym momencie odkryłam, że zaczyna mi brakować nawet Franka, pomyślałam, że zacznę wariować i pora wracać. Do domu.

Anna patrzyła na córkę bez słowa. Doskonale wiedziała, co miała na myśli, mówiąc „dom”. Poprzedniego wieczoru, kiedy wykończone – jedna podróżą, druga wyczekiwaniem na lotnisku opóźnionego samolotu, wróciły do warszawskiego mieszkania, Amelia natychmiast pobiegła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Anna zapukała tam dopiero wtedy, gdy uznała, że upłynęło dostatecznie wiele czasu, by mogła to zrobić. Zastała córkę siedzącą w kucki na łóżku, przytuloną do ogromnego królika, ulubionej maskotki подарowanej jej przed dziewięcioma laty przez ojca, z okazji narodzin braciszka.

– Chciałabym, żeby wszystko było tak jak dawniej. – Podniosła na matkę zaczerwienione oczy. – Wiem, że to niemożliwe, bo nie ma już z nami taty, ale gdyby chociaż było tak, jak wtedy, kiedy wyjeżdżał w te swoje delegacje. Nie było go z nami, ale my o nim ciągle myśleliśmy. Nie tęskniliśmy za mocno, bo wiedzieliśmy, że niedługo wróci. Teraz też nie powinniśmy tęsknić, bo tym razem nie wróci już nigdy. Możemy tylko o nim pamiętać. Zawsze. I spróbować żyć tak jak wtedy, kiedy wyjeżdżał tylko na chwilę. Tak normalnie. Chodzić do szkoły, robić coś razem, we trójkę... nie wiem co, jakies zupełnie zwyczajne rzeczy. To się chyba nazywa stabilizacja, czy coś... Chciałabym, żeby wreszcie było po prostu zwyczajnie. Jak kiedyś.

Anna przysiadła obok niej. Objęła ją mocno, znajdując w ramionach miejsce również dla pluszowego królika, którego dziewczyna nie wypuszczała z rąk, kryjąc w jego futerku zarumienioną twarz.

– I tak kiedyś będzie, córeczko. Obiecuję. Zwyczajnie, mimo że już bez taty. – Westchnęła głęboko, czując, jak nagle opadają w niej emocje i zastępuje je upragniony spokój. Nagle zdała sobie sprawę, że od tej właśnie chwili może być już tylko lepiej.

Droga powrotna do Bujan trwała wystarczająco długo, by wyciszyć się ostatecznie. Tego spokoju nie był w stanie zmącić nawet nieustanny słowotok Amelii i jej obozowe opowieści. Zbyt zaaferowana dopiero po bardzo długim czasie zorientowała się, że jej matka wyłącznie słucha, nie mówiąc zupełnie nic. Zamilkła i zaczęła przyglądać się jej z zaciekawieniem, taktownie powstrzymując się od pytań, chociaż niezwykle ciekawił ją powód tajemniczego uśmiechu błakającego się po twarzy matki. Anna zdawała się zupełnie nie dostrzegać ciszy, która nagle nastąpiła w samochodzie.

– Spójrz na ten komitet powitalny – odezwała się dopiero, gdy wreszcie zatrzymały się przed domem w Bujanach, gdzie przed bramę wylegli wszyscy domownicy.

Franek przestępował niepewnie z nogi na nogę, nie wiedząc, jak powinien się zachować wobec siostry. Gdy ta jednak rozłożyła zachęcająco ramiona, podskoczył uradowany, wieszając się jej na szyi.

– Nauczyłem Beki sztuczek, wiesz? – wykrzykiwał, ciągnąc ją za rękę. – Chodź, pokażę ci.

– Dlaczego to tyle trwało? – Matka patrzyła na Annę z wyrzutem. – Myślałam, że zdążycie na obiad. Zrobiłam specjalnie dla Amelki jej ulubione pierogi z soczewicą.

– Amelia i tak woli podsmażane. A ja miałam kilka pilnych spraw do załatwienia.

– Były u ciebie dziewczyny. To znaczy Agnieszka z Anitą. Jakies takie dziwnie podekscytowane. Poprosiłam, żeby wpadły wieczorem, bo robię sernik z malinami.

– Świetnie, mamus. I tak miałam do nich dzwonić. Muszę z nimi porozmawiać.

Dziewczyny zgodnie z zapowiedzią zjawiły się późnym popołudniem, z koszykiem pełnym wiejskich jaj, który wręczyły Marii.

– Gościu od pani kuzynki. Prosiła o przekazanie, bo ostatnim razem nie zdążyła. Z pozdrowieniami.

– Kuzynki? – zdziwiła się.

– Z Brzostowa – uzupełniły.

– Byłyście znów w Brzostowie? – Zdumiała się z kolei Anna. – Po co?

– Spisać wstępną umowę kupna domu – wyjaśniła z dumą Agnieszka. – Wczoraj skontaktował się ze mną ich syn i w imieniu rodziców przedstawił ofertę. Okazało się, że jeśli wezmę kredyt i dodam do tego moją część pieniędzy ze sprzedaży mojego... naszego małżeńskiego mieszkania, powinno mi wystarczyć. Mój tata też obiecał w razie czego poratować mnie pożyczką. Na wszelki wypadek poprosiłam też o opinię Anitę i okazało się, że ta oferta jest bardzo korzystna, a ona zna się na tym przecież najlepiej. Dla pewności pojechaliśmy tam, żeby mogła przyjrzeć się wszystkiemu.

– I opadła mi szczęka – dokończyła Anita.

– Wcale ci się nie dziwię. Ten dom rzeczywiście potrzebuje gruntownego remontu. – Anna pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Remont remontem, ale nie w tym rzecz. Chodzi mi o technologię, w jakiej został zbudowany. To nie jest zwykła chata, ale najprawdziwsza w świecie lepianka! Prawdziwe gliniane dzieło sztuki. Trzeba poprawić to i owo, zakonserwować, ale najważniejsze, na przykład dach, został całkiem niedawno odremontowany, podobnie jak parę innych rzeczy. Za cenę, którą zaproponowano, sama chętnie go kupię, gdyby Agnieszka się rozmyśliła.

– Nie rozmyślę się, na pewno – zaprotestowała natychmiast. – I jeszcze przed zimą tam się wprowadzę. Właściciele będą co prawda mieszkać w chacie do jesieni, ale pozwolili mi już teraz rozpocząć pierwsze prace remontowe.

– Czyli klamka zapadła?

– I klamka, i drzwi, i cała chałupa! Ze stajnią, chlewikiem, kurnikiem, w dodatku z żywym inwentarzem. I oczywiście ogrodem! – zawołała Agnieszka, wykonując entuzjastyczny taniec radości.

– To teraz opowiadaj. Punkt po punkcie, jak poszło ci spotkanie z tym facetem od książek i ilustracji – poleciła Agnieszka, gdy tylko usadowiły się na werandzie, nakładając sobie na talerze ciepłe jeszcze kawałki sernika z malinami. – Bo mam nadzieję, że miał coś ciekawego do powiedzenia?

– Tak. – Anna uśmiechnęła się tajemniczo.

– I? – Przyjaciółki wbiły w nią niecierpliwe spojrzenia.

– Podpisałam od razu umowę! Na razie na jedną książkę, a potem się zobaczy.

– Ale szybka jesteś! Świetnie, gratuluję! – Ucieszyła się Agnieszka. – Będziesz pracować dla warszawskiego wydawnictwa i możesz nadal mieszkać w Bujanach.

– Niekoniecznie.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie zostaję w Bujanach. – Popatrzyła z napięciem w twarz przyjaciółek. – Zdecydowałam, że wracam do Warszawy.

Zapadła chwila milczenia.

– Ale mówiłaś, że sprzedajesz swoje mieszkanie, tak? – odezwała się w końcu Anita, ponieważ Agnieszka zaczęła nagle kaszleć, udając, że zakrztusiła się ciastem.

– Zleciłam sprzedaż, ale na szczęście jeszcze do tego nie doszło. Na razie się wycofałam, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej się przekonuję, że nie chcę tam już mieszkać. Muszę jeszcze porozmawiać o tym z dziećmi, ale chyba wolałabym poszukać dla nas czegoś nowego.

– Porozmawiaj, a jak tylko coś zdecydujesz, zadzwoń. Pomogę ci we wszystkim – skwitowała jej decyzję Anita.

– Dziękuję, z pewnością skorzystam w odpowiednim czasie. – Anna przeniosła wzrok na milczącą Agnieszkę. – No a ty? Co ty o tym sądzisz?

– Nie wiem. Zastanawiam się. Przecież zaangażowałaś się tutaj w kilka... Hmm... spraw. Chcesz je zostawić niedokończone?

– Jakich znowu spraw? Bo jeśli chodzi o Przystanek albo bibliotekę...

– Wczoraj akurat spotkałam Wojtkę – przerwała jej. – I...

– A co ma do tego Wojtek? – Szarpnęła się Anna trochę bardziej, niż zamierzała, modląc się jednocześnie w duchu, żeby fala nagłego gorąca, która zalała ją od środka, nie objawiła się na jej twarzy.

– Bo Wojtek był u pani Leokadii. – Agnieszka zareagowała zdziwieniem. – Podobno ci śpiewacy operowi, jej znajomi, zgodzili się wystąpić u nas na przełomie września i października. Wojtek miał dziś jechać na rozmowę w sprawie rezerwacji kina w Jedwabnem.

– Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną – burknęła Anna lekko zmieszana.

– Podobno zadeklarowałaś swoją pomoc w organizacji tego koncertu.

– A czy ja powiedziałam, że tego nie zrobię? Mój wyjazd nie ma tu nic do rzeczy. Skoro obiecywałam, to pomogę. Przyjadę, kiedy będzie trzeba. Warszawa nie leży przecież na końcu świata...

– Dobrze już, dobrze, nie złość się. – Agnieszka przyglądała się jej coraz bardziej podejrzliwie.

– Skoro tak mówisz... A co do twojej wypowiedzki z Bujan, to chyba sama najlepiej wiesz, co będzie dla ciebie najodpowiedniejsze. Być może twoim miejscem jest właśnie Warszawa, tak jak moim Brzostowo.

Nagle z domu wychyliła się pani Maria.

– Dziewczynki, bardzo was przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć, że wychodzę na moment. Franek z Amelią grają sobie na tym urządzeniu od Anitki, a kolacja dla nich jest na stole w kuchni.

– A gdzie ty, mamuś, idziesz o tej porze? – Zdumiała się Anna.

– Bo... – Kobieta zawahała się. – Dzwoniła do mnie Milczukowa, ta, której córka na raka umarła.

– Mama Kasi – podpowiedziała Agnieszka. – Czy coś się stało? Możemy jakoś pomóc?

– Właściwie, sama nie wiem. – Maria przysiadła niepewnie na jednym z krzesel. – Bo ona

zadzwoiła do mnie potajemnie. Podobno od godziny siedzą u nich jacyś ludzie, chyba z opieki społecznej, i czekają na Mariusza, to znaczy zięcia. Na razie nie wrócił do domu, ale...

– Chodzi o to, żeby go znaleźć?

– Nie... to znaczy tak, ale nie po to, żeby wracał, tylko właśnie żeby tego nie robił.

– Nie rozumiem.

– Bo ci ludzie prawdopodobnie przyjechali po dzieci. Powiedzieli, że jeżeli znów, tak jak ostatnio, ich ojciec będzie pod wpływem alkoholu, tym razem je zabiorą. I choć babka powiedziała im, że zięć jest w robocie, to tak naprawdę nie wie, gdzie on polazł. Jedno tylko wie, że trzeźwy na pewno nie jest. Teraz chodzi o to, żeby jak najdłużej nie pokazywał się w domu, najlepiej wcale, aż oni sobie pojedą. Bo jak przyjdzie pijany, to już koniec. Dzieci pójdą do domu dziecka.

– Jasna cholera! – Anita poderwała się z miejsca. – Dziewczyny, trzeba coś zrobić!

– No właśnie ja chciałam... – zaczęła znów Maria.

– Proszę zostać w domu, zajmiemy się tym.

– Anita ma rację, mamó. Poszukamy go same.

– Ale ja już zadzwoniłam do Fabiana, żeby mi pomógł. Powiedział, że w pubie zobaczy.

– Więc chodźmy tam – zdecydowała Agnieszka.

Już z daleka usłyszały skoczne dźwięki muzyki, przemieszane z wesołymi pokrzykiwaniami i rechotliwym śmiechem. Przyjaciółki popatrzyły po sobie zaskoczone.

– Jakieś święto dzisiaj, czy co? – zagadnęła Anna. – Kiedy ostatnio byliśmy w pubie, zdaje się w sobotę, przy stolikach siedziało dosłownie kilka samotnych dusz. A w poniedziałek impreza na całego?

– Obawiam się, że to nie święto, ale wypłata za mleko – mruknęła Agnieszka. – Tutaj zwykle to powód do świętowania, bo wtedy jest za co świętować.

– Może tylko muzyki sobie głośno słuchają. – Anita wyteżyła wzrok, ale jedynie przechwyciła pełne politowania spojrzenie Agnieszki. – No tak, zdaje się, że przemówiła przeze mnie naiwność – skonstatowała cierpko.

Szybko okazało się, że nie tylko w pubie, ale również na zewnątrz trwa impreza. Mocno już podchmielone i nie mniej wesołe towarzystwo, składające się wyłącznie z mężczyzn, podrygiwało nieskładnie w rytm muzyki.

– Szłaaa laseetszka do lasetszka... – zaintonował jeden z nich na widok zbliżających się kobiet, gnąc się przy tym w przesadnie niskim ukłonie.

Anna, chcąc go wyminąć, potknęła się o krawężnik. Usiłowała też nie wpaść przy okazji na innego rozchwianego zapewne nie tylko emocjonalnie delikwenta, który niespodziewanie wytoczył się z pobliskich krzaków, tuż pod jej nogi, zapinając niezdarnie rozporek.

– Wchodzimy do środka? – Agnieszka podtrzymała przyjaciółkę za łokieć, spoglądając na nią niepewnie.

– A cóż bardziej zenującego może nas tam spotkać? Od tego tutaj... – sarknęła Anna z ironią, przewracając oczami.

Wykonała zdecydowany krok w przód, jednak tylko po to, by znów odskoczyć do tyłu, ciągnąc za sobą Agnieszkę, ponieważ zataczający się wciąż u jej stóp amator mocnych trunków upadł w końcu na ziemię, po czym uznał, że najwygodniej mu będzie wstać, przytrzymując się nogawki spodni Anny. Na szczęście jakiś jego kompan dostrzegł perypetie kolegi i pomógł mu się podźwignąć. Wykorzystując ich nieuwagę, wszystkie trzy ruszyły czym prędzej ku odrapanym, metalowym drzwiom.

W progu przywitał je potworny zaduch. W powietrzu unosiły się opary alkoholu wymieszane z woniami, których wolały nie identyfikować. Po krótkim wahaniu, starając się oddychać w miarę możliwości oszczędnie, weszły do środka. Zostawiły też za sobą na wszelki wypadek szeroko otwarte podwoje, by w razie czego mieć krótką i łatwą drogę ewakuacji.

– Och, ty chamie jeden! – wrzasnęła nagle Anita, odwracając się gwałtownie i łapiąc się jednocześnie za pupę.

– Towar macany należy do macanta! – Sprawca niecnego czynu wyszczerzył w lubieżnym uśmiechu niezbyt kompletny zestaw zębów.

– Trzymaj łapy przy dupie, ale własnej, ty... ty zbrojeńcu!

Agnieszka, widząc, że koleżanka jest o krok od przejścia do rękoczynów, pociągnęła ją w stronę baru.

– Spróbujmy znaleźć pana Bolka, właściciela. – Odwróciła się do Anny. – Myślę, że powie nam, czy Mariusz tu jest, albo przynajmniej czy był.

Zaczęły przeciskać się przez tłum mężczyzn, który zgodnie z odwiecznym prawem natury gęstniał w miarę jak zbliżały się do baru, gdzie prawdopodobnie urzędował pan Bolek. Nagle drogę zastąpił im wysoki, barczysty mężczyzna. Wypiął dumnie tors, usiłując zapewne zaprezentować się jak najkorzystniej. Widać było, że poświęcił sporo czasu na to, by wyglądać modnie i elegancko, przynajmniej we własnym mniemaniu. Miał na sobie czarny golf wpuszczony w spodnie ściągnięte skórzanym paskiem z nienaturalnie dużą kłamarą, a jego szyję zdobił błyszczący srebrny łańcuch. Stał

w lekkim rozkroku, przerzucając niedbale przez ramię straszliwie wytartą skórzaną kurtkę. Bardzo wolno przeczesał palcami dość mizerną już fryzurę, po czym obrzucił pobladłą nagle Anitę roziskrzonym spojrzeniem i nachylił się nieoczekiwanie w jej stronę, niemal dotykając ustami jej ucha.

– Jest taki wiaterek, co uda kobietom rozkwitać – wyszemrała uwodzicielsko.

– Chyba nie ten sam, co po twoim pustym łbie hula, debilu! – Bładość twarzy Anity przeszła nieoczekiwanie w purpurę. – Zejdiesz mi z drogi sam czy mam ci pomóc? – wysyczała, mrużąc złowieszczo oczy.

Amant kompletnie niezrażony jej reakcją, opłynął dłońmi imponujące krągłości Anity, kopiując w powietrzu ich kształt, po czym zaintonował świdrującym falsetem znany przebój Michela Teló, dość nieudolnie go naśladowując.

– Aj, chcę cię złapać. Aj, aj, chcę cię złapać!

Anita wciągnęła gwałtownie powietrze, jednak zanim zdążyła jakkolwiek zareagować, usłyszała za sobą znajomy głos.

– Gieniu, dajże pani spokój!

Odwróciła się i odetchnęła z ulgą, widząc też kątem oka, że podrywacz posłusznie się oddala.

– Panie Waldku kochany, jak dobrze, że to pan. Bo jeszcze trochę, a bym tego tam... – urwała, ponieważ zdała sobie sprawę, że jej przyjaciółki, zgięte w pół, duszą się ze śmiechu. – No patrzcie państwo! – zawołała oburzona. – A te zamiast mi pomóc, cieszą się z mojego nieszczęścia!

– Bo on tak pięknie cię... tym Grochowiakiem... – pisnęła Agnieszka, wciąż chichocząc.

– Jakim Grochowiakiem? No jakim? Że co? Że jak wiatr, przepraszam, wiaterek, to od razu Grochowiak? – zachnęła się. – A jakby zrobił się agresywny, to też byście tak rżały, zamiast mnie ratować?

– Gdzie tam, pani Anitko, jaki tam agresywny. Piękny Eugeniusz? W życiu! Serce u niego całe na wierzchu, jak go znam. – Waldemar huknął się zamaszycie w pierś. – Za to, to ja ręczę.

– Piękny Eugeniusz? – parsknęła Agnieszka, ogarnięta kolejną falą wesołości. Anna również nie potrafiła opanować śmiechu.

– Bo my tu tak na niego z chłopakami mówimy. Tak się składa, że Gienio jakieś dwadzieścia lat temu, to był pierwszy amant w Bujanach. Naprawdę! Prawie wszystkie panny do niego wzdychały, a i Eugeniusz bardzo był z tego powodu rad. Spoglądał na te panny przychylnie, jakby im wielką łaskę tym wyrządzał i przyjemność. I tak było, bo w tamtych czasach był nad podziw urodziwy, tyle że szybko tę urodę utopił w Tajfunie Poziomkowym. Przemineła i jej nie ma, ale Eugeniusz wcale tego nie zauważył. Myśli, że dalej taki piękny jest i wszystkie panny tylko o nim dumają. I czekają, żeby on na nie choć spojrział. Myślał, że tymi zalotami robi pani uprzejmość.

– O Jezusie Maryjo, nie wierzę – wyszeptała Anita ze zgrozą.

– Ale swoją drogą, wbrew pozorom, to jest właściwie całkiem smutna historia. – Agnieszka zasłoniła usta, by stłumić śmiech. – Mimo że wydaje się zabawna. Może należało okazać Eugeniuszowi choć niewielką przychylność, żeby mu nie robić przykrości.

– Odczep się – warknęła Anita złowrogo. – I może zajmij się lepiej tym, po co tu przyszłyśmy.

– A tak, panie Waldku, bo właściwie to szukamy Mariusza – zreflektowała się Aga, poważniejąc nieco.

– Mariusza? Tutaj? Eee nie, on tutaj to już wcale nie przychodzi. Jego to raczej na melinie u Cygana trza szukać. A na co, jeśli można się zapytać, on paniom szanownym potrzebny?

Kobiety pokrótce zreferowały mu to, czego dowiedziały się od matki Anny.

– Pan nam powie, panie Waldku, gdzie ta melina, a my pójdziemy sprawdzić, czy on tam jest – poprosiła Agnieszka.

– Powiedzieć to ja mogę gdzie, ale mowy nie ma, żeby panie tam szły. To chyba ja sam bym musiał. – Podrapał się w głowę z zakłopotaniem.

Widać było, że pomysł wizytowania meliny nie był mu w smak. Z jego miny wynikało, że nie jest to miejsce, w którym bywa, a wyjątek, jaki zamierza uczynić, w żadnym razie go nie cieszy.

– Tylko że muszę kogo wziąć do pomocy, bo samemu tam wchodzić niepodobna – westchnął.

– Pan Fabian powinien tu zaraz być. – Przypomniała sobie Anna. – Mama przecież do niego dzwoniła. Powiedział, że przyjdzie do pubu.

Chwilę potem ujrzały mężczyznę w drzwiach. Machał, żeby do niego wyszły.

Melina u Cygana, jak się okazało, znajdowała się niedaleko, bo po drugiej stronie parku, w jednym z podwórek, w rozsypującej się ruderze. Z okien nie tylko pozbawionych szyb, ale również części desek, którymi ktoś je kiedyś zasłonił, wydobywał się paskudny odór. W środku panowała jednak tak idealna cisza, że kobiety zwątpiły, by ktokolwiek mógł tam przebywać.

Pan Waldek z Fabianem zniknęli na długą chwilę w czeluściach budynku, a gdy wreszcie się z niego wyłonili, wydawali się bardzo zdenerwowani.

– Był tu, a jakże! – krzyknął z daleka pan Waldek. – Ponoć pił od południa, aż pół godziny temu podarli się z jednym takim o coś, i poszło na noże.

– Och tylko nie to! – Agnieszka chwyciła się za głowę.

– Nie, nie, pani Agnieszko, jednemu i drugiemu nic wielkiego się nie stało, bo ich w porę rozdzielili. Tamten Mariuszowi podobno gębę tylko lekko drasnął.

– Dlaczego podobno? – Zdziwiła się Anita.

– Ano. Myśmy z Fabianem tego nie widzieli, a z tymi tam – kiwnął brodą – ledwie idzie się dogadać. Bo Mariusza już tu nie ma. Będzie chyba z dziesięć minut, jak do domu poleciał.

– O matko! – Zdenerwowała się Anna. – Przecież tam są ci ludzie z opieki! A on nie dość, że pijany, to jeszcze pewno pobity do krwi.

– Może jakby my tak biegiem za nim ruszyli, to jeszcze by i dolecieli, i go zatrzymali. Jak co, to ja mogę z Fabkiem...

– Ja nigdzie nie będę leciał – odezwał się nagle milczący dotąd Fabian, skupiając na sobie zdziwione spojrzenia pozostałych. – I ty też lepiej zostań – zwrócił się do kolegi.

– To jak inaczej go mamy powstrzymać? – Zdziwiła się Anita.

– Nijak. Niech idzie. I niech go zobaczą. Pijanego i z poharatanym pyskiem. I niech zabiorą te biedne dzieciaki, bo na pewno w każdym innym miejscu będzie im lepiej, niż z ojcem.

– Panie Fabianie, jak pan może? – zachnęła się Anna, jednak umilkła, czując jak Agnieszka przytrzymuje ją za ramię.

– Zostaw. Fabian ma rację. Myślę, że to najlepsze rozwiązanie dla tych dzieci. Dla całej tej rodziny, dla Mariusza też. Może się wreszcie opamięta i zrozumie, przez kogo tak naprawdę je stracił. – Zerknęła jakby od niechcienia na Fabiana, który pochylił głowę, nie wiadomo, czy przytakując temu, co mówiła, czy chcąc raczej uniknąć jej wzroku.

– Może choć on się opamięta na czas – mruknął, po czym odwrócił się i odszedł.

Amelia pożyczyła od matki farby, sztalugi i przestrzeń na werandzie, zakazując tam komukolwiek wstępu, dopóki nie skończy.

– Powiedziała, że po południu będzie miała dla nas niespodziankę.

Anna odbiła się nogami od ziemi i lekko rozbijała huśtawkę, na której siedziały z matką. Pomiędzy nimi leżał dorodny słonecznik, który skubały sobie powolutku, wypływając w garść łupinki.

– Pewnie chce coś ładnego dla nas namalować. – Zamyśliła się Maria.

– Nie wydaje mi się. Moim zdaniem, chodzi o coś zupełnie innego. – Anna wysypała łupiny do stojącej nieopodal pustej doniczki. – A co do obrazka, raczej nikomu go nie pokaże, przynajmniej na razie.

– Radosny proces twórczy dla rozładowania emocji? – Maria pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Tak jak ci tutaj? – Wskazała Franka i Arturka.

Chłopcy siedzieli na rozłożonym kocu, pochyleni nad zestawami angielskich klocków, które obaj otrzymali w prezencie od Amelii. Arturek przypomniał sobie o innych, podobnych, które miał w domu, podarowanych mu przez jego mamę, więc teraz pieczołowicie starali się dopasować elementy, tworząc – biorąc pod uwagę ich skupione miny – coś niewątpliwie wyjątkowego.

Arturek jeszcze nie do końca wyzdrowiał i pociągał co chwila nosem, wycierając go koszulką. Kiedy kolejny raz pociągnął krótki rękawek, starając się nim sięgnąć twarzy, na chwilę odsłonił ramię.

– A co on taki posiniaczony? – Anna zatrzymała huśtawkę i zmarszczyła czoło.

– Kto? Arturek? – Maria obejrzała się na chłopca. Jego odsłonięte ręce i nogi były również usiane sinymi plamkami. – Jest bardzo ruchliwy i energiczny, pewnie dlatego.

– Ale żeby aż tak?

– Od kiedy pamiętam, zawsze był poobijany. – Roześmiała się pobłaźliwie. – Zresztą Franek też ma pełno siniaków, to chyba normalne u chłopców?

– Nie jestem pewna. – Anna odsunęła od siebie słonecznik. – Arturku! – zawołała. – Możesz na chwilę do mnie podejść? Wydaje mi się, że masz coś z tyłu na koszulce.

– Robał? – Chłopiec wzdrygnął się ze strachem.

– Nie, to na pewno nic takiego – Uspokoiła go. – Chyba jakiś... listek – dodała, ignorując zdziwienie matki.

Chłopczyk podbiegł do niej i obrócił się tyłem. Anna błyskawicznie i tylko na chwilę podniosła mu koszulkę, odsłaniając plecy. Maria z przerażeniem w oczach zakryła usta, powstrzymując krzyk. Ciało dziecka pokrywały ogromne sińce i krwawe wybroczyny.

– Już. Możesz wracać do zabawy – powiedziała Anna, starając się, by jej głos brzmiał naturalnie.

– Normalne? – spytała teraz już zdławionym głosem. – Nadal tak uważasz?

– Nic z tego nie rozumiem. Wcześniej ich nie było.

– A co tu rozumieć? Obie dobrze wiemy, skąd biorą się siniaki. Szczególnie w takim miejscu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś go bije?

– Nie wiem, ale należy to jak najszybciej wyjaśnić. I coś z tym zrobić.

– Ale ja przecież znam jego dziadków od lat i nie wierzę, żeby mogli coś takiego...

– Mimo to uważam, że trzeba z nimi porozmawiać. Najlepiej pójdźmy tam jeszcze dziś.

– Nie. Lepiej będzie, jeśli zrobię sama. To jest zbyt delikatna sprawa, w twojej obecności mogą czuć się skrępowani albo zwyczajnie zawstydzeni, że przeoczyli coś takiego...

– W porządku. Tylko proszę cię, zajmij się tym szybko.

Zamilkły na długą chwilę, przyglądając się zabawie chłopców. Arturek z pewnością nie wyglądał jak dziecko, które się czegoś obawia i któremu dolega coś innego, niż lejący się z nosa katar. Był też bardzo drobny i mimo że dużo przebywał na słońcu, trochę bladej, jednak Franek również nie należał do grubasów, a bladeść karnacji Arturka wydawała się czymś naturalnym, biorąc pod uwagę jego jasny,

niemal mleczny kolor włosów.

„Może to rzeczywiście jakaś alergija?” – pomyślała Anna z nadzieją. „Ale w takim razie skąd te sińce?”

Z okna domu wychyliła się Amelia.

– Dzwoniła pani Agnieszka! – krzyknęła. – Powiedziała, że wpadnie koło szóstej.

– Do ciebie dzwoniła? – Zdziwiła się Anna, macając się po kieszeni, w której miała telefon. Córka jednak zamiast odpowiedzi posłała jej zagadkowy uśmiech i zamknęła okno.

– Nie mogę uwierzyć, że już lada moment koniec wakacji. Pusto tu będzie bez was. – Westchnęła Maria. – Bo już zdecydowałaś, prawda?

– Tak, mamuś. Wracamy do domu. – Anna oparła głowę na jej ramieniu. – Pora wreszcie stanąć na własnych nogach, włożyć swoje buty, nawet jeśli na początku trzeba będzie je trochę rozchodzić, żeby nie uwierały.

Maria uśmiechnęła się i z czułością pogładziła jej policzek.

Wieczorem zgodnie z zapowiedzią pojawiła się Agnieszka. Annie udało się przechwycić kilka porozumiewawczych spojrzeń między nią a Amelią. Wydało jej się, że przyjaciółka wie, jaką niespodziankę przygotowała jej córka, i że prawdopodobnie właśnie to było powodem jej wizyty.

Pojawiły się też przyjaciółki Meli. Pinapki: Ksenia, Karo i Flo. Ostatnia z maleńkim Tin Tinem w ramionach, co ogromnie ucieszyło Arturka, który przyprowadził Niusię i Filona. Amelia przyniosła do salonu krzesła z kuchni i jadalni, i ustawiła je w dwóch rzędach naprzeciwko telewizora, prosząc wszystkich o zajęcie miejsc. Sama kucnęła obok podłączonego do odbiornika laptopa, mrugając porozumiewawczo do swoich koleżanek, które bez przerwy chichotały i szeptały sobie coś do uszu.

W końcu kliknęła odpowiednią ikonkę i usiadła z boku, obserwując z uwagą na przemian telewizor i twarze siedzących.

Najpierw popłynęła muzyka. Wszyscy z napięciem i w milczeniu wpatrywali się w ciemny na razie ekran. W końcu po kilku muzycznych taktach rozległ się dźwięczny głos Bobby’ego Vintona:

Lonely, I'm Mr. Lonely.

I have nobody for my own...

Na ekranie pojawiły się pierwsze kadry filmu – Przystanek i zamknięte w kojcach psy.

I've been forgotten, yes, forgotten. Oh how I wonder, how is it I failed – śpiewał Bobby, a kamera wolno prześlizgiwała się po metalowych prętach klatek, zatrzymując się na krótką jedynie chwilę na smutnych psich oczach.

Potem Przystanek zniknął. Zastąpiła go łąka, cała w polnych kwiatkach. W oddali zarysowały się niewyraźne sylwetki. Niedługo potem dały się wreszcie rozpoznać, a towarzyszące im mniejsze i większe, również ruchome punkty okazały się psami. Małymi i dużymi. Biegły z rozwianą sierścią, rozbrykane i radosne, nie mniej niż usiłujące dotrzymać im tempa cztery roześmiane dziewczyny w kolorowych letnich sukienkach. Potem nastąpiło kilka krótkich zbliżeń na uszczęśliwione twarze Amelii, Kseni, Karoliny i Florentyny, i wreszcie ukazało się wielkie zdjęcie samej Flo. To, które Anna już знаła – z Niusią na rękach, w sukience w groszki, obok starego cadillaca.

Arturek podskoczył i pisnął podekscytowany, ale zaraz uspokoił się, zgromiony wzrokiem przez Amelię, która położyła wymownie palec na ustach.

Potem było jeszcze więcej zdjęć. Królowały na nich grochy, kokardy, powiewne halki, pasiaste gorsety i przede wszystkim psy. Mnóstwo psów towarzyszących dziewczętom wystylizowanym na *pin-up girls*. W różnych sytuacjach i pozach. Na fotografiach został uwieczniony niemal każdy pies i kot, który przewinął się w trakcie ostatnich dwóch miesięcy przez Przystanek. Prawie zawsze w towarzystwie którejś z dziewcząt.

Potem na chwilę znów pojawił się Przystanek i psie klatki. Tym razem puste. Gdy Bobby zaczął śpiewać ostatnią zwrotkę swojej piosenki, kończącą ten niezwykły pokaz, bohaterem kilku ostatnich zdjęć stał się szczuplutki blondynek, w krótkich spodenkach na szelkach, zawadiacko przekrzywionym

kaszkiecie, z czarnym kotem pod pachą i łaciatym psem na smyczy.

– Niusia! – Nie wytrzymał Arturek, podrywając się z miejsca. – I Filonek – zawołał, energicznie bijąc brawo, do czego skwapliwie przyłączyła się reszta widzów.

Anna zerknęła na Agnieszkę.

– Wiedziałaś o tym, prawda?

– Nie do końca. Wiedziałam o projekcie, ale efekt widzę po raz pierwszy. Nie chciały mi pokazać, dopóki nie skończą. Pracowały nad tym przez całe wakacje. Razem z Amelią, dlatego czekały z pokazaniem tego świata, aż wróci z obozu, mimo że już od pewnego czasu wszystko było gotowe.

– Światu? – Roześmiała się Anna.

– Oczywiście. Filmik jest już w sieci, ma mnóstwo odsłon, myślę, że niebawem padnie jakiś rekord. Jednak najważniejszy pokaz jest dopiero przed nami. Obejrzymy go na telebimie, podczas koncertu pani Leokadii i jej znajomych śpiewaków.

– Doskonały pomysł!

– Dziewczyny to wymyśliły, razem z panią Leokadią. Nie mówiłam ci, bo nie mogłam za wiele zdradzić, ale one bardzo się z nią zaprzyjaźniły. Często ją odwiedzają. Te wspaniałe stroje na zdjęciach to w większości od niej, wiesz?

– Niesamowite, że tak długo udało im się to wszystko utrzymać w tajemnicy!

– One, jak one. Ale że Arturek się nie wygadał! – wtrąciła się Maria. – Ani słóweczkiem!

– Bo ja nie jestem jakaś papla. – Obruszył się chłopiec.

– Nie ma pani pojęcia, jak trudno nam było go namówić, żeby założył ten staroświecki strój! – Zaśmiewały się dziewczęta, na co malec zrobił oburzoną minę, splatając ramiona na piersiach. – Ale spisał się fantastycznie, zwłaszcza w porównaniu z Frankiem, który całkiem nie chciał pozować – dodały szybko, widząc jego reakcję.

– Nie jestem jakąś modelką z wybiegu i miałem ważniejsze obowiązki – sarknął, unosząc dumnie głowę. – Ciekawe, kto by wam to wszystko sfilmował, co?

– Wszyscy spisaliście się na medal. – Anna pogłaskała syna po głowie.

Była zaskoczona i wzruszona. Za bardzo, by móc cokolwiek więcej powiedzieć. Właśnie otrzymała namacalny dowód na to, że przyjazd do Bujan nie tylko dla niej okazał się najlepszym lekarstwem, lecz również dla jej dzieci. „Ale nawet najlepszy lek nie zadziałała dobrze, jeśli się go przedawkuje” – pomyślała.

Od blisko dwóch godzin siedziała na twardym plastikowym krzeselku w poczekalni przychodni.

Po raz prawdopodobnie setny kontemplowała wiszące na ścianach dziecięce rysunki oprawione w antyramy, i twarze innych oczekujących, znudzone i lekko zniecierpliwione. Uchylane co kilkanaście minut drzwi gabinetu lekarskiego powodowały, że wszyscy ożywiali się na kilka sekund. Padały pytania: „Który teraz numerek wszedł?”, „Kto z państwa ostatni?”, „Dlaczego to tyle trwa?”, a potem znów zapadała względna cisza, przerywana jedynie szmerami rozmów i od czasu do czasu głosami dzieci, uciszzanymi niecierpliwie przez ich opiekunów.

Anna czekała na Arturka i jego babcię, którzy w końcu zniknęli za drzwiami z napisem „Pediatria”. Kręciła się niecierpliwie na krześle, gniotąc pasek od torebki i czując, jak rośnie w niej i tak spore już na początku podenerwowanie. Podrywała się z krzesła, gdy tylko wydawało jej się, że za drzwiami gabinetu słyszy jakiś hałas.

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy odkryły siniaki na plecach Arturka, jej matka poszła porozmawiać z sąsiadami. Wróciła po godzinie. Błada i lekko roztrzęsiona.

– Oni tego nie zauważyli – powiedziała krótko. – Nie mieli pojęcia, w jakim stanie jest dziecko.

– Co ty opowiadasz? Przecież to niemożliwe!

– Nie mówiłam ci, bo bardzo to ukrywają, ale Zośka i jej mąż, oni oboje są bardzo chorzy. Stary Więcek już prawie nie wstaje z łóżka, tak strasznie bolą go stawy, a Zosia... Ma zwyrodnienie plamki żółtej. To bardzo poważna choroba oczu, której konsekwencją jest postępująca ślepotą. Dziadek nie jest w stanie zajmować się wnukiem, a babka widzi z miesiąca na miesiąc coraz gorzej. Dlatego nic nie zauważyła.

– Nie rozumiem. Więc jak w ogóle dają radę opiekować się tak małym dzieckiem? Przecież oboje zupełnie się do tego nie nadają!

– To jest właśnie powód, dla którego trzymają to w tajemnicy. Boją się, że kiedy córka się o tym dowie, ze względu na nich zrezygnuje ze swoich planów i wszystko zaprzepaści. A jeszcze bardziej obawiają się tego, że jeśli ktoś inny się dowie, mogą zostać pozbawieni prawa do opieki nad wnukiem i małego gdzieś zabrają. Właśnie dlatego Zośka nie prowadziła go do lekarza, tylko sama leczyła te wszystkie infekcje domowymi sposobami... Robiła mu mleko z miodem, podawała czosnek, sok malinowy, nacierała spirytusem i takie tam.

– Ale jak widać, jest to całkiem skuteczne, bo Arturek za każdym razem szybko wracał do zdrowia, a objawy mijały.

– Niestety, na krótko, bo mały za chwilę znów chorował. Teraz dziadkowie boją się, że nie podając mu odpowiednich leków, mogli spowodować jakąś inną chorobę, i stąd te sińce. Bo chyba nie muszą dodawać, że nie wyrządzili mu żadnej krzywdy, żadne z nich nigdy go nie uderzyło.

– Rozumiem, ale co dalej?

– Jutro rano idą do lekarza. Mały pewnie dostanie skierowanie na badania, wtedy zobaczymy. Miejmy nadzieję, że to nic poważnego.

Zaledwie trzy dni później pani Zosia z plikiem wyników zapukała do ich drzwi.

– Tu mam wszystko – powiedziała drżącym głosem i podała je Annie. – Ja tego nie dam rady przeczytać, choć i tak bym pewno nic nie zrozumiała, a lekarz dopiero po południu przyjmuje. Może by Ania pomogła...

– Pani Zosiu, oczywiście mogę zerknąć, ale też nie znam się na tym za bardzo, chyba lepiej poczekać jednak na lekarza... – odparła, jednocześnie patrząc na wydruki i czując, jak robi się jej coraz bardziej gorąco, i słabo.

Na wynikach badań rzeczywiście niespecjalnie się znała, jednak potrafiła odczytać, co odbiega od normy. I to, jak mocno odbiega.

– Tak jak mówiłam – powiedziała lekko schrypniętym głosem, starając się mimo wszystko

brzmieć spokojnie. – Najlepiej poczekać, aż lekarz je obejrzy. Ale jeśli tylko pani chce, mogę z wami pójść na tę wizytę.

– Oj tak. – Sąsiadka pokiwała skwapliwie głową. – To ja bym bardzo prosiła.

Umówiły się i poszły jeszcze tego samego dnia. Teraz Annie pozostało tylko coraz trudniejsze dla niej czekanie.

Nagle drzwi gabinetu uchyliły się, przerywając jej rozmyślenia, i pokazała się w nich pani Więckowa. Nie powiedziała nic, tylko przywołała ją gestem. Anna poderwała się z krzesła, czując, jak przyspiesza jej puls. Babka Arturka była bardzo blada i drżał jej głos.

– O, to jest właśnie moja kuzynka, panie doktorze, Ania Radecka – powiedziała, przedstawiając Annę lekarzowi, po czym zwróciła się do niej. – Bo ja nic nie rozumiem z tego, co pan doktor mówi, to może ty byś, dziecko, jeszcze raz posłuchała, a ja z Artusiem poczekam na korytarzu.

– Tak, tak. To bardzo dobry pomysł – potwierdziła Anna skwapliwie, patrząc z troską na rozdygotaną staruszkę.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, lekarz westchnął, odrobinę zniecierpliwiony, patrząc nieco podejrzliwie na Annę.

– Najchętniej porozmawiałbym z matką dziecka – burknął niezbyt przyjaźnie.

– Jest za granicą, ale mam z nią stały kontakt. Obiecuję, że powtórzę jej każde pana słowo, a na razie chciałabym, na ile to możliwe zastąpić ją, skoro nie ma innego wyjścia – oświadczyła Anna trochę nerwowo. – Chyba że woli pan dokończyć tę rozmowę z babcią chłopca...

– Dobrze, dobrze. Proszę się uspokoić – przerwał jej doktor już łagodniej, wzdychając z pewną rezygnacją. – Pewnie widziała pani wyniki...

– Tak. Wiem, że są złe. Proszę mi powiedzieć, jak bardzo, i co właściwie dolega dziecku.

– Wyniki rzeczywiście nie są dobre. Nieprawidłowy poziom leukocytów, płytki krwi dużo poniżej normy.

– Ale to nie jest białaczka, prawda? – Anna wyrzuciła z siebie wreszcie to, co do tej pory z wszystkich sił odpychała od siebie, bojąc się wypowiedzieć na głos.

Wpatrywała się w lekarza, który znów westchnął i przygryzł dolną wargę.

– Przykro mi, ale mamy za mało danych, żeby to na tym etapie wykluczyć... Jednak proszę się nie denerwować i być dobrej myśli, jest wiele różnych chorób układu krwiotwórczego o podłożu immunologicznym, i nie wszystkie są tak groźne jak ta, którą pani... hmm... wymieniła. Wyniki są niejednoznaczne. Zanim postawimy jakąkolwiek diagnozę, trzeba je powtórzyć. A najlepiej byłoby zrobić dziecku szczegółowe badania w warunkach szpitalnych. Myślę... – zająknął się. – Myślę, że jestem w stanie zarezerwować mu miejsce na oddziale specjalistycznym w Warszawie, to byłoby w tej chwili najlepsze rozwiązanie dla chłopca, jednak trzeba by tam go zawieźć już na własną rękę. I oczywiście potrzebna jest decyzja i zgoda prawnego opiekuna, czyli któregoś rodziców. Powinien też być obecny przy badaniach.

– Rozumiem. Bardzo proszę, żeby pan postarał się o to miejsce w szpitalu jak najszybciej, resztą zajmę się sama.

– Oczywiście. Proszę w takim razie jutro z samego rana do mnie zadzwonić, wtedy pewnie będę już coś wiedział.

Anna opuszczała gabinet, usiłując ze wszystkich sił wyrównać oddech i się uspokoić, żeby nie dać niczego po sobie znać. Nie chciała zbyt wcześnie niepokoić babki Arturka, postanowiła też najpierw porozmawiać z Sylwią.

Panią Zofię znalazła na ławce przed przychodnią. Siedziała i patrzyła na wnuka, który skakał na jednej nodze po chodnikowych płytach.

– Gram w kopertę! – krzyknął do Anny, gdy tylko ją zobaczył.

Tymczasem ona przysiadła obok jego babki i położyła rękę na jej splecionych ciasno dłoniach. Dopiero wtedy przekonała się, jak mocno drżą. Zajrzała w twarz kobiety i odkryła, że mimo pozornego spokoju, jej poorane bruzdami policzki są mokre od roztartych na nich łez. Wciąż łkała, choć tylko w środku. Starła się to ukryć, żeby nie przestraszyć ukochanego wnuka. Prawie suche już oczy nadal

płakały, a kamienna twarz tak naprawdę wykrzywiła się w bólu. Malował się też na niej strach. Zbyt wielki, by zdołała go schować w sobie. W jej wyblakłych oczach pojawiło się trwożliwe pytanie.

– Trzeba zrobić kolejne badania, pani Zosiu, bardziej szczegółowe – powiedziała Anna głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. – Na razie wiadomo tylko, że wyniki nie są prawidłowe, ale to wcale nie oznacza, że dzieje się coś bardzo złego. Jednak – zawahała się – myślę, że trzeba powiadomić Sylwię. Jeśli pani woli, żebym to ja do niej zadzwoniła...

Kobieta otworzyła usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zaciśnęła mocno wilgotne teraz oczy i powoli przytaknęła.

Anna otwierała wolno drzwi swojego mieszkania, oparta barkiem i skronią o futrynę. Czowała, że jeśli w ciągu najbliższych sekund nie zdejmie butów i nie usiądzie, osunie się na podłogę i z pewnością nie podniesie się, dopóki jej nogi nie zaczną być znowu jej nogami, czyli powróci w nich jako takie czucie.

Kusiło ją, by opaść na ławkę w przedpokoju, i tam już zostać. W końcu poczłapała jednak do salonu, uśmiechając się od progu do rozłożystej miękkiej kanapy. Położyła się z niebotyczną ulgą, usiłując przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz spędziła tak intensywnie dzień, jednak nie pamiętała. Założyła nogi na oparcie, a ręce wsunęła pod kark, próbując go sobie rozmasować.

Do poprzedniego wieczoru nikt nie odważył się poinformować Arturka o wyjeździe do Warszawy i perspektywie pobytu w szpitalu. Zgodnie też uznano, że na razie nie należy mówić mu o tym, że niebawem spotka się ze swoją mamą, która po rozmowie z Anną natychmiast zdecydowała się na powrót do Polski. Na wszelki wypadek, gdyby jej plany z jakiegoś powodu się nie powiodły.

W końcu nadszedł czas rozmowy o szpitalu. Anna przyjęła to na swoje barki i późnym wieczorem usiadła przy stole, naprzeciwko Arturka, który spokojnie zjadał podwieczorek podany mu przez jej matkę.

– Pokażę ci sztuczkę, chcesz? Ciociu? – zaproponował, wyciągając zaciśniętą pięść, w której prawdopodobnie coś schował. Od pewnego czasu z własnej inicjatywy tak właśnie się do nie zwracał. Ciociu.

– No pewnie, ale najpierw skończ jeść bułecz... – urwała tknięta nagłą myślą. – Bardzo lubisz magiczne sztuczki, prawda? Babcia opowiadała mi, jak kiedyś chciałeś zobaczyć występ magika.

– Mhm!

Pokiwał energicznie głową, wymachując jednocześnie rękami, bo buzię miał zapchaną dużym kawałkiem drożdżowej bułki z jagodami.

– Czy wobec tego chciałbyś pojechać ze mną tam, gdzie można zobaczyć dużo takich magicznych sztuczek?

Znów pokiwał głową, wpychając palcami do ust wystające z nich kawałki ciasta.

– Bardzo, bardzo bym chciał! – wykrzyknął, gdy wreszcie udało mu się przełknąć, plując w Annę resztkami pozostałych w buzi okruchów. – A gdzie to jest?

– W Warszawie – odparła, dyskretnie strząsając przerzute ciasto z dekoltu. – Jest takie miejsce, nazywa się Centrum Nauki, i właśnie tam powstają wszystkie magiczne sztuczki świata. Mogłabym cię tam zabrać, jeśli się zgodzisz. Jednak jest pewien warunek.

Perspektywa odwiedzenia warszawskiego Centrum Nauki Kopernik wydała się chłopcu na tyle interesująca, że choć z pewnymi oporami, przystał wreszcie na wiążącą się z tym konieczność krótkiego pobytu w szpitalu. Upewnił się tylko, czy nie będzie tam sam, o czym Anna zapewniła go skwapliwie, wciąż jednak nie ujawniając na wszelki wypadek, że będzie z nim jego mama. Postanowiła zrobić to, jak tylko Sylwia wejdzie wreszcie na pokład samolotu.

Po długim oczekiwaniu w monstrualnej kolejce po bilety i równie czasochłonnym zwiedzaniu centrum, gdzie chłopiec z wypiekami na twarzy musiał co najmniej kilkakrotnie wypróbować każdy z dostępnych eksponatów, Anna odebrała niecierpliwie wyczekiwany telefon od jego matki informujący, że za cztery godziny wylądaje w Warszawie.

– Wiesz co? – Zerknęła tajemniczo na Arturka. – Teraz pójdziemy coś zjeść, a potem będę miała dla ciebie jeszcze większą niespodziankę. Mówiąc to, prowadziła go nieco podstępnie do wyjścia, bo ciągle się przed tym opierał. Miała nadzieję, że zaciekawiła go na tyle mocno, że zgodzi się wreszcie opuścić budynek centrum. Po krótkich na szczęście namowach, w końcu to się udało.

Gdy dotarli na lotnisko, chłopiec, który widział je po raz pierwszy w życiu, rozglądał się niepewnie, trzymając Annę z całej siły za rękę.

– A skąd te samoloty tutaj przylatują? – zagadnął w końcu, gdy się nieco oswoił.

– Z całego świata, kochanie.

– I z Anglii też?

– Też.

– A dziś przyleci z Anglii samolot? – spytał, przytrzymując wolną ręką drżącą coraz mocniej brodę.

– Tak.

– I moja mamusia? Przyleci?

Już nawet nie starał się powstrzymywać płynących mu po policzkach łez. A kiedy Anna, milcząc z powodu zaciśniętego nagle gardła, przytaknęła jedynie głową, rozplakał się w głos. Uspokoił się dopiero, gdy przytulił się do równie jak on zapłakanej matki.

– Jeszcze dziś musi być przyjęty do szpitala – powiedziała Anna cicho. – Ale najpierw pojedziemy do mnie, żebyś zostawiła bagaże, odpoczęła po podróży i nacieszyła się dzieckiem w normalnych warunkach.

– Dziękuję – wyszeptała młodziutka blondynka, tuląc wciąż do siebie dawno niewidziane dziecko.

– Potem was odwiozę do szpitala i niestety rano muszę wracać do Bujan. Ale zostawię ci klucze do mojego mieszkania, żebyś mogła się w nim zatrzymać.

– Dziękuję, ale nie trzeba, wolę być przez cały czas z nim.

– Wiem, to tak na wszelki wypadek, gdybyś chciała się na przykład odświeżyć czy coś. Po wszystkim oczywiście po was przyjadę.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyszeptała. – Tak bardzo ci dziękuję za wszystko.

Późnym wieczorem, wciąż leżąc na kanapie, nadal w tej samej pozycji, w wymiętym niemilosiernie, wcześniej eleganckim zakiecie, Anna sięgnęła po swój telefon. Szybko wybrała numer.

– Cześć, Wiktor – stęknęła, próbując się nieco unieść. – Nie, nie, wszystko w porządku, trochę tylko jestem zmęczona, miałam trudny dzień. Zresztą, nieważne. Dzwonię, ponieważ chcę się upewnić, czy jesteś jutro rano w firmie? Tak? Świetnie, w takim razie wpadnę... Nie, nic się nie stało, muszę po prostu z tobą porozmawiać.

Rozłączyła się i spojrzała na zegarek. Po krótkim namyśle wybrała numer do swojego prawnika.

– Mówże wreszcie, wiadomo coś konkretnego? Postawili diagnozę?

Agnieszka dreptała za przyjaciółką, która kręciła się po kuchni, przygotowując przekąski na wieczorne spotkanie, depcząc jej po piętach.

– Przecież mówiłam ci przez telefon, że nie – westchnęła Anna, nabijając na plastikowe szpadki kawałki warzyw, serów i wędlin. – I pewnie nic nie powiedzą, dopóki nie będą mieli kompletu badań. Jutro robią mu punkcję szpiku kostnego.

– Biedny maluch...

– Jest dzielny. Sylwia mówiła, że trzyma się dużo lepiej niż ona.

Ustawiała na tacy półmisek z koreczkami i kubki.

– Zrobić herbatę? – Agnieszka przyglądała się jej poczynaniom.

– Nie trzeba, mam chłodnik z awokado. Dzbanek jest w lodówce. Weźmiesz?

Przeniosły wszystko na werandę. Agnieszka umościła się wygodnie na jednej z wiklinowych kanap, podciągnęła kolana pod brodę i zerknęła na Annę.

– No a ty? – zagadnęła. – Mówiłaś, że nie byłeś dziś w szpitalu, a wróciłaś z Warszawy bardzo późno, więc...

– Byłam w szpitalu – przerwała jej Anna. – Ale nie u Arturka.

– Jak to? – Agnieszka urwała i zakryła sobie dłonią usta. – Przepraszam, nie chciałam być wścibska. Oczywiście nie musisz mówić.

– Ale chcę. To znaczy myślę, że już pora z kimś pogadać... O tym, co się stało, o Piotrze. To z jego powodu byłam szpitalu.

– Ania, ale przecież... przecież Piotr nie żyje... Po co więc...?

– Piotr nie przeżył wypadku, ale ocalała kobieta, która z nim jechała. Ona... była w ciąży, to znaczy nadal jest, dziecku na szczęście nic się nie stało... – Zamilkła na długi moment, a przyjaciółka jej nie ponaglała, widząc, że Anna potrzebuje chwili, by samej przetrwać to, co chce powiedzieć. – To dziecko Piotra – oznajmiła wreszcie.

Agnieszka odstawiła wolno kubek z chłodnikiem i wlepiła w przyjaciółkę zdumione spojrzenie, ale nadal się nie odzywała.

– Miał kochankę, to trwało podobno kilka lat, a ja dowiedziałam się o tym przypadkiem, dopiero po jego śmierci. I właśnie dlatego uciekłam. Od tego wszystkiego, co mnie... przerosło. Potrzebowałam pomyśleć, nabrać dystansu, zamknąć przysłowiowy rozdział w moim życiu.

– I udało ci się to?

– Prawie. Dostrzegłam wreszcie wszystko to, czego wcześniej nie zauważałam, lub raczej nie chciałam widzieć. Zrozumiałam, co się właściwie stało. I wtedy postanowiłam zacząć wszystko od początku, a żeby to zrobić, musiałam oddzielić grubą krechę swoje poprzednie życie, to z Piotrem, od obecnego. Dlatego pomyślałam, że spotkanie z tamtą kobietą to jest pierwsza rzecz, jaką powinnam w takiej chwili zrobić.

– Ale po co dokładnie tam poszłaś? Czego od niej oczekiwałaś?

– Sama nie wiem. Potwierdzenia, że tak naprawdę Piotra już od dawna przy mnie nie było? Że nie należał już do mnie, tylko do niej?

– I zrobiła to? Potwierdziła twoje przypuszczenia?

– Przeciwnie. Dowiedziałam się, że Piotr chwilę przed wypadkiem wyznał jej, że chce się z nią rozstać i że... to ja jestem dla niego najważniejsza. I dzieci. A ona nawet nie zdążyła powiedzieć mu o ich wspólnym dziecku. Dlatego właśnie postanowiłam spotkać się z naszym prawnikiem i dowiedzieć się, jak to wygląda ze strony prawnej. Mam na myśli uznanie tego dziecka, żeby miało w akcie urodzenia imię i nazwisko ojca. Piotra.

– Zwariowałaś? Ta kobieta ukradła ci męża, a ty chcesz się z nią nim dzielić nawet po jego śmierci?

– Nie z nią, ale z ich dzieckiem. Aga, ja to sobie wszystko dobrze przemyślałam. Ono nie jest niczemu winne. To jest przyrodni brat lub siostra Amelki i Franka. A poza tym wiem, że Piotr by tego chciał, że obojętnie, co by się potem stało, nie wyrzekłby się dziecka. Zresztą, już rozmawiałam z tą kobietą i powiedziałam jej, że jeśli tylko się zgodzi, mój prawnik pomoże jej we wszystkich formalnościach. Ja już nie zamierzam się w to mieszać, ani z nią w jakikolwiek sposób kontaktować.

– Doskonale cię rozumiem. Wyobrażam sobie, jak musisz być na nią wściekła.

– Tak naprawdę, wcale nie jestem. Wcześniej byłam, ale sama nie wiem, kiedy to minęło. Nie wiem też za bardzo, co teraz do niej czuję... może niechęć? Paradoksalnie – pewnego rodzaju współczucie? Bo na pewno nie jest to złość. I tak jest lepiej, przede wszystkim dla mnie. Sprawę uważam za zamkniętą, przynajmniej na razie. Zaczynam całkiem nowe życie.

– Ooo ho, ho! – Usłyszały z dołu głos Anity. Wdrapywała się właśnie po schodach – Zabrzmiało dobrze. Nowe życie. A możesz zdradzić coś więcej? Gdzie? I z kim?

– Raczej, z czym. Z nową pracą. Przyjęłam propozycję Wiktora. Będę pracować w firmie, którą założył z Piotrem. W końcu należy również do mnie i powinnam coś dla niej zrobić, zamiast jedynie odcinać kupony od tego, co wypracował Piotr. To też jestem mu winna. I przede wszystkim naszym dzieciom. Dlatego z końcem sierpnia wracamy z dziećmi do Warszawy. Na razie do starego mieszkania, a potem się zobaczy.

– No a Wojtek? – spytała nieoczekiwanie Agnieszka, a widząc zdziwioną minę Anny, sarknęła.

– Tylko nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Nie wiem, czy coś było między wami, to nie moja sprawa, ale jestem przekonana, że ze strony Wojtka na pewno coś jest.

– Niby skąd to wiesz?

– Bo nie jestem ślepa ani głucha. Zwłaszcza gdy o ciebie pyta przy każdej nadarzającej się okazji. I zaznaczam po raz kolejny, nie zamierzam się wtrącać! Ale proszę cię, jako przyjaciółka twoja i jego, żebyś z nim porozmawiała. I to jak najszybciej. Myślę, że jesteś mu to winna. Przecież kiedyś...

– Dobrze! – przerwała jej Anna. – Porozmawiam z nim. Niedługo. Teraz najważniejszy jest Arturek.

Długo nie mogła zasnąć.

Mimo potwornego zmęczenia nadmiarem wrażeń, przewracała się po raz setny z boku na bok, siłą zaciskając powieki. Odganiała wszystkie ważne myśli, zostawiając tylko te nieistotne i nudne, w nadziei, że dzięki nim wreszcie zmorzy ją sen.

Jednak każdy podjęty wątek, pozornie nieważny, sprowadzał ją na manowce wyobraźni, i przez to coraz bardziej przyspieszał jej puls. Gdy podejmowała kolejną próbę, by się wycofać, dziwnym trafem wracała ciągle w to samo miejsce. Za każdym razem myślała o Wojtku i o tym, o czym musiała z nim wkrótce porozmawiać.

Wiedziała, że jest tylko jeden sposób, by się uwolnić o tych myśli. Powinna poświęcić je komuś innemu, mężczyźnie, z którym przeżyła wiele cudownych lat. Dlatego pragnęła zrozumieć, co się właściwie między nimi wydarzyło w ciągu tych ostatnich, że doprowadziło ich do takiego, nie innego końca. Nie jego śmierci, ale końca bycia razem. Jej i Piotra. To właśnie usiłowała zrozumieć. Wciąż nie była pewna, kiedy to się właściwie stało i kto o tym zdecydował, czy naprawdę przesądził o tym wypadek, w którym zginął jej mąż.

Przez wszystkich byli uważani za idealne małżeństwo. Szczęśliwe. I takie też pewnie było. Przynajmniej na początku. Piotr był dobrym mężem i ojcem, a ona starała się być dla niego jak najlepszą żoną. Matką jego dzieci i panią domu. Zrezygnowała z pracy i wyuczonego, wymarzonego przecież zawodu, by ten dom mógł być również idealny. Stabilny, bezpieczny i szczęśliwy, tak jak ich rodzina. Jednak wcale nie czuła, że coś poświęca albo traci. Sama wybrała sobie takie życie i ono jej odpowiadało. Była szczęśliwa. Spełniona. I co najważniejsze – czuła się kochana.

Aż do dnia, gdy nagle ogarnęło ją niepoparte niczym konkretnym wrażenie, że w jej idealnym świecie zaczyna dziać się coś złego. Nie potrafiła sprecyzować co dokładnie, bo teoretycznie nic się nie zmieniło. Wyjątkiem były noce. Zawsze lubiła zasypiać, czując obok siebie jego obecność. Nawet jeśli to miało być jedynie zaciśnięcie palców na jego dłoni – wystarczało, pod warunkiem że on ten uścisk oddawał. Nawet nieznaczny, dla niej był wyraźnym sygnałem, który mówił: „Cieszę się, że jesteś przy mnie”. Czasem wtulała się w jego plecy, wdychając znany na pamięć zapach wody kolońskiej, słysząc, jak mruczy z zadowoleniem. Uśmiechała się mimowolnie, a on jakby to wyczuwał, chwycił jej dłoń i wpychał ją sobie pod brodę. I tak zasypiali. Mimo drętwienia ramion z powodu niewygodnej dla obojga pozycji i bólu pleców, żadne z nich nie miało ochoty uciec na swoją połowę łóżka.

Tak było, dopóki nie odkryła, że Piotr coraz rzadziej odwiedza ją na jej części materaca. Zasypia, zanim ona zdąży połaskotać go w kark swoim oddechem. Nie śmieje się, kiedy mruga, łaskocząc go w szyję rzęsami. W końcu w ogóle przestaje się uśmiechać, nawet w dzień...

Próbowała mimo wszystko walczyć. Każdej kolejnej nocy wsuwała swoje pięści w jego dłonie i nieruchomiała w oczekiwaniu na coś, co nie następowało. Raz po raz ścisnęła jego palce w nadziei, że to zauważy i odwzajemni, jednak nadaremnie.

Gdy udało jej się czasem wślizgnąć do łóżka, zanim zasnął, kładła się na jego poduszce, szepcząc, by ją objął, przytulił. A on wzdychał i układał rękę na jej plecach, zupełnie bezwładną, przygniatając ją jej ciężarem tak mocno, że w końcu zrezygnowana przesuwiała się na swoją część łóżka, otulała kołdrą i odwracała plecami. To był ostatni moment, w którym jeszcze czekała, że on jednak ją obejmie, tym razem prawdziwie, jak kiedyś. Z lekkim poczuciem winy, zawstydzony własną biernością, i z nieudawaną przyjemnością wtulił twarz w jej włosy. Jednak nadzieja okazywała się złudna.

Anna z czasem przestała na to czekać, liczyć, że cokolwiek się zmieni. Już nie obejmował jej w pasie, kiedy czesała się przed lustrem. Nie łaskotał w bok, gdy pośpiesznie myła zęby, żeby zdążyć zrobić mu śniadanie. Nie całował w czubek głowy, tak po prostu, przechodząc przypadkiem obok. Ale nadal był dobrym mężem i ojcem. Starał się. Jednak coraz częściej, mimo że był, wydawał się nieobecny. Anna zaglądała jeszcze czasem w jego oczy, które już jej nie widziały, jakby myślami był w zupełnie

innym miejscu, tam, gdzie nie było jej.

Nagle drgnęła i uniosła powieki. Było zupełnie jasno, przez szczeliny w okiennicach do pokoju wpadały słoneczne promienie. Rozejrzała się zdziwiona. Czuła się, jakby przed chwilą oderwano ją od myśli, które najprawdopodobniej płynnie przemieniły się w sen, wciąż o tym samym. Przez całą noc śniła o Piotrze.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta. „Arturek miał mieć o ósmej punkcję!” – pomyślała i w popłochu sięgnęła po telefon. Zaczęła wybierać numer do Sylwii, ale zrezygnowała. „Powiedziała, że zadzwoni, jak tylko będzie wynik” – pomyślała. Położyła aparat na poduszce przy głowie i znów przymknęła oczy, ponownie sklezione sennością. Wówczas ujrzała całkiem nowe obrazy. Tym razem takie, których nie chciała przeganiać. Zobaczyła przyszłość i to, co mogła ze sobą przynieść.

Tym razem z głębokiego, jak się okazało, snu wyrwał ją dzwonek telefonu rozbrzmiewający tuż przy jej uchu. Podskoczyła jak oparzona, patrząc z przerażeniem na aparat. Przez zbyt długi moment bała się dotknąć zielonej słuchawki. W końcu odebrała. Słuchała w milczeniu prawie krzyku zdenerwowanej matki Arturka.

– Mamuś! – wrzasnęła na całe gardło, gdy tylko się rozłączyła, starając się nie myśleć o tym, że prawdopodobnie obudziła brutalnie śpiące w pokoju obok własne dziecko. – Mamo! Jesteś tam?

Łykając w locie łzy, wybiegła z pokoju i zderzyła się ze zdenerwowaną Marią.

– Co się... – Jej słowa zostały stłumione przez ramię Anny, która rzuciła się jej na szyję, piszcząc wniebogłosy.

– Nie ma białaczki! To już pewne! – krzyczała, drżąc z ciągłych nerwów i emocji. – To nie jest białaczka!

– Chwała Bogu – westchnęła kobieta, ocierając wierzchem dłoni mokre oczy. – Więc dlaczego miał złe wyniki, skoro jest zdrowy?

– Bo on nie jest wcale zdrowy, mamo. – Anna oderwała się od niej wreszcie i spoważniała. – Okazało się, że ma małopłytkowość, stąd te sińce i wybroczyny. Sylwia, kiedy do mnie dzwoniła, była bardzo zdenerwowana, bo od razu podano mu masę płytkową i nastąpił wstrząs. Na szczęście w porę udało się nad tym zapanować.

– Czyli to jest coś poważnego?

– Ta choroba jest podobna do hemofilii, tak jak jej konsekwencje. Trombocytopenia, bo tak się dokładnie nazywa, to skaza krwotoczna, najprawdopodobniej wrodzona. Dzieciak musi teraz po prostu bardzo na siebie uważać. Na pewno będzie musiał zrezygnować z wchodzenia na drzewa i paru innych ulubionych chłopiących zajęć. Czekają go też specjalna dieta. Teraz dostanie leki sterydowe, może się po nich trochę źle czuć, ale najważniejsze, że lekarze są dobrej myśli, więc i ja wierzę, że będzie dobrze.

– Musi być dobrze. Całe szczęście, że Sylwia przyjechała i się nim zajęła. Nie wiem, jak Zosia dałaby sobie radę z tym wszystkim, nawet z naszą pomocą – westchnęła Maria. – Ale kiedy wyjedzie, babce nie będzie łatwo. Już samo zajmowanie się dzieckiem to wielka odpowiedzialność, a co dopiero tak chorym. Zwłaszcza gdy samemu ma się problemy ze zdrowiem i potrzebuje wsparcia.

– Ale przecież Sylwia nie wyjeżdża. Nie mówiłam ci?

– Jak to?

– Rozmawialiśmy o tym jeszcze w Warszawie. Powiedziała, że nie wraca już do Anglii. Kiedy dowiedziała się, że jej syn zachorował, a szef nie pozwolił na urlop, bez wahania rzuciła pracę z dnia na dzień i spakowała wszystkie swoje rzeczy.

– No a mąż?

– Zostanie tam tylko do końca roku, a potem też już na stałe wraca do domu.

– Nie będzie im łatwo, ale jestem pewna, że podjęli najszlachetniejszą decyzję.

– Sylwia też tak uważa. Zwierzyła mi się, że jedyna rzecz, jakiej żałuje, to że nie zrobiła tego dużo wcześniej.

– Najważniejsze, że teraz już wszystko zmierza ku dobremu.

– Tak. – Uśmiechnęła się Anna. – Ku dobremu. Wszystko.

Zbliżał się koniec sierpnia, a wraz z nim czas powrotu do Warszawy i tym samym rozstania z Bujanami.

Ostatni wieczór Anna postanowiła spędzić w towarzystwie tylko rodziców. Z Amelią i Frankiem zaplanowali dla nich uroczystą pożegnalną kolację. Dlatego dzień wcześniej zamierzała pożegnać się z przyjaciółkami.

Przed domem Bożeny natknęła się na panią Jasię, która spacerowała w tę i z powrotem z dziecięcym wózkiem, nachylając się nad nim co chwila i poprawiając różowy kocyk. Na widok Anny uśmiechnęła się i sugestywnie położyła palec na ustach. Jeszcze raz uważnie zlustrowała wnętrze gondoli, po czym, stąpając na palcach, podeszła do Anny.

– Dopiero co go ubijałam. Może pośpi z godzinkę, to choć kartofli do obiadu naskrobię – poinformowała półgłosem. – Ale Ania pewnie do Bożenki przyszła, a jej akurat nie ma w domu – zatroskała się. – Razem z Basią, tą, co to się im na synową szykuje, pojechały do Łomży. Do fryzjera i do kosmetyczki.

– Ach, to świetnie. – Ucieszyła się Anna.

– A pewnie, że tak. Bożenka z początku to nie chciała, aleśmy ją z tą Basią jakoś przekonaly, że dla Stasiczka może przecież mleka z piersi zostawić, a ja napoję go buteleczką, jak zgłodnieje. I przypilnuję jak swojego. No to w końcu pojechały. Choć pewnie za niedługo już wrócą, to może Ania poczeka, co? Kompotem z porzeczek poczęstuję, akurat dziś nagotowałam cały gar.

– Dziękuję, pani Jasiu. I tak muszę jeszcze pojechać do Agnieszki. Zajrzę, jak będę wracała, dobrze?

– A pewnie, pewnie, to ja powiem Bożenie. – Zawahała się chwilę, jakby nad czymś się zastanawiając. – Do Agnieszki jedzie, tak? To znaczy koło Wojtka domu będzie niedaleko przejeżdżać? Anna odrobinę skonsternowana skinęła niepewnie głową.

– Bo ja bym prośbę taką miała, jeżeli wolno. Mirek mi dał jakieś papiery, żeby temu Wojtkowi zaniósł, bo ja tamtędy do siostry swojej chodzę, ale jakoś tak się złożyło, że ich nie zabrałam, jak szłam. Teraz nie mam kiedy za bardzo znowu iść, a wstyd się przed Mirkiem przyznać, że nie zaniósłam.

– Dobrze, pani Jasiu – powiedziała Anna z lekkim ociąganiem. – Chętnie panią wyręcę.

Od wielu dni odsuwała od siebie to spotkanie, żeby ostatecznie dziwnym zrządzeniem losu zostać do niego zmuszoną. Dlatego z pewną obawą pchnęła metalową furtkę.

Drzwi pracowni były uchylone, więc Wojtek mógł być w środku. Podeszła bliżej i zatrzymała się już po kilku krokach, gdy dostrzegła go pochylonego nad czymś w skupieniu. Przez chwilę przyglądała mu się, badając swoją reakcję. Nasłuchiwała własnego bicia serca, oczekując, że jak zawsze w takiej chwili przyspieszy. Czekala na charakterystyczne mrowienie, klucie pod żebrem i falę gorąca.

Ku jej zaskoczeniu, nic takiego nie nastąpiło. Prócz niewielkiego podenerwowania i jeszcze mniejszego poczucia niepokoju, nie pojawił się żaden ze spodziewanych symptomów, co powinno się zdarzyć, gdyby... gdyby czuła do tego mężczyzny cokolwiek innego, poza zwykłą sympatią. Właśnie to nagle sobie uświadomiła. „W takim razie, co się ze mną działo wcześniej?” – zastanawiała się gorączkowo. „Przecież nie mogłam aż tak się pomylić”. Czyżby brak wewnętrznej równowagi tak mocno zafałszował jej postrzeganie rzeczywistości? I czy to oznaczało, że wreszcie udało jej się tę równowagę odzyskać? Stańc na własnych nogach, bez podpierania się o kogokolwiek...

– Ania? – Drgnęła, słysząc głos Wojtka. – Nie zauważyłem, kiedy przyszłaś. Co tu robisz?

– Przepraszam, nie powinnam się tak skradać. – Zawstydzila się. – Przyszłam, ponieważ... – Pokazała mu kopertę. – Mirek prosił, żeby ci to przekazać, a ja akurat tędy przejeżdżałam. Wybieram się do Agnieszki.

– No tak, akurat przejeżdżałaś. – Westchnął znacząco. – W przeciwnym razie pewnie nie miałbym okazji powiedzieć ci przed wyjazdem do widzenia.

– Ale co ty mówisz? Przecież przyszłabym się pożegnać – zaprotestowała słabo.

Wojtek odłożył hebel, otrzepał ręce i podszedł do niej. Dotknął delikatnie jej policzka, a potem uniósł jej brodę tak, że nie miała innego wyjścia, jak spojrzeć mu prosto w oczy.

– Naprawdę nie ma dla nas żadnej szansy? – spytał cicho.

– Nie wiem – wyszeptała, zdziwiona własną odpowiedzią.

Uniósł brwi i uśmiechnął się lekko.

– Nie wiesz? Czy to znaczy, że...

– Nie wiem – przerwała mu szybko i tym razem już o wiele pewniej. – Zrozum, jeszcze kilka miesięcy temu byłam żoną człowieka, którego bardzo kochałam. I który... umarł, a razem z nim część mnie. Zostało po nim puste miejsce, a ja jeszcze nie wiem, jak je właściwie zapełnić... I chyba na razie tego nie chcę. Jakaś część mnie, ta, która była połączona z Piotrem, zostanie jeszcze długo nieaktywna, ponieważ nie potrafię o tym wszystkim myśleć bez emocji, którym... nadal nie ufam. Nie wiem, czy mnie nie zwodzą. Czy są prawdziwe, czy wręcz przeciwnie. Dlatego wolę na razie odsunąć je na bok i zająć się czymś innym, bardziej neutralnym. Dziećmi, domem, a właściwie zbudowaniem dla nas całkiem nowej rzeczywistości. Bez Piotrka. To jest i tak wystarczająco trudne. Gdybym zdecydowała się na jeszcze więcej zmian, nie dałabym rady, pogubiłabym się.

– Rozumiem. W twoim nowym świecie po prostu nie ma dla mnie miejsca.

– Nie, nie chodzi o to, że dla ciebie. Nie ma w nim miejsca dla nikogo więcej. Muszę być teraz sama i sama sobie ze wszystkim poradzić.

– A co potem? Bo w twoim życiu będzie jakieś potem, prawda?

– Nie chcę teraz o tym myśleć. Samo zastanawianie się nad tym, co jest tu i teraz, dostatecznie mnie męczy. Przepraszam, ale nie mam siły na więcej. Na razie.

– Na razie – powtórzył, lekko się uśmiechając. – Rozumiem.

Opadła ciężko na fotel, opierając na stoliku obolałe nogi. Zerknęła na uchylone drzwi sypialni, z której przed chwilą wyniesiono meble. Pokój był pusty, jak część jej samej, tej, która należała do Piotra. Jedno i drugie na razie miało zostać zamknięte na klucz, żeby nie można było tam zaglądać, dopóki nie stanie się wiadome, czym tę pustkę zapełnić.

Przeniosła swoje rzeczy do pokoju gościnnego, który teraz należał do niej. Tylko do niej. I chociaż nowe łóżko było też podwójne, miała poczucie, że obie jego części tworzą jednolitą przestrzeń, niedzieloną nigdy z nikim, bo od początku należała tylko do niej. Podobnie jak pewna część jej samej. Ta, z której zbudowała sobie od podstaw całą resztę, nową rzeczywistość. Bez Piotra, jedynie ze wspomnieniami o nim i z jego dziećmi.

Zerknęła na fotografie ustawione na kominku. „Mimo wszystko dobrymi wspomnieniami” – pomyślała z pewnym zdziwieniem.

Otworzyła laptop i popatrzyła na zegarek. Niestety, nie mogła o tej porze zadzwonić do Magdy. Mimo iż przyzwyczała się już do tego, że mieszkają tak daleko od siebie, wciąż niezmiennie irytowała ją różnica czasu, przez którą nie mogła skontaktować się z siostrą wtedy, kiedy akurat tego potrzebowała. Poza tym Magda miała teraz dla Anny dużo mniej wolnych chwil, poświęcając je w większości swojej córce i nowo narodzonej wnuczce, a Anna świetnie to rozumiała i nie nalegała na częstsze kontakty. Do momentu, w którym zdała sobie sprawę, że nie rozmawiały ze sobą od ponad miesiąca. Zdziwiła się, gdy to sobie uświadomiła, ponieważ wcześniej nie wyobrażała sobie nawet tygodnia bez rozmowy z ukochaną siostrą.

Rozmyślając o tym, odruchowo kliknęła stronę z poleconym przez siostrę blogiem. Nawet nie zauważyła, w którym momencie przestała śledzić wpisy, zbyt pochłonięta bieżącymi wydarzeniami. Dlatego zaskoczyło ją, że ostatni miał datę z lipca i był dokładnie tym, który widziała jako ostatni. Zaniepokoiło ją to. Wcześniej nieznana autorka, mimo że nie uzupełniała swoich zapisków codziennie, to jednak robiła to dość systematycznie, bez dłuższych przerw niż tygodniowe. Obecna trwała grubo ponad miesiąc.

– Och, widzę, że też podczytujesz blog babci.

Nie zauważyła, kiedy obok niej pojawiła się Amelia. Przechylna przez oparcie fotela wpatrywała się ponad jej ramieniem w monitor. Anna obejrzała się na córkę ze szczerym zdumieniem.

– O czym ty mówisz, kochanie?

Amelia przewróciła oczami, prychając sugestywnie.

– No przecież to jest Maniobajanie. Blog babci. Nie mów, że nie wiedziałas?

– Za to ty, jak rozumiem, wprost przeciwnie? Babcia ci powiedziała?

– W pewnym sensie. Sama zauważyłam, że coś pisze wieczorami, ale gdy do niej podchodziłam, natychmiast zamykała laptopa. I dopiero jak jej pokazałam mojego bloga, przyznała się, że też taki prowadzi. A ja pomogłam jej go trochę podrasować graficznie. Fajnie wygląda, nie? – Spojrzała na matkę, zapewne oczekując pochwały.

Anna skinęła głową z roztargnieniem, a potem zagapiła się na różowe piwonie i zielone pędy winobluszczu, które zdobiły stronę, a których prawdę mówiąc wcześniej nie zauważyła, zbyt zaabsorbowana brakiem aktualnego wpisu.

– Tak... – powiedziała, sięgając jednocześnie po telefon. – Oczywiście, jest bardzo ładny... Przepraszam cię, córeczko, ale chciałabym gdzieś zadzwonić.

– Jasne – odparła Amelia niechętnie i obracając się na pięcie, poszła do kuchni.

Tym razem Anna nie patrzyła na zegarek, ponieważ już jej nie obchodziło, która godzina jest w Kalifornii. Wybrała numer.

– Co się dzieje, siostrzyczko? – Usłyszała zaspány i nieco przestraszony głos Magdaleny.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że to jest blog mamy?

– Jaki blog? Ach, blog mamy! No coś ty, nie domyśliłaś się?
– Wyobraź sobie, że nie! Bo niby skąd...
– Nie wierzę! – przerwała jej Magda, już całkiem trzeźwo. – Ty naprawdę się nie domyśliłaś! A zdjęcia? Przecież tam było mnóstwo zdjęć z naszego ogrodu! Musiałaś je oglądać.
– Przejrzałam tylko pobieżnie – zająknęła się, ponieważ tak naprawdę ledwie rzuciła na nie okiem. – Ogród jak ogród, bywają podobne.
– A nasza huśtawka z opony? Przecież jeszcze całkiem niedawno tam była, nawet twoje dzieci się na niej bujały! A czereśnia? A szklarnia taty? Koper? Właśnie, przecież na niektórych zdjęciach był Koper! Jego też nie poznałaś?
– Nie przyglądałam się zbyt dokładnie.
– Nawet jeśli tak było, z mamy wpisów też można było wiele wywnioskować. No i tytuł *Maniobajanie* – bajanie Mani, Marysi.
– Niestety, na to też nie wpadłam. Ale gdybyś mi od razu powiedziała, że to jej wpisy, czytałabym je uważniej. A tak... A tak to...
– Możesz je w każdej chwili jeszcze raz przeczytać. Od pierwszego do ostatniego. O co ty się, dziewczyno, w ogóle awanturujesz? I to w dodatku w środku nocy, to znaczy mojej nocy.
– Przepraszam – wyjąkała speszona. – To był impuls, przepraszam cię. Naprawdę.
– *Never mind...* – Ziewnęła. – Nie będę się bocyć, o ile pozwolisz mi dalej spać. Rano muszę zmienić Karolinę przy małej, żeby mogła choć trochę odpocząć.
– Śpij już sobie. I ucałuj ode mnie Karolę i maleńką. Dobranoc.
Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Spojrzała jeszcze raz na monitor komputera.

Maniobajanie – blog.

Wszystko od czegoś zależy, bo tak właśnie został poukładany świat. I nie da się inaczej. Jednak myślę, że można by coś zrobić, by nie zależało za mocno. Bo Bóg dał człowiekowi wolną wolę, by się nią posługiwał. Sam. By jak najwięcej rzeczy, które go dotyczą, zależało właśnie od niego. Aby mógł sam pokierować swoim życiem, znaleźć własną drogę, a nie dreptać ścieżką wydeptaną przez innych, chwytając się poręczy zbudowanej przez kogoś innego...

Bo jeśli człowiek włoży choć odrobinę trudu w to, żeby odnaleźć albo nawet wybudować sobie własną drogę, to kiedy już dotrze do jej końca, przekona się, że jego życie miało jakiś sens.

Anna ze zdumieniem obserwowała wlewający się do sali tłum ludzi.

– Niektórzy przyjechali z bardzo daleka. – Usłyszała szept Agnieszki, która konspiracyjnie nachyliła się do jej ucha. – Ci tenorzy nie koncertują już od lat. To ponoć niesamowita gratka dla koneserów, móc znów usłyszeć ich na żywo. Stąd tak ogromne zainteresowanie koncertem.

Kiwnęła znacząco głową w stronę kilku kamer z charakterystycznym logo dwóch ogólnopolskich stacji telewizyjnych.

– A Leokadia? Jest?

– Oczywiście! Przygotowuje się w swojej garderobie. Dziewczyny pomagają jej z makijażem i fryzurą. Wiesz co? Może jednak chodźmy na wszelki wypadek sprawdzić, czy nie trzeba im pomóc. – Zdecydowała nagle i pociągnęła Annę za kulisy.

Pani Leokadia stała przed wielkim, rześście oświetlonym lustrem, a podenerwowana Flo, z grzebieniem w rękę, usiłowała wykonać jeszcze jakieś poprawki fryzury, co nie było łatwe ze względu na wzmożoną aktywność artystki, która zapewne też z nerwów, wciąż obracała się we wszystkie strony, szeleszcząc, jak wynikało z intensywności dźwięku, kilkoma warstwami halek.

Anna wpatrywała się w nią kompletnie zauroczona. Śpiewaczka miała na sobie wspaniałą szmaragdową suknię. Spod jej rąbka widać było noski lakierowanych pantofelków, które teraz tupwały niespokojnie. Bez przerwy poruszał się też i bujał na boki wysoko upięty kok w kolorze miedzi, podtrzymywany szeroką, połyskującą wstążką w grochy, identyczną jak te, które zazwyczaj nosiły dziewczęta. Jeszcze szersza wstęga opasywała kibić pani Leokadii, z tyłu zwieńczona wielką kokardą. Ciasno zasznurowany gorset w identycznym stopniu minimalizował środkowe, jak eksponował dolne i górne walory śpiewaczki, podkreślone dekoltem w kształcie serca.

– Wszystko w porządku, pani Leokadio? – Zatrokała się Agnieszka.

– Och, jestem taka niespokojna! Wszyscy niecierpliwie czekają na ten występ, a ja bardzo nie chciałabym zawieść mojej publiczności. Od tak dawna nie koncertowałam.

– Na pewno nikogo pani nie zawiedzie – zapewniła ją żarliwie Anna. – Jest pani przecież profesjonalistką. Wciąż wspaniałą śpiewaczką.

– Ale to już nie ten głos! Nie ten! – Pani Leokadia w melodramatycznym geście wyrzuciła w górę ramiona.

– Pani Lea śpiewa precudownie! Jak anioł! Naprawdę! Same słyszałyśmy – wykrzykiwały jedna przez drugą otaczające ją dziewczęta. – Nie możemy się wprost doczekać, kiedy pani wystąpi.

– W takim razie my już sobie pójdziemy, nie będziemy przeszkadzać. – Agnieszka cofała się powoli, ciągnąc za sobą przyjaciółkę. – Te dziewczyny są niesamowite! – dodała już na korytarzu. – Bardzo zaangażowały się w organizację koncertu. I nie tylko one. A ja nawet nie śniłam, że to będzie aż tak ogromna impreza.

– Myślisz, że zbierzesz wystarczające środki na utrzymanie Przystanku?

– Wystarczające? – Agnieszkę zdumiało jej pytanie. – Kobieto, najprawdopodobniej uda nam się przekształcić go w niewielkie, ale nowoczesnie urządzone schronisko. Tylko że... Tak naprawdę wolałabym w ogóle nie potrzebować tych pieniędzy, żeby nie istniał powód, dla którego mają zostać zebrane. Żeby takie miejsca jak Przystanek w ogóle nie musiały istnieć, a wszystkie zwierzaki miały swoje domy i kochających opiekunów. Obawiam się jednak, że musi upłynąć sporo czasu, by ludzie zrozumieli, że zwierzęta to nie zabawki, i że tak jak oni czują, potrafią kochać, naprawdę mocno. Niestety, koncert raczej tego nie sprawi. A nawet pieniądze z licytacji obrazu, choćby nie wiem jak ogromne.

– Jakiego obrazu?

– To ty nic nie wiesz? – Zdziwiła się przyjaciółka. – Pani Lea podarowała fundacji opiekującej się bezdomnymi zwierzami obraz, nie wiem dokładnie, jaki, ale podobno bardzo cenny. Licytacja ma się odbyć w Warszawie, zajęła się tym jakaś duża i znana galeria.

Anna, słysząc to, na chwilę zamarła. Przypomniała sobie portret pani Leokadii wiszący nad kominkiem w jej salonie, piękną zieloną suknię, kapelusz, rudego kota, Lilou... Tamara Łempicka? Na chwilę zaparło jej dech.

– Ale czy ten obraz... – Poruszyła się niespokojnie, łapiąc przyjaciółkę za mankiet. – To jest ten, który...

– Ciiii – Agnieszka położyła sobie palec na ustach. – Zaraz się zaczyna!

Gasły kolejne światła. Anna posłusznie usiadła w fotelu wskazanym jej przez Agnieszkę, która nieoczekiwanie gdzieś przepadła. Rozglądała się chwilę zdezorientowana, a potem położyła torebkę na miejscu obok, przeczuwając, że przyjaciółka za chwilę wróci. Odwróciła się ukradkiem i prześlizgnęła wzrokiem po twarzach obecnych.

Kilka rzędów dalej zobaczyła Bożenę i Mirka – niestety zbyt pochłonięci atmosferą, nie zauważyli, gdy dyskretnie do nich pomachała. Miała nadzieję, że uda jej się złapać ich po koncercie i chwilę porozmawiać. Była bardzo ciekawa, co słychać u obu ich synów. Chwilę potem kątem oka zauważyła, że jednak ktoś do nie macha i z szerokim uśmiechem pozdrowiła panią Jasię, siedzącą kilka miejsc dalej. Obróciła się, chcąc sprawdzić, zanim zrobi się zupełnie ciemno, czy jeszcze ktoś znajomy jest gdzieś blisko, i wtedy dostrzegła Fabiana. Siedział w ostatnim rzędzie, obok pana Waldka – trzymanego pod rękę przez dość korpulentną kobietę, jak się można było domyślać, samą panią Mordasewiczową. Obaj mężczyźni, wystrojeni jak nigdy dotąd, z niezwykle odświętnymi minami, siedzieli wyprostowani sztywno w kinowych fotelach. Obok Fabiana przycupnął kilkuletni, drobniutki chłopiec, który lekko przestraszony rozglądał się nieśmiało po sali. Fabian od czasu do czasu nachylał się do niego, szeptał coś i poklepywał uspokajająco po ramieniu. Anna początkowo sądziła, że to syn mężczyzny, ale szybko przekonała się, że po drugiej ręce chłopca siedzi jego matka. Twarz kobiety wydawała się dziwnie znajoma. Anna przyglądała się jej chwilę ze zmarszczonym czołem, gdy nagle doznała olśnienia. „Przecież to córka Zalesiaków! W takim razie chłopczyk to z pewnością Adaś – mały właściciel kozy Miłki”. Spojrzała jeszcze raz na kobietę, znów na Fabiana, i uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem, dopiero teraz zdając sobie sprawę, co tak naprawdę widzi.

Wokół dostrzegła jeszcze wiele innych znanych jej osób. Spotkała je w lecznicy, bibliotece albo w Pubie u Bolka. Poczula też pewne ukłucie żalu, ponieważ przypomniała sobie Mariusza, który – jak wiedziała od matki, wciąż pił, nie bacząc na to, że jego dzieci są w domu dziecka i powoli tracą nadzieję, że tata kiedykolwiek zabierze je do domu. Anna bardzo chciała wierzyć, że ten dzień kiedyś nadejdzie, jednak wszystko wskazywało na to, że nieprędko.

Na koncercie nie było też Arturka ani jego mamy. Malec oczekiwał właśnie w szpitalu na operację usunięcia śledziony, ponieważ leczenie farmakologiczne małopłytkowości nie przyniosło niestety oczekiwanych rezultatów. Planowana splenektomia miała to zmienić i spowodować, że dziecko poczuje się wreszcie lepiej. Tak przynajmniej obiecywali lekarze.

Westchnęła i odszukała wzrokiem rodziców, chcąc się upewnić, że jest z nimi Franek. Był. Przechylony przez poręcz fotela, tłumaczył coś zawzięcie siedzącemu obok dziadkowi. Matka Anny trzymała tymczasem za łokieć Magdaleny, szepcząc jej coś do ucha i zaśmiewając się co chwila. Anna również mimowolnie uśmiechnęła się, choć tylko do siebie. Wiedziała, że jej siostra przyjechała tym razem na krótko, dlatego postanowiła nie przeszkadzać rodzicom, by nacieszyli się do woli dawno niewidzianą córką, i usunęła się na ten czas nieco w cień. Miała jednak jednocześnie nadzieję, że Magda jeszcze przed wyjazdem znajdzie też trochę czasu i dla niej. Zaśmiała się cicho i pomachała do niej, przechwytyjąc nagle jej rozbawione spojrzenie.

Zanim zgasły ostatnie światła, zdążyła przyjrzeć się jeszcze wielu osobom na sali osobom, by stwierdzić z zadowoleniem, że zna właściwie większość z nich, przynajmniej z widzenia. Ciągłe ktoś klaniał się jej uprzejmie, odpowiadając na uśmiech. Zdała sobie też nagle sprawę, że dla nich też nie jest już obca. Znów stała się już tutejsza. Swoja. Prowincjonalna, tak jak oni.

Ponieważ na widowni zapadła wreszcie ciemność, ucichł szmer rozmów, a na scenie rozbłysły światła – co zapowiadało rychłe rozpoczęcie koncertu, usadowiła się wygodniej i zerknęła z niepokojem na wciąż pusty sąsiedni fotel. „Gdzie ona się podziewa?” – zastanawiała się, gdy rozległy się pierwsze

takty muzyki. Na wielkim telebimie pojawił się Przystanek. I psy. Anna znów poczuła dobrze jej znany ucisk w gardle i ogromne wzruszenie.

– Czy to miejsce jest wolne? – Usłyszała nagle znajomy szept.

Uniosła na chwilę głowę, napotykać równie bliskie jej spojrzenie, i skinęła twierdząco.

– Dziękuję. – Mężczyzna uśmiechnął się, usiadł i oparł łokieć o poręcz jej fotela.

W tej samej chwili na deskach dawnego kina pojawił się czarujący siwowłosy pan w towarzystwie wciąż pięknej, mimo wieku, rudowłosej kobiety, i rozbrzmiały miękkie, docierające do najgłębszych zakamarków umysłu tony:

Lonely, I'm Mr. Lonely.

I have nobody for my own...

Podlasie od kuchni

Kuchnię podlaską uważa się za jedną z najsmaczniejszych regionalnych kuchni Polski. Pomędzy wierszami „Bluszczu prowincjonalnego” uważny czytelnik odnajdzie jej przedsmak, a po więcej powinien już samodzielnie udać się tam, gdzie będzie miał możliwość jej skosztowania. O niektórych z tych miejsc przeczyta w powieści, innych musi poszukać sam. Jeśli to zrobi, zrozumie, dlaczego było warto.

Podlaska kuchnia, mimo że wydaje się mało urozmaicona pod względem doboru składników, zaskakuje różnorodnością. Zawdzięcza to wielokulturowości, która ją ukształtowała na przestrzeni wieków. Dlatego też nikogo nie powinna dziwić estyma, z jaką podlaskie gospodynie przekazują swoje owiane tajemnicą przepisy jedynie członkom rodziny, z pokolenia na pokolenie, oraz ich ogromny szacunek dla tradycji, nie tylko tej związanej z przyrządzaniem regionalnych potraw.

Na Podlasiu przez stulecia mieszały się ze sobą wpływy kuchni polskiej, litewskiej, białoruskiej, żydowskiej i tatarskiej. Obecnie łączy je przede wszystkim ogrom czasu i pracy, jakie wkłada się w przygotowanie większości dań. Wszystkie receptury wymagają mnóstwa cierpliwości i zaangażowania. Na szczęście istnieje też kilka potraw, które (głównie dzięki pewnym trickom i możliwości korzystania z dobrodziejstw współczesnych urządzeń kuchennych) da się przygotować nieco szybciej. Do takich należy między innymi chłodnik, którego nazwa nie pozostawia wątpliwości co do tego, skąd na Podlasie przywędrował.

O tym, jak w kilkanaście minut przyrządzić pyszny, orzeźwiający chłodnik litewski...

Szybkość jego przygotowania zależy przede wszystkim od głównego składnika – czyli wywaru buraczanego. A można przygotować go na trzy różne sposoby.

Pierwszy – dla cierpliwych entuzjastów zdrowego odżywiania: siekamy boćwinę łodygową lub po prostu botwinę (najlepiej taką świeżo wyrwaną z ogródka), a trzy średnie buraczki ścieramy grubo na tarce. Jedno i drugie gotujemy w trzech szklankach wody, z jednym listkiem laurowym, dwoma ziarenkami ziela angielskiego i trzema pieprzu. Doprawiamy solą, octem i cukrem według własnego uznania i smaku.

Drugi – dla znacznie mniej cierpliwych entuzjastów zdrowego odżywiania: kupujemy gotowy sok z buraków w butelce lub kartonie, poprawiamy go odpowiednio – solą, cukrem i octem. Jeśli nie był wcześniej pasteryzowany, zagotowujemy.

Trzeci – wyłącznie dla zuchwałych: kupujemy dwie torebki barszczu w proszku i rozpuszczamy go w dwóch szklankach gorącej wody.

Wszystkie z wymienionych sposobów ma łączyć jedno – wywar musi być mocny, esencjonalny, a jego smak może, a nawet powinien powodować lekkie łzawienie oczu. Musi też być dobrze schłodzony. Wówczas przelewamy go do odpowiedniego naczynia, najlepiej glinianego lub szklanego, i mieszamy z dwoma litrami maślanki, ewentualnie kefiru, zsiadłego mleka lub jogurtu naturalnego, bądź też ich mieszaniną. Jeżeli ktoś woli, by chłodnik miał bardziej kremową konsystencję, może dodać kubek jogurtu greckiego, który bywa tak gęsty, że można go niemal pokroić w plasterki.

Potem przystępujemy do siekania szczypiorku i koperku – po jednym pęczku. Ścieramy na tarce o grubych oczkach rzodkiewkę i świeży ogórek. Wszystko to wrzucamy do chłodnika. Są to tradycyjne dodatki, ale jeżeli chcemy pochwalić się swoją kulinarną kreatywnością i zrobić wrażenie na gościach, do zupy można dodać na przykład pokrojone (w słupki lub kostkę) awokado, liście ogórecznika, młodej pokrzywy lub mniszka lekarskiego, rzeżuchę, rosłonkę, ewentualnie rukolę, jednak w przypadku tej ostatniej nie warto przesadzać, ponieważ bywa dominująca w smaku.

Chłodnik podajemy z jajem ugotowanym na twardo. Na Podlasiu jednak najczęściej zjada się go

z ziemniakami. Ugotowane w całości i bardzo gorące, należy ułożyć na brzegu talerza z zimnym chłodnikiem.

O tym, dlaczego warto

spędzić cały dzień w kuchni,

by przyrządzić kartacze...

Kartacze są potrawą, którą najlepiej określa krótki przedrostek „naj-”.

Dlatego, że to nie tylko najpopularniejsze danie w regionie, ale też najsmaczniejsze, najbardziej lubiane, będące w stanie nasycić największą liczbę głodomorów (przygotowuje się je z prawie hurtowej ilości składników), najbardziej pracochłonne (jednak późniejsze doznania smakowe wynagradzają trud) i niestety chyba najbardziej kaloryczne i tuczące.

To niezwykle pożądane nie tylko na podlaskich stołach jadło posiada wiele imion, jednak niemal każde opisuje jego charakterystyczny, owalny kształt. Najczęściej używaną nazwą są kartacze – ze względu na podobieństwo do pocisków artyleryjskich. Bliżej litewskiej granicy częściej określa się je cepelinami – na cześć obłych sterowców, natomiast w okolicach Łomży mówi się na nie kałduny – najprawdopodobniej w nawiązaniu do wyglądu pełnego, dobrze najedzonego brzucha.

Kartacze przyrządza się raz na jakiś czas w niemal każdym podlaskim domu, jednak nie istnieje na nie jedna, stała receptura. Każda z podlaskich gospodyń ma własną – sprawdzoną, udoskonalaną latami, często przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Każda z tych rodzinnych receptur uważana jest oczywiście za najlepszą, dlatego bywa zazdrośnie strzeżona przed innymi. Podobnie jest w mojej rodzinie. Znajduje się w niej przepis na kartacze ulepszany latami przez moje prababki, babki, ciotki i mamę, by mógł w końcu trafić w moje skromne ręce. Wraz z nim otrzymałam też oficjalną zgodę na ujawnienie go moim Czytelnikom, co też niniejszym czynię z prawdziwą przyjemnością.

Do przygotowania kartaczy potrzeba dziesięciu kilogramów ziemniaków bogatych w skrobię. Żeby to sprawdzić, należy bulwę przekroić i potrząść połówkami o siebie. Powstały biały nalot da nam odpowiedź pozytywną, natomiast jego brak nie dyskwalifikuje ziemniaka, wymusza jednak uzupełnienie braku mąką ziemniaczaną z torebki.

Nieco mniej niż połowę ziemniaków należy ugotować, obrać i odstawić w chłodne miejsce na około dobę. Potem można przygotować farsz z jednej chudej wieprzowej golonki i połowy indyczego udźca, ugotowanych z marchewką, kawałkiem selera, korzeniem pietruszki, solą, listkiem laurowym oraz z kilkoma ziarnami ziela angielskiego i pieprzu. Przystudzone mięso należy oddzielić od kości, pozostawiając skórki, i zemleć je wraz z warzywami z wywaru i jedną surową cebulą. Doprawić pieprzem ziołowym i w miarę potrzeby solą.

Ugotowane poprzedniego dnia ziemniaki należy przecisnąć przez specjalny przecierak lub zemleć w maszynce, a następnie obrać ich pozostałą część i w miarę szybko zetrzeć – nie można dopuścić, żeby za bardzo ściemniały. Najłatwiej jest to zrobić przy pomocy sprawnego elektrycznego urządzenia, jednak jeśli ktoś takiego nie posiada, niech wie, że podobno kartacze z utartych ręcznie ziemniaków są nieporównanie smaczniejsze od tych przyrządzonych z pomocą cudów współczesnej techniki.

Starte surowe ziemniaki należy porządnie odcisnąć przez lnianą lub tetrową szmatkę. Na Podlasiu używa się do tego najczęściej tetrowych pieluszek, wykorzystywanych również do precedzania mleka prosto od krowy. Po skończonej pracy szmatkę należy starannie wyprać, ponieważ na pewno jeszcze się przyda.

Sok z ziemniaków odstawiamy na kilkanaście minut, a osiadłą skrobię dodajemy do startych ziemniaków. Łączymy je z tymi ugotowanymi, garścią mąki ziemniaczanej, solą i wyrabiamy ręcznie na gładką masę. Z niej robimy placuszki wielkości dłoni, nakładamy na nie kulki farszu i formujemy owalne kartacze, mocząc od czasu do czasu ręce w ciepłej wodzie. Kartacz ma idealną wielkość, kiedy mieści się w uformowanych w kształt łódki, złączonych dłoniach.

Na koniec zagotowujemy w garnku wodę z zieleń angielskim, listkiem laurowym i solą. Delikatnie wrzucamy do niej kartacze, tak by woda nie przestawała wrzeć. Po około dwudziestu minutach sprawdzamy, czy są już gotowe, naciskając je lekko widelcem. Gdy są sprężyste, można je wyjąć na półmisek i okrasić smażonym boczkiem i cebulką.

O tym, do czego jeszcze można wykorzystać lnianą lub tetrową szmatkę, czyli jak zrobić pyszną cytrusową lemoniadę...

Receptura na domową lemoniadę nie jest co prawda ani tradycyjna, ani regionalna, jednak w czasach mojego dzieciństwa często po nią sięgano. Taka lemoniada, z braku innych słodkich napojów w ówczesnych sklepach, bywała niekiedy jedyną alternatywą dla oranżady, w dodatku bez sztucznych barwników, konserwantów i polepszaczy smakowych.

Do jej wykonania potrzebne są: cztery pomarańcze, pół kilograma marchwi, pół kilograma cukru i jedna łyżka kwasu cytrynowego lub sok z pięciu cytryn.

Obraną marchew ścieramy na tarce, natomiast pomarańcze, z których dwie tylko powinny nie mieć skórki, dzielimy na cząstki. Wszystko wkładamy do garnka, zalewamy dwoma litrami wody i gotujemy do miękkości. Na końcu dodajemy cukier. Przystudzoną pulpę przeciskamy porządnie przez szmatkę – lnianą lub tetrową.

Powstały sok doprawiamy kwaskiem cytrynowym lub sokiem z cytryn, i dolewamy do niego tyle przegotowanej wody, żeby otrzymać dziesięć litrów napoju. Lemoniadę należy przelać do butelek i przechowywać w chłodnym miejscu.

Serwujemy ją zimną, z plasterkiem cytryny lub pomarańczy.

Pora na deser!

Po sycącym i popitym lemoniadą obiedzie składającym się z dwóch pysznych dań zwykle przychodzi ochota na coś słodkiego, na przykład ciasto. Zatem jakie ciasta jada się na Podlasiu? Różne, jednak do tych najpopularniejszych należą: marcinek, sękacz i mrówkowiec. Cechą wspólną wszystkich wymienionych, a także tym, co je łączy z kartaczami, jest praca, jaką trzeba włożyć w ich wykonanie.

Mrówkowiec, zwany też mrowiskiem, kopcem lub choineczką, ma przynajmniej dwustuletnią historię, ponieważ pierwotnie podawany był w domach biskupów i zamożnej szlachty. Z czasem jednak trafił pod strzechy i stał się niemal obowiązkowym przysmakiem na świątecznych podlaskich stołach. Robi się go ze znanych powszechnie, lekkich i kruchych faworków, tutaj jednak pociętych w niekoniecznie regularne romby. Po usmażeniu układa się je w charakterystyczny kopiec, polewając każdą warstwę miodem rozpuszczonym z odrobiną masła, oraz posypując rodzynkami i makiem, dzięki czemu całość rzeczywiście przypomina kopiec ze spacerującymi po nim mrówkami.

Jeszcze starszy, bo według legend sięgający aż średniowiecza, jest przepis na niezwykle popularny na Podlasiu sękacz, który swoją nazwę zawdzięcza charakterystycznym sękom powstałym podczas jego wypiekania. Dawniej robiło się to nad otwartym ogniem (dziś częściej są to specjalne grzałki), na obracającym się różnie w formie drewnianego wałka. Wałek ów polewa się kolejnymi warstwami ciasta zapiekanych na złoty kolor, dzięki czemu w przekroju sękacza widoczne są grubsze

warstwy jasnego ciasta przedzielone cieniutkimi ciemnymi – zrumienionymi przez ogień (lub grzałkę), co przypomina słoje roczne w pniu drzewa. Efekt jest tak samo ciekawy jak smak tego niezwykłego, niedającego się porównać z żadnym innym wypieku.

Receptura, według której wypieka się sękacze, od stuleci pozostaje ta sama. Na około trzy kilogramy sękacza o wysokości ponad pięćdziesięciu centymetrów przypada: kopa jaj, dwa i pół kilograma masła, tyle samo mąki i cukru, oraz mnóstwo czasu i cierpliwości.

Na szczęście istnieje też domowa wersja tego ciasta, ze znacznie mniejszej ilości składników. Jej smak, choć nie da się go porównać z tą oryginalną, pieczoną na ogniu, jest zdecydowanie wart czasu poświęconego na przygotowanie. Ponadto sękacz niezawierający konserwantów ani żadnych spulchniaczy może być z powodzeniem przechowywany nawet do dziesięciu tygodni.

Domowy sękacz ucierany jest z zaledwie siedmiu żółtek, szklanki cukru pudru, opakowania cukru waniliowego, dwustu gramów roztopionego (ale chłodnego) masła, szklanki mąki pszennej i nieco mniejszej ilości mąki ziemniaczanej oraz ubitej piany z białek. Na Suwalszczyźnie dodaje się też śmietanę, która powoduje, że smak tamtejszego sękacza różni się od tego pieczonego na przykład w okolicach Łomży. Jednak ponieważ moje podniebienie jest przyzwyczajone do sękacza piątnickiego, podany przeze mnie przepis tego składnika nie zawiera.

Kiedy ciasto jest gotowe, smarujemy masłem formę, z tak zwanym kominkiem, i wylewamy do niej pierwszą cieniutką warstwę. Zapiekamy ją w piekarniku rozgrzanym do stu osiemdziesięciu stopni przez około pięć minut. Potem formę ostrożnie wyjmujemy, wylewamy kolejną porcję i znów zapiekamy na brąz. Czynność powtarzamy cierpliwie do wyczerpania ciasta.

Innym wartym spróbowania specjałem kojarzonym z regionem podlaskim jest przekładaniec, zwany marcinkiem. Przepis na to ciasto nie ma niestety tak spektakularnej tradycji historycznej jak mrówkowiec i sękacz, i można go bez problemu wyszukać na wielu internetowych stronach. W zasadzie nie wiadomo nawet, skąd się wziął właśnie na Podlasiu, jednak posiada dwie zasadnicze cechy, które sprawiły, że zakorzenił się tam na dobre. Jakże? Oczywiście te niezbędne dla każdej podlaskiej kulinarnej receptury, czyli jest niezwykle pracochłonny, co przekłada się oczywiście na jego wspaniały i niepowtarzalny smak.

Zgodnie ze staropolską tradycją...

Są to prawdopodobnie najodpowiedniejsze cztery słowa, opisujące specyfikę nie tylko kuchni, ale niemalże całej podlaskiej kultury.

Mieszkańcy tego regionu są (na ogół) niezwykle otwarci, szczerzy, towarzyscy i gościnni, co spontanicznie okazują przede wszystkim przy wspólnym, suto zastawionym stole. Każdy miły im gość jest przyjmowany na Podlasiu bardzo serdecznie, a progi gospodarza opuszcza dobrze najedzony i zazwyczaj z hojnym gościńcem.

W ten właśnie prosty i jakże oczywisty sposób nieustannie okazuje się na Podlasiu staropolską, tradycyjną gościnność.